

Ławeczka pod brzem



AGNIESZKA OLEJNIK



Ławeczka pod brzem

AGNIESZKA OLEJNIK



Część I

Lato

Grom z jasnego nieba
(dosłownie i w przenośni)

To był ostatni dzień normalnego życia — to znaczy takiego, jakie wówczas uważałam za normalne. Zwyczajna, ani dobra, ani zła, nijaka sobota na początku lipca. W telewizji nadawali wiadomości: w stolicy awaria sieci wodociągowej. W Kanadzie płoną lasy. Trasy nad morze zakorkowane. A wieczorem cała Polska wstrzyma oddech, ponieważ w grze losowej Lotto spodziewamy się megakumulacji: pula nagród wynosi czterdzieści milionów złotych. Jeśli wygra jedna osoba — tu głos spikera wszedł na niebezpiecznie emocjonalne tony — to padnie rekordowa wygrana! Wprawdzie dotąd najwyższa kumulacja wynosiła sześćdziesiąt milionów, ale wygrało wówczas trzech graczy, tak więc każdy z nich otrzymał po zaledwie niespełna dwadzieścia milionów.

Spędzałam wieczór w moim przytulnym pokoju, piłam zieloną herbatę i chcąc nie chcąc, z powodu cienkich ścian w mieszkaniu, słuchałam. Megakumulacja, pomyślałam z przekąsem. „Zaledwie” niespełna dwadzieścia milionów! Mnie wystarczyłoby tylko jeden maleńki, tyciutki milion. Ot, tyle, żebym mogła kupić sobie samodzielne mieszkanko i je skromnie, choć gustownie urządzić. Nic wielkiego, takie tam marzenie.

Oczywiście nabyłam kupon, jak tyłu innych naiwniaków w całej Polsce. To znaczy nabyłyśmy — we dwie. Ja i Agata. Wybrałyśmy się w piątek na lody; na szczęście aktualny chłopak mojej przyjaciółki nie mógł pójść z nami, mogłyśmy więc nagadać się na zapas.

Właśnie Agata wpadła na pomysł, żeby zagrać i podzielić się wygraną.

— Daj spokój — odpowiedziałam. — Ja nigdy w życiu nic nie wygrałam, nawet na szkolnej loterii fantowej. Jeśli tylko był jakiś pusty los, to na bank trafił się mnie.

— A w takich, gdzie nie było pustych losów? — Chciała wiedzieć Agata. — Przecież w większości loterii szkolnych nie ma pustych losów.

— Zazwyczaj nie brałam udziału. Ale raz mi się udało. Nagrodą był popękany w drobny mak lizak w kształcie serca.

Agata spojrzała na mnie w zadumie. Pewnie zastanawiała się, czy można by tego lizaka potraktować jako rodzaj wróżby.

— Po prostu spróbujmy — odezwała się po chwili.

— Ja nawet nie wiem, ile się tego skreśla. Nigdy w życiu nie grałam w grę losową. Kupuje się jakieś „chybił trafił”, tak?

— A gdzież tam „chybił”! — Agata się zdenerwowała. — Interesuje nas wyłącznie „trafił”. Skreślimy same. Każda swoje liczby. Jeśli któraś z nas wygra, to się podzielimy.

— To w końcu ile liczb trzeba wybrać?

— Sześć.

Zapadło milczenie. Każda z nas zapisała na serwetce wybrane numerki. Po chwili z powagą odsłoniłyśmy swoje bazgroły. Dwie liczby nam się powtórzyły: piętnaście oraz dwadzieścia dwa.

— To dobry znak. — Agata się rozpromieniła. — Teraz zasuwamy do kolektury!

Zakupiłyśmy kupony, każda swój. Następnie uroczyście ślubowałyśmy, że w razie wygranej dzielimy się po połowie, po czym pożegnałyśmy się — moja przyjaciółka wsiadła na rower i pojechała na spotkanie z ukochanym, a ja udałam się do domu, ponieważ w piątkowy wieczór nie miałam nic lepszego do roboty.

W taki oto sposób dołączyłam do tysięcy, jeśli nie milionów Polaków, którzy tego dnia wyczekiwali na losowanie, obgryzając paznokcie i zaciskając kciuki (o ile da się to robić jednocześnie). Co do mnie, ani niczego nie zaciskałam, ani nie obgryzałam, ponieważ tak naprawdę nie wierzyłam, że któraś z nas mogłaby wygrać choć złotówkę.

Nie powiedziałam o niczym matce ani Beniowi; śmialiby się ze mnie, drwili bezlitośnie, że jeśli chce się coś mieć, to trzeba się urobić po łokcie, zapracować, wydrzeć to własnemu losowi w codziennej walce — nic nie przychodzi samo.

Mama robiła co mogła, żeby nauczyć mnie życia, to znaczy dawała mi rady, pouczała mnie, powstrzymywała przed popełnianiem głupot i nadopiekuńczo o mnie dbała. Nie miała tylko pojęcia, jak okropnie mnie to irytowało. Skąd miałyby je mieć, skoro nigdy jej nie powiedziałam: odczep się mamus, daj już spokój i tak dalej. Cierpiałam w milczeniu.

Dlaczego to robiłam? Pewnie dlatego, że tak mnie wychowano. Siedź w kącie i bądź cicho. Jeśli czegoś chcesz, poproś cichutko albo zaczekaj, ktoś na pewno zrobi to, o co chciałaś poprosić. Mój ojciec był taki sam: uosobienie łagodności. Zawsze zwracał się do mamy per Tereniu, a do mnie: Igiełko (mam na imię Iga). Niemal każde wypowiedziane przez niego zdanie zaczynało się jakimś słodkim zdrobnieniem, po którym następowała nieśmiała prośba. Kochałam tatę do nieprzytomności, ale nie jestem pewna, czy budził we mnie szacunek.

Tata umarł, kiedy miałam czternaście lat. Poszedł na wódkę do znajomego, oglądali jakiś mecz; potem nie trafił do domu. Kiedy pił sam, w naszej piwnicy, nie upijał się mocno. To zawsze było lekkie podchmielenie, niegroźne. Tamtego dnia stało się inaczej, popili naprawdę ostro — do tego stopnia, że tata prawdopodobnie zapomniał, gdzie mieszka. Był luty, w nocy chwycił mróz, a on siedział skulony na progu sklepu z dywanami. Tam też znalazła go pani Wanda z piekarni, która rano szła do pracy (otwierała już o piątej).

Nie zamierzam opowiadać o ciemności, w której znalazłyśmy się z mamą po śmierci ojca, ani o tym, jak z mozołem wydostałyśmy się na światło dzienne — o tacie wspominam tu jedynie w kontekście mojego braku asertywności. Po prostu

wpojono mi pewne wzorce, a to sprawiało, że nie umiałam się wściec, nakrzyczeć na kogoś, użyć w złości brzydkiego wyrazu albo na przykład oznajmić wszem wobec, że się z czymś albo kimś nie zgadzam, że moja opinia jest taka a taka.

Ktoś mógłby pomyśleć, że wie już o mnie wszystko. Nudna, tchórzliwa, potulna, nic ciekawego. A nieprawda. Bo mam swoją historię i jest ona interesująca.

Jest to historia dziewczyny, która — okej, może niezbyt ładna, przeraźliwie chuda i bez biustu, ale w sumie całkiem bystra, ciekawa świata i pełna marzeń — wyszła pewnego dnia na balkon. Miała wówczas dwadzieścia dwa lata i od jakiegoś czasu studiowała filologię polską. Po cichu marzyła o tym, że pewnego dnia będzie pracować w wydawnictwie, a może nawet sama napisze książkę.

Tak więc owa młoda kobieta, pełna pragnień i planów na przyszłość, zamknęła oczy w zachwycie. Powietrze było świeże i rześkie, bo nad miastem właśnie przeszła burza. Był koniec czerwca, zaczęły się wakacje, znudzona młódź snuła się po uliczkach osiedla. Coś pachniało, ale diabli wiedzą co, albowiem jako straszliwy mieszczuch nasza bohaterka nie miała zielonego pojęcia, co mogłoby pachnieć o tej porze roku. Z zapachów rozpoznawała jedynie bzy i konwalie.

I co się stało? Nikt by nie zgadł. Nie spojrział na nią z dołu żaden przystojny młodzian, nie zerknął z sąsiedniego balkonu (piętro wyżej, po skosie) najpiękniejszy chłopak na świecie, Maciek Kornecki, który sprawiał, że w windzie dziewczynie miękły kolana. Nic z tych rzeczy. Zamiast tego strzelił w nią piorun.

Jakiś problem? Ja tylko mówię, co mi się przytrafiło. Wyszłam na balkon, żeby zaczerpnąć cudownie świeżego powietrza i trafił mnie zabłąkany piorun, piorunek właściwie, pioruniątko, bo gdyby to był dorosły piorun, niewątpliwie by mnie zabił. A tak to żyję. Proszę bardzo.

Dowodów, że to możliwe, można sobie poszukać w internecie. Dociekliwy czytelnik dowie się na przykład, że jakieś 90 procent ofiar przeżywa spotkanie z błyskawicą, a pewien mężczyzna z Wirginii, Roy Cleveland, przeżył aż siedem uderzeń pioruna.

Przeciętny piorun ma w sobie tyle energii, ile wystarczy na doprowadzenie do wrzenia tysiąca litrów wody. Uderzenie o takiej mocy rzadko nie pozostawia żadnych śladów. Ślady są, a jakże.

Nie zostałam poparzona, nie kopcilo mi się z włosów ani z uszu, nic z tego. Pozmieniało się natomiast kilka innych rzeczy. Po pierwsze, mój sen skrócił się do trzech godzin na dobę. Więcej nie i już. Nie potrzebowałam. Nie znałam uczucia niewyspania. Zasypiałam około północy, budziłam się o trzeciej i byłam rześka jak wiosenny poranek. I jednocześnie zła jak osa — a każdy, kto kiedykolwiek cierpiał na bezsenność, zrozumie to bez zbędnych wyjaśnień.

Po drugie, stałam się uosobieniem chaosu. Na przykład straciłam orientację w przepisach ruchu drogowego i umiejętność prowadzenia samochodu. To znaczy nie pod względem technicznym, tylko, by tak rzec, organizacyjnym. Stałam się koszmarnie nerwowa, nie potrafiłam ogarnąć sytuacji na skrzyżowaniu, ocenić, gdzie najlepiej zaparkować, wymuszałam pierwszeństwo na wjeździe z podporządkowanej, wpadałam w panikę na rondach i tak dalej. Po dwóch lub trzech próbach, podczas których omal nie straciłam życia, zrezygnowałam. Trudno; postanowiłam poruszać się pieszo oraz komunikacją miejską. Od tego się nie umiera.

Po trzecie, na jakiś czas straciłam pamięć, ale tak zupełnie, do zera. Nie wiedziałam, kim jestem, nie rozpoznawałam mamy, Agaty ani ojca, którego zdjęcie mi pokazano. Nie potrafiłam nazwać łóżka, szklanki, kapci, a zdolność mówienia pozostała mi jedynie w wąskim zakresie: wciąż powtarzałam, jak bardzo jest mi gorąco.

Na szczęście odzyskałam wspomnienia i rozum po kilku dniach — równie nagle, jak go straciłam; po prostu obudziłam się z naprawionym umysłem. Prawie naprawionym. Okazało się bowiem, że mam problem z nazwami własnymi. Opiekujący się mną neurolog, doktor Spyrka, z dziwną fascynacją oznajmił, że jestem arcyciekawym przypadkiem. Cóż, mnie to jakoś nie fascynowało.

Od tamtej pory starałam się unikać rozmów o filmach, książkach i znanych

ludziach, zwłaszcza odkąd w jakiejś rozmowie towarzyskiej palnęłam, że nie czytałam jeszcze żadnej powieści Fikner-Boriowik. Nie mam pojęcia, jaką drogą poszły moje skojarzenia, skoro chodziło mi o Ficner-Ogonowską. Potrafiłam także opowiadać o fascynującej lekturze z dzieciństwa — *Przygody Czarnego Tygrysa* (chodziło mi oczywiście o *Czarne Stopy*), a także dyskutować o komedii kryminalnej *Pobity do nieprzytomności*, po czym, kiedy wszyscy moi rozmówcy zgodnie stwierdzili, że w życiu nie słyszeli o takim filmie, wyszło na jaw, że tytuł brzmiał *Zabity na śmierć*.

Doktor Spyrka po konsultacjach z psychiatrą stwierdził, że moja pamięć wciąż posiada pewne luki, ale ponieważ umysł dąży do wypełnienia takich „dziur”, podsuwa mi propozycje na zasadzie skojarzeń. Stąd na przykład „Boriowik” — skojarzenie z Ogonowską, ogonek grzyba, borowik; ale ponieważ niejasno przeczuwałam, że to nie może być po prostu nazwa gatunkowa, dodałam sobie literkę „i” w środku. Idiotyczne, ale niestety tak to działa.

Najgorzej było z mówieniem. Z pisaniem szło mi lepiej (bo pozostawało te kilka sekund więcej do namysłu), ale także źle. Tak czy owak, uśmiech politowania, jaki wzbudziły moje wypowiedzi, kiedy już wyszłam ze szpitala i zaczęłam na powrót uczestniczyć w zajęciach na uczelni, sprawiły, że stchórzyłam — nie poszłam na egzamin z historii literatury. Przecież studentka polonistyki nie może tłumaczyć się tym, że Prusa nazywa Niemczakiem, a Przybyszewskiego — Gościewiczem, ponieważ uderzył w nią piorun. Nawet jeśli skojarzenie Prus z Niemcami oraz przybysza z gościem było dość logiczne.

Tak więc rzuciłam studia. W chwili, w której zaczyna się moja opowieść, zarabiałam na życie myciem włosów klientkom salonu urody prowadzonego przez moją matkę, rozrabianiem farb i zmiataniem podłóg. Biorąc pod uwagę moje zainteresowania i niegdyśjsze marzenia, to był upadek na samo dno.

Aby ktokolwiek mógł w pełni zrozumieć moją sytuację, powinnam przynajmniej z grubsza naszkicować portret mamy, Teresy Marzec. Zaczniemy od wyglądu: wyobraźmy sobie świetnie zakonserwowaną i bardzo energiczną pięćdziesięciolatkę. Blond włosy uczesane w stylu Marilyn Monroe, wydatne usta (na ogół uszminekowane na czerwono), mocno wytuszone rzęsy i cieniutkie brwi, jakby ktoś narysował je zaostrzoną kredką, czarną jak smoła. Figura wciąż jeszcze niezła, bo mama podobnie jak ja nigdy nie miała skłonności do tycia, jedynie uhodowała trochę drugiego podbródka.

W wieku lat dziewiętnastu Tereska, skądinąd nieszczęśliwie wybitna absolwentka liceum ogólnokształcącego, zaszła w ciążę z panem Adamem Marcem, czyli moim tatą. Adam Marzec był sporo od niej starszym, przystojnym i powszechnie szanowanym w naszej dzielnicy zegarmistrzem.

Nigdy się nie dowiedziałam, jak się poznali. Świeżo upieczona maturzystka i zegarmistrz — to się w ogóle nie łączy, nie idzie ze sobą w parze... Może mama miała do naprawy jakiś budzik, może kupowała komuś w prezencie zegarek (bo tata, oprócz tego, że naprawiał czasomierze i wymieniał baterie, również sprzedawał nowe i skupował stare zegary)? Kiedy jeszcze żył, nigdy o to nie zapytałam, a po jego śmierci w naszym domu w ogóle nie poruszało się tego tematu — po prostu wcale nie było rozmów dotyczących ojca.

Nie wiem też, jak tam między nimi było pod względem uczuciowym. Pewnie niezbyt dobrze. Podobno tata zaczął popijać jakieś dwa lata po ślubie. Czy dlatego, że utknął w małżeństwie bez miłości, czy z jakiegoś zupełnie innego powodu? A zresztą, może zaczyna się pić bez wyraźnej przyczyny, po prostu dlatego, że się to lubi? Skąd miałabym wiedzieć?

Mama na pozór wygrała los na loterii. W wieku lat zaledwie dziewiętnastu miała niezłe zarabiającego męża, posiadającego nie tylko poloneza, lecz także mieszkanie w bloku na jednym z bydgoskich osiedli. A to było niemało. W dzisiejszych czasach też byłoby niemało, może oprócz tego poloneza.

Nie spodziewała się jednak — w każdym razie tak sędzę — że małżeństwo oznaczało koniec jej młodości. Z dnia na dzień zaczęła umierać z nudów. Tata ją szanował, zwracał się do niej z kurtuazją, kupował jej kwiaty i całował ją w rękę. Tylko co z tego? Do życia we dwoje potrzeba chyba czegoś więcej niż uprzejmość i bukiet goździków.

Co do mnie, byłam jego oczkiem w głowie. Uwielbiał mnie zarówno na trzeźwo, jak i po pijaku. Zresztą w ogóle jego pijaństwo było z tych stosunkowo nieszkodliwych. Na ogół po prostu tata szedł po pracy do piwnicy, żeby — jak to nazywał — troszkę podłubać. Dłubał w sensie majsterkował, robił drewniane

szkatułki i oklejał je na gorąco fornirem; do tego popijał. Potem wracał do domu, nabombany w trzy rurki (to było jego określenie), zaglądał do mojego pokoju i pytał:

— Lkcje odrbione, Igielko?

— Tak, tato — odpowiadałam.

— A ctam cztasz?

Odpowiadałam mu zgodnie z prawdą (albo i niezgodnie, bo zdarzyło mi się skłamać — kiedy Mariola z sąsiedniej klatki schodowej pożyczyła mi *My, dzieci z Dworca Zoo*. Uznałam, że będzie lepiej, jeśli tata nie dowie się o tej lekturze), po czym mówiliśmy sobie „dobranoc” i tyle. W naszym domu nigdy nie było kłótni, awantur czy jakichkolwiek niemiłych scen.

Kto wie, może tata do dziś popijałby przy majsterkowaniu i wszystko zostałoby po staremu, gdyby nie to, że po tym, jak w Polsce zmienił się ustrój i wykupiliśmy mieszkanie na własność, mama wpadła na pomysł rozkręcenia biznesu. Postanowiła wyremontować piwnicę i zamienić ją na gabinet kosmetyczny. To była bardzo ładna piwnica, ze świetną lokalizacją, zaraz przy klatce schodowej, a w dodatku jasna, ponieważ miała spore okienko. Mama zarządziła wyłożenie ścian regipsami, pomalowanie wszystkiego na biało, umeblowała małe pomieszczenie tanimi, ale nowoczesnymi sprzętami — i zaczęła pokątnie (czy raczej „popiwnicznie”) przyjmować klientki.

Nie, nie ukończyła żadnego studium kosmetycznego. Po prostu naczytała się kobiecych gazet, pojeździła po gabinetach kosmetycznych w całym mieście, a potem zrobiła odpowiednią minę i odpowiednim tonem powiedziała kilku znajomym kobietom, że się na tym zna. Uwierzyły.

Wkrótce miała cztery wierne klientki, którym wyciskała zaskórniki, nakładała maseczki, masowała dłonie, robiła paznokcie i tak dalej. Po kilku miesiącach miała już jedenaście wiernych klientek. Potem, ponieważ wygoniwszy tatę z piwnicy, przyczyniła się do jego śmierci (bo zaczął pić u kolegi), przez jakiś czas nie miała żadnej klientki, gdyż leżała w domu z ciężką depresją, z której jednakowoż wyszła już w kwietniu. I od razu miała szesnaście klientek.

Co do mnie, nie wychodziłam z mojej dziecięcej depresji przez cały następny rok. Wprost z dzieciństwa przeskoczyłam w ponury okres dojrzewania. Nie odzywałam się do mamy, nie patrzyłam nawet w jej stronę. Żeby pokazać jej, jak bardzo mam w nosie jej pracę, urodę, dbałość o wygląd, wszystkie te kosmetyki i tak dalej, odmówiłam nakładania makijażu, zaczęłam nosić bure swetry, obwisłe dżinsy i włosy w strąkach. To był dziwny, ciemny i bardzo cichy czas. Wreszcie zrozumiałam, że miałam sporo szczęścia: gdyby moja matka okazała się słabszą kobietą, gdyby po utracie męża usiadła i zaczęła biadolić, pewnie nie dałybyśmy sobie rady.

Naturalnie mama wkrótce podczepiła się pod kolejnego faceta. Ona po

prostu nie umiała inaczej. Jak dla mnie, to był jakiś koszmarny paradoks: z jednej strony wydawała się silna i wiedziała, czego chce, z drugiej — musiała się po kimś wspinać, niczym pnącze, które bez odpowiedniej podpory kładzie się na ziemi i zostaje zdeptane. Była kobietą bluszczem.

Najpierw znalazła sobie pana Henia, który był żonaty, ale w tym małżeństwie szalenie nieszczęśliwy, chętnie więc rzucił się w niezobowiązującą przygodę z blond Tereską; potem na krótko jej serce zabiło dla pana Grzeška, sprzedawcy ze składu budowlanego (romans ten zbiegł się w czasie z remontem nowego lokalu przeznaczonego na salon piękności), aż wreszcie mama weszła w związek, na szczęście nieformalny, z Benedyktem, na którego pieszczotliwie mówiła Benio. Mnie akurat imię „Benio” bardziej pasowało do psa, i to jakiegoś śmiesznego, na przykład buldożka, ale w sumie Benedykt rzeczywiście miał coś buldożkowatego w spojrzeniu i zębach (posiadał wyłupiaste oczka i tę specyficzną wadę zgryzu, dolne zęby ciut wystające do przodu przed górnymi).

Właściwie nie miałam nic przeciwko Beniowi. Był przyzwoitym człowiekiem, nie pił, nie bił, nawet specjalnie nie brudził w domu. Łaskawie pozwalał mamie skakać wokół siebie — ona najwyraźniej właśnie tego potrzebowała. Jako rencista niewiele dokładał do domowego budżetu, ale nie biedowaliśmy, bo mama zarabiała coraz lepiej, no i ja także dorzucałam coś z mojej pensyjki; w końcu jadłam z ich lodówki i spałam pod tym samym dachem.

Jeśli coś mi przeszkadzało w Benedykcie, to głównie jego dowcipy, które opowiadał zawsze i wszędzie, przy każdej okazji i przy absolutnym braku okazji. Były to dowcipy najślabsze z możliwych, istne suchary, często niestosowne, czasem sprośne, ale najczęściej bezdennie głupie. To właśnie one sprawiały, że mniej więcej raz na tydzień miałam ochotę Benia zwyczajnie zamordować.

A jednak wciąż żył. Ratował mu życie mój brak asertywności, moja zaszczepiona w dzieciństwie łagodność. Nie tylko nie byłam w stanie powiedzieć mu, że jeszcze jeden dowcip, a obudzi się z nożem w plecach (gdzież tam, nie obudziłby się, nie zdążył, zamierzałam przecież wbić ów nóż bardzo celnie). Nie umiałam nawet okazać niezadowolenia. Posłusznie rozciągałam usta w uśmiechu, ilekroć padała kolejna idiotyczna puenta, ilekroć mama histerycznie chichotała, bo ten Benio taki zabawny...

Kiedyś, gdy byłyśmy we dwie na zakupach, zapytałam mamę, dlaczego z nim jest. Była wszak atrakcyjną kobietą, mogłaby spotykać się z jakimś przystojniakiem, umawiać się z nim na kolacyjki, do kina, niechby nawet na niezobowiązujący seks. Nie musiałyby pracować mu gaci ani gotować obiadków. Mama spojrzała na mnie zdziwiona i odparła, że przecież kocha swojego mężczyznę. Kochała każdego z nich: tatę, potem Henryka, Grzegorza, a teraz Benia. Nie mogłaby być z kimś, kogo nie darzy uczuciem. Nie mogłaby nie mieć kogoś, komu można prasować koszule, o kogo można troszczyć się jak kwoka o kurczęta,

dopowiedziałam sobie w myślach. Moja mama po prostu tak pojmowała rolę kobiety: wisieć na silnym męskim ramieniu, bawić się w pomoc domową za darmo i mieć złudzenie, że otrzymuje tyle samo, ile daje.

Co do mnie, solennie sobie przyrzekłam nigdy nie zgłupieć do tego stopnia. Nie zakochać się, nie oszaleć z miłości, nie dać się — Boże broń! — porwać namiętności. Nigdy, przenigdy nie zamienię się w kurę domową. Nie zamierzałam prac śmierdzących męskich skarpet i splukiwać z umywalki drobinek zarostu z męskiej maszynki. Nie wyjdę za mąż, nie założę rodziny. NIGDY!

W bliżej nieokreślonej przyszłości pragnęłam zamieszkać sama (Tylko jak? Jakim cudem, przy moich nędznych zarobkach?!), nie wpuszczać do swojego mieszkania żadnych mężczyzn poza niezbędnymi fachowcami od zlewu i tak dalej, od czasu do czasu chodzić na randki, lecz tylko po to, by poznać jakiegoś czystego i atrakcyjnego partnera do łóżka, przez jakiś czas uprawiać z nim dziki seks, nie przywiązując się, absolutnie. Potem mówić „adieu”, wracać do czystego domu pozbawionego zwiniętych w kulkę skarpetek pod fotelem, spać te swoje trzy godziny, a przez resztę nocy w ciszy i spokoju czytać książki.

Niestety, z racji tego, że mieszkałam z mamą i Beniem w bloku, nie wychodziło mi nawet to ostatnie. Człowiek nie miał tam ani odrobiny prywatności, bo ściany były zbudowane chyba z dykty. Ilekroć mama włączała jeden ze swoich ulubionych seriali — ja w swoim pokoju słyszałam każdy dialog, każde westchnienie i każdy jęk bohaterki tego tasiemca. No i każdy komentarz mamy. W nocy komentarze milkły, ale telewizor grał dalej, stanowił bowiem najlepszą kołysankę zarówno dla mamy, jak i jej ukochanego.

Nie chciałam, żeby z całej mojej opowieści wynikało jedynie to, że się we trójkę nie dogadywaliśmy, że kłóściliśmy się złośliwie przy każdej nadarzającej się okazji. Wcale tak nie było. Wszyscy byliśmy dla siebie mili, czasem wręcz przymilni, wspieraliśmy się — właściwie przypominało to jedzenie bezy i popijanie jej diabelnie słodką kawą, kiedy się jednocześnie siedzi na bombie. Mięśnie napięte, słowa cedzone przez zęby, ale z uśmiechem. W każdej chwili może się zdarzyć, że bomba wybuchnie, a my zmienimy się w kupkę wypełnionych cukrem flaków; ale przecież może się stać i tak, że żadnego wybuchu nie będzie i jakoś przetrwamy, choć w ustach wciąż będziemy czuć okropnie słodki smak.

I tak właśnie wyglądało moje życie aż do owej pamiętnej soboty.

Tamtej nocy mama i Benedykt zasnęli przy jakimś wyjątkowo brutalnym filmie. Ponieważ miałam już za sobą swój trzygodzinny sen, wstałam i poszłam cicho do ich pokoju, żeby wyłączyć telewizor i odciąć się w ten sposób od odgłosów mordobicia i przekleństw, którymi sypali główni bohaterowie.

Benio spał na boku (wytrenowany przez mamę, która wytłumaczyła mu, że w każdej innej pozycji chrapie), zaś mama — na wznak, rozrzuciwszy szeroko ramiona, jak człowiek wolny i całkowicie spokojny. Zazdrościłam jej; już nie tylko tego, że w ogóle śpi, lecz tego wewnętrznego luzu. Ja przesybiałam swoje trzy godziny w ciasnym kłębku, związana w supełek z własnych niepokojów i frustracji. Jakich niepokojów, jakich znów frustracji, można by zapytać. Przecież teoretycznie nie miałam powodów do zmartwień. Praca była? Była. Dach nad głową był? Był. Nie chorowałam? Nie, absolutnie. Czasem to nawet bym chciała, jakaś anginka, grypka jakaś, żeby poleżeć w łóżku i móc bezkarnie poużalać się nad sobą... Ale nic z tego, byłam zdrowa jak rydz.

Zródło mojej największej frustracji stanowił fakt, że nie wiedziałam, po co istnieję. Dosłownie. Po co takie stworzenie jak ja zajmuje miejsce i czerpie tlen, tak potrzebny innym żywym istotom? Po co wstaję z łóżka, skoro mogłabym leżeć? Po co idę do pracy i układam włosy kobietom, które i tak potargają się podczas snu? Innymi słowy: brakowało mi poczucia sensu.

Agata miała na to prostą receptę: „chłopa ci trzeba”. Niestety, ja w to nie wierzyłam. Chłopa miewałam, raz i drugi jakiś się napatoczył. Szału nie było, mówiąc kolokwialnie. Moja przyjaciółka twierdziła, że po prostu — mimo wszystkich moich postanowień na temat życia singielki — powinnam się zakochać. Bo chłop jako taki to rzeczywiście nic szczególnego. Ale chłop ukochany, wybrany spośród tysięcy innych, ten jedyny, to jest lekarstwo na moje poczucie bezsensu. Ewentualnie, perorowała dalej Agata, bo doskonale wiedziała, że miłości nie da się znaleźć na zawołanie, chłop tak biegły w sztuce miłosnej, że przy nim człowiek zapominałby o całym świecie i nie musiał już szukać sensu ani w ogóle niczego.

Hm, biegły w sztuce. Jako trzydziestolatka nie miałam wielkich doświadczeń w tym zakresie, ale te, które posiadałam, dowodziły, że o biegłego nie będzie łatwo.

Pierwszy był Mariusz. Jakies trzy miesiące przed maturą zakochał się we mnie, biedaczek, kiedy pomagałam mu z językiem polskim, a konkretnie: opowiadałam treść lektur. Oczywiście nie za darmo, on w zamian zabierał mnie swoim zdezelowanym samochodem w rozmaite miejsca. Bo muszę jeszcze wyjaśnić, że zawsze uwielbiałam podróżować. Nie musiały to być dalekie podróże, ponieważ tym, co kręciło mnie najbardziej, było pokonywanie przestrzeni. Lubiłam

jechać przed siebie i za każdym razem być gdzieś indziej. Lubiłam też chodzić, ale tempo nie było zawrotne, dlatego ostatecznie wygrywała jazda samochodem.

Nasze wypadki były zawsze spontaniczne, nie do końca przemyślane i przez to niesamowite. Na przykład ni stąd, ni zowąd pojechaliśmy do Świecia nad Wisłą i przenocowaliśmy w wysokiej trawie pod ruinami starego zamczyska. Innym razem wpadło nam do głowy, że nigdy nie widzieliśmy łośia; pognaliśmy więc na wschód z postanowieniem, że dotrzemy do Biebrzy — ale spotkawszy łośia sporo wcześniej, zawróciliśmy i resztę weekendu spędziliśmy w Mławie, snując się leniwie i jedząc gofry.

Właśnie podczas tych wojaży i wspólnej nauki Mariusz zakochał się we mnie i to z nim przeżyłam inicjację seksualną, upaliwszy się wcześniej skrętem, co do którego zapewniał mnie, że jest leciutki i nic nie czuję, tyle że się będę chichrać; ja zaś poczułam całkiem sporo. Konkretnie — czułam, że jestem z masła i rzeczywiście strasznie mnie to rozśmieszyło, w każdym razie kiedy Mariusz rozpiął mi bluzkę, a potem spodnie, kiedy mnie miętosił, ugniatał i wślizgiwał się we mnie (słowo „wślizgiwał” ma tu drugie dno, bo chodzi nie tylko o to, że czułam się maślana; otóż rozmiary Mariuszowego przyrodzenia były mizerne i owo wślizgnięcie o mały włos zostałoby przeze mnie przeoczone), zaśmiewałam się do łez. Nawet nie zauważyłam, kiedy skończył — miałam wrażenie, że cała operacja utraty dziewictwa trwała jakieś dwie sekundy.

Obawiałam się, czy biedak nie miał potem przeze mnie jakiegoś urazu; chyba żaden debiutujący w roli kochanka chłopiec nie chciałby wywołać salwy śmiechu. Tak czy owak, później była matura i nie mieliśmy okazji powtórzyć aktu płciowego bez skręta w roli rozśmieszacza i rozmaślacza, a po maturze Mariusz się odkochał, nad czym zresztą nie bolałam, żal mi było jedynie tych naszych wycieczek.

Drugi z kolei był Przemek, kolega ze studiów i jedyny student z mojej grupy, który mieszkał w akademiku. Większość naszego roku polonistyki stanowili rodowici poznaniacy albo osoby wynajmujące stancje. Mnie nie było na to stać, salon piękności mojej mamy dopiero się rozkręcał.

Wracając do Przemka — był bardzo niski, jakieś metr sześćdziesiąt, miał nieładną twarz z rekordowymi węgami na nosie i... boski głos. Mieszkaliśmy w akademiku o wiele mówiącej nazwie Babilon. Wieczorami Przemek brał gitarę i szedł schodami na samą górę, gdzie nie było już nic (to znaczy znajdowało się tam wejście na jakiś rodzaj stryszku, niedostępnego dla studentów). Był wielkim miłośnikiem poezji śpiewanej, w repertuarze miał także piosenki turystyczne i jakieś bluesowe kawałki; mnie jednak najbardziej rozbierały utwory Grechuty.

Kiedy Przemek zaczynał grać i śpiewać, stawał się najprzystojniejszym, najbardziej męskim, powabnym, pociągającym facetem, jakiego nosiła Ziemia. Absolutne bożyszczko. Po prostu natychmiast zakochiwałam się w tym

niepozornym, nawet niezbyt bystrym chłopaku. Muszę jednak przyznać, że kiedy przestawał śpiewać i grać, czar pryskał i wówczas nie nazywałam już tego uczucia miłością.

Tak czy owak, Przemek zdołał zaciągnąć mnie do łóżka — nie żebym się specjalnie opierała, ale starałam się zachować pozory. Pamiętam, że rozbierając mnie (a miałam na sobie koszulę z chyba setką guziczków), nucił tym swoim obłądnym głosem „Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie”. Dopóki śpiewał, było jeszcze jako tako, ale kiedy przestał, uświadomiłam sobie, że jego palce, tak zręczne na gryfie gitary, stawały się śmiesznie nieporadne, gdy Przemek dotykał kobiecego ciała. Wydawało się, że najbardziej interesuje go to, aby jak najprędzej skończyć. Pocałunki stały się cmoknięciami, pac, pac, pac, jeszcze w ucho albo szyję — pac, a potem do celu, byle szybciej, jest, trafiony — kilkanaście szybciutkich pchnięć i już. Jego chuda dupka poruszała się w tak błyskawicznym tempie, że odnosiłam wrażenie, jakbym kochała się z króliczkiem. Coś niezwyklego.

Sądziłam, że może to być stres związany z debiutem. Potem — kiedy okazało się, że drugi raz niczym nie różnił się od debiutu, pomyślałam, że może Przemek potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. Wiadomo, akademik, ktoś może zapukać, ktoś wpadnie, żeby pożyczyć jajko albo cukier. Dlatego zaprosiłam go na weekend do siebie, do Bydgoszczy. Było bardzo romantycznie, spacerowaliśmy po Starym Rynku, trzymając się za ręce, później zjedliśmy olbrzymią porcję lodów na spółkę, a wreszcie — kiedy miałam już pewność, że mama wyszła na dłużej (bo w soboty po południu przyjmowała najbardziej zaprzyjaźnione klientki) — zamknęliśmy się w moim pokoju i spróbowaliśmy jeszcze raz. Uczyłam Przemka pieścić, usiłowałam pokazać mu, czego pragną kobiety. Okazał się pojętym uczniem i aż do momentu penetracji wszystko szło dobrze. Odprężyłam się i pomyślałam, że chłopak załapał; teraz wreszcie seks nie będzie wyglądał jak maraton. Wówczas Przemek wślizgnął się we mnie i pac, pac, pac, dwadzieścia błyskawicznych ruchów chudą dupką, koniec. Pozostał króliczkiem — tyle że dowiedział się, co to gra wstępna.

Po pierwszym roku polonistyki już go nie było — odpadł na egzaminie z historii literatury staropolskiej i tak się skończył nasz dziwaczny romansik. Było mi przykro, bo w międzyczasie naprawdę go polubiłam; niemniej jednak ze zdumieniem odkryłam, że z zauroczenia nie pozostało zupełnie nic — nawet gdy na pożegnanie Przemek zagrał mi jeden z utworów Starego Dobrego Małżeństwa. Rozstaliśmy się po kumpelsku, a ja otworzyłam się na kolejne próby znalezienia mężczyzny, który nauczy mnie czerpać radość z seksu.

I tak, psiakość, pozostałam otwarta przez kolejne osiem lat.

Obraz mojego życia nie byłby pełny, gdybym nie wspomniała o braciach Korneckich. Mieszkali w naszej klatce schodowej, odkąd pamiętałam. Starszy nosił imię Wojtek, zaś młodszy — Maciek. Choć była między nimi różnica kilku lat, wydawali się niemal identyczni. Maciek był niewiele starszy ode mnie, ale dość, żeby w dzieciństwie nasze drogi na podwórku rzadko się przecinały — na ogół, kiedy ja z dziewczynkami bawiłam się na trzepaku albo urządzałam w piaskownicy pokazy mody naszych pierwszych lalek Barbie, on ze starszym bratem i innymi chłopcami kopał piłkę na boisku koło osiedlowej podstawówki.

Potem przyszedł ten dziwny czas, kiedy człowiek wstydzi się nawet spojrzeć na osobnika płci przeciwnej (nie mówiąc już o odezwaniu się do niego), ma się za długie ręce i nogi, plecy wydają się garbić same; po prostu piekło dorastania. W tamtym okresie przestałam zupełnie jeździć windą w obawie, że natknę się na któregoś z braci Korneckich. Obaj wyrosli niesamowicie, wyprzystojnieli i mieli w twarzach coś, co upodabniało ich do Roberta Redforda (Redford to jedyne nazwisko, którego NIGDY nie przekreśliłam, ponieważ aktor ten był dla mnie kwintesencją męskiej urody i żaden piorun nie byłby w stanie wymazać go z mej pamięci) — chyba ten specyficzny kontur policzków. Byli niebieskookimi blondynami i właściwie nie miałam absolutnie żadnych szans, aby którykolwiek z nich zwrócił na mnie uwagę. Jeden jedyny raz spotkałam się z Maćkiem na osiemnastce Mariolki, koleżanki z sąsiedniej klatki. Podczas gdy ja pomagałam solenizantce z kanapkami i pizzą, on kołysał się ochoczo w tańcu naprzeciwko jakiejś wystrzałowej, ognistej brunetki, której nigdy wcześniej (i na szczęście nigdy później) nie widziałam. Pod koniec imprezy znaleźliśmy się oboje w pokoju zwanym dowcipnie „izbą wytrzeźwień”, ale żadne z nas nie było w stanie prowadzić inteligentnej rozmowy.

Starszy z braci wyjechał na studia, kiedy ja zaczynałam liceum, z czego wywnioskowałam, że był o jakieś cztery czy pięć lat starszy ode mnie. Maciek, który podobał mi się znacznie bardziej (może z racji większej dostępności), nie miał ambicji naukowych. Z nielicznych rozmów w windzie dowiedziałam się, że ukończył technikum elektroniczne, po czym wyjechał do Gdańska do pracy. Przyjeżdżał tylko od czasu do czasu na weekendy, wystarczająco rzadko, abyśmy nie mieli szansy bliżej się poznać, ale zarazem dość często, żeby pozostać moją niespełnioną fantazją seksualną. W mieszkanku Korneckich na piątym piętrze mieszkał samotny ojciec (matki tam nigdy nie było, choć nie miałam pojęcia, czy odeszła, czy może umarła).

Kiedy zaczynałam studia, w życiu ich rodziny zaszła kolejna wielka zmiana. Starszy z braci ożenił się i wraz z żoną wrócił do ojca. Małżeństwo zawsze

wydawało mi się niezwykle poważną, dorosłą i dojrzałą sprawą — nic więc dziwnego, że mimo niewielkiej różnicy wieku zaczęłam nowym sąsiadom z góry mówić „dzień dobry”, a kiedy już musiałam się zwrócić bezpośrednio do Wojtka, mówiłam per „pan”.

Żona Wojtka była równie piękna, jak on sam. Pracowała jako pomoc dentystyczna w jednym z najlepszych bydgoskich gabinetów stomatologicznych. Podobno poznali się podczas leczenia kanałowego Wojtkowej górnej siódemki (tego typu informacji wysłuchiwała moja mama, robiąc kobietom paznokcie).

Wojtek został biznesmenem. Nie mam pojęcia, co właściwie studiował i czy ukończył studia, dowiedziałam się natomiast, że założył własną firmę — zajmował się produkcją mebli ogrodowych. Ściągnął do siebie brata, dał mu pracę, ale niestety — dla mnie, nie dla nich — nie zamieszkali razem. Nie znałam nowego adresu Maćka; z jakiejś krótkiej pogawędki w windzie dowiedziałam się jedynie, że wynajmuje mieszkanie na Błoniu. Jego wizyty w naszym bloku przyprawiły mnie o szybsze bicie serca, co oczywiście wcale nie znaczyło, że byłam w nim zakochana — stanowił raczej coś w rodzaju sekretnej, nieco nieprzyzwoitej fantazji.

Branża, w której pracowali Korneccy, wydawała mi się o tyle atrakcyjna, że zawsze marzyłam o ogrodzie, zarówno w sensie roślin, jak i mebli. To znaczy nie same meble mnie pociągały, naturalnie, lecz wypoczynek na nich. Wydawało mi się, że nie ma absolutnie nic piękniejszego niż popołudnie spędzone na wygodnym leżaku, z książką w ręku. Albo na przykład wygodna sofa z rattanu, miękki koc na wypadek chłodniejszego wiatorku, szklanka krystalicznie czystej wody z dryfującym listkiem mięty...

Opcjonalnie w moich wyobrażeniach pojawiała się skromna, ale wygodna ławeczka, ustawiona w jakimś zacisznym miejscu, pod krzewem, który kwitłby jak szalony, pachniał i aż brzęczał od pszczoł. Początkowo w tej wizji w roli głównej występował zawsze jaśminowiec, ale potem, po jakiejś wizycie w ogrodzie botanicznym, zakochałam się w lilaku, czyli popularnym bzie. Płatki miał ciemnofioletowe z białym paseczkiem na obrzeżu, a zapach roztaczał taki, że brakuje słów, by to opisać. Tak czy owak, od tamtej pory marzyłam o takim bżowym zaciszu.

W tych marzeniach byłam zawsze sama. Na pewno nie było przy mnie mamy — wraz z Beniem zostałyby w swoim mieszkaniu. Ale też wyraźnie nie było przy mnie mężczyzny. Mężczyźni w roli towarzystwa do ogrodu wydawali mi się raczej nudni. Nie wiedziałabym, co z takim robić. Usiadłby ze mną na tej ławce i co? O czym tu gadać?

Po namyśle jednak przyznawałam, że na przykład Maciek Kornecki mógłby się pojawiać — tak od czasu do czasu. Najpierw przyjechałby zamontować mi mój wymarzony mebel w ogrodzie, potem zaś zjawiałby się regularnie, bo przecież

musiałby sprawdzić, czy ławeczka się nie zepsuła, czy jakieś śruby się nie obłuzowały (ławeczka musi mieć jakieś śruby, prawda?). Wpadłabym mu w oko i tak by mnie uwodził, że ostatecznie kochalibyśmy się na cudownie miękkim trawniku, a ja wreszcie bym się dowiedziała, co to takiego ten orgazm.

A ponieważ bardzo by się to nam obojgu spodobało, Maciek bywałby u mnie co kilka dni. Tak, zdecydowanie. Ale jeszcze bardziej zdecydowanie: zawsze wracałby na noc do siebie. Nie pozwoliłabym na to, żeby ktoś obcy spał w moim wymarzonym domu. Bo oczywiście wymarzony ogród z ławeczką pod bzem stanowiłby jedynie dodatek do domu, który byłby tylko MÓJ.

To co w końcu z tą sobotą? Zaczęłam przecież od tego, że ta nijaka, zupełnie nieciekawa lipcowa sobota okazała się końcem jednej, a początkiem kolejnej epoki w moim życiu. Owszem, okazała się. Może pora zacząć opowiadać składowo i chronologicznie. Jak już wspomniałam, po uderzeniu pioruna jedną z moich cech stała się straszliwa chaotyczność — ale zdaje się, że niniejszym wywodem biję wszelkie rekordy. Spróbuję wziąć się w garść i opowiadać po kolei.

Wróćmy do momentu, w którym wchodzę do pokoju mamy i wyłączam telewizor. Wchodzę, wyłączam i myślę o tym, że zazdroszczę jej spokoju i snu. Mnie czeka długa, samotna noc. Co będę robić? Trochę poczytam, bo na szczęście miłość do książek mi została, żaden piorun nie byłby w stanie jej wypalić. Wezmę długą, przyjemną kąpiel w wannie. Z nudów ułożę sobie włosy, potem zrobię paznokcie i nałożę maseczkę na twarz (nie żeby mi to w czymś pomogło, od maseczek nie stawałam się niestety piękniejsza, miałam jedynie ładną cerę). Aha, i jeszcze, skoro mam tyle niechcianego wolnego czasu, sprawdzę wyniki Lotto.

Zrobiłam to wszystko w tej właśnie kolejności. Następnie — wymoczona, pachnąca, nawilżona po czubki uszu, z puszystymi włosami i lśniącymi karminowymi paznokciami — zasiadłam przed komputerem, opuszkami palców wystukałam na klawiaturze odpowiednie litery i weszłam na stronę Lotto.

W przeszłości, może nie jakoś szczególnie często, ale jednak, zastanawiałam się, jak by to było. Jak się czuje człowiek, który zagląda na taką stronę internetową albo ogląda losowanie w telewizji i nagle odkrywa, że na swoim kuponie ma wszystkie wylosowane numerki. To musi być szal radości, myślałam. Ktoś taki zaczyna wrzeszczeć, skakać, tańczyć. Radość, euforia, absolutna lekkość i w ogóle kosmos.

No więc już wyjaśniam: niczego takiego nie poczułam. Nie zaczęłam śpiewać, tańczyć ani krzyczeć. Spokojnie, na chłodno sprawdziłam jeszcze raz, i jeszcze. Nie chciało wyjść inaczej. Szóstka. Sześć trafionych liczb.

Dopiero wtedy pojawiły się jakieś emocje, w efekcie których zaczęłam straszliwie dygotać. Najpierw trzęsły mi się ręce, potem dygot wypełnił całe moje ciało. Telepał mi się żołądek, wszystko mi się telepało, nawet gałki oczne, co sprawiło, że musiałam wstać od komputera, ponieważ obraz na monitorze zlewał się w dziwne plamy.

Nie wiem, jak reagowali inni zwycięzcy w historii gier losowych — chętnie posłuchałabym ich opowieści, żeby się przekonać, czy moja reakcja była aż tak nienormalna, jak mi się wydaje. Może ktoś by mnie przebił w absurdalności poczynań i dzięki temu poczułabym się lepiej? W każdym razie uczyniłam, co następuje: schowałam kupon pod poduszkę, potem przełożyłam go do szuflady z

bielizną, a następnie kolejno do lodówki (w jednej z szufladek trzymałam paczuski z kawą ziarnistą — uwielbiałam świeżo mieloną kawę, a że mama i Benio pili tylko rozpuszczalną, to do tej szufladki nie zaglądali), do wnętrza starego, zepsutego zegara z kukułką, z powrotem pod poduszkę i wreszcie pod dywan w moim pokoju. Po czym zamknęłam się w łazience i po krótkim namyśle zaczęłam płakać.

Można sobie myśleć, że to głupie, nieracjonalne i tak dalej. Ale ja naprawdę poczułam wówczas, że tracę grunt pod nogami. Ogarnęło mnie koszarne przekonanie, że kiedy świat dowie się, iż stałam się bogata — wówczas na mój majątek zaczną czyhać łowcy posagów, na każdym rogu będzie czekał na mnie kieszonkowiec, a w ciemnych bramach zaczają się mordercy. Ów lęk przed złodziejami tłumaczy przynajmniej w pewnym stopniu irracjonalne poszukiwanie miejsca, w którym mogłabym ukryć zwycięski kupon. Natomiast jak wyjaśnić fakt, że rozplakałam się rzewnie, zamknięta w łazience — tego nie wiem. Kiedy później analizowałam własne zachowanie, przyszło mi do głowy jedynie to, że wygrałam za dużo. Gdyby to był milion, wzięłabym kartkę i rozpiślała: tyle na mieszkanie, tyle na remont, tyle zostaje na urządzenie wnętrz. Przez całą niedzielę przeglądałabym ogłoszenia w internecie, aż w końcu wybrałabym jakieś lokum. Potem odwiedziłabym parę sklepów meblowych, żeby się zorientować w najnowszych trendach wnętrzarskich, zdecydowałabym się na jakiś konkretny styl i już. Tak bym się zachowała, gdybym wygrała zwyczajny, przyzwoity milion.

Tymczasem mnie trafiło się nieprzyzwoite dwadzieścia — bo zwycięskie numery wylosowały dwie osoby, tak więc wygrałam dwadzieścia milionów, a po odliczeniu połowy dla Agaty zostawało mi dziesięć. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że zabiorą mi dziesięcioprocentowy podatek, ale nawet po tym niecnym akcie rozboju ze strony fiskusa byłam bogatsza, niż kiedykolwiek śmiałabym sobie wymarzyć. Problem tkwił w tym, że:

Byłam singielką i zamierzałam nią pozostać, co oznaczało, że wszystkie decyzje dotyczące tej niewyobrażalnej fortuny muszę podjąć sama.

Posiadałam nadopiekuńczą, wtrącającą się i namolną matkę, która niewątpliwie zmusiłaby mnie, posługując się sobie tylko znanymi metodami manipulacji, abym spożytkowała te pieniądze według jej oraz Beniowego, a nie mojego widzimisię.

Nie miałam poczucia sensu życia (chyba już o tym wspominałam).

Nie wiedziałam, o czym marzę, czego szukam i pragnę, co wiązało się z punktem 3.

„Gdyby ktoś mi dał parę milionów, wiedziałbym od razu, co z tym fantem zrobić” — takie zdanie wypowiada w myślach każdy, kto choć raz przeczytał newsa, że gdzieś tam, w kolekturze takiej to a takiej, jakiś szczęśliwiec zgarnął główną wygraną. Ja także nigdy nie sądziłam, że nadmiar pieniędzy może być

problemem. A jednak.

W poniedziałek udałam ciężko chorą, co zdarzało się tak rzadko, że mama od razu łyknęła historię o złym samopoczuciu.

— Opisz mi dokładnie, jak cię boli — zażądała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— No tu. — Wykonałam machnięcie dłonią w kierunku czoła. — I jeszcze kark, za uszami.

Nie miałam pojęcia, jak się symuluje taki ból, jako że zawsze byłam zdrowa jak ryba, a już o bólu karku nie wiedziałam w ogóle nic.

— Czekaj, czekaj! — Mama najwyraźniej wiedziała znacznie więcej. — Może ci jeszcze drętwieje?

— Głowa?

— Nie głowa, kark! Drętwieje ci trochę?

Brzmiało to tak, jakby jej zależało na tym drętwieniu, dlatego przytaknęłam.

Natychmiast zdiagnozowała u mnie zapalenie opon mózgowych i chciała wezwać pogotowie, ale wówczas zmyśliłam naprędce historię o tym, że poprzedniego wieczoru, w tajemnicy przed nią, wyłopałam ćwiartkę wódki. Na szczęście mama była w niedzielę na kolacji z Beniem i coś tam do posiłku wypili, w przeciwnym razie wyczułaby, że w moim oddechu nie ma ani mgiełki zapachu alkoholu.

Tak czy owak, uwierzyła w moją opowieść i pogotowia nie wezwała, udzieliła mi natomiast bardzo długiej porady składającej się zasadniczo z powtarzanych na zmianę dwóch zdań, że a) pić trzeba umieć oraz b) samotna pijaczka jest o wiele gorsza niż samotna abstynentka, bo abstynentka ma jeszcze szansę kogoś znaleźć, a pijaczka nie ma już w ogóle żadnych szans na nic, chyba że na ciężę nieznanego pochodzenia. Pojawiło się też kilka zdań dodatkowych, niejako wtrąconych, ale puszczałam je mimo uszu, bo byłam do nich przyzwyczajona: że muszę o siebie zadbać, bo skończę jako staruszka gadająca do zegara z kukułką, którą (staruszkę, nie kukułkę) po śmierci zje własny kot (co było absurdalne, bo bałam się zwierząt i nie zamierzałam mieć na starość kota), że przydałyby mi się szminka, róż do policzków, nowa fryzura i tak dalej.

Istotniejsze było to, że oprócz reprimendy mama dała mi również dzień urlopu „kacowego” i łaskawie pozwoliła zostać w domu. W zakładzie fryzjerskim moje obowiązki miała wykonać Szyneczka, czyli Irenka Szynekarz, mój jedyny wróg.

Wykorzystałam tamto cudowne przedpołudnie co do ostatniej minuty — gdy tylko Benio pojechał na działkę (którą uprawiał z wielkim zapalem, nie zrażając się faktem, że wszystko zżerały mu ślimaki i wielkie włochate gąsienice), uczyniłam,

co następuje: ubrałam się, wyszłam z domu o takiej porze, w jakiej już od lat nie bywałam na ulicach (ponieważ najpierw uczyłam się, a potem pracowałam), założyłam nowe konto w nowym banku, zgłosiłam wygraną w kolekturze, a następnie wydałam co do grosza wszystkie pieniądze, jakie miałam w portfelu (było tego trzydzieści trzy złote — kupiłam sobie parasolkę w grochy, bo zbierało się na deszcz, a za resztę zapiekankę).

Na koniec odczytałam esemesa od Agaty, która przeżywała właśnie słodkie chwile u boku ukochanego. Facet prowadził, jak mi się zdawało, jakieś szemrane interesy, handlował używanymi samochodami i diabli wiedzą czym jeszcze, ale Agata twierdziła, że jest słodki i kryształowo uczciwy. Teraz właśnie zabierał ją do Portugalii, taka niespodzianka w stylu macho.

Spodziewałam się, że przyjaciółka zapyta mnie o wyniki losowania, ale najwyraźniej w miłosnym otumanieniu zupełnie o tym zapomniała. Napisała jedynie, że jest jej z Sebastianem cudownie, jednak wolałaby choć na jeden dzień całkiem wytrzeźwieć. Ponieważ z naszej dwójki ona była zawsze dość trunkowa, a ja wiecznie trzeźwa, nie zdziwiła mnie ta wiadomość. „Wytrzeźwiejesz, jak się rozstaniecie” — odpisałam. Trochę ukłuło mnie poczucie winy, że do niej nie zadzwoniłam i nie opowiedziałam o wygranej, uznałam jednak, że przynajmniej na razie konspiracja jest konieczna. Ten cały Sebastian bardzo mi się nie podobał. A ponieważ nie wróżyłam ich związkowi długiej przyszłości, postanowiłam powiedzieć o wszystkim przyjaciółce (i podzielić się z nią wygraną) dopiero, kiedy rozstanie się z tym szemranym typką. Albo przynajmniej gdy — zgodnie z tym, co napisała — wytrzeźwieje.

Kolejne dni przeżyłam w swoistym transie. Czułam się jak na ciągłym rauszu. Pieniądze miałam jedynie wirtualnie, na koncie; nie odważyłam się pójść do banku i wypłacić nawet niewielkiej kwoty. Bardzo się bałam, że natychmiast zostałabym napadnięta i ograbiona. Nie powiedziałam o niczym matce. Tak więc wszystko toczyło się po staremu. Nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy, które zwykle kojarzą się z nagłym wzbogaceniem: nie poszłam zaszaleć do żadnego klubu (Po co? Nigdy nie lubiłam takich rozrywek, dlaczego miałabym je nagle polubić?), nie pojechałam w podróż dookoła świata (Sama? Bez sensu!), nie kupiłam sobie maybacha (przecież bogata czy nie, wciąż byłam najgorszym kierowcą świata). Żyłam tak, jakbym wciąż była niezamożna. Potakiwałam i dziękowałam za rady, gdy mama radziła mi zadbać o siebie, bo nikt mnie nie zechce. Śmiałam się uprzejmie z dowcipów Benia (*Co mówi torba do plecaka? Ale jesteś napakowany!*). Nadal z kamienną twarzą wysłuchiwałam w pracy pouczeń Szyneczki, która doprowadzała mnie do szału, udzielając mi porad dotyczących sylwetki (Szyneczka była w odpowiednich miejscach pulchna i ponętna, natomiast ja, jak już wspomniałam — koścista, bez biustu i w ogóle wieszak na ubrania).

Nocami śniły mi się hordy włamywaczy i kieszonkowców łąjących za mną, śledzących mnie i czyhających na mnie w progu banku. Kiedy się budziłam, snułam śmiałe plany: że wyjadę, zrobię operację plastyczną (nie żeby poprawić urodę, ale żeby mnie nikt nie rozpoznał), kupię sobie nową tożsamość. Do rana oczywiście wszystkie te pomysły uznawałam za idiotyczne i poddawałam się rytmowi szarej codzienności. Szłam do pracy, myłam klientkom głowy, przycinałam końcówki włosów, układałam loki lub dla odmiany je prostowałam, wysłuchiwałam złośliwych komentarzy Szyneczki, która tłumaczyła mi, że nosząc bluzki uwydlatniające pustkę mego dekoltu, nigdy nie wyjdę za mąż — i tak dalej.

Aż do połowy lipca. Wtedy coś we mnie pękło. A wszystko przez windę.

Był straszliwy, nieziemski upał. Całe miasto drgało w rozpalonym powietrzu niczym we wnętrzu kosmicznego pieca; miało się wrażenie, że budynki i nieliczne drzewa rosnące na osiedlu za chwilę staną w ogniu. Dowlekłam się do naszego bloku, czując się tak, jakbym ważyła tonę. Po plecach pełzła mi strużka potu, dokładnie wzdłuż kręgosłupa. Na szczęście gumka od majtek powstrzymała ją przed dalszą wędrówką. Weszłam do cudownie chłodnej, choć śmierdzącej kapustą klatki schodowej (pani Obrzynka z parteru stosowała jakąś dietę kapuścianą — niezależnie od pory roku w całym pionie naszego bloku zawsze unosił się upojny zapach głąbów, liści kapuścianych oraz kminku) i dobiegłam do windy akurat w momencie, gdy drzwi miały się zasunąć. Omal nie zemdląłam, kiedy dostrzegłam wewnątrz braci Korneckich.

Wojtek (nie pamiętam, czy o tym wspomniałam) był rozwodnikiem. Doprawdy nie mam zielonego pojęcia, dlaczego jego głupia żona wybrała producenta bram garażowych — dość, że odeszła. Mama słyszała to i owo w gabinecie, robiąc paznokcie sąsiadce Korneckich, pani Marii. To znaczy teoretycznie wszyscy byliśmy sąsiadami, ale pani Maria bardziej, bo mieszkała w drugiej klatce schodowej na tym samym piętrze, co oznaczało, że słyszała przez ścianę każdą rozmowę, każdy jęk rozkoszy i każdą kłótnię Korneckich. Znała więc całą rzecz, można by rzec, od podszewki. Głównym problemem małżeńskim był, wedle jej relacji, fakt nieposiadania jaj przez Wojtka. Nie w aspekcie fizycznym, jak się domyślałam, lecz w sensie charakteru. Sprzedajesz te pieprzone leżaki tarasowe i sofy ogrodowe, mówiła na przykład rozżalona małżonka, a sam nie masz ani leżaka, ani tarasu. Dom byś zbudował, jak prawdziwy mężczyzna, drzewo byś zasadził, inwestowałbyś i pomnażał.

Wojtkowi, jak mi się wydawało, nie zależało na inwestowaniu i pomnażaniu. Żyli sobie z żoną wygodnie. Starszy pan Kornecki umarł jakieś dwa lata po ich ślubie, mieli więc mieszkanie dla siebie. Zarabiali dobrze, tak w każdym razie można było wywnioskować po srebrnym audi i doskonałych gatunkowo strojach i butach zarówno ślicznej żony, jak i pana Wojtka. On pewnie uznał, że to wystarczy.

Ja ją nawet trochę rozumiałam, tę żonę. Wziąwszy pod uwagę moje marzenie o ławeczce pod bzem, potrafiłam sobie wyobrazić, że i ona marzy o ogrodzie. Ale przecież powinna się do tego zabrać w inny sposób. Tak mi się w każdym razie wydawało. Gdybym miała faceta, na pewno spróbowałabym załatwić rzecz jakoś sprytniej. Perswazją, prośbą, uśmiechem, no i oczywiście — gdybym była tak piękna jak ona — seksapilem.

Wracając do windy: byli tam obaj, stali oparci o ścianę i patrzyli przed siebie maślanym wzrokiem. Maślany był ten wzrok akurat od gorąca, niestety, a nie dlatego, że na przykład ja tam weszłam, taka piękna i ponętna, bo ani piękna, ani ponętna, ani chociaż odrobinę atrakcyjna nie byłam w tym upale. Zresztą pod wpływem przymrozka też bym nie była.

— Dzień dobry — powiedziałam, gdyż zawsze witam się, wchodząc do windy.

Wojtek uklonił się uprzejmie i lekko się uśmiechnął, ale nadal jakoś tak nieprzytomnie i maślanie. Natomiast Maciek mruknął „Cześć” bez uśmiechu. Był znudzony i zamyślony; odniosłam wrażenie, że mnie nawet nie zauważył. I właśnie wtedy, gdy już nachylałam się ku panelowi, by wcisnąć kółeczko z cyfrą 4, starszy z braci poruszył się gwałtownie. Przytrzymał drzwi, bo oto od strony klatki schodowej nadciągała jeszcze jedna pasażerka, jakaś nieznajoma. Nie żeby śliczna czy jakaś bardzo zgrabna, nic z tych rzeczy. Jednym spojrzeniem oceniłam sytuację. Nos ciut garbaty, cztery drobne wypryski na czole, nienaturalnie pełne usta domalowane szminką. Owal twarzy nieciekawym, ale poprawionym umiejętnym konturowaniem, podobnie jak powieki. Po tyłu kosmetycznych monologach matki dostrzegłam to od razu.

Panowie jednak najwyraźniej nie mieli pojęcia o sztucznych stosowanych przez kobiety. Wzrok im się wyostriżył, plecy wyprostowały. Skwapliwie przywitali nowo przybyłą, a starszy kurtuazyjnie zapytał, które piętro. Na szczęście baba jechała tylko na trzecie, miałam więc pełną kontrolę nad tym, co się będzie działo. Nie działo się zresztą nic, poza tym, że Wojtek przez te trzy piętra wgapił się w głęboki dekolt dziewczyny, zaś Maciek prężył mięśnie. Niniejszym miałam sposobność stwierdzić, że rozmaślenia w spojrzeniu nie można zwalić na upał — ono oznaczało po prostu brak zainteresowania.

Z tą niewesołą konstatacją wysiadłam na czwartym piętrze, nie zaszczywszy Korneckich pożegnaniem. Niech się gonią, by użyć najbrzydszego i najbardziej ordynarnego wyrażenia, na jakie mnie było stać.

W domu od razu wlałam pod prysznic. Polawszy się kilkakrotnie od stóp do głów chłodną wodą, stanęłam nago na ręczniku i obejrzałam się dokładnie w lustrze.

Chuda i bez cycków, to już wiemy. Ale co poza tym? Twarz, jak cię mogę, ani brzydka, ani ładna, po prostu nijaka. Ta w windzie też była nijaka, przeszło mi przez myśl, a jednak wybudziła braci z otępienia. Czyli makijaż, to raz.

Że chuda, to przecież żadne nieszczęście. Gdybym tylko przestała nosić workowate stroje, które mają tę chudość ukryć. Może trzeba jak modelki uczynić z chudości swej atut. Zawieszać na niej piękne ciuchy, doskonałe gatunkowo i świetnie skrojone. Akurat zupełnie przypadkiem było mnie na to stać.

Że bez cycków, to... No właśnie. Tu mi zabrakło pomysłów. Teoretycznie

cycki można sobie kupić. Zwyczajne silikonowe poduszeczki, które specjalista wsunie mi pod skórę i zszyje pod pachami drobnym ścięciem. Czemu nie, to przecież dla ludzi.

Lecz jakaś częśćka mnie buntowała się i mówiła: prawdziwa ty, Iga Marzec, jesteś chudzielcem bez piersi. Jeśli sobie te piersi dokupisz, to już nie będziesz ty. To będzie sztuczny twór, plastikowa kobieta. W tych silikonowych cyckach nie będzie ciebie, nie będzie uczuć. Nie będziesz nimi czuła rozkoszy i nie wykarmisz nimi dziecka — a przecież w zasadzie do tych dwóch rzeczy służą cycki. (Fakt, że nie planowałam macierzyństwa, nie miał tu nic do rzeczy).

Nie, chyba raczej nie. Zresztą tacy bracia Korneccy na przykład wcale niekoniecznie lubią duże biusty. I może w ogóle wyżej cenią inteligencję niż wygląd. Albo na przykład dobre serce. O tak, to by mi pasowało jeszcze bardziej niż inteligencja. Tak na wszelki wypadek.

Właśnie owej przejażdżce windą zawdzięczam fakt, że coś w moim życiu drgnęło. Przespawszy swoje trzy godziny, otworzyłam dokument w Wordzie i napisałam, co następuje: *Marzenia do spełnienia*. Potem myślałam przez dobrą godzinę, by w końcu wystukać na klawiaturze:

Ławeczka pod bzem.

I w ogóle ładny ogród, dużo kwiatów (ale takich, żebym nie musiała za dużo z nimi robić, bo nie umiem. Niejasno tylko kojarzyłam, że jak się wsadza coś do ziemi, to zielonym do góry).

Dom. (No jasne, że przy ogrodzie byłby dom. Nieduży, bo nie przepadałam za sprzątaniami. Ale na tyle obszerny, żeby pomieścił sporą bibliotekę).

Spora biblioteka. WIELKA biblioteka.

Dochodzący mężczyzna. (Bo jak wiemy, nie zamierzałam dać się wmanewrować w związek, prać męskich skarpet, gatek, koszul i czego tam jeszcze).

Najchętniej — w charakterze punktu 5 — Maciek Kornecki, jako że przyjemny dla oka i z pewnością miły w dotyku.

Podróże. (Raczej te niedalekie, bo samolot nie wchodził w grę. Od czasu pamiętnego uderzenia pioruna straszliwie bałam się nieba, balkonów, tarasów, wież i w ogóle wolałam znajdować się blisko ziemi).

Cycki.

Około piątej nad ranem, po ponownej analizie spisu oraz po wielu przemyśleniach, wykreśliłam na dobre punkt ostatni, bo doszłam do wniosku, że poza wszystkimi wątpliwościami natury filozoficznej zrobienie sztucznych piersi musi jednak trochę boleć. Ponadto skoro mężczyzna ma być dochodzący, to nie warto. Gdyby miał być na stałe, to zupełnie inna para kaloszy (czy też cycków).

Czekała mnie teraz strasznie skomplikowana sprawa: jak wymknąć się z domu, żeby mama niczego się nie domyśliła. Nie „wymknąć się” w sensie „uciec na chwilę”, tylko wyslizgnąć się na dobre, wymiksować, jak mawiała Agata, z życia z matką, w ogóle z całego mojego dotychczasowego żywota.

Zatem w ogólnym zarysie plan był taki: zamieszkać osobno, z dala od mamy, wysysającej ze mnie energetyczne i emocjonalne soki oraz odbierającej mi pewność siebie (której i tak nigdy zbyt wiele nie miałam) oraz sprawiającej, że czułam się brzydsza niż najbrzydsze brzydkie kaczątko. Po drugie: nigdy więcej nie pójść do salonu urody, by strzyc klientki mojej mamy, nie uśmiechnę się pokornie do Szyneczki i nie wysłucham jej komentarza, że mam wklęsłą klatkę piersiową. Po trzecie: nigdy więcej nie roześmieję się sztucznie po wysłuchaniu suchara w wykonaniu Benia. Po czwarte: znajdę sobie dom i zasadzę tam bez, a

pod nim postawię ławeczkę. Choć oczywiście łatwiej byłoby znaleźć od razu dom z bżem, bo taki po zasadzeniu to diabli wiedzą ile ma centymetrów, czy zmieści się pod nim ławka i czy w ogóle taka młoda roślina kwitnie. Na ogrodnictwie, jako się rzekło, nie znałam się ani trochę.

Po piąte (postanowiłam to zapisać w osobnym akapicie), ławkę zamówię w firmie Korneckich. Wcześniej oczywiście trzeba będzie odwiedzić kilka sklepów z ciuchami, gabinet kosmetyczny (każdy, byle nie maminy) i może zatrudnić stylistkę lub przynajmniej zakupić jakieś poradniki. Nauczę się paru uwodzicielskich tricków, potrenuję na przypadkowo dobranych egzemplarzach — a potem pojedę zamówić ławkę u Wojtka, przy czym nawiążę z nim inteligentną rozmowę, w wyniku której tak wszystko zorganizuję, że transportem i montażem zajmie się jego brat Maciek.

Teraz pozostałe marzenia. Kiedy tak czytałam je od góry do dołu, najbardziej cieszyłam się na realizację punktu 4: wyposażenie biblioteki. Samo kupowanie regału, odpowiednio wielkiego, żeby pomieścił wszystkie moje czytelnicze marzenia, wydawało mi się podniecające. A już zakupy książkowe jawiły mi się jako absolutnie najcudowniejsze. Jak to — tak po prostu będę mogła kupić sobie WSZYSTKIE upragnione książki świata? Coś nieprawdopodobnego.

Zanim mama wstała i usiedliśmy wszyscy do wspólnego śniadania, miałam już w głowie cały plan. Oczywiście nie mogłam powiedzieć: mamo, wygrałam dziesięć milionów, jestem teraz bogata i wyprowadzam się od ciebie. To znaczy mogłam, ale nie chciałam. Nie w tym rzecz, że nie chciałam się podzielić pieniędzmi. Chodziło wyłącznie o to, że pragnęłam to wszystko przeżyć po swojemu, samodzielnie, na własny rachunek. Po raz pierwszy w życiu. Za wszelką cenę chciałam uniknąć rad, na co przeznaczyć moją fortunę, jak postąpić w tej czy innej kwestii. Nawet jeśli byłam uosobieniem chaosu, straciłam umiejętność prowadzenia auta, myliły mi się nazwiska i tytuły, a moja samoocena osiągała zawrotną wysokość kreciego kopca — chciałam być górą w tej rozgrywce z życiem. Poza tym, co z przykrością musiałam przyznać, moja matka była zawsze okropną plotkarą. Byłam absolutnie pewna, że najpóźniej po kilku dniach któraś z jej klientek wyszłaby z zakładu z sensacyjną wieścią szepniętą do ucha: ta niewydarzona córka, co ją walnął piorun, ta nijaka szara myszka — wygrała w Lotto! Nie mówiąc już o tym, że kompletnie nie ufałam Beniowi. To był jednak, jak by nie patrzeć, zupełnie obcy facet, którego nawet niespecjalnie lubiłam.

— Mamo, chcę ci coś powiedzieć — zaczęłam między jednym kęsem rogalika a drugim.

Matka mruknęła coś w odpowiedzi. Najwyraźniej nie była specjalnie zainteresowana. Przeglądała nowy katalog Oriflame i porównywała ceny z Avonem.

— Poznałam kogoś — palnęłam. — Postanowiłam z nim zamieszkać. I nie

będę już u ciebie pracować.

Nic innego nie przyszło mi do głowy. Przyznaję, że jak na rezultat całonocnych przemyśleń, nie był to zbyt wyrafinowany plan. Uznałam jednak, że w swej prostocie jest na swój sposób perfekcyjny. Posiadanie faceta wyjaśniało za jednym zamachem wiele spraw: dlaczego chcę się wyprowadzić od mamy, nie życzę sobie wtrącania się w moje sprawy, zmienię swój image, nie będę potrzebowała pracy ani wsparcia finansowego, a nawet sama będę mogła służyć takowym wsparciem matce. Bo oczywiście, wbrew temu, co można by pomyśleć, zamierzałam systematycznie dzielić się z mamusią świeżo nabytą fortuną.

— Bój się Boga, dziecko, co ty wygadujesz? — wyrzuciła z siebie mama, po czym rzuciła rozpaczliwe spojrzenie Beniowi, który jednak najwyraźniej umywał ręce, udając, że zainteresowało go coś w przeglądanej właśnie gazecie. Widząc to, mama ściszyła głos, zupełnie jakby to miało sprawić, że siedzący z nami przy stole facet nas nie usłyszy. — Nie popełniaj moich błędów, nie wchodzi się dwa razy do tej samej wody czy coś w tym stylu. I w ogóle, co ci przyszło do głowy?! Mężczyźni są, jak by ci to powiedzieć, nieco nieprzewidywalni. Weźmy choćby twojego ojca, wziął się napił i zamarzył, kto by się tego spodziewał? A w ogóle najpierw beczkę soli trzeba zjeść z człowiekiem, żeby z nim zamieszkać, a co dopiero jeszcze pracę rzucić, bój się Boga, no naprawdę.

Przyglądałam się jej z podziwem, bo w trakcie tej przemowy ani razu nie zaczerpnęła powietrza.

— Mamuś, ja już zdecydowałam — powiedziałam cicho, acz stanowczo.

— Ależ w ogóle mowy nie ma — zatrajkotała. — Możesz sobie iść w tany z mężczyzną, jeśli taka twoja wola, ale z domu cię nie puszczę, dopóki nie będziesz miała pewności, że to jest strzał w dziesiątkę. I pracy nie rzucaj. Trzeba mieć jakieś zabezpieczenie, bo jakby cię puścił w trąbę, to co zrobisz, no ty mi powiedz.

— Mamo...

— Nie ma żadnego „mamo”! Daję ci urlop, w zeszłym roku nie brałaś, to teraz możesz mieć nawet podwójny, ale ani mi się waży jakiś ślub brać czy tam w ciążę zajść. Obiecujesz?

— Obiecuję — powiedziałam, bo w sumie nic mnie to nie kosztowało; za mąż się nie wybierałam, ciąży nie planowałam, a że z urlopu nigdy nie wrócę, to mogłam mamie powiedzieć później. Póki co, niech Szyneczka popracuje sama.

— Jak sprawdzić, kto jest prawdziwym przyjacielem człowieka: żona czy pies? — odezwał się Benio, kiedy już miał pewność, że zakończyliśmy dyskusję.

Spojrzałyśmy na niego — ja z chęcią mordy w oczach, mama z czułością.

— Trzeba ich zamknąć na noc w bagażniku. Rano otwierasz i sprawdzasz, kto się bardziej ucieszy na twój widok — wyjaśnił, po czym roześmiał się rubasznie.

Podziękowałam i wstałam od stołu. Jeszcze ten jeden ostatni raz go nie

zasztyletuję, postanowiłam. Głupio byłoby gnić w więzieniu, mając taką fortunę na koncie.

Zanim wykonałam jakiegokolwiek ruchy strategiczne, zadzwoniłam do Agaty. Nie odebrała, przysłała natomiast esemesa: *Plaża, drinki, seks*. Aha, czyli wciąż jest w Portugalii. A skoro tak, to nici z rozmowy.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, udałam się na cmentarz. Prawda była bowiem taka, że przez całe życie byłam straszną gadułą i utrzymanie języka za zębami przychodziło mi z trudem. Ponieważ chwilowo nie mogłam pogadać z przyjaciółką — uznałam, że pora opowiedzieć wszystko tacie.

Najpierw, jak rasowy tajny agent, wykonałam kilka szybkich ruchów głową, żeby się upewnić, że nikogo poza mną nie ma w cmentarnej alejce. Nie było. Na wszelki wypadek jednak przykucnęłam i odczekałam chwilę, a potem gwałtownie się podniosłam. Nadal nikogo. Uspokojona, przysiadłam na marmurowej płycie, po której poniewierały się zwiędłe płatki kwiatów przyniesionych przez wiatr z sąsiedniego nagrobka.

— Tato — szepnęłam. — Tyle się wydarzyło, że chyba się uduszę, jeśli komuś o tym nie opowiem.

Po śmierci tata stał się moim przyjacielem i powiernikiem. Czasem miałam ochotę odwiedzić jakiegoś psychologa i zapytać, czy to normalne, że ludzie wolą pogadać ze zmarłymi niż z żywymi. Cóż, nawet jeśli nienormalne — mnie się to właśnie zdarzyło.

Przychodziłam tu dość często. Siedząc na chłodnym marmurze, uświadamiałam sobie coraz wyraźniej, że tęsknię za czyjąś atencją. Żeby ktoś odnosił się do mnie w szczególny sposób, żebym dla kogoś była ważna. Nie chodziło o to, że mama traktowała mnie źle — rzecz w tym, że po pierwsze, miała swojego Benia, a po drugie: od czasu wypadku byłam dla niej tylko biedną, skrzywdzoną na umyśle córką, której trzeba było dać pracę, ponieważ koszmarnie przekręcała nazwiska, w dodatku prawie nie spała, a z jej pamięci uleciały wszystkie znaki drogowe. Ktoś taki nie może wykonywać żadnego odpowiedzialnego zawodu.

— Widzisz, tato, chodzi o to — mówiłam teraz, nachyliwszy się do zdjęcia na nagrobku — że wygrałam kupę kasy. W Lotto. Tak dużo, że nie bardzo mogę to sobie wyobrazić. Gdyby mnie ktoś przedtem zapytał, czy będę się cieszyć, spojrzalabym na niego jak na wariata, tato, wiesz? Tymczasem teraz, kiedy mam na koncie te wszystkie miliony, czuję się kompletnie zagubiona. Bo co ja mam z nimi zrobić? Nakupować sobie jakichś bzdur? Przepić i przejeść? Zamieszkać w złotej klatce i do końca życia samotnie umierać ze strachu przed złodziejami? Rozdać biednym, żeby poczuć się lepiej?

Wyobraziłam sobie ojca, lekko zawianego, słuchającego mnie spokojnie i

wykonywającego taki gest, jakby koło ucha przeleciał mu komar.

— Dajże spokój, Igiełko — powiedziała by niezbyt wyraźnie, ale kategorycznie. — Rozdać nie, absolutnie. Nic na siłę. Wydadź tę forszę z sensem, a jeśli nie wiesz, na co ją przeznaczyć, oddaj wszystko mnie.

Rzecz w tym, że rzeczywiście nie wiedziałam, na co wydać pieniądze. Całe to moje wypisywanie marzeń w punktach było do bani. Bo co to właściwie znaczyło, że chcę mieć dom, przy tym domu ogród, a w tym ogrodzie ławeczkę pod bzem? Dom to przecież nie sam budynek, choćby najładniejszy i najpiękniej położony. Dom jest tam, gdzie czujemy się szczęśliwi. Co mi po luksusowo urządzonych pokojach, jeśli będę w nich spędzać tak samo puste, bezsenne noce, niczym nieróżniące się od tych w mieszkanku o tekturowych ścianach (no, może tylko akustyką)? Po co mi ławeczka pod bzem, jeśli siedząc na niej, będę mogła co najwyżej poczytać książkę? Równie dobrze mogę zamieszkać w bibliotece.

Mając na koncie osiemnaście milionów (nawet jeśli dziewięć nie było moich), uświadomiłam sobie tak wyraźnie jak nigdy przedtem, że pieniądze są tylko narzędziem, zupełnie jak dłuto rzeźbiarza. Żaden artysta nie poczuje się spełniony i szczęśliwy tylko dlatego, że ma dłuto. Co komu przyjdzie z dłuta, gdy nim dziubie na prawo i lewo, a nic sensownego z tego nie wychodzi? Spełnienie i szczęście przyjdzie wtedy, gdy uda nam się wydziubać coś ładnego — coś, co wywoła w nas emocje, co nas ucieszy, da nam satysfakcję, rozbawi nas albo chociaż jakoś ożywi naszą egzystencję. Bo właśnie (i to było dla mnie niezwykle ważne odkrycie) tym, czego brakowało w moim życiu, były uczucia. Chciałam przeżywać wszystko intensywnie, chciałam CZUĆ każdą chwilę, a tymczasem ślizgałam się tylko przez dni i noce niczym kłębuszek kurzu popychany powiewem powietrza, bezwolny, bezsilny, zbyt lekki, by zatrzymać się gdzieś na dłużej. I przede wszystkim, jak to kłębek kurzu, całkiem niepotrzebny.

Powiedziałam o tym wszystkim tacie, popłakałam chwilę i zrobiło mi się jakby lżej. Posprzątałam wokół nagrobka, omiotłam ścieżkę z resztek zeschniętych kwiatów, obrzuciłam wrogim spojrzeniem faceta, który dwie alejki dalej wyraźnie czaił się, żeby buchnąć znicze z innego grobu, po czym uznałam, że pora działać.

Wprost z cmentarza udałam się do sklepu odzieżowego o nazwie *Madame*, który zawsze dotąd omijałam szerokim łukiem, ponieważ był dla mnie zwyczajnie za drogi. Ekspedientka tańczyła wokół mnie jak małpka w cyrku, ale nie czułam z tego powodu satysfakcji. Kupiłam kilka łąszków, po czym z tym samym poczuciem pustki, z którym opuszczałam cmentarz, pojechałam taksówką do domu i wyciąg-nęłam z dna szafy walizkę. Wytrząsnąwszy z niej dwa pająki i trochę paprochów, spakowałam kosmetyczkę, nowe kiecki i laptopa, na lodówce zostawiłam mamie kartkę, że za jakiś czas wrócę po książki, po czym usiadłam na tapczanie i zastanowiłam się, od czego powinnam zacząć poszukiwanie szczęścia.

Ależ to ambitnie zabrzmiało: poszukiwanie szczęścia. Najpierw musiałam

zupełnie zwyczajnie znaleźć hotel, a nie szczęście. Uznałam bowiem, że domu z ogrodem i bżem będzie mi się lepiej szukało na neutralnym gruncie, a nie w moim panińskim, smętnym pokoiku, którego nijaki wystrój przypominał mi, kim jestem, a kim nie jestem i zapewne nigdy nie będę. A poza tym obiecałam sobie przecież, że nie wysłucham już więcej ani jednego suchara w wykonaniu Benia.

Poszukiwanie hotelu nie trwało długo — po prostu wybrałam pierwszy, który przyszedł mi do głowy. Jak wielu innych bydgoszczan, setki razy widywałam z daleka nowoczesną bryłę City Hotel. Dlaczego nie, pomyślałam teraz. Wreszcie się dowiem, jak tam jest w środku.

No dobrze, przyznam się: chciałam się dowiedzieć nie tylko tego, jak wyglądają akurat te wnętrza. Chciałam po prostu przenocować w hotelu. Nigdy przedtem tego nie robiłam. Jako nastolatka jeździłam wprawdzie trochę po Polsce, ale stać mnie było najwyżej na noclegi pod namiotem albo w tanich schroniskach młodzieżowych. Potem, gdy weszłam w dorosłość, zamierzałam bardzo skrupulatnie odkładać na samodzielne mieszkanie, nie było już więc wyjazdów, zwłaszcza że w salonie urody zarabiałam tak niewiele, że nie bardzo było z czego oszczędzać.

Napisałam maila z zapytaniem, czy są wolne miejsca. Odpowiedź (że owszem, są) przyszła już po kwadransie. Zarezerwowałam więc pokój i zapowiedziałam się za mniej więcej godzinę. Czas ten spędziłam na chodzeniu nerwowo po domu, podlewaniu kwiatków doniczkowych i myśleniu, co jeszcze powinnam zabrać od razu, a po co mogę wrócić później.

W hotelowej recepcji obrzucono mnie uważnym spojrzeniem. Fakt, nie wyglądałam zbyt dobrze: brak makijażu i jakiejś konkretnej fryzury, a do tego ta przykurzona walizka... Ale miałam na sobie nowiutką kieckę z najdroższego znanego mi butiku. To mi dodało pewności siebie. Zameldowałam się od razu na tydzień. Drżącą dłonią podpisałam jakiś formularz, po czym z wdziękiem ujęłam wręczoną mi kartę (nie bardzo rozumiałam, dlaczego nie otrzymałam klucza, ale pomyślałam, że pewnie tkwi w drzwiach) i poszłam na pierwsze piętro. Fakt, że mój pokój znajduje się tak nisko, potraktowałam jako znak od niebios, bo — jak już wiemy — nie lubiłam wysokości i nie chciałabym nocować gdzieś na najwyższym piętrze.

Pierwsze emocjonalne koszty bycia bogatą poniosłam już na wejściu. Dosłownie. Obejrzałam sobie dokładnie drzwi. Numerek się zgadzał, ale nie było ani klucza, ani nawet dziurki od klucza. Natomiast w miejscu rzeczonyj dziurki zobaczyłam szparę. Jako osoba inteligentna pokojarzyłam z tym kształtem trzymaną w dłoni kartę; nie wiedziałam tylko, którą stroną należy ją wsunąć, aby drzwi się otworzyły. Gdybym mogła popróbować w spokoju i samotności, zapewne wszystko byłoby okej, ale pech chciał, że korytarzem przechodził akurat jakiś nieziemski przystojniak. To sprawiło, że ręce zaczęły mi się znowu trząść i

upuściłam kartę na podłogę. Na szczęście przystojniak okazał się bardzo dobrze wychowany, rzucił się rzeczonyj karcie na ratunek i nawet uprzejmie wyręczył mnie w tym cholernym otwieraniu. Podziękowałam z królewskim uśmiechem i udałam, że to dla mnie absolutnie zwyczajna codzienność, takie posiadanie dwóch lewych rąk, otwieranie drzwi kartą, spanie w czterogwiazdkowym hotelu i noszenie drogich kiecek przy jednoczesnym nienoszeniu fryzury.

Znalazłszy się w pokoju, najpierw wybebeszyłam walizkę i rozwiesiłam wszystko w szafie, żeby się nie pogniotło, ponieważ nie miałam pojęcia, skąd się w takich hotelach bierze żelazko. Następnie (po ciemku, niestety, bo światło w łazience nie działało) wzięłam prysznic, gdyż z tych nerwów zdążyłam się spocić jak mysz, po czym położyłam się w świeżutkiej pościeli z laptopem na brzuchu. Musiałam się zająć poszukiwaniem domu. Z ogrodem. Z bzem. I z miejscem na ławkę, którą wyprodukuje dla mnie i zamontuje Maciek Kornecki.

Pierwsze pytanie: Gdzie? Nie chciałam, żeby mój dom był gdzieś daleko. Zawsze byłam lokalną patriotką, kochałam moje miasto nad Brdą i nie zamierzałam nigdzie się stąd wynosić. Poza tym tu mieszkali bracia Korneccy. Przecież nie montowaliby mi tej ławeczki gdzieś w okolicach Krakowa czy Gdyni. Wpisałam w wyszukiwarkę „domy na sprzedaż, Bydgoszcz” i rozpoczęłam poszukiwania.

W pierwszej chwili zupełnie zgłupiałam. Ofert było mnóstwo — najpierw wszystkie wydały mi się za drogie, a zaraz potem, gdy sobie przypomniałam, jaki jest stan mojego konta, każdy z oferowanych domów wydał mi się zbyt tani, byle jaki, badziewie po prostu. Wreszcie, żeby ochłonąć, otworzyłam dokument, który stworzyłam pamiętnej nocy — ten ze spisanyimi marzeniami — i odczytałam raz jeszcze kolejne punkty. Wszystko wróciło na swoje miejsce w mojej biednej, skołatanej głowie. Domek. Nie dom, nie domisko, nie willa — lecz domek. Nie zamierzałam spędzić reszty życia na pucowaniu podłóg. Ogród też chciałam niewielki. Tyle, żeby ten bez się zmieścił, a pod nim ławka i trochę kwiatów w zasięgu wzroku. Jedyne, co miało być duże, to biblioteka. Ale kto powiedział, że nie mogę urządzić sobie biblioteki w salonie, poustawiać książek w łazience, kuchni albo holu. Przypomniało mi się powiedzonko: „Kto bogatemu zabroni” i nagle bardzo mnie to rozśmieszyło. Chyba naprawdę zaczynało do mnie docierać, że mam forsy jak lodu.

Żeby nabrać dystansu, przerwałam poszukiwania i udałam się na zakupy. Wstąpiłam też do jednej z tych drogich restauracji, które wcześniej omijałam nawet wzrokiem — teraz zjadłam tam pieróg drożdżowy z cielęciną i wypiliśmy trzy lampki wina. Następnie, z odrobiną szaleństwa w oczach (co stwierdziłam, gdy już byłam w środku i usiadłam przed lustrem), wtargnęłam do pierwszego napotkanego zakładu fryzjerskiego i powiedziałam:

— Proszę coś ze mną zrobić. Żebym była inna.

Rudowłosa fryzjerka, uczesana tak dziwacznie, że gdybym ją wcześniej zobaczyła, w życiu bym tu nie weszła, z szatańskim półuśmiechem chwyciła foliową pelerynkę i zawiązała mi ją pod szyją.

— Kolor też? — zapytała z pasją, najwyraźniej długo tłumioną. — Czy tylko długość?

— Proszę iść na całość — odparłam odważnie, ponieważ niezależnie od tego, że ona sama wyglądała fatalnie, w mojej krwi grały już te wypite lampki wina i czułam się najdzielniejsza na świecie.

Dwie godziny później wyszłam na ulicę jako świetnie ostrzyżona blondynka z zielonkawym odcieniem (moje włosy, z natury czarne jak smoła, wymagały odbarwienia i naprawdę przez moment były jadowicie zielone).

— Wyglądam zupełnie jak Ulla Tarpan z *Pulpet Fix*, tylko kolor się nie zgadza, oczywiście — powiedziałam, płacąc za usługę.

Fryzjerka spojrzała na mnie z zagadkową miną, co stanowiło nieomylny znak, że znowu coś pokićkałam.

Czułabym się absolutnie piękna i powabna — zmiana image'u ma w sobie coś tak magicznego, że nawet bez makijażu wydawałam się sobie gwiazdą filmową — gdyby nie fakt, że na mój widok pewien mężczyzna, stojący na chodniku przed zakładem i najwyraźniej czekający na kogoś, aż podskoczył ze zdumienia wymieszanego z... No właśnie, nie wiem z czym. Z niesmakiem? Z obrzydzeniem chyba nie, to byłoby za mocne, przecież zielonkawę pasemka nie są znowu aż takie okropne.

Oddaliłam się czym prędzej, rozpamiętując jego wyraz twarzy. Zdziwiony, tak, to było chyba zdziwienie. Może też rozczarowanie. Ale zaraz, dlaczego jakiś obcy facet miałby na mój widok być zdziwiony bądź rozczarowany? Zdziwiony mógłby poczuć się, dajmy na to, któryś z moich znajomych. Choćby i dalszych, jak Maciek Kornecki na przykład. Rozczarowany? Jedynie ktoś, komu podobałam się przedtem, w moim naturalnym kolorze. Tak czy owak, powinien to być ktoś, kogo znam i kto zna mnie.

Idąc do hotelu, usiłowałam sobie przypomnieć twarz owego mężczyzny. Nie potrafiłabym odtworzyć jego rysów, zapamiętałam jedynie, że był wysoki, miał ten nieokreślony odcień czupryny, coś między szarym a brązowym, same włosy zaś były dawno niestrzyżone i kręcone, ale nie drobno jak u baranka, raczej kędzierzawe. Aha, jeszcze miał okulary w srebrnej oprawce.

Jedno było pewne: nie znałam tego człowieka. W tym sensie, że nie był on żadnym z moich (nielicznych zresztą) kolegów, znajomych, przedstawionych mi przyjaciół Agaty i tak dalej. A jednak, kiedy tak analizowałam w głowie jego dziwne zachowanie, nie mogłam opędzić się od myśli, że już go kiedyś widziałam.

Wchodząc do holu hotelowego, spocona i zziajana, uświadomiłam sobie, że czasy, kiedy musiałam chodzić po mieście pieszo albo przemieszczać się

komunikacją miejską, minęły. Teraz jestem bogata, mogę więc rozbijać się taksówkami. Poprosiłam recepcjonistę o numer firmy taksówkowej, który następnie wpisałam sobie do komórki, i poczułam się osobą naprawdę światową.

Przy okazji wpisywania numeru zobaczyłam, że mam sześć nieodebranych połączeń od mamy. Wyciszyłam telefon przed wejściem na cmentarz, nie miałam więc pojęcia, że wydzwaniała. A teraz z pewnością odchodziła od zmysłów. Wybrałam jej numer.

— Ale kochanie, nie możesz tak od razu głupiec na punkcie faceta — zatrajkotała zamiast przywitania. — Ja rozumiem miłość, rozumiem seks, no wiesz, sama też nie jestem zakonnica, ale tyle godzin bez kontaktu, nie przesadzajmy. Znalazłam taki cynamonowy żakiet, w sam raz na ciebie, szczupły w ramionach. Kupimy, jak wrócisz, bo jednak lepiej, żebyś przymierzyła.

— Nie lubię cynamonowego...

— Ależ tam, nie lubisz! Brunetkom dobrze w ciepłych brązach, a jeszcze z twoimi oczami! Jak przymierzysz, to od razu polubisz, bardzo ładnie odszyty. I pamiętaj, odżywiaj się dobrze, i tak jesteś za chuda. Klientka jedna mi dzisiaj mówiła, że podobno istnieje jakaś dieta pączkowa, ładnie zaokrągliła biodra.

— Mamo...

— Ja swoje wiem, niby mężczyźni lubią szczupłe, ale przecież wolą, żeby było za co złapać. A makijaż chociaż lekki zrobiłaś? Pamiętaj, kobieta bez makijażu jest jak but z rozwiązanym sznurowadłem albo bluzka z urwanym guzikiem, no niechlujnie po prostu, a już jeśli chcesz go zatrzymać na dłużej...

— Ten guzik? — przerwałam jej, bo miałam dość. Wraz z nowymi ciuchami przybyło mi odwagi, a może nawet bezczelności. — Nie, nie chcę zatrzymać guzika na dłużej. Słuchaj mammo, muszę kończyć, bo wybieramy się na zakupy. Pa.

Rozłączyłam się i z dumą spojrzałam w lustro. Napotkawszy wzrok bladej blondynki o wielkich oczach, najpierw się przestraszyłam; po chwili jednak zdałam sobie sprawę, że to jestem ja oraz że przy tym kolorze włosów makijaż będzie mi po prostu niezbędny, ponieważ wyglądałam jak porządnie wymoczony śledź. Biorąc pod uwagę kolory. Czyli jednak mama miewała niekiedy trochę racji.

Postanowiłam znaleźć sobie jakąś stylistkę, która dobierze mi nowy image, odpowiedni do mojej odmienionej sytuacji życiowej. Tak też uczyniłam. Wujaszek Google zaproponował mi — między dziesiątkami innych oczywiście — niejaką Żannę Gracz z Atelier Wizerunku „Zwierciadło”. Uznałam, że wszystko to razem brzmi dobrze; spodobało mi się zwłaszcza imię. Zadzwoiłam, umówiłam się na późne popołudnie, po czym spędziłam upojne dwie godziny przy laptopie, szukając domu z bzem w ogrodzie. Zresztą znowu bezskutecznie.

Pani Żanna okazała się pulchniutką... nie, to zdecydowanie za mało powiedziane, raczej okrągłą kobietą w szarościach i fioletach. Włosy także miała szaroliliowe, do tego machnięte siną szminką usta i paznokcie w biskupim

fiolecie. Kilkakrotnie wydawało mi się, że ma biedaczka bezdech, bo zastygała z wybałuszonymi oczami; do tego ta siność... Mówiąc szczerze, chciałam dać nogę, ale zatrzymały mnie jej słowa. Bo pani Żanna mówiła mądre rzeczy.

— Powiedz mi, dziecko, co kochasz — zaczęła. — Bo ja nie mogę zrobić ci wizerunku, który nie pasowałby do twojego wnętrza. Opowiedz mi najpierw o tym, co jest ci bliskie, co ważne, co się liczy. O czym na przykład myślisz, gdy zostajesz sam na sam ze sobą.

Nie mogłam powiedzieć, że chwilowo myślę wyłącznie o pieniądzach, bo po pierwsze, zrobiłaby mnie wtedy na plastikową lalkę Barbie, a po drugie — to wcale nie była prawda o mnie. Opowiedziałam więc o bzie w ogrodzie. Po co ten bez, zapytała, a ja nie umiałam podać konkretnego powodu. Właściwie dopiero tam, siedząc przed lustrem w atelier, uświadomiłam sobie, że ławeczka pod bzem jest jakimś moim głupim wymysłem, zaczerpniętym — jak się obawiałam — z książek lub filmów o miłości. Istnieje niebezpieczeństwo, myślałam, że kiedy już będę ją miała, nie poczuję się ani odrobinę szczęśliwsza.

— Przede wszystkim kolor włosów — oznajmiła tymczasem pani Żanna. — Powinnaś natychmiast przefarbować się na czarno. Czarny będzie pasował do twojej karnacji, do oprawy oczu, do brązowych tęczy. To raz.

Pokiwałam głową. Nie miałam odwagi powiedzieć jej, że właśnie tego ranka odfarbowałam się z czarnego i stałam się blondynką. I oczywiście nie zamierzałam chwilowo tego zmieniać. W zielonkawym blondzie czułam się dość dobrze zamaskowana przed złodziejami i łatwiej mi było udawać kogoś, kim nie byłam.

Po długim namyśle, owijaniu mnie szmatami w różnych barwach, przystawianiu mi do twarzy kartek kolorowego papieru, oglądaniu mnie w chodzie i w siadzie, a nawet wysłuchaniu mojego monologu (bo barwa głosu też jest elementem wizerunku), pani Żanna zadecydowała: błękity, niebieskości, granaty, kropla czerwieni dla ożywienia, ewentualnie fuksja w minimalnych ilościach. Zielonkawy odcień z włosów trzeba wyeliminować, broń Boże nie iść w miedź czy jasne rudości, dla mnie czerń i już. Jak będzie już ta czerń, to mogę nosić wszystkie kolory, ale dopóki nie ma, zabronione są zieleń, brązy, beże, żółty oraz pomarańczowy. Fason od pasa w dół przy ciele, bo mam dobry tyłek (nigdy w życiu nikt mi nie powiedział czegoś równie miłego!), od pasa w górę nieco luźniej, a w dodatku: błyszcząco, groszki, kratka, paski, dekolty V lub pęknięcia, coś z tiulu, jakieś marszczenia, drapowanie, kieszonki na bluzkach koszulowych. No i kupić biustonosz, który udaje, że jest piersiami.

Ha! Wysłałam od pani Żanny nieco uboższa w sensie zawartości portfela, ale z pięknym makijażem oraz dokładnym spisem wszelkich mazideł, które muszę kupić, żeby sobie taki malunek umieć zrobić samodzielnie (oczywiście otrzymałam też precyzyjne instrukcje). Było już za późno, aby udać się na zakupy ciuchowe i kosmetyczne, toteż wróciłam do hotelu, przebrałam się w najładniejszą z kiecek,

które kupiłam wcześniej (i przypadkiem zgodną z wytycznymi pani Żanny, bo była granatowa, z podwyższonym stanem, a od pasa w górę miała delikatne kremowe kropeczki), po czym zesłam na dół, do restauracji, ponieważ uświadomiłam sobie, że kiszki grają mi marsza.

Zamówiłam polędwiczkę wieprzową w sosie serowym, podawaną z zasmażanymi ziemniakami i fasolką szparagową. Jedząc te frykasy, kątem oka złowiłam spojrzenie tego samego przystojniaka, który dzisiejszego ranka podniósł mi kartę z podłogi. Wolałabym nie zobaczyć go nigdy więcej — doskonale wiedziałam, że w jego oczach wyszłam na zupełną prowincjuszkę, a przynajmniej łamagę. Zresztą, może mnie nie poznał, pocieszyłam się. Kiedy nie umiałam otworzyć drzwi kartą, byłam jeszcze nieumalowaną brunetką. Teraz jestem zielonkawą blondynką w świetnej sukience i z profesjonalnym makijażem.

Czym prędzej dokończyłam polędwiczkę i wróciłam do pokoju, choć oczywiście nie nadeszła jeszcze moja pora trzygodzinnego snu. Zamierzałam jednak: po pierwsze ukryć się przed przystojniakiem, a po drugie — znaleźć wreszcie ofertę sprzedaży domu, który pasowałby do moich wyobrażeń.

W międzyczasie zdążyło się ściemnić, a w mojej łazience nie działało światło, wiedziałam więc, że przyjdzie mi się myć po ciemku. Zamknęłam za sobą drzwi, z ulgą zrzuciłam z grzbietu sukienkę i zamierzałam wziąć prysznic przy otwartych drzwiach, w świetle padającym z korytarzyka. Jakież było moje zaskoczenie, kiedy okazało się, że światła nie ma w całym pokoju. Przez chwilę biegałam jak kot z pęcherzem między wąskim przedsionkiem, łazienką a pokojem, bo awaria wszystkich lampek jednocześnie wydała mi się podejrzana. Wreszcie poddałam się. Usiadłam na łóżku i szepnęłam do siebie:

— Coś zrobiłam źle. Teraz trzeba iść do recepcji i zapytać, co.

Ponieważ jednak było mi strasznie głupio wyjść na prowincjonalną gęś, postanowiłam się najpierw trochę upić. Z moich niewielu doświadczeń z alkoholem wynikało, że po osiągnięciu odpowiedniego stanu nasycenia człowiek nie wstydzi się już niemal niczego.

Po omacku odnalazłam sukienkę i włożyłam ją na siebie. Miałam nadzieję, że się nie rozmazałam i nie zepsułam zanadto fryzury. Wróciłam do restauracji i zamówiłam wino Gardenos, ponieważ jego nazwa — w porównaniu z innymi — wydała mi się łatwa do wymówienia. Coś mi mówiło, że do czerwonego wytrawnego wina pasują dania mięsne, dlatego poprosiłam także o eskalopki z dzika otulone chlebem razowym. Zawsze miałam spore możliwości, jeśli chodzi o jedzenie.

— Przepraszam, że tak bezceremonialnie zaczepiam — odezwał się nagle głęboki, niski głos gdzieś przy moim lewym uchu. — Ale po prostu muszę zapytać... Czy ja panią skądś znam?

Przełknęłam kęs dziczyzny i zwróciłam się w stronę źródła dźwięku. Był

nim, a jakże, ów przystojniak od karty. Zastanawiałam się, co odpowiedzieć. Istniało spore prawdopodobieństwo, że moja twarz nie pasowała mu do włosów i makijażu, czyli że po prostu kojarzył mnie ze mną samą, tyle że sprzed mojej wielkiej przemiany. W takim wypadku wołałabym, żeby sobie nie przypomniał, jak nieporadnie mocowałam się z drzwiami.

— Łukasz Maczek — przedstawił się z zachęcającym uśmiechem. — Nie chodziliśmy razem do szkoły? Może obóz tenisowy? Narciarski? Żagle? Mogę się dosiąść? Przepraszam, że tak obcesowo...

Nie czekając na jakąkolwiek reakcję z mojej strony, usiadł przy stoliku. Przyglądałam mu się przez chwilę, na wszelki wypadek chwyciwszy w dłoń kieliszek wina, żeby zasłonić przynajmniej część twarzy. Z rodzajów aktywności, jakie wymieniał, wywnioskowałam, że nie mogliśmy się znać. Nigdy nie bywałam na obozach dla bogatej młodzieży, nie sądziłam również, żebyśmy mogli chodzić do tego samego liceum. Od tego faceta aż śmierdziało grubą forszą. Nie, żeby był jakiś brzydki, absolutnie. Miał bardzo przyjemną twarz, dołek w brodzie, ciemne oczy i brązowe włosy. Wyglądał trochę jak... No właśnie, jak zwykle nie mogłam sobie przypomnieć nazwiska. Bo chyba nie Astor Kaczor, to nawet dla mnie brzmiało idiotycznie.

— Kto wymyślił te laptopy z jabłuszkiem? — zapytałam nagle, celując palcem w pierś Łukasza Maczka, jakbym zakładała, że to on.

— Steve Jobs — odpowiedział.

— Dobrze, a kto go grał w filmie? Biograficznym?

— Chyba Ashton Kutcher — odparł, coraz bardziej zdumiony.

— Aha, no to wszystko jasne — odetchnęłam z ulgą. — Pan mi przypomina Ashтона Kutchera.

— Ale pytanie brzmiało raczej, kogo pani mi przypomina — roześmiał się przystojniak. — A tymczasem wpatruję się w panią i wpatruję, i nadal nie wiem.

Nic nie powiedziałam; dopiłam wino, a ponieważ złowiłam spojrzenie kelnera, skinęłam na niego i zamówiłam jeszcze. Miałam ochotę na deser, ale jakoś mi zgrzytało z tym winem, a nie chciałam wyjść na nieobytą. Ech, te moje kompleksy, pomyślałam i nagle się rozżłościłam. Co mnie obchodzi, jakie wino się pije do deserów, miałam ochotę na coś słodkiego, do diabła.

— I może jakiś deser — rzuciłam do pleców kelnera. — Co pan mi poleci?

— Szarlotkę z bitą śmietaną i lodami? — odpowiedział pytaniem, na co pokiwałam ochoczo głową.

— To w takim razie ja także zamówię — wtrącił się Maczek. — Szarlotkę i wino. Może od razu całą butelkę.

W taki oto sposób spędziłam wieczór w towarzystwie przystojnego, śmierdzącego forszą (dopiero po trzecim kieliszku uświadomiłam sobie, że ja śmierdzę podobnie) mężczyzny, przed którym najchętniej bym się ukryła. Pragnienie to bardzo przybrało na sile od momentu, kiedy poprawiając się na krześle, skonstatowałam, że coś mi wisi z boku sukienki. Zerknęłam jeszcze raz i zdębiałam — to była imponująca metka z informacjami o sposobie prania i prasowania! Włożyłam sukienkę na lewą stronę! Widocznie rozbierając się, a potem ubierając po ciemku, odwróciłam ją, i teraz zamiast tkaniny w groszki prezentowałam światu śliczną, błyszczącą podszewkę.

Uznałam, że nieporadność przy otwieraniu drzwi oraz zepsucie elektryczności w moim pokoju to jeszcze nic; dopiero teraz miałam powody, żeby się upić. Nie wyobrażałam sobie wyjścia z restauracji na trzeźwo.

— Już wiem! — zawołał tymczasem Łukasz Maczek, który prawdopodobnie nie zauważył nic dziwnego w fakcie, że siedzę przed nim w podszewce zamiast kiecki. — Pani specjalnie powiedziała o tym Ashtonie Kutcherze. Żebym skojarzył. Pani musi być aktorką.

Pozwoliłam mu pozgadywać, w jakich filmach grałam, choć większość tytułów nic mi nie mówiła. Ożywiłam się dopiero przy *Rozmowach nocą*, ponieważ to akurat oglądałam.

— To nie ja, tylko Miotłka — powiedziałam. — Ale uwielbiam ten film. Zwłaszcza rolę Dorotkowskiego. Taki romantyczny facet. W realnym życiu się takich nie spotyka.

— Dlaczego? — Obruszył się mój towarzysz. — Ja na przykład, proszę pani, jestem bardzo romantyczny. Ale powiem pani szczerze, że tam chyba nie grała Miotłka, tylko Różczka.

— Właśnie to miałam na myśli. Wiedziałam, że coś z wyposażenia czarownicy.

— I że ma być zdrobniale — zauważył.

— No widzi pan? Czyli w sumie pamiętałam.

— Tak. Od Dorotkowskiego do Dorocińskiego to już w ogóle bardzo blisko.

Westchnęłam.

— Chyba muszę panu coś wyznać — powiedziałam, bo byłam już ciut podchmielona i zaczynało mi być wszystko jedno. Nie na tyle, żeby predefilować przez salę restauracyjną w sukience wywróconej na nice, ale wystarczająco, by zwierzyć się z problemów językowych. — Ja strasznie przekręcam nazwiska.

— No co pani powie? Nic nie zauważyłem. — Mój rozmówca przybrał poważny wyraz twarzy, ale jego oczy migotały rozbawieniem. — A ja, na ten

przykład, jak się nazywam?

— Łukasz — odpowiedziałam, po czym z filuternym uśmiechem dodałam:
— Chaberek.

— Doskonale. Nie będziemy sobie zaprzętać głowy drobną różnicą w kolorze. I to chwast, i to chwast.

— Ale bardzo ładny chwast — strzeliłam, po czym strasznie się zaczerwieniłam, ponieważ zabrzmiało to tak, jakbym prawila mu komplementy. — Mam na myśli maki i chabry.

— Nie wiem, czy pani zauważyła, że pani już zna moje imię i nazwisko, a sama wciąż pozostaje dla mnie zagadką.

Bardzo ładnie mówił ten Łukasz Maczek. Najpierw „bezceremonialnie”, potem „obcesowo”, a teraz „pozostaje zagadką”. Mojej niespełnionej, ustrzelonej przez piorun polonistycznej duszy szalenie się podobało jego słownictwo.

— Powiedzmy, że Aga Kwiecień — powiedziałam.

— Aha, czyli proszę mi pozwolić pomyśleć... W rzeczywistości Iga Marzec?

Byłam tak zdumiona, że nie zdołałam tego ukryć.

— Zgadłem? Naprawdę? — Ucieszył się. — W takim razie, pani Igo, muszę wnieść toast. Za pani niezwykły talent do przekręcania nazwisk oraz moją nie najgorszą intuicję. A także za naszą znajomość.

Wypiliśmy. Nie zapamiętałam, w którym momencie przeszliśmy na ty, ile jeszcze wnieśliśmy toastów i za co. Bardzo się pilnowałam, żeby za dużo mu o sobie nie powiedzieć, zwłaszcza nie zwierzyć się z tego, że jestem świeżo upieczoną zdobywczynią kumulacji. Mimo to rozmawiało nam się bardzo dobrze, zwłaszcza o jedzeniu. Czułam się swobodnie i niemal zapomniałam o tym, jak jestem ubrana.

Wreszcie osiągnęłam stan takiego nasączenia alkoholem, że przejście przez restaurację oraz hol hotelowy w podszewce z metką u biodra nie stanowiło dla mnie problemu. Łukasz oczywiście zaproponował, że mnie odprowadzi. Czekał cierpliwie, kiedy zatrzymałam się w recepcji i zapytałam o światło w moim pokoju.

— Ależ niemożliwe, żeby nie działało — zapewnił mnie portier.

— Nie działa. — Upierałam się bełkotliwie. — Ani w łazience, ani nigdzie. Lampka przy łóżku nie świeci i w ogóle nic.

— Może pani źle wsunęła kartę? — zapytał.

Umilkłam. Co znowu z tą cholerną kartą? Gdzie niby miałabym ją wsunąć?

— Ja sprawdzę — powiedział Łukasz. — Które piętro?

— Pierwsze — odparłam ponuro, bo teraz już nie było szans, żeby nie skojarzył mnie z tą nieporadną pannicą, która rano nie potrafiła otworzyć drzwi.

A jednak nie skojarzył. Pewnie był już nabombany w trzy rurki, by użyć rodzinnego określenia — zresztą podobnie jak ja. Ja to chyba nawet w cztery.

— Daj kartę — powiedział, kiedy weszliśmy do mojego pokoju, pogrążonego w egipskich ciemnościach.

Dałam. Wsunął ją do śmiesznej plastikowej kieszonki umieszczonej na ścianie maleńkiego przedsionka — i nagle cały pokój rozświetliły wszelkie żarówki, jakie tylko mogłam włączyć, biegnąc wcześniej w panice po pokoju.

— Ale masz śmieszny frędzel. — Chwiejąc się nieco, pokazał na moją metkę przy biodrze.

Wzruszyłam ramionami. Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że lepiej będzie udawać, że tak miało być, że celowo założyłam kieckę na lewą stronę. Cóż, mój tata mawiał zawsze, że logika kobiet jest niebanalna.

— Lubię cię, Iga, wiesz? — wyznał niespodziewanie Łukasz, kierując się w stronę mojego wielkiego łóżka. — To się bardzo rzadko zdarza. Na ogół panienki lecą na mnie jak osy na drożdżówki. A ja nie umiem z większością z nich rozmawiać.

Obserwowałam go w milczeniu. Przy całym swoim nabombaniu w cztery rurki byłam całkowicie świadoma, że jakiś obcy facet siada na mojej pościeli. I ten fakt bardzo mi się nie podobał. Nie chodziło nawet o to, że Łukasz nie był Maćkiem Korneckim. Chodziło o to, że w ogóle nikogo nie chciałam widzieć w tym miejscu, z wyjątkiem mnie samej.

— Może to dlatego, że ty wyraźnie nie lecisz na mnie ani jak osa, ani jak pszczoła, ani w ogóle.

— W ogóle — potwierdziłam, bo łatwo było to wymówić mimo nabombania.

— A może chodzi o to, że jesteś, kuźwa, bogata. Przepraszam za wyrażenie. Nie tylko że nie lecisz na mnie, ale w dodatku nie lecisz na pieniądze.

— Nie lecę — wymamrotałam, ponieważ z minuty na minutę robiłam się tak senna, że było mi już nawet wszystko jedno, po której stronie będę spać.

Zsunęłam ze stóp buty i usiadłam na brzegu łóżka. Łukasz zdążył się już położyć. Przyszło mi do głowy, że warto by pogasić te wszystkie światła, nie byłam jednak pewna, czy robi się to zupełnie zwyczajnie, pstrykając pstryczkiem, czy też trzeba wyciągnąć nieszczęsną kartę z magicznej kieszonki. Ostatecznie zdecydowałam się na to pierwsze. Ku mej uldze zadziało. Pokój pogrążył się w ciemności, rozjaśnianej jedynie przez umieszczony u dołu ekranu telewizora wyświetlacz zegarka. Minęła północ.

— Jak dobrze — mruknął jeszcze Łukasz. — Dzięki. Jutro ja gaszę.

I zachrapał. Co do mnie, dość szybko poszłam w jego ślady. Wprawdzie zanim zasnęłam, zdążyłam jeszcze zastanowić się, ile roztoczy rozmnoży się w moich rzęsach, skoro nie zmyłam makijażu (oglądałam kiedyś taki program w telewizji, zdaje się, że to idzie w tysiące), ale byłam już tak znieczulona winem, że nic mnie to nie obchodziło. Ponieważ czułam znaczący dyskomfort, zrzuciłam z

siebie sukienkę i postanowiłam spać w bieliźnie, ale za to przykryta aż po brodę. Zасыpiając, zdążyłam jeszcze pomyśleć, że broń Boże nie wolno mi uprawiać seksu, bo po pierwsze, diabli wiedzą, z kim mam do czynienia, a po drugie — szkoda byłoby nie pamiętać, jak było.

Ale potem zasnęłam i całą moją przytomność umysłu diabli wzięli. Miałam bardzo kolorowe, pijane sny.

Natomiast rano wcale nie był kolorowy. Bolała mnie głowa. Obudziłam się w samej bieliźnie, w pozie co najmniej nieprzystojnej: z nogą zarzuconą na biodro faceta, który po pierwsze był mi całkowicie obcy, po drugie — miał minę niekochanego szczeniaczka, a po trzecie — przybrał zielonkawy odcień, to znaczy jego oblicze przybrało. A to stanowiło niezbity dowód, że zamierza puścić pawia.

Puścił go zaiste, ale na szczęście w łazience. Potem dał się słyszeć odgłos mycia zębów, który nasunął mi niewesołą myśl, że niestety jedyną szczoteczką w promieniu kilku metrów była moja własna, niebieska, co oznaczało, że ja już jamy ustnej nie wyszoruję.

— Źle znoszę alkohol — stęknął Łukasz, kiedy wrócił do pokoju i ciężko opadł na łóżko. — Niepotrzebnie dałem się namówić.

Jakby we mnie wstąpiło sto diabłów.

— Ty się dałeś namówić?! — oburzyłam się. — Co za bzdura! Nie namawiałam cię. Sam się przysiadłeś, sam się podłączyłeś pod moje zamówienie, i sam wznosiłeś te idiotyczne toasty.

Ledwie to powiedziałam, usłyszałam ostrzegawczy brzęczyk w głowie. Dał się namówić? Komu? Jakoś podejrzenie łatwo odgadł moje imię i nazwisko, a w dodatku „dał się namówić”? Kto to u licha jest?

— Kim ty właściwie jesteś, Łukasz? — zapytałam, podążając za tokiem własnych myśli. — Bo poza tym, że Maczek, to ja nic o tobie nie wiem.

— Maczek sraczek — odparł filozoficznie. — Kim jestem? Jestem nikim. Synem bogatego tatusia. Niczego nie umiem, w niczym nie jestem wystarczająco dobry. Nawet upić się nie mogę, bo raz, że potem nie ciupciam, zasypiam jak dziecko, rozumiesz, a dwa, że rzygam jak z cebra.

Poanowiłam zignorować tę obraźliwą uwagę o ciupciani. Zainteresował mnie natomiast ten bogaty tatuś.

— Synek bogatego tatusia, czyli kogo? — pociągnęłam.

— Pana prezesa — wysyczał jak żmija, a potem zastanowił się chwilę i wymienił firmę, która nieomylnie kojarzyła mi się z popularną stacją paliw.

Coś mi się jednak nie podobało. Ten moment zawahania, zupełnie jakby Łukasz zastanawiał się, czy powiedzieć mi prawdę...

— Chyba powinieneś już iść — oznajmiłam.

— Przepraszam — spokorniał nagle. — Nie chciałem cię urazić. Z tym

ciupcianiem to nie chodziło o ciebie.

Jeśli nie chciał mnie urazić, to mu się, psiakość, kompletnie nie udało. Teraz dopiero poczułam się urażona (choć biorąc rzecz na chłodno, nie umiałabym uzasadnić tego uczucia).

— Po prostu idź już. I tak zabawiłeś tu o dobre kilka godzin za długo. W dodatku zapaskudziłeś mi szczoteczkę.

Kiedy opuszczał mój pokój, wciąż wyglądał jak ten niechciany szczeniaczek. Jak już wspomniałam, niespecjalnie garnę się do zwierząt. Ale szczeniaczek? Która kobieta... który w ogóle człowiek nie miałby poczucia winy, odtrącając szczeniaczka? Pewnie właśnie dlatego, kiedy Łukasz odwrócił się w drzwiach i zapytał, czy zobaczymy się na kolacji, odparłam cieplejszym tonem:

— Być może.

Dopiero kiedy wyszedł, spojrzałam na zegarek i uświadomiłam sobie, że dochodziła ósma. Po raz pierwszy od siedmiu lat, to znaczy od uderzenia pioruna, przespałam więcej niż trzy godziny! Coś nieprawdopodobnego! Pytanie brzmiało: Czy był to wpływ bliskości męskiego ciała, wypitego alkoholu czy też może na przykład farby do włosów?

Uznałam, że zagadki tej nie da się rozwiązać bez dalszych badań. Należało powtórzyć sytuację, ale z każdym czynnikiem z osobna. Czyli na przykład dziś wieczór ponownie wytrąbić butelkę wina i sprawdzić, czy będę spać jak normalni ludzie. Jeśli nie zadziała, mogę ewentualnie pomyśleć nad męskim ciałem w charakterze rekwizytu. A w przypadku kolejnego niepowodzenia ponownie przefarbuję włosy.

Tymczasem udałam się do łazienki. Tak jak przewidywałam, wyglądałam gorzej niż fatalnie. Makijaż, którego nie zmyłam poprzedniego wieczoru, nadał mojej twarzy wyraz bardzo smutnej pandy. Umyłam zęby palcem, po czym weszłam pod prysznic, gdzie długo spłukiwałam z siebie nieświeży zapach i — co tu dużo mówić — lekkiego kaca. Wreszcie uznałam, że jestem gotowa stawić czoła kolejnemu dniu. Wytarłam się energicznie, ułożyłam sobie włosy, wyjrzałam za okno i stwierdziwszy, że jest piękna pogoda, włożyłam kolejną nową sukienkę, tym razem w delikatne różowe kwiaty. Zdążyłam zapomnieć, co pani Żanna mówiła o rózu i czy w ogóle coś mówiła. Natomiast kwiecistość przypomniła mi o bzie, pod którym będzie stała moja wymarzona ławeczka, toteż czym prędzej, ignorując fakt, że w restauracji hotelowej o tej porze serwowano śniadanie, zasiadłam do laptopa.

Tym razem się zawzięłam. Kupię i już. Niech już nawet nie będzie mały, co mi tam (małych domów po prostu nie ma, zauważyłam — jeśli już metraż był poniżej stu pięćdziesięciu metrów, zawsze okazywało się, że to bliźniak albo szeregowiec. A ja chciałam osobny, całkiem mój ze wszystkimi ścianami moimi, dom).

Wreszcie, chyba po dwugodzinnym przeglądaniu ofert, znalazłam — dom

wolnostojący na osiedlu Piaski. Idealnie. Sto sześćdziesiąt metrów kwadratowych, z poddaszem użytkowym, niewielka działka dookoła. Z widokiem na dolinę Brdy. Dom! Mój dom!

Obejrzałam wszystkie zdjęcia — a było ich sześć — chyba ze sto razy. Przedpokój w gaciowym różu, ale to się przemaluje. W kuchni tandetne kafelki — skuje się i położy nowe! Łazienka w sterylnej bieli, całkiem jak w szpitalu, ale co tam, niech będzie nawet ta lodowata biel, najwyżej dokupię żółte dodatki. Najbardziej podobał mi się taras, wyłożony klinkierem. I widok z sypialni na poddaszu — okna wychodziły na rzekę. Tak, byłam absolutnie przekonana, że chcę! Chwyciłam komórkę i drżącymi palcami wystukałam numer podany w ogłoszeniu, modląc się w duchu, żeby było aktualne.

Było.

Kiedy euforia nieco opadła, udałam się na kolejne zakupy. Czekać na tramwaj, natknęłam się na człowieka, którego — jak mi się wydawało — widywałam w ostatnich dniach dość często. Był to kędzierzawy facet w okularach. Stał na pobliskim przystanku i gapił się przed siebie. Nie zwracał na mnie uwagi, a ponieważ nie miałam pojęcia, gdzie mogłam go widzieć, uznałam, że po prostu jest do kogoś podobny.

Nabyłam drogą kupna trzy szczoteczki do zębów (tak na wszelki wypadek) oraz wszystkie wynalazki kosmetyczne polecane mi przez panią Żannę (żel do brwi? Naprawdę?! Ale po co?), a także pobuszowałam nieco w kilku nieprzyzwoicie drogich sklepach z bielizną i ciuchami. Obładowana wielkimi reklamówkami wróciłam taksówką do hotelu i najpierw przymierzyłam wszystkie cztery nowe biustonosze (rzeczywiście powiększały piersi i po raz pierwszy w życiu wyglądałam tak, jakby COŚ mi wyrosło na klatce piersiowej!!!), po czym przystąpiłam do wykonania makijażu wedle wskazówek stylistki.

Efekt nie był piorunujący, tak zwane „przydymione oko” w moim wykonaniu przypominało raczej „lekko podbite oko”, rzęsy mi się posklejały, a usta wyglądały na lekko rozmyte i spuchnięte, lecz mimo to prezentowałam się o niebo lepiej niż bez makijażu. Poeksperymentowałam trochę z pędzlem i kuleczkami brązującymi; wprawdzie zmienił mi się owal twarzy, ale przy okazji wyglądałam jak za długo smażona frytka. A co mi tam, pomyślałam. Nic nikomu do tego, że się nazbyt zbrązowiłam. Ta myśl uświadomiła mi, że zachodzą we mnie zmiany, które jeszcze kilka tygodni temu były dla mnie nie do pomyślenia. Zaczynało mi być wszystko jedno, co ludzie powiedzą. Cudowne uczucie!

Byłam gotowa rozpocząć nowy rozdział. Miałam na oku dom, umówiłam się na jutro na jego oględziny; posiadałam stanik udający cycki, doskonałą fryzurę,

świetne ciuchy i (mniej świetny) makijaż. Czułam się lepiej niż kiedykolwiek w dorosłym życiu, wliczając w to nawet lata przed uderzeniem pioruna.

Okropnie zgłodniałam, ponieważ w tych emocjach zapomniałam zupełnie o jakimkolwiek posiłku tego dnia — udałam się więc do hotelowej restauracji na wczesną kolację. Pamiętałam wprawdzie, że Łukasz zapytał mnie, czy się zobaczymy, miałam jednak nadzieję, że to było raczej kurtuazyjne pytanie. Jakież było moje zmieszanie, gdy zobaczyłam go siedzącego przy stoliku ze szklanką wody mineralnej. Na mój widok zerwał się z krzesła.

— Jesteś! — zawołał. — Proszę, spraw mi przyjemność i dosiądź się do mnie.

Bardzo miły, młody człowiek, pomyślałam. Dosiadłam się, ignorując narastające poczucie zakłopotania (potęgowało się, ilekroć przypominałam sobie moją nogę zarzuconą na jego biodro tego ranka).

— Bałem się, że nie przyjdiesz — wyznał. — Zachowałem się jak buc. Po pierwsze upiłem się. Po drugie...

— Nie musisz opowiadać ze szczegółami — przerwałam mu, mając na myśli jego pawia w mojej łazience.

— Pozwól mi dokończyć. Po drugie, powiedziałem coś, co mogłaś źle zrozumieć.

— Chodzi ci o ciupcianie? — domyśliłam się. — Nie obawiaj się, nie poczułam się dotknięta. W ogóle nie rozpatrywałam twojej osoby w tych kategoriach.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza, ale na szczęście pojawił się kelner i przyjął zamówienie. Tym razem postanowiłam skosztować zupy gulaszowej, a że byłam naprawdę wygłodzona, wzięłam także grillowane medaliony ze schabu szpikowane wędzonym boczkiem w sosie rozmarynowym, z bukietem warzyw i młodymi ziemniaczkami. Ponadto w imię nauki — bo przecież musiałam sprawdzić, czy to spożycie alkoholu przywróciło mi zdolność przespania więcej niż trzy godziny — zamówiłam także butelkę wina. Tym razem -Château de Conqueste. Nie byłam pewna, czy dobrze wymówiłam jego nazwę, ale skoro takie rzeczy zaczynały mi być obojętne, to czemu by nie brnąć dalej.

— Naprawdę zjesz to wszystko? — zapytał z zachwytem Łukasz, kiedy kelner przyniósł moje zamówienie.

Nie rozumiałam jego reakcji, toteż wyjaśnił:

— Wszystkie dziewczyny, z jakimi miałem dotąd do czynienia, jadały jak ptaszek. Liczyły kalorie, sprawdzały indeksy glikemiczne albo dziobały widelcem w sałatkach bez smaku.

— Może dla nich nie były bez smaku.

— A gdzie tam. One po prostu panicznie bały się przytyć.

— Co w tym złego, że ktoś dba o linię? — zapytałam, znacząco spoglądając

na jego talerz, bo sam zamówił jedynie penne z kurczakiem i warzywami.

— Jeszcze mi trochę niedobrze — wyjaśnił. — Ale wracając do tych dziewczyn. To nie chodzi o dbałość o linię. Chodzi o pewien rodzaj udawania... Takie snobowanie się na wyschnięty wiórek.

— Nie ma czegoś takiego — roześmiałam się. — Nie można się snobować na wiórek.

— Ale wiesz, o co mi chodzi. — Łukasz się upierał.

— Chyba wiem — odparłam. — Słyszałam, że jakiś reżyser kiedyś powiedział: „Nigdy nie ufaj kobiecie, która nie lubi jeść”.

Ugryzłam się w język. Ciąg dalszy brzmiał: „Prawdopodobnie jest beznadziejna w łóżku”, lecz uznałam, że to nie jest dobry tekst na tę okazję.

— No właśnie — ożywił się Łukasz. — Ja bym chciał spotykać się z dziewczyną, która nie ma kompleksów. Niech sobie mierzy za dużo w biodrach, to nieważne. Ale żeby cieszyła się smacznym posiłkiem albo dobrym winem. — Spojrzał znacząco na stojącą przede mną butelkę. — Bo wtedy tak samo będzie się cieszyła innymi sprawami. Urlopem, nawet jeśli miałyby nie być pogody. Albo seksem, nawet jeśli... Albo towarzystwem swojego mężczyzny, nawet gdy...

To, że urwał w tym momencie, dało mi do myślenia. Najwyraźniej miałam przed sobą faceta z problemami. Kto by pomyślał, dumałam, przyglądając mu się zza kieliszka. Przystojny jak ten Kaczor... Nie, absolutnie nie Kaczor, tylko... Kutcher. Na dodatek bogaty, kulturalny i prawdopodobnie wykształcony (sądząc po sposobie wysławiania się). Ale międlął w sobie prawdopodobnie więcej frustracji niż ja, samotna kobieta pozbawiona marzeń przez zabłąkany piorun. Jaki ten świat dziwny.

Po zjedzeniu penne z kurczakiem Łukaszowi znacznie się poprawiło w sensie żołądkowym, toteż pomógł mi wytrąbić butelkę wina — i całe szczęście, bo przecież nie chciałam się struć, tylko wypróbować nowy sposób na przespanie nocy. Alkohol podziałał podobnie jak poprzedniego wieczoru, to znaczy mój towarzysz najpierw zrobił się gadatliwy, a potem senny. Zanim poszliśmy spać, zdążył mi opowiedzieć o swoim smutnym, zimnym dzieciństwie, kiedy to częściej bywał na wszelkiego rodzaju obozach niż w domu, a kiedy już w tym domu był, towarzyszyły mu kolejne opiekunki, coraz starsze, coraz grubsze i coraz bardziej mu obce.

— Ale dlaczego? — nie pojmowałam. — Że coraz starsza i grubsza, to okej, każdy z nas starzeje się i większość z wiekiem tyje. Ale powinna chyba stawać ci się coraz bliższa.

— Źle mnie zrozumiałaś. To nie była ta sama opiekunka, która się starzała i tyła. To były kolejne kobiety, zatrudniane przez moją matkę. Wybierała coraz brzydsze, ponieważ była coraz bardziej opętana podejrzeniami, że ojciec ją zdradza.

— A zdradzał?

— Sama wiesz — odparł Maczek tonem światowca. — Bogaci już tacy są. Jak możesz mieć każdą, to bierzesz.

Prychnęłam z potępieniem.

— Nie ma co prychać — rzekł Łukasz. — Ja taki nie jestem. Chcę żyć inaczej. Nie będę rekinem biznesu, nie dam się przerobić na modłę ojca. Ucieknę z tej okropnej, snobistycznej Warszawy. Nie szukam przygód miłosnych, nie pakuję się w związki, żeby nikogo nie skrzywdzić.

Pomyślałam, że pasujemy do siebie. Może to był jakiś znak od niebios?

— Niezły plan — zauważyłam. — A czym się właściwie zajmujesz?

— Na razie pracuję w rodzinnej firmie. Ale też rozkręcam własną działalność — powiedział z ożywieniem. — Chcę otworzyć sieć pubów rzecznych.

— Puby rzeczne? — powtórzyłam. — Co to takiego?

— Lokale tematyczne. Rozglądałam się za urokliwymi miejscami w większych miastach. Znajomy polecił mi Bydgoszcz, tu podobno są takie malownicze miejsca nad Brdą. Prawdopodobnie będzie też Szczecin, Poznań i Wrocław. Kraków i Warszawę na razie odpuszczę, za duża konkurencja.

— Ale na czym, że tak powiem, będzie polegała „rzeczność” tych pubów?

— Klimat, lokalizacja, koncerty szantowe — wymienił Łukasz jednym tchem, jakby był przygotowany do odpowiedzi na to pytanie.

Przyszło mi do głowy, że szanty z rzeką mają tyle wspólnego, ile, nie przymierzając, pierogi z kuchnią eskimoską — ale nie chciałam chłopakowi podcinać skrzydeł.

— Na pewno będzie świetnie — powiedziałam zamiast tego. — Kiedy otwarcie pierwszego pubu?

— Mam nadzieję, że w przyszłe wakacje — odparł Łukasz, rozpromieniony.

— Na razie jestem na etapie szukania miejsca. Wiesz, to jest bardzo ważna sprawa; jeśli lokalizacja nie będzie trafiona, to cały pomysł może wziąć w łeb.

Zgodziłam się z nim i czym prędzej wznieśliśmy toast za trafioną lokalizację.

— A ty? — zapytał jeszcze. — W jakiej branży się kręcisz?

— Ja dopiero sobie szukam branży — palnęłam, po czym zamilkłam, bo przyszło mi do głowy, że rzeczywiście pora sobie coś znaleźć; nie mogłam już wrócić do maminego salonu urody, ale siedzieć beczynn timer w domu? Co to, to nigdy! Zresztą przecież pieniądze się kiedyś skończą.

— Właśnie tu? W Bydgoszczy? A skąd jesteś? — dopytywał się dalej.

Nigdy nie umiałam dobrze kłamać, a wymyślanie naprędce jakiegś wiarygodnej historii, żeby uzasadnić pobyt w hotelu, wydawało mi się koszmarnie skomplikowane. Powiedziałam więc prawdę, a raczej ten jej kawałek, który wydawał mi się bezpieczny.

— Kupuję tu dom — powiedziałam. — Bo muszę się uwolnić od matki. Dopiero wtedy będę mogła rozkręcić jakiś własny interes.

Czekałam na pytanie, skąd w takim razie mam pieniądze na drogie ciuchy i delicje w hotelowej restauracji — ale Łukasz o nic takiego nie zapytał, pokiwał jedynie głową. Zapewne ludzie bogaci nie zadają pytań tego rodzaju, ponieważ w ich świecie pieniądze po prostu są — i nikt się nie zastanawia, skąd się wzięły.

— Idę spać — zakomunikowałam. — Dziękuję za wspólną kolację. Nie musisz mnie odprowadzać.

— Ależ oczywiście, że muszę — odparł z niewątpliwym męskim wdziękiem. — Ale nie bój się, tym razem tylko sprawdzę, czy światło działa, i pójdę do siebie.

Roześmiałam się, a on po chwili dołączył do mnie, choć przecież to wcale nie było takie strasznie śmieszne. Chichocząc, wtoczyliśmy się po schodach na pierwsze piętro. Wsuwając kartę w szczelinę, upuściłam ją, co rozbawiło nas już zupełnie do łez. Łukasz pomógł mi otworzyć drzwi, zgodnie z obietnicą zapalił światło, po czym położył dłonie na moich ramionach. Śmiech zamarł nam obojgu na ustach. Byłam podchmielona i pewnie tylko dlatego nie zemdlałam z wrażenia.

— Śpij dobrze — szepnął. — Mam nadzieję, że jutro jeszcze tu będziesz.

— Dlaczego? — zapytałam głupio.

— Ponieważ muszę ci oddać szczoteczkę. Zapomniałem odkupić — powiedział, po czym bardzo delikatnie, niemal uroczyście pocałował mnie w policzek.

— Nie musisz — wymamrotałam, czując, że się rumienię. — Kupiłam sobie trzy. Na wszelki wypadek.

— Co za ulga! — Tym razem cmoknął mnie w czubek nosa. — Pójdę spać bez koszmarnego poczucia winy.

Chciałam przerwać te jego idiotyczne pieszczoty, bo kto normalny całuje dziewczynę w nos?! — ale wtedy on leciutko dotknął wargami kącika moich ust. Ciepło, jakie mnie ogarnęło, było czymś zupełnie odmiennym niż tamte niemrawe płomyki podniecenia, jakie przed laty odczuwałam przy Mariuszu czy Przemku. Miałam dziwną pewność, że gdyby Łukasz Maczek wszedł do mojego pokoju i zechciał kontynuować, dowiedziałabym się wreszcie, co dokładnie znaczy to magiczne słowo na „or”, które kończy się na „-zm”. Tyle że on zupełnie zwyczajnie powiedział:

— Dobranoc.

I poszedł do siebie.

Tej nocy niestety nie udało mi się pospać dłużej niż cztery godziny — co i tak stanowiło doskonały wynik, bo w porównaniu z ostatnimi kilkoma latami oznaczało sen dłuższy o ponad trzydzieści procent. Uznałam, że muszę przeprowadzić jeszcze kilka prób, bo na przykład może się okazać, że ważny jest też gatunek wina. Do tej pory — trochę ze względu na alkoholową przeszłość mojego taty — unikałam napojów wyskokowych, ale dla tak szlachetnej idei, jaką stanowiły badania naukowe nad bezsennością, byłam gotowa się poświęcić. Postanowiłam, że drugim — oprócz regału bibliotecznego — obszernym meblem w moim nowym domu będzie barek. Wyposażony dobrze, by nie powiedzieć: luksusowo.

À propos domu: o dziesiątej, po śniadaniu, na którym nie spotkałam Łukasza Maczka (i sama nie wiedziałam, czy „na szczęście”, czy raczej „niestety”), starannie umalowana i elegancko ubrana udałam się na oględziny budynku, który zamierzałam kupić. Czułam się tak podekscytowana, jakby czekała mnie co najmniej rozmowa kwalifikacyjna. Dopiero wysiadając z taksówki, uświadomiłam sobie, że to ja tu jestem przy forsie, a zatem jeśli już porównujemy tę sytuację do rozmowy o pracę, to ja gram rolę pracodawcy. Odchrząknęłam, wyprostowałam plecy i postarałam się ze wszystkich sił w nią wejść.

Mężczyzna, który wyszedł mi na spotkanie, miał wąsko osadzone oczy i pewnie dlatego mi się nie spodobał. To była pierwsza myśl. Druga — kto normalny maluje dom na kolor żółtka? Trzecia — kto normalny maluje hol na gaciowy róż? Poważnie. To nie był ani normalny żółty, ani normalny róż. To był najjadowitszy z żółtych i najbardziej majtkowy z różów! Trzeba się sporo nachodzić i naszukać wśród duluxów, dekorali i innych śnieżek, żeby wybrać najszeptniejsze z możliwych odcieni!

Postanowiłam jednak skupić się głównie na dobrych stronach. A znalazłam ich trochę. Dom był — pomijając kolor elewacji — uroczy. Niewielki, z gankiem, którego daszek wsparto na porządnym ceglany słupie, a nie jakiejś rachitycznej kolumie. Oczywiście wyobraźni widziałam już gliniane donice z bujnym kwieciem, które kiedyś ustawię tuż przy wejściu.

Ogród otaczający budynek był okropnie zaniedbany, ale to nie było w stanie mnie zniechęcić.

— Dawno niekoszone — burknął właściciel, jakby usłyszał moje myśli. — My tu już właściwie nie mieszkamy od dwóch miesięcy.

Uśmiechnęłam się tylko i przedzierając się przez chwasty sięgające kolan, obeszłam domek dookoła. Od strony rzeki znajdował się taras, ozdobiony z jednej strony pomalowaną na kasztanowo drewnianą kratką. Może zresztą to nie miała

być ozdoba, lecz zasłona przed spojrzzeniami sąsiadów, bo ich taras wychodził na tę samą stronę i znajdował się zaledwie kilkanaście metrów dalej, za niskim płotem. Natychmiast postanowiłam, że ogrodzenie obsadzi się jakimiś gęstymi chaszczami. Wtedy rzeczywiście będę miała poczucie, że nikt mnie nie widzi.

Po drugiej stronie tarasu mogłabym posadzić ten mój wymarzony bez. A pod nim stałaby ławeczka. Chociaż to akurat musiałabym jeszcze przemyśleć, bo przecież zupełnie nic nie wiedziałam o bzie i jego upodobaniach.

Weszliśmy do środka. Wszystko wyglądało tak jak na oglądanych wcześniej zdjęciach, tylko że brudniej, szarzej i starzej. Nie przejęłam się tym jednak; w głębi duszy wiedziałam od razu, że wezmę ten dom, oględziny były formalnością. Umówiłam się z właścicielem na telefon, on podjął się zaklepać spotkanie u notariusza, natomiast na mnie rzucił wszelkie koszty. Mogłabym się kłócić, bo poprzedniego dnia przeczytałam o tym w internecie i wiedziałam, że obie strony powinny zapłacić notariuszowi, ale czułam się tak obłudnie bogata, że nie chciało mi się nawet nic mówić. Niech mu będzie.

Porobiłam trochę zdjęć telefonem, żeby mieć co oglądać i o czym myśleć po powrocie do hotelu, po czym pożegnałam się i poszłam na spacer po osiedlu. Idąc, uśmiechałam się do nielicznych napotkanych ludzi, głównie do matek z dziećmi w wózkach. To będą niedługo moje sąsiadki, myślałam, może będę je zapraszać na kawę na mojej ławeczce. Ta myśl naprowadziła mnie na Maćka Korneckiego.

Czy on mnie w ogóle pozna, kiedy na przykład pojedę do nich do firmy i zamówię tę ławkę? A jeśli tak, to czy mu się spodobam? Zwłaszcza ten zielonkawy blond? Może jednak powinnam wrócić do czerni? Z drugiej strony, on sam był blondynem. Podobał mi się tak bardzo i tyle snułam na jego temat fantazji, że teraz, kiedy wizja ławeczki pod bzem stawała się coraz bardziej realna, zaczynałam się bać. Jak to będzie? Pójdę, zapukam i powiem: Chcę u was zamówić ławkę? Czy oni mają jakieś biuro? Na pewno mają! Ilekroć zaczynałam myśleć o Maćku, dopadał mnie paraliż umysłowy.

Tymczasem moje rozmyślenia przerwał telefon od mamy. Wysłuchawszy jej pouczeń, że mam się szanować, nie iść na całość, trzymać chłopaka krótko, byle nie za pysk, bo wtedy ucieknie do innej, przywiązać go do siebie przy pomocy pierogów i naleśników, nie zapominać o makijażu, depilacji oraz gładkich piętach, wsiadłam w autobus i pojechałam do hotelu.

Po drodze obmyślałam, jak wybrnę z tego kłamstwa, jakobym wyprowadziła się do faceta. Chyba będę musiała trzymać się wersji, że trafił mi się bardzo bogaty chłop, że z miłości podarował mi ten dom, a potem — za jakiś czas — że mnie rzucił, odszedł z inną, cycatą jakąś oraz podłą, zostawiając mi wszystko, a na pocieszenie dokładając trochę pieniędzy. Mama popsoczy, ale przyjmie do wiadomości.

Czekałam z niecierpliwością, kiedy będę mogła się zwierzyć mojej przyjaciółce. Wiedziałam, że Agata wkrótce wróci z Portugalii i zapewne rozstanie się z tym swoim facetem o grubym karku i jeszcze grubszym portfelu. Jak wiele razy wcześniej, także teraz zapragnie wypłakać mi się w mankiet i napić wspólnie wina (zazwyczaj wyglądało to tak, że ona piła i płakała, a ja słuchałam, dolewałam jej i podawałam chusteczki). Tyle że tym razem — tego byłam pewna — uda mi się ją pocieszyć błyskawicznie. W końcu nawet największa zraniona miłość blednie, gdy dowiadujemy się o wygranej w Lotto.

Niestety, miałam też w tej kwestii pewne obawy. Nie dlatego, że nie ufałam swojej przyjaciółce. Agata była po prostu dość wylewna i delikatnie mówiąc — rozmowna, a lgnęli do niej jak muchy do miodu dokładnie tacy faceci, jakich nie należało informować o swoim stanie konta.

Znalazłszy się w hotelu, zajęłam się pilną kwestią, jaką było znalezienie ekipy remontowej, która zaopiekuje się moim nowym domem. Poguglowałam, podzwoniłam, zanotowałam dziesiątki numerów telefonów, które polecali mi zapracowani i zajęci aż do wrześnie fachowcy, aż wreszcie trafiłam na człowieka, który ochryplym głosem powiedział:

— Nie ma no! problemu. To kiedy wchodzimy?

Poprosiłam go o cierpliwość, bo przecież jeszcze oficjalnie nie posiadałam domu; zaklepałam sobie jego usługi i wymogłam na nim obietnicę, że będzie w gotowości, nie weźmie innej roboty (obiecałam dobrze zapłacić) i bezwarunkowo będzie odbierał telefony.

— Nawet po wódce? — zapytał.

Zamigotało mi ostrzegawcze światełko, ale uznałam, że przecież wszyscy budowlańcy piją; nie ma wyjścia, trzeba pójść na pewne ustępstwa.

— Nawet — potaknęłam.

— A to bardzo mi będzie miło. Bo ja, proszę pani, po wódeczce się robię bardzo rozmowny.

Tak oto w moim życiu pojawiła się ekipa budowlana pana Mietka.

Tamtego wieczoru zjadłam ostatnią kolację w hotelowej restauracji w towarzystwie Łukasza Maczka. Tym razem nie zamówiliśmy wina (ja ze względów naukowych — uznałam, że trzeba sprawdzić, czy bez wspomagania alkoholowego długość mojego snu powróci do „normalnych” trzech godzin), a Łukasz — ponieważ nad ranem musiał wstać, aby być na ósmą w Warszawie. O tej porze czekało go spotkanie z ojcem.

Żał mi było chłopaka; wydawał się przerażony perspektywą kolejnej rozmowy z rodzinnym tyranem i koniecznością przekonania go do swoich racji. Kilka razy omal mi się nie wyrwało, że mogę go wspomóc finansowo w otwieraniu tych pubów rzecznych. Na szczęście rozsądek wziął górę nad emocjami; przecież w sumie nie znałam tego mężczyzny.

Tak czy owak, Łukasz poprosił o mój numer telefonu, po czym zadzwonił do mnie, żebym i ja miała w komórce numer do niego.

— Czasem człowiek chce się wygadać przyjacielowi tak do dna, wypowiedzieć, rozumiesz — wyjaśnił.

Wystraszyła mnie ta „spowiedź”, ponieważ absolutnie nie miałam zamiaru stawiać się niczyją spowiedniczką; Łukasz — jeśli w ogóle — zajmował mnie wyłącznie w kategoriach seksualnych. No, może trochę go polubiłam, może nawet więcej niż trochę, lecz przecież nie do tego stopnia, żeby wysłuchiwać jego zwierzeń albo sama się jemu zwierzać. Tego typu relacje z mężczyznami zupełnie mnie nie interesowały. Nawet gdyby chodziło o boskiego Maćka.

Następnego dnia Łukasza już nie było i szczerze mówiąc, wątpiłam, żebyśmy mieli się jeszcze kiedykolwiek spotkać. Nie miałam jednak czasu, żeby się zastanawiać, czy ta myśl sprawia mi przykrość, ponieważ pochłonęły mnie całkowicie sprawy remontowo-wnętrzarskie. Facet o wąsko osadzonych oczach zadzwonił z informacją, że notariusz jest umówiony na przyszły poniedziałek; wówczas poczułam się prawowitą właścicielką Domu Nad Rzeką (jak go w myślach nazwałam) i rzuciłam się w wir projektowania.

Z grubsza zapamiętałam układ pomieszczeń, poza tym posiłkowałam się zdjęciami — udało mi się więc naszkicować, co gdzie ma stać, wisieć i leżeć. Spędzałam też długie godziny przy laptopie, przeglądając blogi wnętrzarskie i forum Muratora, poza tym kupiłam kilkanaście czasopism dotyczących urządzania mieszkań — i poczułam się najgłupszą istotą na tej pięknej planecie.

Bo podobało mi się niemal wszystko. Chciałam mieć białe meble, tkaniny w kratkę i paseczki, pastelowe ściany. Zaraz potem wpadłam na pomysł, że ściany powinny być jednak oliwkowe, a meble z jasnego drewna. Następnie zakochałam się w stylu prowansalskim, chciałam pomalować meble na niebiesko i wszystko

ozdobić tkaninami w specyficzny rzucik. To znów przykuła mój wzrok szlachetna mahoniowa biblioteka; dlatego postanowiłam urządzić coś w stylu dawnego dworku z białymi ścianami. Jeśli dodać upodobanie do stylu folk, etnicznych wzorów oraz wikliny, a także gwałtowną miłość, jaką zapalałam do stylu nowoczesnego, szarego betonu, stali i szkła, to powstanie obraz tego, co się wówczas działo w mojej znękanej duszy.

Nie po raz pierwszy — i wiedziałam, że również nie ostatni — pomyślałam, że nadmiar nie jest wcale lepszy od braku. Gdybym miała niewiele pieniędzy, jakoś bym sobie poradziła. Kupiłabym to, co najtańsze, z braku laku część rzeczy trzymałabym w kartonach i już. Tymczasem mimo hulaszczego — jak na mnie — trybu życia, mieszkania w drogim hotelu i jedzenia drogich posiłków, wydawania fortuny na ciuchy, bieliznę, buty, torebki i kosmetyki, nadal miałam prawie dziewięć milionów. Nie ucieknę przed tym, uzmysłowiłam sobie. Muszę się nauczyć bez lęku i bez kompleksów wydawać naprawdę duże pieniądze — a żeby się tego nauczyć, pora zacząć trenować.

W ramach tego treningu, kiedy tylko mój tygodniowy pobyt w City Hotel dobiegł końca, przeniosłam się do „Gazdówki” w Żołędowie pod Bydgoszczą, gdzie wykupiłam sobie masaże i zabiegi spa. Mamie, która dzwoniła coraz częściej, zaniepokojona, czy aby chłop mnie nie bije, powiedziałam, że pojechalśmy na wakacje i w związku z tym uprzejmie proszę, by mi nie przeszkadzać. Agacie (na wypadek, gdyby wróciła bez uprzedzenia) wysłałam esemesa, że dostałam urlop i wyjechałam; na dowód przesłałam jej wnętrze chaty góralskiej — czyli właśnie „Gazdówki”. Na spotkanie z notariuszem i w ogóle na zakupy do Bydgoszczy kazałam się wozić taksówką (rozbój w biały dzień!!!), a w chwilach wolnych od urządzania w wyobraźni Domu Nad Rzeką — pozwalałam się ugniatać, masować, upiększać, odmładzać, nawilżać, kłaść sobie na plecach gorące kamienie i tak dalej. Ponadto pływałam ile się da w hotelowym basenie, ponieważ wyczytałam, że to bardzo wzmacnia mięśnie klatki piersiowej. A mięśnie w tym miejscu, jak powszechnie wiadomo, wyglądają trochę jak piersi.

Kiedy wreszcie nadszedł dzień, w którym Dom Nad Rzeką był całkowicie mój i został opróżniony z gratów poprzednich mieszkańców, wymeldowałam się z „Gazdówki”, kupiłam sobie na kolację pętko kiełbasy, musztardę i chrzan (bo nie mogłam się zdecydować), a także samonadmuchujący się materac, śpiwór oraz jasiek — i pojechałam na osiedle Piaski, by uroczyście spędzić tam pierwszą noc.

Wieczorem zadzwonił Łukasz Maczek, by pogadać. Opowiedział mi o nieudanych pertraktacjach z ojcem. Zdawało się, że jego marzenia legły w gruzach i podświadomie czekałam, kiedy poprosi mnie o pożyczkę. Niczego takiego jednak nie zrobił. Najwyraźniej byłam przewrażliwiona i pieniądze zaczynały mi się rzucać na mózg. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale na wszelki wypadek — jako że wciąż pamiętałam tamten delikatny pocałunek — przyjąłam zaproszenie na

obiad, kiedy Łukasz będzie w Bydgoszczy (a wybierał się już za dwa tygodnie), po czym pożegnałam się i ułożyłam do snu.

Zapomniałam wspomnieć, że bez alkoholu mój sen powrócił do niehumanitarnej długości trzech godzin, dlatego też na tę pierwszą noc zaopatrzyłam się w butelkę szampana. Nie dałam jednak rady wypić całej w pojedynkę, ponieważ gdzieś w połowie rozboleła mnie głowa. Uznałam, że to jakiś koszmar, kiedy kac rozpoczyna się już w trakcie picia. To niesprawiedliwe! Efekt był taki, że nie przespałam nawet tych nieszczęsnych trzech godzin, a wniosek, jaki wyciągnęłam z owego doświadczenia, brzmiał: pić więcej, ale nie w samotności.

Pan Mietek został wezwany przed moje wymagające oblicze już następnego dnia. Ból głowy przeszedł mi dopiero po czterech ibupromach, w końcu jednak wróciłam do formy, umalowałam się, ubrałam ładnie i postarałam się wyglądać tak, aby budzić respekt i nawet lekki postrach. Naczytałam się w ostatnich tygodniach artykułów na temat remontów i obyczajów budowlańców, dlatego przygotowałam się psychicznie na ciężkie przejścia. Po pierwsze, powtarzałam sobie w myślach, nie spoufalac się, nie przechodzić na „ty”, nie proponować żadnych obiadków, herbatek i broń Boże piwka. Rzecz traktować profesjonalnie i chłodno. Jasno określić wymagania. Nie płacić z góry. Podpisać umowę, a w niej wyraźnie określić termin zakończenia prac.

Cała w nerwach czekałam na pana Mietka i jego ekipę. Kiedy wreszcie przed domem rozległ się warkot silnika, wyszłam na ganek, by przywitać fachowców niczym, nie przymierzając, królowa matka. Stałam tak z godnością i powagą, i patrzyłam, jak z samochodu wytacza się zawiany pan Mietek, który okazał się chudym, siwiutkim jak gołąb staruszką. Z trudem wszedł na trzy schodki, jakie dzieliły poziom gruntu od poziomu ganku.

— Dzień dybry — powiedział swoim chropowatym głosem. — Oglądałaś, dziecino, ten serial? *Allo, allo!* się nazywał. Świetna rzecz. Mam na płytach, jeśli chcesz, to pooglądamy, jak tynki będą schły.

Nie odpowiedziałam, ponieważ odebrało mi mowę. Tym bardziej, że pan Mietek wręczył mi coś długiego, co wedle mojej wiedzy nazywało się „poziomnica” i polecił:

— Zanieś, kochaniutka, do holu. Masz tam jakiś hol, mam nadzieję — zarechotał, po czym wrzasnął na cały głos: — Młody, dawaj no tu! Obejrzymy, co jest do zrobienia.

Wciąż oniemiała, odwróciłam się i zobaczyłam, kogo pan Mietek nazwał „Młodym”. Z samochodu wysiadł właśnie najpiękniej zbudowany mężczyzna, jakiego dane mi było zobaczyć na żywo. Kiedyś oglądałam na Facebooku taką reklamę... Nie mam pojęcia, co właściwie reklamowano, chyba Australię, ponieważ jedynym przekazem, jaki zapamiętałam, był ten, że Australijczycy są absolutnymi bożyszczami. Tamci byli wprawdzie półnaczy, w samych dzinsach i

kapeluszach kowbojskich, a ten miał na sobie koszulkę bez rękawów i ogrodniczki, nie nosił kapelusza, tylko czapkę z daszkiem, a ze skórzanego pasa na biodrach wystawały mu rozmaite akcesoria w rodzaju miarek stolarskich — ale i tak wyglądał niczym młody bóg.

— Dzień dobry — powiedział. — Krzysiek jestem.

Z ulgą odnotowałam, że twarz miał zupełnie przeciętną, a głos nawet trochę babski. Gdyby było inaczej, pewnie bym go zaczęła pożądać, niepomna na plany co do Maćka Korneckiego.

— Dzień dobry — odparłam, starając się zachować resztki godności osobistej. — Iga.

— Ładne imię. Niespotykane — ocenił Krzysiek i wszedł na ganek.

Z bliska te niesamowite mięśnie ramion wyglądały jeszcze bardziej imponująco. Mimo woli zaczęłam sobie wyobrażać sześciopak, jaki Krzysiek z pewnością ma na brzuchu, a potem moja myśl zupełnie niechcący powędrowała ku jego pośladkom.

— Chodźcie, dzieci! — zawołał tymczasem pan Mietek, weszliśmy więc do środka. — No to mów. Jak to widzisz? Coś sobie wykombinowała?

— Zacznę od holu — powiedziałam z ożywieniem. — Oczywiście zmieniamy kolor. Te płytki na podłodze mogą zostać, nie przesadzajmy, nie są złe, tylko jakby się dało odświeżyć fugi... — zawiesiłam głos.

— Wszystko się da, dziewczyno — zarechotał pan Mietek, a po chwili dodał: — Z wyjątkiem tych rzeczy, których się nie da, oczywiście. Ale z fugami jakoś pójdzie.

— Drzwi bym chciała inne jakieś.

— Wewnętrzne?

— Wszystkie. Chciałabym szlachetne, drewniane, bo te są takie... plastikowe.

— Czyli futryny wywalamy, dobrze. Młody z tobą pojedzie, to wybierzesz sobie drzwi i będzie wiadomo, czy poszerzamy otwory. Bez podtekstów, he he.

Spojrzałam na niego przerażona. Otwory? Bez podtekstów? To miał być żart?!

— Łazienki zostają bez zmian, bo są zwyczajne, białe, nic nie trzeba zmieniać, tylko ściany odświeżyć, ale kuchnia wymaga wymiany płytek — kontynuowałam. — I chyba chciałabym, żeby panowie zaczęli właśnie od kuchni, bo chcę jak najprędzej się wprowadzić, a w tej chwili nawet sobie człowiek jajecznicy zrobić nie może. W pokojach tylko przemalujemy ściany, reszta mi pasuje.

— Dobrze, chodźmy do kuchni — zakomenderował pan Mietek, a Młody posłusznie podążył za nim. — Ożeż kuźwa, no z tymi kafelkami to pojechali!

Płytki rzeczywiście były wstrętne, w sraczkowato-beżowe maziaje. W

nieregularnych odstępach, ni stąd, ni zowąd, pojawiały się na nich motywy młynków do kawy i filiżanek, w równie apetycznych kolorach.

— Sam pan widzi — powiedziałam. — I teraz bym chciała tak: tu będą meble, czyli grzejnik trzeba stąd zabrać, przesunąć go w to miejsce. Zlewu nie chcę mieć pod oknem, absolutnie, bo będzie wiecznie zachlapane. Gdyby się udało przesunąć go tutaj...

— Co by się miało nie udać. — Pan Mietek westchnął filozoficznie. — Wszystko się nam uda, byle do tego umiejętnie podejść, dziewczyno. Na początek musisz tu wstawić jakieś taborety czy coś. Mnie się źle myśli na stojąco. Do tego kawa, dzbanek i kubki, bo ja bez kawy nie pracuję. Lodówki nie masz?

— Nie mam.

Właśnie mi to uświadomił. Dotychczas w ogóle nie rozmyślałam o zakupie sprzętu AGD, a to przecież kolejne mnóstwo decyzji do podjęcia. Cała sprawa zaczęła mnie przerastać.

— Okej, dziecino. Garaż też robimy czy zostawiamy?

— Nie, nie, mnie garaż niepotrzebny. — Machnęłam ręką. — Nawet tam nie zaglądałam. Nie jeżdżę samochodem.

— Okej, twoja wola. To teraz tak: ja się z tym wszystkim muszę przespać. Wy z Młodym jedźcie szukać drzwi. Młody, pomierz tu wszystkie otwory i starajcie się tak celować, żeby nie było skuwania. Ale jak się panusia uprze, to trudno... W każdym razie zamówcie od razu, bo potem się długo czeka, już ja znam tych gości od drzwi i okien.

Zirytował mnie, bo mówił o mnie tak, jakby mnie przy tym nie było. Chamidło. Albo niska inteligencja emocjonalna.

— A pan co będzie robił? — zapytałam wyniośle, bo nie rozumiałam tej metafory: „muszę się z tym przespać”.

— Pojadę do domu i się zdrzemnę — wyjaśnił, jakby rozmawiał z półgłówkiem. Następnie zwrócił się do Krzyśka: — Młody, jak wrócicie, to spław pannę i zacznij skuwać te obesrane płytki.

Szybko przyzwyczaiłam się do specyficznego sposobu bycia pana Mietka. Rozmawiając ze mną o Krzyśku, zachowywał się tak, jakby ten ostatni nas nie słyszał — i na odwrót. Dni, w których nie czułam od pana Mietka alkoholu, można było policzyć na palcach jednej dłoni, musiałam jednak uczciwie przyznać, że przy mnie nie pił nigdy. Robił to tak sprytnie, że zawsze znajdowałam jedynie puste puszki po piwie.

Najważniejsze, że robota ruszyła i moje widoki na zamieszkanie w Domu Nad Rzeką stały się całkiem realne.

Ponieważ chwilowo miałam dość przygód, po kilku dniach (czy raczej nocach) spania w śpiworze wśród kurzu i pyłu postanowiłam przeprosić się z dawnym życiem i na jakiś czas wrócić do mieszkania matki. Nowe ubrania i inne nabytki spakowałam w kartony i zostawiłam w piwnicy nowego domu. Ponadto — do czego trochę wstyd się przyznać — stchórzyłam i tuż przed powrotem do domu zafarbowałam włosy na ciemno. Wprawdzie nie była to czerń, ale ciemny brąz, w którym czułam się znacznie bardziej sobą. Nie byłam przygotowana na to, by stawić czoła reakcji mamy na fakt, że jej córka stała się zielonkawą blondynką.

— Tak ładniej — pochwalił Krzysiek, kiedy wyszłam z łazienki. — Jakoś bardziej pasuje do twoich oczu. Powinnaś już zostać przy tym kolorze.

Zarumieniłam się. Nie, żebym czuła miętę do Krzyśka, ale zawsze przyjemnie usłyszeć komplement od tak przystojnego faceta.

Poza tym, że był przystojny, a konkretnie: wręcz nieziemsko dobrze zbudowany, interesował mnie wyłącznie jako towarzysz rozmów. Lubiłam siedzieć na taborecie i gawędzić z nim, kiedy on skuwał kafelki. Przeważnie rozmawialiśmy o literaturze, ponieważ ku memu zdumieniu okazało się, że Krzysiek ukończył polonistykę. Nie do wiary, jak mu zazdrościłam.

— Potrzebowałam pieniędzy — odparł krótko, kiedy go zapytałam, dlaczego w takim razie pracuje jako fachman od remontów. — Chciałem się jakoś urządzić, wiesz, kupić mieszkanie, zacząć dorosłe życie. Miałem do wyboru: zostaję na uczelni albo uczę w szkole. Jedno i drugie za psie pieniądze. Kiedy pan Mietek zadzwonił do ojca, czy nie chciałbym sobie dorobić w wakacje, bo mu się poprzedni pracownik wykruszył... I kiedy podczas tych wakacji zarobiłem tyle, co dostałbym za pół roku pracy w szkole...

— No, chyba nie aż tyle!

— Tyle, tyle, żebyś wiedziała. W każdym razie tamten sezon był naprawdę dobry, bo wiesz, nie zawsze się tak trafi.

— Rozumiem. Ale dlaczego w takim razie wybrałaś polonistykę? To taki... nieżyciowy kierunek.

Nie przyznałam się, że ten „nieżyciowy kierunek” jeszcze niedawno stanowił szczyt moich marzeń.

— Byłem idealistą — burknął. — A ty mówisz zupełnie jak moja była. „Nieżyciowy”, też coś.

W ten sposób dowiedziałam się o istnieniu „byłej”, czyli złej Pameli. Pamela była piękna i wysportowana, wyrzeźbiona i opalona. Imponowali jej bogaci chłopcy z muskułami. Krzysiek zakochał się w niej na zabój i wypracował sobie te muskuły, ale z pieniędzmi było już gorzej. Mimo to przez jakiś czas łaskawie

pozwoliła mu się uwodzić i zapraszać do eleganckich lokali; lecz wkrótce potem na horyzoncie pojawił się niejaki Gonzo, bywalec dyskotek i solariów, dziany i niezwykle popularny wśród dziewcząt.

— I co? Puściła cię kantem? — podsumowałam.

Krzysiek pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy.

— Teraz już mi przeszło, ale przez kilka miesięcy byłem wrakiem człowieka.

Zerknęłam z powątpiewaniem na jego ramiona. Jeśli tak wygląda wrak, to...

— Nie fizycznie — wyjaśnił, uchwyciwszy moje spojrzenie. — Tylko emocjonalnie. Wiesz, kompletny brak poczucia sensu.

Ożywiłam się, ponieważ akurat to poczucie było mi doskonale znane. Chwilowo wprawdzie udało mi się je przezwyciężyć, ponieważ byłam nieustannie zajęta, lecz doskonale wiedziałam, że ono wróci. Przecież kiedy już zamieszkałam tu, w moim wymarzonej domu, kiedy posprzątam i umebluję pokoje, usmażę sobie placki ziemniaczane albo ugotuję żurek, kiedy poustawiam na regałach wszystkie wymarzone książki i nawet usiądę z jedną z nich na ławeczce pod bzem — w moim życiu znów zapanuje pustka. Taka sama jak dawniej albo jeszcze dotkliwsza.

Nie powiedziałam o tym Krzyškowi, bo w ogóle nie mówiłam o sobie zbyt dużo — wciąż wydawało mi się, że muszę zważać na każde słowo, ponieważ wisi nade mną straszne niebezpieczeństwo: jeśli tylko choć trochę się odsłonię, natychmiast dopadnie mnie jakiś oszust matrymonialny, włamywacz, złodziej i morderca w jednej osobie.

Na szczęście lada dzień miała wrócić z Portugalii Agata, co dawało mi nadzieję, że zdążę z kimś szczerze pogadać, zanim zupełnie zwariuję. Tymczasem pożegnałam się z panem Mietkiem i Młodym, rzuciłam jeszcze jedno spojrzenie w lustro — z ulgą zobaczyłam w nim samą siebie, a nie farbowaną Barbie — i pojechałam do mieszkania mamy.

Kiedy szłam na przystanek autobusowy, wydarzyło się coś niepokojącego: po raz kolejny dostrzegłam wyraz niebotycznego zdumienia na twarzy mężczyzny. Spotkałam mianowicie tego samego kędzierzawego typka w okularach, którego widziałam już wcześniej. Typiek był wysoki, nawet dość przystojny, miał męskie rysy i coś ładnego w twarzy. Tym razem kręcił się po moim osiedlu Piaski. Kim był, dlaczego kogoś mi przypominał? Czemu wciąż się na niego natykałam, w dodatku w różnych dzielnicach Bydgoszczy? I niby jakim prawem tak się dziwił na mój widok?

Rozważałam to, jadąc do domu. Zdziwienie typka można było wytłumaczyć tym, że po raz kolejny drastycznie zmieniałam kolor włosów. No właśnie, czy przypadkiem taka sytuacja nie wydarzyła się po raz pierwszy, kiedy wyszłam od fryzjera jako blondynka? Nie mogłam sobie przypomnieć. Tak czy inaczej, owe „natknięcia się” zdarzyły się przynajmniej trzy razy — tyle zapamiętałam.

Postanowiłam od tej pory być bardzo czujna i skrzętnie odnotowywać kolejne przypadki.

Mamy jeszcze nie było, ale w kuchni czekał na mnie garnek pełen pysznego, gęstego krupniku ze sporą ilością lubczyku (uprzedziłam telefonicznie, że wracam, i mama się przygotowała). Na blacie leżała kartka: „Kochanie, Benio jest na działce. Zjedz i rozpakuj się, i się nie zamartwiaj, po południu pojedziemy na zakupy i kupimy ci coś fantastycznego na pocieszenie”. Aha, czyli mama uznała, że wracam, ponieważ kochaś mnie rzucił i nie mam się gdzie podziać. Już sobie wyobraziłam jej triumf, jej „a nie mówiłam” i komentarze Szyneczki oraz klientek (bo nie miałam ani cienia wątpliwości, że temat ten zostanie omówiony w salonie urody przy nakładaniu żelu na paznokcie).

Poprawiłam makijaż na bardziej wyzywający i przebrałam się w mniej wygodną, ale za to ładniejszą bluzkę ze sporym dekoltem, odsłaniającym efekt, jaki udało mi się uzyskać dzięki sprytnemu stanikowi. Ponieważ jednak czekanie na mamę tylko w tym celu, żeby zrobić na niej wrażenie, wydało mi się strasznie nudne, zesłam na dół do spożywczego i zapytałam, czy nie mają jakichś niepotrzebnych kartonów. Zamierzałam stopniowo zacząć przewozić książki do nowego domu.

Otrzymaawszy pudła, chwyciłam tyle, ile tylko zdołałam, i niezgrabnie, co chwila coś upuszczając i poprawiając ułożenie tego dziadostwa, poszłam w stronę klatki schodowej. Pod pachami miałam złożone kartony, dodatkowe dwa ścisłałam pod brodą. W tej właśnie niewątpliwie powabnej pozie zobaczył mnie Wojtek Kornecki, który właśnie czekał na windę.

Wymamrotałam powitanie na tyle wyraźnie, na ile to możliwe, kiedy się przytrzymuje coś podbródkiem.

— Ja pomogę. — Rzucił mi się natychmiast na ratunek.

Przez chwilę usiłował wyciągnąć spod mojej prawej ręki jedno z pudeł, ale bezskutecznie, ponieważ zaczepiło się o inne, które trzymałam kurczowo pod lewą pachą. Wreszcie Wojtek sapnął i zaproponował:

— To może chociaż spróbuję wziąć te spod brody?

— Oj, tak — powiedziałam, co zabrzmiało trochę jak „ej, tek”, bo nie jest łatwo mówić, kiedy się coś przytrzymuje brodą.

Kiedy rzeczywiście chwycił kartony i uwolnił w ten sposób moją zuchwę, dodałam gorąco:

— Dziękuję bardzo.

— Na czwarte? — upewnił się, bo właśnie weszliśmy do windy, a tylko on miał wolną rękę.

Pokiwałam głową, zastanawiając się gorączkowo, czy wysiądzie razem ze mną, bo przecież niby jak ja chwycę z powrotem te pudła; chyba żeby mi je wsadził pod brodę, ale to wyglądałoby idiotycznie... Przez to, że moje myśli były

zaprzątnięte takimi głupotami, zapomniałam o sztuce konwersacji i nie odezwałam się ani słowem przez cztery piętra; jechaliśmy więc w milczeniu.

Wysiadł ze mną i podszedł do drzwi.

— Mam klucz w kieszeni — wyjąkałam, zmieszana. — Gdyby pan mógł...

Oczywiście chodziło mi o to, żeby spróbował wyjąć mi spod którejś pachy kartony, a wówczas ja wyciągnęłabym klucz. Wojtek jednak zrozumiał mnie zupełnie inaczej: obejrzał sobie dokładnie moją pupę, po czym — oceniwszy bezbłędnie, w której kieszeni znajduje się rzeczony klucz, wsunął tam rękę i go wyciągnął. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu zrobiła się tak czerwona jak teraz.

— Ależ się pani zgrzała — zauważył. Wszedł do przedpokoju, postawił pudła pod ścianą, po czym wycofał się na klatkę schodową. — A właściwie po co kartony? Przeprowadzka?

Uznałam, że to doskonały moment, żeby porozmawiać z nim o ławeczce.

— Przeprowadzka — potwierdziłam. — I wie pan, właśnie chciałam porozmawiać... Ale może pan wejdzie na krupnik?

Zrobił zdziwioną minę. Pewnie pierwszy raz w życiu ktoś w zamian za przysługę zaprosił go na pupę. Uznałam, że to było strasznie dziecinne, ale nie mogłam się już wycofać.

— Nie, nie, absolutnie — zmieszał się tymczasem Wojtek, jakby to on palnął coś głupiego. — Ja już pójdę. Cieszę się, że mogłem pomóc.

— Dziękuję! — zawołałam za nim, kiedy wchodził po schodach; mieszkał na piątym i zapewne uznał, że nie warto czekać na windę.

Poszłam do łazienki i spojrzałam sobie głęboko w oczy w lustrze.

— Ty kretynko — powiedziałałam szczerze. — Na krupnik? Serio? Odbiło ci zupełnie. Zdziczałaś do tego stopnia, że nie potrafisz już rozmawiać z ludźmi. Sąsiada można zaprosić na kawę, herbatę, można mu wody zaproponować, ale krupnik?

Ten optymistyczny monolog przerwał mi odgłos otwieranych drzwi. To mama. Może i dobrze, że Wojtek odmówił. Nasza rozmowa skończyłaby się niechybnie katastrofą, gdyby mama weszła w połowie talerza zupy. Zerknęłam w lustro raz jeszcze, starłam z brody błyszczak, który wcześniej musiałam sobie rozmazać, trzymając pudła (Jasna cholera! I taką mnie widział Kornecki?! A jeśli opowie o tym bratu?), poprawiłam rozczochrane włosy — i wyszłam z łazienki. Uznałam, że pora stawić czoła mamie.

— Ty się w ogóle nie przejmuj — zaczęła, kiedy już uściskałyśmy się na powitanie, kiedy mama obejrzała i oceniła moją nową fryzurę oraz makijaż (*w tym brązie ci ładnie, ale ja bym zrezygnowała z różowego błyszczyka na rzecz czerwonej szminki, brunetkom dobrze z czerwonymi ustami, a przecież masz takie ładne zęby, tylko nie chcesz ich pokazywać, musisz się częściej śmiać, kochanie*). — A czy ty w ciąży nie jesteś? Bo tak się jakoś zaokrągliłaś, piersi ci chyba urosły.

— Nie, mam, nie jestem w ciąży.

— Pojedziemy po ten cynamonowy żakiet i od razu ci się zrobi lepiej.

— Ale mam...

— Nie, nie protestuj, ja płacę, chcę, żebyś miała prezent ode mnie, a tym facetem się nie przejmuj, znajdziesz sobie jeszcze niejednego...

— Mam!

— I jeszcze zobacz, mam taki sweter, trochę jakby włochaty, bardzo ładny, beżowy, pamiętasz te spodnie z brunatnej wełny, nigdy nie chciałaś ich nosić, a moim zdaniem ten sweter by idealnie pasował, no i trochę by ci dodał objętości, wiesz, zawsze jak się założy coś włochatego, to się bardziej puszyście wygląda, a już do tego koloru włosów to będzie świetna stylizacja i ten twój chłopak pożałuje...

— Przestań! — krzyknęłam, bo puściły mi nerwy.

Niezwykłe uczucie. Zrobiłam to pierwszy raz w życiu. Po raz pierwszy udało mi się przerwać potok słów mojej matki i zwyczajnie zabrać głos. Niezapomniana chwila.

— On nie ma czego pożałować — wyjaśniłam, wykorzystując fakt, że mamę kompletnie zakorkowało. — Nie rozstaliśmy się, nie pokłóciliśmy ani nic z tych rzeczy.

— To dlaczego wróciłaś?

— Po pierwsze, chcę zabrać książki i jeszcze parę drobiazgów. Po drugie, robimy remont i nie bardzo mi się uśmiecha siedzieć w pyle i patrzeć na ręce budowlańcom.

Nadal wyglądała na zaskoczoną. Najwyraźniej już sobie ułożyła w głowie całą historię, a ja zburzyłam jej koncepcję.

— Opowiedz mi o nim — zażądała. — Jest dużo starszy od ciebie?

Najwyraźniej w jej wyobraźni nie istniały inne związki niż takie, w których młoda, bezradna kobieta wieszka się na szyi starszego, bogatego faceta i oplata go jak bluszcz. Co gorsza, zamierzałam ją utwierdzić w przekonaniu, że coś takiego przytrafiło się i mnie. To znaczy, w sensie uwieszenia i oplatania, a nie wieku.

— Kiedy mi go przedstawiś? — padło od razu kolejne pytanie, otrzeźwiając

mnie niczym zimny prysznic.

Jak to „przedstawisz”? Tej komplikacji nie brałam dotąd pod uwagę. Na szczęście w sytuacjach podbramkowych myśli przebiegają przez głowę z prędkością światła — tak w każdym razie było ze mną. *Kogoś trzeba będzie przyprowadzić*, to była myśl numer jeden. *Łukasz Maczek byłby idealny, ale jest w Warszawie*, nasunęła się myśl numer dwa, a zaraz potem: *chyba żeby poprosić Krzyśka, żeby udawał, że jest Łukaszem, to znaczy w sumie mniejsza o imię*.

— Wcale nie jest starszy — powiedziałam powoli, udając zdziwienie, że jej to w ogóle przyszło do głowy.

— Młodszy? — zapytała czujnie.

— A czy to w ogóle ma znaczenie, mamó? Młodszy czy starszy, ważne że się świetnie rozumiemy i dobrze nam razem.

— Musisz go przyprowadzić! Może w niedzielę? Upiekę udka i mizerię zrobię. Tylko nie wcześniej niż o trzeciej, bo się nie wyrobię, wiesz, zawsze lepiej mieć trochę więcej czasu. O mój Boże, tak się cieszę, że cię nie rzucił, kochanie, widzisz, to jednak prawda jest, że każda potwora znajdzie swego amatora, a zresztą ty jesteś całkiem niczego sobie, tylko ten makijaż jakiś nieudany, no i paznokci nie zrobiłaś.

— Mamó, mamy remont.

— Oj, no chyba nie ty ten remont robisz, kochana, trzeba się szanować, od remontów jest chłop, a kobieta od obiadów i ładnego wyglądu.

Prychnęłam, ale nie wdałam się w dyskusję na temat seksistowskich stereotypów, ponieważ nie widziałam w tym żadnego sensu. Jeszcze nigdy nie przegadałam mojej matki — natomiast ona świetnie opanowała umiejętność odwracania kota ogonem i zawsze, zawsze, zawsze! — nasze rozmowy kończyły się tak, że mówiłam: „W sumie masz rację”, a ona podsumowywała: „No przecież wiem”.

Jeśli przez te lata spędzone z mamą wypracowałam sobie jakąś strategię, to taką, że nie ma sensu dyskutować z kimś, kto nie przyjmuje argumentów; głupie stwierdzenia należy więc zbywać milczeniem. Ostatnie dni nauczyły mnie natomiast tego, że należy robić swoje — po cichu, bez fanfar i fajerwerków, bez ogłaszania, że właśnie trwa rebelia — po prostu robić to, czego się chce.

Zjadłam krupnik, podziękowałam, pozmywałam i poszłam do siebie, żeby zacząć pakować książki. Przy okazji przetrzebiłam szafę z ciuchami, to znaczy trzebi się chyba same ciuchy, a nie szafę... W każdym razie wybrałam te nieliczne łauszki, które uznałam za pasujące do mojego nowego wizerunku, zaś pozostałe spakowałam w worek i postanowiłam nazajutrz wrzucić do pojemnika PCK.

Kiedy pakowanie dobiegło końca, rozejrzałam się po moim malutkim, wąskim jak kiszka pokoju. Mieszkałam w nim od urodzenia. Zmieniały się oczywiście tapety i meble, dwa razy także dywan; nagle jednak uderzyła mnie

myśl, że ten pokoik patrzył na mnie przez te wszystkie lata. Był milczącym świadkiem moich dziewczęcych łez, depresji po śmierci taty, rodzących się i upadających ambicji, sukcesów w szkole i na studiach, a potem wielkiego zagubienia, kiedy po uderzeniu głupiego pioruna moja głowa przestała działać jak należy.

Rozbeczałam się, siedząc na starym tapczanie z wgnieceniem w kształcie mojego ciała. Chyba po raz pierwszy dotarło do mnie, co zamierzałam zrobić — porzucić wszystko, co było może nudne i bez perspektyw, ale za to bezpieczne, swojskie, znajome.

Czego chciałam, czego oczekiwałam po tym nowym rozdziale? Przecież wszystkie rojenia o Maćku Korneckim stanowiły zaledwie jeden akapit mojej opowieści, pomyślałam. Życie nie jest bajką o miłości, a w każdym razie nie powinno się do niej sprowadzać. Muszę sobie znaleźć ten cholerny sens, jakiś cel, wyznaczyć punkt, do którego będę zmierzać.

Miałam tyle pieniędzy, że mogłam nie pracować do końca życia. Obliczyłam to. Dajmy na to, że pożyję jeszcze trzydzieści lat, czyli siedemset dwadzieścia miesięcy. Mając na koncie osiem milionów, mogłabym samej sobie wypłacać dożywotnią pensję w wysokości ponad jedenastu tysięcy na miesiąc. Koszmarnie dużo, jak na moje niewielkie potrzeby!

Pytanie brzmiało: Co miałabym robić, żeby nie umrzeć z nudów? Było oczywiste, że nie będę tęsknić za zakładem fryzjerskim, w którym Szyneczka nieustannie pouczała mnie i krytykowała wykonaną przeze mnie pracę, nawet jeśli to było zwykłe zamiatanie podłogi. Nie miałam jednak żadnego pomysłu, czym mogłabym się zająć, jak spędzać dni i bezsenne noce, po co w ogóle wstawać rano, wkładać te wszystkie drogie ciuchy i robić makijaż (skoro już się jako tako nauczyłam i nakupiłam tych wszystkich mazideł). Z dnia na dzień coraz wyraźniej czułam jałowość wszystkiego, co składało się na moją egzystencję.

Poczułam się okropnie samotna. Poszłam do dużego pokoju, usiadłam na kanapie i zagadnęłam:

— Mamo, gdybyś mogła wszystko zmienić, gdyby ktoś ci dał szansę, by zacząć jeszcze raz...

Przeglądała właśnie jakieś babskie czasopismo. Podniosła głowę i spojrzała na mnie uważnie. W tej jednej chwili zobaczyłam w niej kobietę jedynie udającą trzpiotkę, która zabijała paplaniną coś bolesnego, co tkwiło w niej głęboko niczym drzazga.

— Dlaczego? Skąd to pytanie?

— Bo wiesz, w pewnym sensie stoję w tej chwili na rozdrożu. Muszę się na coś zdecydować, wybrać którąś z dróg. Nie chcę żyć tak, jak dotychczas, te same czynności z dnia na dzień, z roku na rok, i wiedzieć, że nic się nie zmieni. Codziennie chodzić do zakładu, myć komuś włosy, suszyć je, prostować albo

właśnie podkreślać... i tyle, nie mieć żadnych planów, żadnych marzeń, ambicji... Nie gniewaj się mamó, ale to nie było dla mnie.

— Kochanie, w życiu tak po prostu jest. Cokolwiek sobie wybierzesz, to będą te same czynności z dnia na dzień. Jeżeli wyjdiesz za tego swojego bogacza, to także, prędzej czy później, dopadnie was rutyna. A czego ty byś chciała? Codziennie nowej przygody? To tylko w filmach, Igiełko. Życie polega na tym, że dzień po dniu mija, a ty stajesz się coraz starsza i masz coraz mniej czasu.

Od dawna nikt do mnie nie mówił „Igiełka”. I od bardzo dawna nie rozmawiałam z mamą tak, jak rozmawia się z przyjacielem. Może zresztą pierwszy raz rozmawiałyśmy w ten sposób? Po raz pierwszy nie było w tym głupiego trajkotania o ciuchach, makijażu, o szukaniu faceta — zamiast tego usłyszałam gorzką prawdę o życiu. Pewnie dlatego rozbeczałam się znowu, a wtedy mama przysiadła się do mnie i objęła mnie ramieniem.

— Myślisz, że gdyby nie wypadek, byłoby inaczej? Pewnie teraz pracowałabyś w szkole, uczyła polskiego i wściekała się, że twoi uczniowie nie czytają lektur. Może już dawno byłabyś mężatką, może zmieniałabyś teraz pampersy mojemu wnukowi — dodała. — Ale to by nie było życie jak w filmie przygodowym, kochanie. I wcale niekoniecznie byłabyś szczęśliwa.

— To jaka jest recepta na szczęście? — zapytałam, pochlipując jeszcze. — Znasz ją, mamó?

— A naprawdę sądzisz, że taka recepta istnieje?

Zapadła cisza. Już nie płakałam, objęta ciepłym ramieniem matki, o której zawsze — chyba zbyt pochopnie — myślałam, że nie miewa głębokich myśli, że w zasadzie nad niczym się nie zastanawia. Najwyraźniej sama nie miała pojęcia, jak żyć, co robić, aby być szczęśliwą, jakże więc mogłaby udzielać mi rad?

— Żałujesz, że wyszłaś za tatę? — zapytałam jeszcze. — Żałowałaś kiedykolwiek?

— Nie, skądże — odparła bardzo cicho. — Jeśli czegoś żałowałam, to tego, że nie umiałam wnieść do tego związku radości. To było zimne małżeństwo. Wiesz, jak się tak patrzy z perspektywy czasu, to dostrzega się wyraźnie, że dostajemy to, co sami dajemy.

Pokołysałyśmy się jeszcze trochę na tej kanapie, a potem zadzwonił telefon — jakaś klientka chciała przełożyć zabieg, koniecznie na dziś. Mama westchnęła, bo w zasadzie miała mieć tego dnia wolne popołudnie.

— Idę — powiedziała. — A ty się za dużo nie zastanawiaj. Trzeba po prostu żyć, i tyle. Dać się nieść nurtowi, czasem chlapać się radośnie jak dzieciak, a czasem walczyć o oddech. Chcesz ten cynamonowy żakiet czy nie?

— Nie chcę. Nie lubię tego koloru.

Tym razem nie próbowała mnie przekonać, że lubię. Po prostu cmoknęła

mnie w policzek i poszła do pracy. A ja zostałam sama z pytaniami, na które wciąż nie znałam odpowiedzi.

Mama wróciła do dawnej formy jeszcze tego samego wieczoru — przy kolacji z Beniem trajkotała o bzdurach, zupełnie jakby się wstydziła tego wszystkiego, co powiedziała (i czego nie powiedziała) podczas naszej poobiedniej rozmowy. Ja jednak wiedziałam już, że rzeczy niekoniecznie są naprawdę takie, na jakie wyglądają, i jedyne, co mnie nurtowało, to pytanie, jakim cudem przez te wszystkie lata nie zauważyłam, że moja matka gra przede mną jakąś rolę.

Może problem leżał w tym, że nigdy nie zadawałam jej pytań, które zmusiłyby nas obie do prawdziwej rozmowy. Od dnia, w którym umarł tata, milczałyśmy na wszystkie ważne tematy, a potem, kiedy mama pocieszyła się w ramionach pana Henia i kolejnych facetów, ja zamknęłam się w sobie — jeśli to było w ogóle możliwe — jeszcze bardziej.

Teraz, leżąc na tapczanie w moim pokoju i mimowolnie wsłuchując się w dialogi serialu oglądanego w drugim pokoju, przypominałam sobie jej słowa: *dostajemy to, co sami dajemy*. Może mało poetycko to ujęła, można by jakoś metaforycznie albo nawet biblijnie: *co siejesz, to zbierasz* lub na przykład: *ze skarbonki wyjmiesz jedynie to, co do niej włożyłeś...* No, to ze skarbonką akurat nie wyszło mi ani biblijnie, ani metaforycznie, natomiast ponownie naprowadziło moje myśli na temat pieniędzy; mówiąc szczerze, zaczynałam mieć tego zagadnienia serdecznie dość.

Ciekawe, czy są jakieś porady dla milionerów: jak być wściekle bogatym i nie zwariować, pomyślałam. Otworzyłam laptopa i wpisałam „Wygrana w Lotto a szczęście”. Najpierw oczywiście wyszukała mi się cała masa stron o tym, jak przyciągnąć wygraną, że szczęściu trzeba pomóc, że potęga podświadomości, moc umysłu, medytacja, wizualizacja i tak dalej. Wreszcie trafiłam na artykuł dotyczący tego, co mnie interesowało — dalszych losów ludzi, którzy wygrali. Co się z nimi dzieje po tym, jak odbierają swoją wygraną? Czy podobnie jak ja, chowają kupon w lodówce? Czy umierają ze strachu przed złodziejem, wszędzie węszą podstęp i dostają paranoi?

A zatem: najpierw była opowieść o morderstwie, potem o rozwodzie, kolejny szczęściarz popełnił samobójstwo, iluś tam trafiło do psychiatryka. Na koniec kliknięcie w link przekierowało mnie na bloga pewnej dziewczyny, której ojciec wygrał sporą sumę, a potem bez sensu ją przeputał. Poczytałam, użyłam kilku brzydkich (jak na moje możliwości) wyrazów, by rozładować frustrację, że ktoś może być tak głupi i pusty, po czym solennie sobie przyrzekłam, że ja postąpię z moją wygraną inaczej — mądrze. Tyle że jeszcze nie wiedziałam jak.

Nie zdążyłam się nad tym poważnie zastanowić, ponieważ rozdzwonił się mój telefon. Najpierw Łukasz Maczek chciał mi przypomnieć o naszym spotkaniu.

Przeszło mi przez myśl, że można by złapać dwie sroki za ogon i za jednym zamachem przedstawić go mamie, ale Łukasz zapowiadał swój przyjazd do Bydgoszczy na środek tygodnia, a mama chyba by osiwiiała, gdyby to nie była niedziela — ona była z tych, co w takich sytuacjach muszą mieć w zapasie jakieś siedem godzin na przygotowania, bo to i włosy na wałki, i maseczka, i paznokcie, i brwi, i wypucować kibelek, umywałkę, wannę, górną półeczkę w łazience (*wiesz, córuś, mężczyźni są wyżsi i oni widzą cały ten kurz*), lustra, żyrandole i generalnie wszystko, co jest w domu. Nigdy tego nie rozumiałam, bo skoro na co dzień mieszkanie było regularnie sprzątane, a dwa razy w roku, przed świętami, czyściłyśmy gruntownie wszyściutko, łącznie ze starym budzikiem po tacie, który zatrzymałam sobie na pamiątkę i przechowywałam w pudełku pod szafą — to po jakiego grzyba odstawiać taki cyrk przed wizytą gości?

Na szczęście nigdy nie prowadziłyśmy bujnego życia towarzyskiego, dlatego te szaleńcze tańce z mopem i ścierką nie zdarzały się często. Gdybym jednak zaprosiła Łukasza na przykład we wtorek, mama pewnie wcale nie poszłaby spać, byleby doprowadzić mieszkanie do błysku przed pójściem do pracy.

Zaraz po Łukaszu zatelefonowała Agata. Beczała.

— Puścił cię kantem? — domyśliłam się.

— Nie, to ja odeszłam — wychlipała. — Sebastian... On nie był taki, za jakiego go brałam. Któregoś dnia, po tym jak mu się sprzeciwiłam, wiesz, poszło o jakąś głupotę, co będziemy jeść albo coś w tym rodzaju... Zrobił się agresywny. Popchnął mnie tak, że omal nie rozbiłam sobie głowy. Bałam się, Iga, tak okropnie się bałam.

— Ale już jesteś w Polsce? — upewniłam się.

— Tak, wczoraj wróciliśmy. Nie chcę go więcej widzieć, tylko że... przecież on wie, gdzie mieszkam i boję się, że zrobi mi krzywdę.

Przez chwilę chlipała, smarkała i ogólnie brzmiała raczej mokro.

— Nie robi — pocieszyłam ją. — Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, mamy telefony, policję, te wszystkie monitoringi, podsłuchy, LSD i tak dalej.

— Chyba masz na myśli GPS...

— No przecież mówię. A poza tym masz mnie. W razie czego zamieszkas ze mną.

— Iguś, daj spokój. Przecież on zna twój adres, kilka razy mnie podrzucił po randce...

Zamilkłam. Czy to był właściwy moment, aby powiedzieć jej o wygranej? A może jeszcze za wcześnie?

— Wrócisz do niego? — zapytałam ostrożnie.

— Nigdy! — zaperzyła się. — Nie mogłabym być z mężczyzną, który podniósł na mnie rękę. Już go nie kocham. Już się go tylko boję.

— I bardzo dobrze — skwitowałam. — To znaczy źle, że się boisz, ale doskonale, że nie kochasz. Słuchaj, teraz nie mogę rozmawiać. Zadzwoń do ciebie za jakieś pół godziny, okej?

— Okej. Czekam.

Zamówiłam taksówkę i zawiozłam do Domu Nad Rzeką dwa z siedmiu kartonów z książkami. Tak jak się spodziewałam, moich budowlańców już nie było. Płytek z kuchni zresztą także nie. To znaczy fizycznie istniały — zsypane na malowniczą stertę przed gankiem. Razem z nimi tkwiły tam zgniecione puszki po piwie w liczbie około ośmiu (do tyłu doliczyłam, możliwe, że pod warstwą odpadów budowlanych było ich więcej), cała masa niedopałków (pan Mietek kopcił jak smok) i rozmaite inne śmieci w stylu papierków po krówkach. Nie bardzo sobie wyobrażałam, w jaki sposób usunę ten straszny bałagan i zasieję w tym miejscu trawę, ale ponieważ na razie zastanawianie się nad tym nie miało sensu, postanowiłam jak Smaragd O’Hurra pomyśleć o tym później.

Powiedzenie Agacie o wygranej w Lotto w mieszkaniu, gdzie ściany miały uszy, nie wchodziło w grę. Teraz mogłam to zrobić swobodnie. Zadzwoiłam.

— Jak to „wygrałam”?! Jak to „kupiłam dom”?! Czyś ty zmysły postradała? — zawołała, ledwie zdążyłam wypowiedzieć pierwsze dwa zdania.

— Nie, dlaczego? Przecież ktoś zgarnia te wszystkie kumulacje, prawda?

— Ale ty? Iga, przecież... Przecież jeśli na drodze była tylko jedna mała dziura, a ty jechałaś rowerem, to na bank się wypieprzyłaś.

— Nie przesadzaj — naburmuszyłam się. — Nie jestem znowu taką łamagą.

— Nie mówię, że łamagą, tylko że pechowcem. Sama powiedz, ilu znasz takich, co wyszli po burzy na balkon i pierdutnął w nich piorun? No, ilu?

— Jednego. Znaczą jedną.

— I ja też jedną.

— Ale poza tym nigdy nie miałam specjalnego pecha.

— Nie byłabym taka pewna. Na dwóch facetów, z którymi się bzykałaś, jeden miał rzodkiewkę zamiast wacka, a drugi urządził sobie wyścigi, kto szybciej skończy.

— Przestań.

— Dlaczego „przestań”, to też jest w życiu ważne — obruszyła się. — A poza tym... śmierć taty...

— Śmierć taty nie była moim pechem, tylko jego. Pobite gary.

Agata westchnęła.

— Strasznie za tobą tęskniłam. Brakowało mi tych naszych idiotycznych rozmów.

— Mnie też. Ale nie zmieniaj tematu. Dobrze wiesz, co to oznacza. Zgodnie z umową dzielimy się po połowie. Zabrali nam dziesięć procent wygranej, zostało osiemnaście milionów. Ja już jeden wydałam, tobie zostało dziewięć.

— Daj spokój, Iga. Nie mogłabym tego przyjąć.

— Oszalałaś?! — zawołałam z rozpaczą. — Nie wykiwasz mnie chyba, Agata! Jak umowa, to umowa.

— Przestań się wygłupiać...

— To ty się wygłupiasz. Nie masz pojęcia, w jakim ja jestem stanie, cała roztrzęsiona, przerażona. Przecież mnie się bez przerwy śni, że ktoś chce mnie okraść. Nie wystawiaj mnie do powietrza.

— Do powietrza chyba. Ale o czym ty w ogóle mówisz, jakie wystawianie...

— Przyjedź do mnie, pogadamy. Przyjedziesz?

— Dzisiaj już nie. Z tej rozpaczki po rozstaniu z Sebkiem otworzyłam wino i jestem trochę dziabnięta. A już teraz to w ogóle sobie chłapię porządnie... Nie, ale naprawdę wygrałaś? Nie nabierasz mnie?

— Czy ja, taka prostolinijna i szczerą, byłabym w stanie cię nabierać? — zapytałam z wyrzutem. — Nie tylko nie nabieram, ale naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Mam tu sajon z remontem, bo wymyśliłam sobie inne płytki w kuchni. Cholera, mogłam już zostać przy sraczkowatych...

— Nie, na sraczkowate zgody nie ma — odparła Agata stanowczo. — Remontem się nie zajmuj, ja ci we wszystkim pomogę. Jutro, jak tylko ogarnę szarą rzeczywistość... O której kończysz pracę?

— Zwariowałaś? Ja nie pracuję. To znaczy mama jeszcze nie wierzy, że całkiem odeszłam, chyba myśli, że to tylko urlop, ale ja nie zamierzam wrócić do Szyneczki.

— Bardzo dobrze, mądra dziewczynka! Moja krew.

— Bzdura, nie twoja. W życiu bym nie chciała być z tobą spokrewniona!

— Ja też cię kocham. Pa.

No i proszę, smutek z powodu rozstania z facetem o szerokim karku zupełnie jej przeszedł. Mnie także zrobiło się lepiej — dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak rozpaczliwie potrzebowałam rozmowy z przyjaciółką.

Agata nie mogła przyjechać następnego dnia przed południem, ponieważ musiała wreszcie pojawić się w pracy. Zasadniczo ojciec radził sobie bez niej, ale przecież nie mogła przeciągać struny. Razem prowadzili studio fotograficzne „Babette”. Zajmowali się głównie fotografią rodzinną i portretową, lecz od jakiegoś czasu Agata reklamowała się jako specjalistka od zdjęć ciążowych i dziecięcych. Rzeczywiście, musiałam przyznać, że umiała to robić. Patrząc na niektóre fotografie, nawet ja zaczynałam pragnąć takiego małego bobaska. Na szczęście zawsze bardzo szybko mi przechodziło.

Nasza przyjaźń zaczęła się przed laty, dosłownie kilka dni po tym, jak zamarzył mój tata. Agata przeżywała wtedy ciężkie chwile w związku z rozwodem rodziców. Jej matka znalazła sobie ślicznego jak obrazek pilota samolotów odrzutowych. Byłyśmy w ósmej klasie, Agata ciut wcześniej weszła w cielejący wiek, i oświadczenie mamy, że wyjeżdża z tym swoim nowym facetem do Dębina, by tam zacząć nowe życie, trafiło na okres buntu i wściekłości na cały świat dorosłych. Pewnie dlatego Agata oświadczyła, że ona się nigdzie nie wybiera, zostaje z ojcem i więcej się do matki nie odezwie. Było to o tyle dziwne, że nigdy nie miała dobrego kontaktu z tatą, a z mamą dogadywała się naprawdę nieźle. Może zresztą właśnie tym dotkliwiej odczuła matczyną zdradę — bo tak to nazywała.

Pasowałyśmy do siebie; obie jednakowo zbuntowane, rozżalone i straszliwie smutne. Jakimś cudem wyczułyśmy to bez słów. Nawet później, kiedy już Agacie przeszło (bo zawsze przechodziło jej szybko, nie umiała długo cierpieć), trzymałyśmy się razem.

Po podstawówce nasze drogi się rozeszły, ja poszłam do liceum, do klasy o profilu humanistycznym. Agata wybrała technikum fotochemiczne, bo skoro jej opuszczony przez żonę ojciec prowadził malutki zakład fotograficzny na Dworcowej, to czemu by nie pójść po linii najmniejszego oporu (zresztą potem, dzięki Agacie, zakład przestał być malutki, przenieśli się do ładniejszego lokalu, nazwali się „Babette” i w ogóle rozkręcili interes).

Tak czy owak, szkoła średnia okazała się dla Agaty prawdziwą frajdą, czego nie można było powiedzieć o mnie — zazdrościłam jej wyjazdów na plenery fotograficzne, zajęć praktycznych i przede wszystkim — rówieśników z pasją. Ja trafiłam na towarzystwo nudne, w większości kujońskie i pozbawione innego pomysłu niż ten, żeby dostać się na takie studia, po których człowiek będzie zarabiał grubą kasę.

Jednak z perspektywy czasu widziałam wyraźnie, że właśnie dzięki temu nasza przyjaźń przetrwała. Nie znalazłam sobie nowych przyjaciół, zresztą nigdy

nie byłam w tym dobra; Agata, w swojej serdecznej hojności, obdarzała przyjaźnią wiele osób, wystarczyło więc i dla mnie. Tuż przed moją maturą rozluźniło nam się troszkę, bo miałam Mariusza i to nasze samochodowe zwiedzanie okolic, ale później wszystko wróciło do normy. Od czasu do czasu robiłyśmy sobie przerwy na kolejnych facetów Agaty, która jako delikatna blondynka ze świetną figurą, a przy tym osoba niezwykle kochliwa, nigdy nie pozostawała długo samotna. Ale zawsze potem wracałyśmy do naszych spotkań, głupawych rozmów i szczerych zwierzeń. Czasem wyobrażałam sobie przyszłość — nas jako zażywe staruszki sączące koniaczek (nigdy nie lubiłam koniaku, ale to tak ładnie wyglądało na tym moim wymyślonym obrazku...) i nieco zgryźliwie rozmawiające o naszych stetryczalnych facetach, którzy na przykład graliby w szachy albo nieporadnie naprawiali rowerek wnukowi Agaty (co do mnie, jak już wspomniałam, nie planowałam ani dzieci, ani wnuków).

— Dziecino! — Głos pana Mietka niósł się po pustych wnętrzach. — Zobacz no, ktoś tam wchodzi po schodach!

Stałam właśnie przy oknie na poddaszu i patrząc z góry usiłowałam zaprojektować mój wielki ogród. Niestety, szwankowała mi wyobraźnia — za nic w świecie nie potrafiłam w miejsce chwastów i bezkształtnych krzaków postawić rabat kwiatowych. Z ulgą przerwałam tę czynność i zeszałam na dół, żeby przywitać się z dawno niewidzianą przyjaciółką.

Agata wyglądała jeszcze ładniej niż zwykle. Do jej jasnych włosów bardzo pasowała opalenizna z Portugalii — teraz dodatkowo okraszona rumieńcem, ponieważ zrobiło się gorąco, a Agata jak zwykle przyjechała na rowerze. Była zapaloną cyklistką.

— Ależ tu spokojnie — wydyszała, całując mnie i ściskając na powitanie. — Zupełnie jak na wsi. A ty? Ależ się zmieniłaś! Przecież wyglądasz teraz jak gwiazda filmowa!

— Chodź. — Wzięłam ją za rękę, strasznie zmieszana, bo nie przywykłam do komplementów. — Pokażę ci ogród. A w ogrodzie... — zawiesiłam głos.

Zapisała cicho. Cała Agata — spontaniczna, emocjonalna, kompletnie zwariowana.

— No co, co w ogrodzie?!

— Nic — sprowadziłam ją na ziemię. — Jeszcze nic. Chciałam tylko powiedzieć, że tam będzie rósł bez, a pod bzem będzie stała ławeczka.

— Już zamówiona? — Uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo. — Byłaś u boskich braci Korneckich?

— Nie, jeszcze nie. Nie popędzaj mnie.

— Gdzieżbym śmiała. W ogóle się nie wtrącam. Dobra, to gdzie będzie ten bez? Może tu w rogu?

Biegała po moim wielkim ogrodzie uśmiechnięta i radosna jak dziecko, które cieszy się z nowej zabawki. Uświadomiłam sobie, że tego nie da się nauczyć. Ja po prostu taka nie byłam — nie potrafiłam tak beztrudnie brać życia i czerpać radości z każdej zmiany. Odkąd wygrałam te straszne pieniądze, właściwie nieustannie się czymś martwiłam, o coś kłopotalam i nad czymś zastanawiałam. I zapewne nie miało tu nic do rzeczy, że kwota za duża, że nie miałam pomysłu, co zrobić z tak nieprzyzwoitą sumą — nie, gdybym wygrała milion, byłoby tak samo, tyle że wtedy w dodatku martwiłabym się, czy mi na wszystko wystarczy.

— Może w rogu — przytaknęłam z westchnieniem. — Ale może raczej bliżej tarasu. Jeszcze nie postanowiłam. W ogóle wiesz, ja się nie znam na ogrodzie, chyba muszę zatrudnić jakiegoś ogrodnika.

— Och, ogrodnik to świetna sprawa. Zwłaszcza młody, przystojny i w samych dzinsach. Niechby sobie kopał w ogródku...

— Agata! Wczoraj beczłaś z żalu za facetem.

— A gdzież tam z żalu! — fuknęła, natychmiast spochmurniała i usiadła na brzeżku tarasu. — Płakałam z wściekłości. I trochę ze strachu. Wiesz, wszystko sobie mogłam wyobrazić, w końcu już byłam w paru związkach, spotykałam się z niechlujami, kłamczuchami, niedorajdami, maminsynkami, raz nawet z kleptomanem, ale żeby ktoś podniósł na mnie rękę?

— Moja mama zawsze mówiła — przypomniałam sobie — że gdyby ją mężczyzna uderzył, toby mu jaja z tyłka powyrywała.

— Z tyłka wyrywa się nogi — poprawiła mnie Agata. — Jaja rosą nieco bardziej z przodu...

Urwała nagle i zaczerwieniła się jak burak. Obejrzałam się i spostrzegłam Krzyśka, stojącego w drzwiach tarasu i najwyraźniej strasznie zakłopotanego.

— Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać — powiedział. — Iga, chodź zobaczyć, czy na pewno chcesz te płytki po prostej, czy jednak w karo.

Poszłam z nim do kuchni. Spodziewałam się, że przyjaciółka dołączy do mnie, ale najwyraźniej czuła się trochę skrępowana, że Młody przyłapał ją na dywagacjach dotyczących umiejscowienia męskich klejnotów.

Po chwili zdecydowałam się jednak na karo; pan Mietek uświadomił mi, że dzięki temu nie będzie widać tego, że po pierwsze, rogi pomieszczenia nie trzymają idealnie kąta prostego, a po drugie — że niektóre płytki także go nie trzymają.

Agata obejrzała resztę domu, pochwaliła, że cudowny, że wspaniale będzie odwiedzać mnie tutaj, pić ze mną wino na tarasie i opalać się w letnie dni. Potem wyraźnie posmutniała.

— No co? — zapytałam. — Wal prosto z mostu.

— Nadal trochę się boję — wyznała. — Wczoraj wieczorem, po telefonie do ciebie, odbyłam jeszcze jedną rozmowę. Dzwonił Sebek, zupełnie pijany. Przepraszał, szlochał w słuchawkę, błagał o ostatnią szansę.

— Toście sobie pogadali, ty po winku, on pijany...

— Daj spokój, ja się nie upijam, przecież wiesz.

— Wiem, wiem. Ale też obie wiemy, że po alkoholu robisz się miękka jak wosk.

— Miękka czy nie miękka, nieważne — odparła niecierpliwie. — Ja się go po prostu boję. Już wiem, na co go stać; niby ostatecznie nic mi nie zrobił, ale gdybyś go widziała, kiedy mnie pchnął z taką wściekłością... Jakby naprawdę zamierzał wyrzucić mi krzywdę. Chciałam stamtąd uciec. Ale on miał nasze pieniądze i dokumenty. Mówię ci, to był koszmar. A teraz... Boję się, że będzie mnie prześladował. Tak bardzo chciałabym na jakiś czas zniknąć.

Powinnaś jechać do mamy, pomyślałam, ale nie wypowiedziałam tych słów na głos. Doskonale wiedziałam, że dla Agaty to był temat tabu. Od czasu rozvodu rodziców tylko raz odwiedziła matkę w Dęblinie. Pojechała na tydzień, a wróciła po dwóch dniach. Chodziłyśmy wówczas do szkoły średniej. Kiedy odbierałam ją z pociągu na stacji, była tak zapuchnięta od płaczu, jakby nie przestała płakać ani na sekundę od chwili zajęcia miejsca w przedziale. Nigdy mi nie opowiedziała, co właściwie się wtedy zdarzyło.

— Zamieszkaż tutaj — powiedziałam, zamiast wszczynać bezowocną kłótnię o jej relację z matką. — Tak jak wczoraj mówiłam. Tylko nikomu ani słowa. Żadnej przyjaciółce, żadnemu kumpłowi od kręgli, nikomu.

— Dobrze — zgodziła się potulnie. — Ale co powiem tacie?

— Że musisz wziąć jeszcze tydzień urlopu. Kiedy tydzień minie, wrócisz do pracy, tyle że będziesz jeździć stąd, to raz. A dwa: taksówką, na rowerze jesteś rozpoznawalna, widoczna i w ogóle.

— I w ogóle — zgodziła się. — Tylko skąd kasa na taksówki?

— Naprawdę do ciebie nie dociera, że jesteśmy przy forsie? Agata, dobrze wiesz, jak by było, gdybyś to ty wygrała. Podzieliłabyś się ze mną, prawda? Zgodnie z umową.

Pokiwała głową, a oczy zaszyły jej łzami.

— Więc nie kłóć się, nie bądź uparta. Po prostu ciesz się z tego wszystkiego razem ze mną.

— Kocham cię, wiesz?

— Już mi to mówiłaś, przynudzasz — powiedziałam gderliwie, żeby nie pokazać, jak bardzo się wzruszyłam. — Masz tu na górze materac, śpiwór i jasek, tylko jadać musisz na mieście, bo tu chwilowo nic nie ma, lodówki ani stołu, nic. Ja na czas remontu wróciłam do mamy, czyli będziesz zostawać sama. Ale gdyby coś się działo, kupi się drugi materac i będziemy mieszkać razem.

Martwiłam się o nią. Kiedy opowiadała o Sebastianie, widziałam w jej oczach prawdziwy strach. Musiała się okropnie bać w tej Portugalii, podczas podróży i zaraz po przyjeździe. Biedna, ufna i serdeczna dziewczyna, która po raz

pierwszy natrafiła na prawdziwe, paskudne zło. Bardzo chciałam jej pomóc, a w dodatku zupełnie przypadkiem było mnie na to stać.

Kiedy Agata pojechała do siebie, żeby spakować trochę rzeczy i powiedzieć ojcu, że znika jeszcze na tydzień, ja udałam się do kuchni. Nowe płytki pokrywały już większą część podłogi; w szczelinach między nimi sterczały białe krzyżyki. Pan Mietek przycinał właśnie kolejny kafelek, robiąc przy tym mnóstwo hałasu i wytwarzając wokół siebie chmurę pyłu.

— Mogę z tobą porozmawiać? — zwróciłam się do Krzyska.

Kiwnął głową, zdziwiony i chyba zaniepokojony, po czym poszedł za mną na górę.

— Słuchaj, to jest taka raczej nietypowa prośba — zaczęłam. — Chodzi o to... Albo może zacznę od tego...

— Wal śmiało — zachęcił mnie.

— Mam walić śmiało? Proszę bardzo: chciałbyś trochę zarobić na boku?

— Co takiego? — Aż się zakrztusił. — W jakim sensie?

— W takim, że ja potrzebuję bardzo nietypowej usługi i jestem gotowa nieźle za nią zapłacić.

Zarumienił się, co uświadomiło mi, że walę aż nazbyt śmiało.

— Nie będę wchodzić w szczegóły — dodałam pospiesznie. — Z grubsza sprawa wygląda tak: mam nieco toksyczną matkę i chcę od niej uciec, zacząć żyć po swojemu. Kiedy kupiłam dom, naopowiadałam jej, że wyprowadzam się do faceta, bo nie chciałam, żeby się wtrącała. Wszystko szło świetnie, ale ostatnio wymusiła na mnie obietnicę, że zaproszę go na niedzielny obiad... A ja, widzisz, jak by to powiedzieć...

— Nie masz nikogo — domyślił się.

— Dlatego chciałabym cię prosić, żebyś zagrał rolę mojego chłopaka.

— Rozumiem. Wygląda na to, że dam radę. Przejdźmy do konkretów. Ile mi proponujesz i co będzie należało do moich obowiązków?

Zaproponowałam mu dwieście złotych za ten niedzielny obiad oraz po sto za każdą kolejną randkę, jeśli takowe będą potrzebne. Ustaliliśmy, co ma mówić: że jest bogaty, po pierwsze z urodzenia, a po drugie wzbogacił się jeszcze bardziej na... (tu nastąpił moment zawahania, żadne z nas nie wiedziało, na czym właściwie ludzie się wzbogacają)... handlu w branży komputerowej. Krzysiek miał o tym zaledwie blade pojęcie, ale mama nie miała żadnego, Benio także nie, istniała więc szansa, że jakoś to łykną. Ponadto miał mnie od czasu do czasu cmoknąć w policzek, przytulić niezobowiązująco, chwycić za rękę i tak dalej, ale bez szaleństw, bo przecież mamy prawo się krępować przy mamusi.

— Ile tego będzie, jak oceniasz? — zapytał jeszcze. — Ze cztery randki?

— Tak, sądzę, że to wystarczy.

— A potem? Jak z tego wybrniesz?

— Powiem, że mnie rzuciłeś. — Wzruszyłam ramionami. — Ale ponieważ jesteś tak diabelnie bogaty, zostawiłeś mi ten dom, żebym się nie czepiała. Bo mam na ciebie haka. Bo lubisz seks ze zwierzątkami albo coś.

— To nie takie proste. Twoja mama może chcieć się upewnić, że podpisaliśmy jakieś papiery czy coś.

— Powiem jej, że dom został kupiony na moje nazwisko, bo miałaś jakieś ciemne sprawy i chciałaś wyprać trochę brudnych pieniędzy. Albo coś w tym stylu. W każdym razie coś takiego, żeby cię nie żałowała.

— Tylko żebym nie miał potem jakichś problemów — zastrzegł.

— Nie, no coś ty, Krzysiek. Co najwyżej ja mogę mieć kłopoty, jeśli mama się zorientuje i do końca życia mi nie wybaczy.

— A właściwie dlaczego ją okłamujesz? — zainteresował się. — Po prostu powiedz jej, jak jest. Że chcesz być samodzielna i tak dalej.

Przecież nie mogłam, bo wówczas musiałabym także przyznać się do wygranej, a gdy mama doszłaby całej prawdy, moje życie zmieniłoby się w wydawanie pieniędzy pod jej dyktando — i tyle bym miała z mojej wymarzonej samodzielności. Ale takiego argumentu nie mogłam przedstawić Krzyškowi. W ogóle im dalej wchodziłam w całą tę sprawę z moją wielką wygraną, tym więcej piętrzyło się wokół mnie kłamstw. I coraz mniej mi się to podobało.

— Nie da się — odpowiedziałam w końcu, ponieważ z wyrazu twarzy Krzyśka wywnioskowałam, że to nie było pytanie retoryczne. — Może kiedy ją poznasz, zrozumiesz. A może zresztą nie, może po prostu ja jestem jakaś nienormalna. W każdym razie nie i już.

Pokiwał głową i wrócił do swoich zajęć, a ja do swoich, czyli sprzątnięcia pokoju, w którym miała zamieszkać moja przyjaciółka. Po jakiejś godzinie panowie skończyli pracę, pożegnali się i poszli, zostawiając po sobie kolejną stertę petów, papierków od cukierków i (tym razem tylko trzy) zgniecione puszki po piwie. Ledwie zdążyłam nieco posprzątać, zetrzeć kurz i wywietrzyć, a już nadjechała taksówka, a w niej Agata. Pomogłam jej wnieść bagaże, pobawiłam się w superszpiega, czatując w chaszczach przy drodze, by sprawdzić, czy nie przyjechał za nią Sebastian, po czym poszłam na górę, do pokoju, w którym miała się w najbliższych dniach ukrywać. Zrobiłyśmy sobie stolik z jednego z kartonów wypełnionych książkami, elegancko nakryłyśmy go ręcznikiem w muszelki i porozkładałyśmy wiktuały przywiezione przez moją przyjaciółkę: pistacje, ser pleśniowy, kabanosy i oczywiście wino.

— Nie ma kieliszka — zmartwiła się Agata. — Nie lubię pić wina z butelki.

— Kieliszków — poprawiłam ją. — Potrzebne są dwa. Nie jestem już abstynentką.

— Co ty powiesz? Pieniądze jednak strasznie psują ludzi.

— Nie, to nie tak. Prowadzę badania nad bezsennością. — I opowiedziałam jej o tym, jak to pamiętnej nocy u boku Łukasza, po raz pierwszy od porażenia piorunem, przespałam ponad cztery godziny.

Agata nie zwróciła uwagi na moje ambicje naukowe, natomiast bardzo zainteresowała ją postać Maczka. Zażądała bezzwłocznych wyjaśnień.

— Zaraz ci wszystko opowiem, tylko znajdę coś, w czym mogłybyśmy napić się tego wina — odparłam.

Oczywiście nie miałam prawa nic znaleźć, jako że z pustego i Salceson nie naleje, ale za to wpadłam na pewien pomysł: wywaliłam resztki chrzanu i musztardy (kupione jakiś czas temu na pierwszą kolację w Domu Nad Rzeką; przechowywane w temperaturze pokojowej, zaczęły się już psuć), porządnie wypłukałam słoiczki — i tak oto wzniosłyśmy toast winem, które lekko podśmierdywało chrzanem i musztardą sarepską (to ostatnie akurat trafiło się mnie).

— Za ławeczkę pod bzem. — Tak brzmiała moja propozycja.

— Za przyjaźń, miłość, seks, pieniądze i ławeczkę pod bzem! — uzupełniła Agata.

Niedziela nadeszła przerażająco szybko. Niby wszystko z Krzyśkiem obgadaliśmy, ale i tak już od rana byłam zupełnie spanikowana. Zresztą podobnie jak mama, która wymiotła kurz nawet z za pralki.

— Mamo, on nie będzie tam zaglądał. — Próbowałam ją uspokoić.

— Nigdy się nie wie takich rzeczy — zatrajkotała. — Weźmy na przykład taką sytuację: psuje mi się pralka, woda cieknie. Benio na działce, a w domu jest akurat mężczyzna, więc prosimy go o pomoc; prowadzisz go do łazienki i on odsuwa pralkę, a tam pajęczyny.

— Po prostu nie wstawiaj prania podczas jego wizyty.

— Przecież nie zamierzałam. To tylko przykład.

Wiedziałam, że jej nie przegadam. Potulnie wykonałam wszystkie absurdalne polecenia w stylu zmiany pościeli (przecież nie będzie nocował!!!), zwinięcia w kulki skarpetek w szufladzie oraz uporządkowania rachunków za gaz, pomogłam jej w przyrządzeniu obiadu, a na koniec pozwoliłam sobie zrobić pokazowy makijaż i... aż mnie zatkało. Nie sądziłam, że mama jest w tym aż tak dobra!

— Mamuś, to jest genialne!

— Przecież zawsze ci mówiłam, że mam talent.

— A skromność to twoja największa zaleta.

Roześmiała się z zadowoleniem.

— Na ogół czekam, aż inni mnie pochwalą. Ale przy tobie nie muszę się krygować.

Cóż, odkrywałam nieznane mi dotąd oblicze własnej matki. Najpierw tamta rozmowa o szczęściu, teraz żarty z samej siebie. Zaczynałam lubić z nią rozmawiać.

Kto by pomyślał, że Krzysiek będzie się stresował tak samo, jak ja i mama. Stanowiliśmy naprawdę dobrane towarzystwo. Tylko Benio wyglądał na całkowicie wyluzowanego.

— Mamo, poznaj Krzysztofa.

— Od dawna chciałem poznać mamusię Pamel... znaczy Igi — palnął Młody zaraz po wejściu (dodam jeszcze, że PRZED wejściem przez jakieś pięć minut nerwowo wycierał buty, zupełnie jakby wdepnął w gówienko; aż sprawdziłam, czy nie wydrapał dziury w wycieracze).

— Pameli? Kto to jest Pamela? — zapytała mama czujnie.

— Nieee, on tak na mnie czasem mówi. — Roześmiałam się sztucznie i poklepałam go po ramieniu. — A ja na niego „Łukasz”. Takie nasze żarty.

— Żarty — powtórzyła mama pod nosem. — To ja mam chyba inne poczucie humoru.

Weszliśmy do dużego pokoju, gdzie stały już nakrycia. Benio wstał, przywitał się i usiadł ponownie, zapewne zastanawiając się, od jakiego dowcipu zacząć konwersację.

— Iguś, chodź mi pomóc z obiadem, jak zawsze — powiedziała mama takim tonem, jakby deklamowała wiersz.

— Dobrze, mamo — odpowiedziałam, wchodząc w rolę, po czym cmoknęłam Krzyśka jak z dubeltówki i uroczyście oddaliłam się w kierunku kuchni.

— Ładny — oceniła mama teatralnym szeptem. Byłam pewna, że Młody to usłyszał, toteż spiekłam raka. — I taki umięśniony.

— Chodzi na siłownię — wyjaśniłam.

— To dobrze. Sportowiec, znaczy ma silną wolę.

— Może i tak.

— Nie „może”, tylko na pewno. Chociaż z drugiej strony, pewnie bierze jakieś sterydy. To by znaczyło, że ma skłonności do uzależnień.

— Jak tata?

— Jak tata.

— Fatalnie.

— Nie kpij z tego, córko. Pamiętaj, żeby wziąć mizerię.

— Nie kpię, mamo. Nie zapomnij mięsa — odgryzłam się.

Wróciłam do pokoju i mrugnęłam konspiracyjnie do Krzyśka, a on odpowiedział mi tym samym. Od razu poczułam się podniesiona na duchu. Wkrótce nadeszła mama z półmiskiem, na którym upchnęła chyba ze dwadzieścia pieczonych pałek z kurczaka.

— Duży mężczyzna, duża porcja — zaświergotała. — My z Igusią tojemy raczej niewiele.

— To widać — skwitował Krzysiek. — Pani ma figurę jak nastolatka.

Wiedziałam doskonale, że kupił sobie tym stwierdzeniem jej dozgonną miłość.

— Przychodzi do lekarza baba z mózgiem na rękach — wtrącił się Benio. — I mówi: Panie doktorze, to mi się w głowie nie mieści.

Krzysiek rzucił mu zdziwione spojrzenie, ale mama machnęła ręką, jakby odganiała owada.

— Bo wiesz, kochany Krzysiu, trzeba uważać na to, co się je. Są takie kobiety, które odchudzają się przez całe życie, a my z Igą nie, nie musimy, ale za to po pierwsze, nie obżeramy się, a po drugie nieustannie myślimy o tym, jak skomponować zdrowe posiłki. I o naszych bliskich także dbamy w ten sposób — wyjaśniła, i teraz ja nie zdołałam powstrzymać się od zrobienia zaskoczony miny, bo po pierwsze, jedyny nasz „bliski” był grubasem, który jadł niemal bez przerwy, a po drugie, myślenie o komponowaniu posiłków to była ostatnia rzecz, która by pasowała i do mnie, i do mamy.

Tak szczerze mówiąc, o jedzeniu to ja akurat wcale nie myślałam. Jeśli było przede mną i okazywało się smaczne, to pochłaniałam spore ilości, ale jeśli go nie było, to też w porządku. Mogłam nie jeść dość długo albo jeść byle co, na przykład w pierwszych dniach w Domu Nad Rzeką żywiłam się bułkami, w których robiłam palcem dziurę, a następnie wkładałam tam serek topiony.

Teraz akurat wszystko było pyszne, bo mama naprawdę umiała gotować, rzuciłam się więc na posypane koperkiem ziemniaki, nałożyłam sobie całą miseczkę mizerii i trzy porcje mięsa. Kiedy zjadłam, jednym uchem wciąż przysłuchując się tyradzie mamy, i chciałam dołożyć sobie kartofli, złowiłam jej ostrzegawcze spojrzenie.

Aha, pomyślałam, chyba nie bardzo pasuje to do głównej tezy tej wypowiedzi, mianowicie: „po pierwsze nie obżeramy się”.

— Ależ się najadłam — westchnęłam, teatralnym gestem masując sobie okolice żołądka.

— Wszystko jest znakomite — powiedział nasz gość.

Niezgrabnie objął mnie ramieniem i zacmokał w mój policzek jak rybka w akwarium. Takie *cium cium cium*.

— To teraz się napijemy — powiedziała mama, po czym skierowała swe kroki do kuchni.

— Jedna koleżanka mówi do drugiej: Oj, ten mój mąż to pijak, już noc, a jeszcze go w domu nie ma. — Benio natychmiast wykorzystał moment, by wpleść suchara. — Na to druga: Powinien brać przykład z mojego. Już dawno go przynieśli do domu.

Po czym, zanosząc się śmiechem, podreptał do toalety w korytarzu.

Krzysiek zrobił przerażoną minę.

— Ratur — szepnął. — Ja nie umiem pić. Strasznie szybko się upijam, a jak już się urżnę, to jestem szczery do bólu. Nie mówiąc o tym, że puszczam pawia za pawiem.

Przeraziło mnie to wyznanie, bo w naszym tymczasowym układzie szczerość była absolutnie niepożądana, o pawiach nie wspomnę, ponieważ ich się nigdy nie pożąda. Czym prędzej wstałam i pod pretekstem odniesienia talerzy udałam się do kuchni.

— Mamo — szepnęłam. — Ty go nie częstuj wódką. Ja nie chcę! Wiesz, mnie się to kojarzy z pijanym tatą.

Naiwnie sądziłam, że ten argument ją przekona.

— Córku, właśnie o to chodzi. Pewne rzeczy trzeba sprawdzić, zanim się wdepnie po pachy. A mężczyznę najlepiej poznasz przy alkoholu, uwierz mi. Czy umie pić, czy umie odmówić i tak dalej. A już zwłaszcza przy przyszłej teściowej.

— Zaraz tam teściowej — obruszyłam się. — Ja się jeszcze za męża nie wybieram.

Zerknęła na mnie dziwnie i jakby diabeł w nią wstąpił, zaczęła trajkotać niczym nakręcona.

— To tym bardziej masz teraz czas, żeby eksperymentować, bo niby kiedy się takich rzeczy nauczysz, jeśli nie teraz. Jak chłop pije, jak trzeźwieje, jak o niego zadbać, tego się kobieta musi nauczyć na własnych błędach, kochanie.

— Ja się mam uczyć na własnych błędach tego, jak pije mój chłop? — powtórzyłam z niedowierzaniem, bo to zdanie wydało mi się najgłupszym, jakie w życiu słyszałam.

Ale mama nie odpowiedziała, ponieważ już szła do pokoju, niosąc na małej tacy kawałki kiełbasy i chleba, cztery kieliszki i schłodzoną wódkę w butelce pokrytej kropelkami wody.

Krzysiek spojrzął na nią wzrokiem pełnym paniki, ale nic nie powiedział. W ogóle ani drgnął, choć przez chwilę byłam pewna, że zerwie się z kanapy i ucieknie. Benio wrócił już z łazienki. Sądząc po szerokim uśmiechu, zdążył opowiedzieć kolejny dowcip.

— Na zagrychę jałowcowa — powiedziała mama ochoczo. — I chlebek do powąchania. No! To chlup!

— Chlup! — zgodził się zrezygnowany Krzysiek.

Benedykta nie trzeba było namawiać. Nawet ja, choć z jeszcze mniejszym niż Krzysiek entuzjazmem, ujęłam kieliszek w dłoń.

Mama miała w oczach szatański błysk. Wiedziałam, że czeka nas interesujące popołudnie.

Następnego dnia obudził mnie koszmary ból głowy i poczucie, że rozpadam się na atomy. To była dla mnie absolutna nowość. Jako że dotychczas zwykle starałam się unikać mocnych trunków, nie miałam jeszcze okazji przekonać się, jak bardzo dotkliwy może być stan zwany kacem.

— Zaparzyłam ci herbatę — powiedziała mama, która nie wiedzieć kiedy weszła do mojego pokoju.

— Dzięki — szepnęłam.

— Chcesz coś na ból głowy?

Aby zminimalizować wysiłek, samymi oczami pokazałam, że chcę (choć mówiąc szczerze, bolały mnie nawet gałki oczne). Po chwili mama przyniosła aspirynę i alka-seltzer.

— Co wybierasz? — zapytała.

— To, co się ciszej rozpuszcza — zażartowałam ponuro.

Słyszałam kiedyś to powiedzonko od Benia, ale nie bardzo wiedziałam, na czym polega dowcip. Teraz zrozumiałam. Połknęłam dwie aspiryny rozpuszczone w łyżce wody, popiłam herbatą i ostrożnie opadłam na poduszkę.

— Dzięki — powiedziałam, po czym zamknęłam oczy i usiłowałam siłą woli zmusić wszystkie organy w moim ciele, aby przestały się trząść, a żołądek, żeby wrócił na swoje miejsce i pozostał tam nieruchomo.

Kiedy obudziłam się ponownie, głowa bolała jakby trochę mniej. Wstałam ostrożnie; szybko jednak uznałam, że to był bardzo zły pomysł. Położywszy się znowu, zaczęłam rozpamiętywać poprzednie popołudnie. O ile słowo „rozpamiętywać” może być użyte w przypadku, gdy pamięta się niewiele.

Oto, co udało mi się poskładać w całość: piliśmy, zagryzaliśmy kielbasą i wachaliśmy chleb. Mama wypytywała Krzyśka o pracę, a on zgodnie z planem powymyślał trochę o prowadzeniu sklepu z monitorami, myszkami, gramami komputerowymi i tak dalej. Opowiedział też o wściekle bogatym ojcu, który prowadzi firmę budowlaną, a na koniec (jeszcze w miarę przytomnie) dodał, iż powierzył prowadzenie sklepu komuś innemu, bo sam wchodzi w interes ojca, na budowlance można teraz świetnie zarobić, coraz więcej ludzi chce mieć dom za miastem. Benio przeplatał opowieść dowcipami, a Krzysiek coraz częściej się z nich śmiał.

Wszystko szło dobrze, dopóki mama nie zapytała o to, jak się poznaliśmy. Tego nie ustaliliśmy wcześniej, a ponieważ oboje byliśmy już nabombani w niejedną rurkę, zaczęła się radosna twórczość.

— Na siłowni — powiedział niewyraźnie Krzysiek i spojrzał na mnie z głupim uśmiechem, ponieważ dokładnie w tym samym momencie powiedziałam:

— W kawiarni.

— Była kawiarnia na siłowni.

Na moment zapadła cisza. Benio, ku memu największemu zdziwieniu, nie próbował opowiedzieć dowcipu, tylko patrzył na nas z uwagą.

— Kawiarnia nazywała się „Siłownia” — dodał szybko Krzysiek.

— Miałeś te swoje muskuły.

— A ty byłaś w sukience.

— Na siłowni w sukience? — wtrąciła się mama, która przez cały czas patrzyła na nas pobłażliwie.

— Nie, w kawiarni — odparłam z godnością, a wtedy nasz gość wykazał się doskonałym wyczuciem chwili i zwymiotował pod stół.

Wspomnienie dalszej części wieczoru ginęło w gęstym mroku niepamięci i po namyśle uznałam, że tak jest lepiej.

Kiedy tylko doszłam do siebie na tyle, żeby się umyć, ubrać i wyjść z domu, zwałam. Klasycznie dałam dyla. Postanowiłam, że przez jakiś czas pomieszkam z Agatą, aby uniknąć niewygodnych pytań mamy — zwłaszcza że nawet nie wiedziałam, o co mogłaby zapytać, jako że nie pamiętałam dalszego ciągu naszych niewątpliwie barwnych przygód.

Zajrzałam tylko do salonu, czy nie trzeba posprzątać, ale nie — pod stołem było czysto. Jak przez mgłę przypominałam sobie dziwny obraz: oboje z Krzyśkiem, na kolanach, pucujemy zapaskudzone panele ściereczkami z mikrofibry. Mój żołądek zachybotał się niebezpiecznie, ale na szczęście nic w nim nie miałam, ryzyko pawia było więc niewielkie.

Benio pojechał już na działkę, byłam sama w mieszkaniu. Ból głowy znowu się nasilił i przypominał teraz walenie wielkim młotem w skronie. Nie miałam siły zrobić sobie makijażu (wczorajszy jakimś cudem miałam zmyty), jedynie dość niedbale przeczesalam włosy, ubrałam się byle jak, założyłam ciemne okulary, żeby nikt nie widział fioletowych worków pod moimi znękanymi oczami — i zamówiłam taksówkę. Zostawiłam mamie kartkę: „Mamuś, jadę do Krzysia, bo on też źle się czuje; pocierpimy razem. Nie wracam na noc, może po południu gdzieś się wybierzemy, nad wodę czy coś”. Wyciszyłam komórkę, ponieważ na samą myśl o tak przenikliwym dźwięku rozlegającym się w mojej torebce robiło mi się niedobrze, i wyszłam na klatkę schodową. Było mi trochę ciemno w tych okularach, zdjęłam je więc i wcisnęłam przycisk windy, a kiedy drzwi się otworzyły, zapragnęłam zapaść się pod ziemię. Wewnątrz stał, a jakże, Wojtek Kornecki.

— Dzień dobry — powiedziałam na wdechu, żeby nie poczuł moich alkoholowych wyziewów, po czym błyskawicznie założyłam okulary.

— Słucham? — Nachylił się w moją stronę. — Coś pani mówiła?

— Dzień dobry — powtórzyłam z rezygnacją.

Przywitał się i odwrócił wzrok. Do diabła, a mogłam zrobić sobie fryzurę, umalować się i włożyć jakąś kwiecistą kieckę. Wtedy zapach nie pasowałby do obrazka i Wojtek mógłby na przykład uznać, że wyjątkowo wiozę coś śmierdzącego w torebce.

— Już po przeprowadzce? — zagadnął.

Zaskoczył mnie, nie powiem. Nigdy dotąd nie zagadywał mnie w windzie. Maciek owszem, ale jego starszy brat — nigdy.

— Prawie — odpowiedziałam słabo. — Resztę rzeczy przewiozę po remoncie domu.

Winda znalazła się na parterze; wysiedliśmy. Zawsze panował tu półmrok; ponieważ nadal miałam na nosie okulary, nie widziałam zupełnie nic. Po omacku, dosłownie wodząc dłonią po ścianie, trafiłam do miejsca, gdzie padało światło z niewielkiego okienka.

— Złe się pani czuje? — Usłyszałam głos i dopiero wówczas uświadomiłam sobie, że brat mężczyzny z moich marzeń przez cały czas mnie obserwuje.

— Mam migrenę — rzuciłam w przypiływie rozpacz. — Światłowstręt. W ogóle mam chwilowo kilka wstrętów.

Nie wiem, jak zrozumiał moje słowa, w każdym razie szybko się ulotnił. Ja zaś wyjrzałam, czy taksówka już podjechała, i dopiero kiedy upewniłam się, że samochód czeka, odważyłam się wyjść z klatki schodowej.

Krzyśka nie było w pracy. Pan Mietek pogwizdywał przy robocie; ten dźwięk zdawał się przewiercać moją czaszkę na wylot. Agata, która właśnie wróciła z miasta z wielkimi zakupami, zaaplikowała mi lekarstwo o smaku mdłej oranżadki — rozpuściła dwie saszetki w wodzie i kazała wypić duszkiem. Okazała się specjalistką od kaca, bo rzeczywiście głowa przestała mnie boleć już po kilkunastu minutach. Poczułam się tak, jakbym dostała nowe życie.

— Gdzieś się tak zaprawiła? — zapytała moja przyjaciółka.

Nie wtajemniczyłam jej w sprawę z Krzyśkiem, ponieważ trochę się wstydziłam, że płacę mu za udawanie mojego chłopaka. Agata, ze swoją urodą i umiejętnością nawiązywania nowych znajomości, pewnie by tego nie zrozumiała.

— W domu — powiedziałam. — Z mamą i Beniem, dasz wiarę?

Zrobiła wielkie oczy.

— Mnie by chyba nie smakowało przy tacie — powiedziała. — On jest przekonany, że ja nie tykam alkoholu.

— Dlaczego nie wyprowadzisz go z błędu?

— Po co? — Wzruszyła ramionami. — Niech sobie żyje w błogim przekonaniu, że uchronił mnie przed zepsuciem i złem tego świata.

— To cyniczne — orzekłam.

— Nie bardziej niż to, co ty robisz — odparowała, a ja przez moment bałam się, że ma na myśli historię z Krzyśkiem, i gorączkowo myślałam, jakim cudem się o tym dowiedziała. — Nie powiedziec mamusi, że się zgarnęło parę milionów w totka? Co za niewdzięczna córka!

Zamilkłam. Agata zawsze waliła prawdę prosto w oczodoły; była szczerą do bólu.

— Nie dokładaj mi — jęknęłam. — Już i tak czuję się jak gąbka. Wyżęta.

— Chyba ścierka.

— Na jedno wychodzi.

Usiadła obok na materacu i przytuliła mnie z całych sił.

— Przecież się wygłupiam — powiedziała. — Ja na twoim miejscu też bym nie powiedziała. Twoja mama jest... Nie gniewaj się, ale...

— Toksyczna?

— Apodyktyczna.

— Koszmarna.

— Przerazająco odporna na argumenty.

— Ale i tak ją kocham — podsumowałam. — Wiesz, ostatnio sporo o tym myślałam. Uświadomiłam sobie, że ona zrobiła się taka nadopiekuńcza po moim wypadku. Wcześniej byliśmy daleko od siebie, to prawda, ale zapewne głównie z mojej winy. Odsunęłam się od niej, obraziłam jak jakiś dzieciak, bo chyba miałam żal, że ona nie tęskni za tatą tak jak ja. A przecież mój tata nie był aniołem i w sumie nie powinnam jej się dziwić.

Agata milczała. Prawdopodobnie moje wynurzenia przywodziły jej na myśl własne sprawy rodzinne.

— A po tym, jak mnie trzasnęło na balkonie... Sama powiedz, trochę mi się jednak w głowie poprzestawiało. Przecież nie jestem taka głupia, żeby tego nie widzieć. I mama mnie chyba tak właśnie traktuje, jak dziecko specjalnej troski.

— Bez przesady — prychnęła Agata. — Większość ludzi na świecie nie ma w głowie połowy tego, co ty zachowałeś po tym twoim piorunie. Nie widzisz tego? Przekręcasz nazwiska i tytuły. No i co? Ja mam znajomych, którzy mówią „poszłem”, „zaczęłem” i „wziąć”, a jakoś nie czują się niepełnosprawni. A że czasem coś pokićkasz i Kochanowskiego nazwiesz Romansowiczem? Też mi wielki problem!

— Naprawdę tak myślisz?

— Naprawdę — potwierdziła z uczuciem. — Iga, jesteś świetną babką. A teraz w dodatku stać cię na to, żeby spełnić kilka swoich marzeń i zachcianek. Po prostu to zrób. Nie myśl za dużo, nie analizuj, nie kombinuj. Żyj sobie tak, jak masz ochotę.

— Kiedy w zasadzie moją jedyną zachcianką jest pewien przystojny blondyn...

Agata zatarła ręce.

— Nareszcie wracasz do formy — oznajmiła. — To teraz napijemy się herbaty i opracujemy Bardzo Sprytny Plan.

Do realizacji Bardzo Sprytnego Planu przystąpiłam już w środę. Ślady po moim kacu wszech czasów (no dobrze, po prostu pierwszym prawdziwym kacu w moim życiu) zniknęły; poza tym wykonałam sobie mistrzowską fryzurę, Agata pomogła mi zrobić makijaż, który był prawie równie dobry jak ten w wykonaniu mamy. Kupiłam też na tę okazję seksowny, czerwony kombinezon bez pleców. Wprawdzie wydawało mi się, że mężczyźni wolą sukienki, ale Agata, zobaczywszy mnie w tym kombinezonie, wydała z siebie takie głębokie, nabożne westchnienie, że postanowiłam zaufać jej intuicji.

Wcześniej oczywiście wyszukałyśmy w internecie przedsiębiorstwo Wojciecha Korneckiego, producenta mebli ogrodowych. Błyskawicznie znalazłyśmy: *firma „Dream Garden”, mała architektura ogrodowa, meble, dekoracje, altany, ogrodzenia drewniane*. Sklep oraz zakład produkcyjny znajdowały się przy ulicy Fordońskiej. Teraz cała sztuka polegała na tym, żebym trafiła akurat na brata szefa albo przynajmniej samego szefa, ponieważ rozmowa z pozostałymi pracownikami (a zakładałam, że Wojtek ma ich kilku) kompletnie mnie nie interesowała.

Wykonałam pracę umysłową polegającą na przeanalizowaniu tego, w jakich porach zdarzało mi się widywać Maćka w windzie lub na balkonie mieszkania brata. Agata robiła notatki. Niestety, nie udało nam się z tych zapisków wyłapać żadnej regularności. Prawdopodobnie po prostu Maciek wpadał czasem do Wojtka na piwo albo coś przekąsić.

— On na pewno kogoś ma — wyraziłam przypuszczenie. — Jest zbyt piękny, by mógł być sam.

— Bzdura — zgasiła mnie przyjaciółka. — Mówiłaś, że jego starszy brat jest równie piękny, a sam jak palec.

— Bo po rozwodzie — wyjaśniłam. — Trauma, rozumiesz.

— Albo straszny sukinkot. Może jest tak okropny, że żadna baba z nim nie wytrzyma.

No tak, mogę się przecież mylić co do nich, pomyślałam. Może jest tak, że widzę poszczególne części składowe: niebieskie oczy, jasne włosy, wysportowaną sylwetkę, ten szczególny redfordowy owal twarzy, dwudniowy zarost, ładne zęby, uśmiech i uprzejme zachowanie w windzie — ale nie dostrzegam czegoś, co dzieje się w sferze połączenia tych elementów. Może ogólny obraz jest zupełnie inny niż ten, który sobie stwarzam w wyobraźni.

Czułam się nieatrakcyjna, postrzelona (piorunem i w ogóle) oraz bez biustu. A tymczasem Agata wysyłała mnie na podryw wszech czasów.

— Najlepiej, gdybyś trafiła od razu na młodszego z braci, bo jeżeli zaczniesz

gadać o ławeczce ze starszym, to trudno ci będzie potem wymanewrować na Maćka.

— Dobrze, rozumiem. Dajmy na to, że wchodzę i jest Maciek. I co dalej?

— Zamówisz ławeczkę — instruowała mnie cierpliwie. — Opiszesz, jaka ma być, ale będziesz zupełnie bezradna w sprawie tego, gdzie miałyby stać, i poprosisz o fachową poradę. Musisz po prostu obudzić w nim instynkt opiekuńczy, rozumiesz?

— Tak się uwodzi mężczyzn?

— Zależy jakich. — Agata wzruszyła ramionami. — Tych, którzy lubią tatusiować, owszem. Ale tych, co szukają mamusi, trzeba uwieść zupełnie inaczej. Obiadkiem. Podusią. Kocykiem. No wiesz, trzeba się nimi zaopiekować.

— Ja takiego nie chcę — powiedziałam stanowczo. — Ja szukam tego pierwszego typu, co lubi tatusiować. Sama nie posiadam instynktu rodzicielskiego, nie będę robiła za mamusię.

— A jeśli twój Redford należy do drugiej kategorii?

— To ja go chromolę. Zrobię mu zdjęcie, powieszę w kuchni, będę na nie patrzeć i się zachwycać. Nie chcę go w realu.

— Okej. Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz. Zawsze można rzucić go w pierony.

— Słuszna uwaga. Dobrze, to teraz ostatnie muśnięcie pędzla i szminki.

— Oraz perfumy. I jedziesz.

— Jadę.

Pojechałam. Rany Julek, jak mi się trzęsły kolana. Chyba nigdy w życiu nie byłam tak przerażona, nawet przed egzaminem z tak zwanego SCS, czyli języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, który był najtrudniejszą kobyłą na polonistyce. Ostatecznie zdałam, choć potem nie byłam w stanie odtworzyć, o co mnie pytano.

Poprosiłam taksówkarza, żeby wysadził mnie nieco wcześniej, bo chciałam ochłonać. Ostatnie kilkadziesiąt metrów przebyłam na piechotę, zaklinając rzeczywistość: *Jestem pociągająca, jestem kobieca, jestem piękna*.

Znalazłszy się na podwórzu siedziby firmy Dream Garden, nadal recytowałam w myślach swoją mantrę, nic więc dziwnego, że gdy męski głos zagadnął mnie: „Słucham?“, powiedziałam to, co właśnie brzmiało w moich myślach, czyli: „piękna”.

— Nie rozumiem.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że ów głos należy do Wojtka Korneckiego, a dobiega zza siatkowej zasłonki zawieszanej w otwartych drzwiach biura i chroniącej przed muchami.

— Piękna — powtórzyłam, po czym rozejrzałam się w panice. — Piękna altanka.

Wskazałam dłonią drewnianą wiatę, która miała zapewne wabić klientów.

Została ustawiona przy bramie i obwieszona wiankami z suszonych kwiatów oraz wikliny.

— A nie, mamy w ofercie znacznie ładniejsze drewnutnie — ożywił się Wojtek. — To akurat jeden z pierwszych projektów, sprzed paru lat.

Zaprowadził mnie za budynek, gdzie znajdowało się coś w rodzaju ogrodu pokazowego i gdzie jeden z pracowników właśnie kończył koszenie trawnika. Rozpaczliwie rozglądałam się w poszukiwaniu Maćka, ale nigdzie nie było go widać.

— Proszę spojrzeć — rzekł Kornecki. — Tutaj mamy na przykład wiatę na drewno połączoną z domkiem gospodarczym. Czy to ma być raczej coś rekreacyjnego?

— Tak szczerze mówiąc — stropiłam się — to ja nie wiem. Kompletnie nie mam pojęcia, co mi będzie potrzebne. Pewnie jakaś wiata czy altanka też, ale przede wszystkim... Marzę o ławeczce.

— Ławeczce — powtórzył Wojtek, patrząc na mnie dziwnie.

— Owszem. W moich marzeniach stoi ona pod bzem. Rozumie pan, taka fantazja jeszcze z czasów młodości.

Wojtek roześmiał się serdecznie.

— Strasznie to zabawnie brzmi, kiedy taka młoda osoba wspomina młodość — zauważył.

— Wcale nie jestem dużo młodsza od pana — powiedziałam. — Kto wie, może nawet jesteśmy w tym samym wieku.

Doskonale wiedziałam, że to niemożliwe, ale chciałam jakoś zmniejszyć dystans między nami. Wojtek znów spojrzał na mnie z nieodgadnionym błyskiem w oku, lecz nie podjął tematu.

— Więc ta przeprowadzka oznacza jakieś większe zmiany w życiu?

— Co pan ma na myśli?

Teraz on się stropił.

— No, przecież nie postawi pani tej ławki i nie posadzi tego bzu w mieszkaniu albo na balkonie...

— Ach, o to chodzi. Widzi pan — przesłam na ton konspiracyjny — kupiłam dom. W tej chwili, jak kiedyś wspomniałam, jest jeszcze w remoncie, ale wkrótce będzie gotowy, bo ja nie potrzebuję luksusów... To tylko drobne poprawki, można powiedzieć, że kosmetyczne.

Oczywiście diabelnie sprytnie nawiązywałam do tej jego żony, która wiecznie chciała więcej i więcej, ale nie miałam pojęcia, czy załapał.

— Rozumiem — powiedział tylko. Najwyraźniej czekał na ciąg dalszy.

— I marzy mi się taki cichy zakątek. Ławeczka pod bzem. Może także altana. Może jakaś... Jak to się nazywa, wie pan, kratki, a na tych kratkach pnąca?

— Pergola.

— O, właśnie. Pergola. Tak sobie posiedzieć z herbatą pod pergolą... Ja w ogóle lubię ciszę, wie pan?

Kiwnął głową, ale nic nie powiedział. Nie był łatwym rozmówcą. Albo ja byłam taka kiepska w sztuce konwersacji. W każdym razie mówiłam coraz więcej i coraz bardziej nerwowo, co w zasadzie w ogóle do mnie nie pasowało i trochę nawet przeczyło moim własnym słowom, że lubię ciszę.

— Dlatego potrzebuję pomocy. Pomyślałam o waszej firmie, bo jesteśmy jakby... znajomymi, prawda? Sąsiadami w każdym razie. A pana brat to w zasadzie mój kolega. Byliśmy kiedyś razem na urodzinach Marioli Wiśniewskiej.

— Znów rozejrzałam się dokoła. — On też tu pracuje, prawda?

— Prawda. Ale obecnie jest na urlopie.

— Aha. — Posmutniałam.

Kornecki patrzył na mnie w milczeniu. Ciekawe, co sobie myślał. Chociaż właściwie wołałam nie wiedzieć.

— Jako sąsiad na pewno mi pan dobrze doradzi — podjęłam. — Wie pan, zawsze się ma więcej zaufania do znajomych wykonawców.

— Ale ustaliliście z mężem mniej więcej, jakie elementy wchodzi w grę? Bo żeby zrobić projekt, najpierw muszę wiedzieć, co was dokładnie interesuje. No i do jakiej kwoty.

— Z czym mężem? — zapytałam głupio, bo nie od razu do mnie dotarło, co on ma na myśli. — Aaa, z moim? Nie, absolutnie. To znaczy, ja nie mam męża.

— Przepraszam.

— Ani narzeczonego, nic z tych rzeczy. Panie Wojtku, czy ja mogę panu powierzyć sekret? — Znów ściszyłam głos, co sprawiło, że podszedł bliżej, a ja poczułam zapach płynu do płukania tkanin (pewnie byłoby bardziej romantycznie, gdybym wyczuła jakąś cholernie męską wodę kolońską, ale niestety to był tylko niebieski lenor). — Kupiłam dom w tajemnicy przed mamą.

Zrobił zdziwioną minę.

— Wie pan — kłamałam teraz jak najęta i w sumie zaskakująco nieźle mi to szło — ja mam trochę pieniędzy po ojcu i sporo odszkodowania po tym wypadku, wie pan.

Pokiwał głową, co upewniło mnie, że na całym osiedlu nie ma nikogo, kto nie wiedziałby, że zostałam porażona piorunem.

— A potem wszystko, co zarobiłam u matki w salonie urody, odkładałam, i tak oto uzbierałam na niewielki dom. Teraz chcę się tam przeprowadzić i zacząć żyć po swojemu. Wie pan, jak to jest mieszkać z rodzicami...

Urwałam, bo oczywiście znów palnęłam głupstwo. On dorastał bez matki, a z ojcem mieszkał przecież aż do jego śmierci. Zapewne te ostatnie miesiące były bardzo trudne i nie należało o tym wspominać.

— Wiem — odparł ponuro, ale nie dodał nic więcej.

Chyba nie był zainteresowany pociągnięciem rozmowy. Choć z drugiej strony, w tym ostatnim zdaniu, choć tak krótkim, wyczułam jakąś nieporozumienia.

— Żeby nie przedłużać... — powiedziałam z rezygnacją, bo skoro Maciek przebywał na urlopie, to nie miałam tu czego szukać. — Bardzo by mi zależało, żeby pan może podjechał... Bo ja nie umiem panu wytłumaczyć, jak tam u mnie jest. Gdyby pan mógł przyjechać i obejrzeć ten mój wielki ogród, coś by pan doradził, może odradził... Albo może brat po powrocie z wakacji, jeśli pan nie ma czasu. Bo ja jestem kompletnym stoikiem, jeśli chodzi o takie sprawy. Wie pan, dziecko blokowiska.

Jeśli przedtem miał dziwny wyraz twarzy, to teraz jego oblicze wyrażało czyste zdumienie. Domyślałam się, że palnęłam coś bez sensu, pewnie poplątałam stoika z laikiem albo na przykład flegmatykiem lub pragmatykiem, takie rzeczy zdarzały mi się wprawdzie rzadziej niż przekręcanie nazwisk, ale się zdarzały — lecz nie byłam w stanie przeanalizować własnej wypowiedzi. Denerwowałam się coraz bardziej.

— Zapiszę panu adres — zaproponowałam, a wtedy Wojtek Kornecki jakby ocknął się z zamyślenia i poszedł do biura.

Przyniósł jakiś kolorowy folder oraz kartkę i ołówek. Podyktowałam mu nazwę ulicy oraz numer telefonu, on wręczył mi katalog wyrobów drewnianych, po czym pożegnaliśmy się. Oddaliłam się z godnością, mając nadzieję, że przynajmniej zauważył i może nawet potem opowie bratu, iż mój kombinezon nie miał pleców i że naprawdę nieźle w nim wyglądałam, choć miałam gęsią skórkę, bo to była już końcówka sierpnia i, szczerze mówiąc, trochę marzłam.

— Ależ wszystko poszło naprawdę świetnie — pocieszała mnie Agata, kiedy zrozpaczona zrelacjonowałam jej rozmowę z Korneckim. — Po pierwsze, ma twój numer i adres. Po drugie, wie, że jesteś singielką i na pewno powie o tym bratu, a będą o tobie rozmawiali choćby dlatego, że muszą ci zaprojektować te ławeczki, pergole i altanki. Po trzecie, pierwsza rozmowa za wami, teraz masz już do czego nawiązywać przy kolejnych spotkaniach.

— Po czwarte, nakłamałam bez sensu o tych pieniądzach, odszkodowaniu...

— Musiałaś coś powiedzieć — usprawiedliwiła mnie Agata. — Inaczej podejrzewaliby, że jednak kogoś masz. Albo, co gorsza, że wzięłaś kredyt. To by mogło skutecznie odstraszyć Maćka.

— On nie jest takim materialistą — obruszyłam się. — Nawet by o tym nie pomyślał.

Agata popukała się znacząco w głowę, ale nie przekonywała mnie dłużej; widocznie uznała, że jestem zbyt niezyciowa i nie zrozumiałam. W każdym razie po rozmowie z nią zrobiło mi się trochę lepiej.

Prace remontowe w kuchni szły teraz pełną parą. Może na panów budowlanców (zwłaszcza na Krzyśka) działała motywująco obecność mojej przyjaciółki, a może na horyzoncie pojawiło się nowe zlecenie — dość, że ani się spostrzegłam, a miałam już śliczne, nowe, kremowe płytki nie tylko na podłodze, ale i na ścianach. Teraz pozostało tylko fugowanie, malowanie ścian i już można było myśleć o zakupie sprzętu oraz mebli.

Agata odczekała tydzień, odebrała kilka telefonów od Sebastiana, początkowo pełnych prośb, potem zaś gróźb, co utwierdziło ją w przekonaniu, że zamieszkanie u mnie na jakiś czas było dobrym pomysłem. Wreszcie sprawa przycichła i moja przyjaciółka uznała, że musi wrócić do pracy.

— Jak to do pracy? — Chciałam wiedzieć.

— Zwyczajnie. Jestem fotografem, zapomniałaś?

— Ale Agata, przecież teraz jesteś bogata.

— Nie jestem. Ty jesteś.

— Obiecałaś, że przyjmiesz te pieniądze! To nie w porządku!

Spojrzała na mnie spod grzywki.

— Nie chcę, żeby to nas poróżniło — odparła poważnie. — Wiesz, jak jest z przyjaźnią. Dopóki nie stanie między nami miłość ani wielka fortuna, wszystko jest okej.

— Ale właśnie stoi między nami! Nie miłość, tylko fortuna! A jak ci oddam twoją połowę, to przestanie stać. Obie wystartujemy od zera, to znaczy... no właśnie nie od zera! Agata, błagam!

— Przestań! Mnie jest dobrze tak, jak jest. To były żarty, z tym dzieleniem się na pół.

— Ale gdybyś ty wygrała, chciałabyś dotrzymać słowa i oddać mi połowę, prawda? — rozpłakałam się.

Moja przyjaciółka spoważniała.

— Przestań płakać — powiedziała. — Już o tym rozmawialiśmy. Oczywiście, że chciałabym się z tobą podzielić.

— Więc sama rozumiesz, dlaczego tak mi na tym zależy. Proszę, przemyśl to jeszcze. Przemyślisz?

Obiecała, że owszem, przemyśli, po czym zadzwoniła do ojca, że wraca do studia i teraz on może pojechać na urlop.

Tymczasem ja znowu poczułam się samotna i miałam nadmiar czasu. Spędzałam go na odbieraniu telefonów od mamy i wysłuchiwaniu jej tyrad na temat tego, że nie powinnam skreślać mężczyzny tylko dlatego, że nie umie pić (*Ależ nie skreślam, mamo! — Przecież widziałam, że miałaś do niego żal. — Nie, mamo, skądże, zresztą przecież wyjechaliśmy potem razem, prawda? — Ja tam swoje wiem, ty byś chciała, żeby wszyscy faceci byli doskonali jak w filmach! — Ale mamo... — A w ogóle to przyjeżdż, chcę ci pokazać nowy kolor szminki i mam do niego idealny lakier do paznokci, taka jakby wypalona cegła, do twoich nowych włosów pasuje idealnie*), planowaniu urządzenia domu i pierwszych zakupach oraz na oczekiwaniu na telefon od Wojtka.

Telefonu doczekałam się rzeczywiście, tyle że nie od Korneckiego, a od Łukasza Maczka, o którym, mówiąc szczerze, zdążyłam już zapomnieć. Ponieważ był właśnie w Bydgoszczy i szukał towarzystwa, zgodziłam się zjeść z nim kolację.

Postanowiłam pokazać mu najładniejsze miejsca w moim mieście. Nie miałam wprowadzić pojęcia, czy nie zrezygnował z projektu „pubów rzecznych”, ale pomyślałam, że tak czy owak przyjemniej będzie przejść się, niż tylko siedzieć, jeść i pić. Zwłaszcza że na słowo „pić” wciąż jeszcze reagowałam lekką błądzącością.

Spotkaliśmy się na Rynku. Powłóczyliśmy się trochę po Starym Mieście, potem zeszliśmy nad Brdę, zwiedziliśmy Wenecję Bydgoską i Wyspę Młyńską. Irytowało mnie, że zamiast podziwiać architekturę i chłonąć cudowny klimat tych miejsc, Łukasz gapił się na mnie.

— No co? — Nie wytrzymałam w pewnym momencie. — Dlaczego tak patrzysz?

— Ślicznie wyglądasz. Ten kolor włosów...

Zapewne są dziewczyny, które przywykły do słuchania komplementów, ale mnie spotkało to po raz pierwszy. Oczywiście słyszałam takie słowa od mamy albo Agaty, ale to się nie liczy. Co się powinno odpowiadać, jak należy reagować? Pewnie z nonszalancją uśmiechnąć się i zignorować pochwałę, aby pokazać, że

jestem przyzwyczajona. Tymczasem ja spłoniałam się jak nastolatka i powiedziałam szczerze:

— Szykowałam się ponad godzinę. — Po czym natychmiast zapragnęłam zapaść się pod ziemię.

Łukasz najwyraźniej wziął to za żart, bo zaczął się śmiać i przygarnął mnie do siebie ramieniem.

— Chodźmy coś zjeść. Kiedy na ciebie patrzę, robię się strasznie głodny.

Przypomniałam sobie tamten delikatny pocałunek na dobranoc i przez chwilę zastanawiałam się, czy są jakieś szanse na seks. Potem jednak uznałam, że po pierwsze, szans nie ma, bo ja nie zamierzałam odwiedzać Łukasza w hotelu, a do domu zabrać go nie mogłam, jako że wciąż nie posiadałam łóżka, a jedynie dwa materace i śpiwory, na których spałyśmy z moją przyjaciółką, a po drugie, Agata była o tej porze w domu i byłoby jej przykro, gdybyśmy się gzili za ścianą.

Nie żeby mi było jakoś strasznie żal. Nic z tych rzeczy, nie byłam specjalnie skupiona na doznaniach fizycznych, a seks interesował mnie bardziej jako dziedzina dotychczas niezwykle płytko (to dobre słowo) przeze mnie zgłębiona.

Patrzyłam na Łukasza, kiedy z wyraźną przyjemnością jadł żeberka pieczone w miodzie. Był taki ładny — naprawdę „ładny”, jak pocztówkowy widok albo gwiazda filmowa. Coś, na co można popatrzeć w telewizji, ale czego nigdy nie będzie się miało. Coś pozowanego, nieprawdziwego; ustawka.

— Tu jest rzeczywiście specyficzna atmosfera — powiedział, przeciągając się leniwie. — Tak jak mówiłaś, w Bydgoszczy jest coś, czego nie ma w Warszawie ani w Krakowie. Jakiś rodzaj ciszy, spokoju i luzu. I do moich pubów idealnie to „coś” pasuje.

— A ojciec? — zapytałam. — Dał się w końcu przekonać?

— Gdzież tam — zachnął się. — Ma być tak, jak on chce, mam w przyszłości samodzielnie prowadzić firmę, on mi przeciera ścieżki, wypracowuje kontakty...

— Więc jakim cudem zamierzasz zdobyć pieniądze?

— Nie wiem. — Skurczył się nagle, by po chwili ponownie wyprostować plecy i ramiona. — Nie mam jeszcze pomysłu, Iga. Ale wiem, że stanę na rżęsach, żeby dopiąć swego. Będę szukał. Są przecież kredyty, są środki unijne, ludzie jakoś zaczynają. Nie poddam się tylko dlatego, że tatuś mówi „nie”.

— Słusznie.

— A ty? — zapytał. — Postanowiłaś coś?

— Na razie kupiłam dom i go urządzam — odparłam. — A co do reszty, jeszcze myślę. Chciałabym... chyba chciałabym robić coś ważnego, wiesz?

— Co to znaczy: ważnego? Co masz na myśli?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie interesuje mnie samo zarabianie pieniędzy. Wolałabym, aby to, czym się zajmę, było wartościowe, żeby miało

realny wpływ na czyjeś życie. Żeby je w jakiś sposób poprawiało.

— Bez przesady. — Łukasz roześmiał się. — Większość ludzi ma fajne życie, wcale nie trzeba go poprawiać. Inna sprawa, że wielu z nich tego nie zauważa. Marnują swój czas.

— A co ty możesz o tym wiedzieć? — zapytałam.

Miałam ochotę opowiedzieć mu, jak to jest, kiedy się na nic nie ma pieniędzy. Pamiętałam taki czas — tuż po śmierci taty, zanim mama doszła do siebie na tyle, żeby załatwić dla mnie rentę i zanim na powrót zaczęła zarabiać. Wyrzuciłam z pamięci większość wspomnień z tamtego okresu, ale jedno nie wiedzieć czemu pozostało: koniec podstawówki, moja klasa jadąca na ostatnią, pożegnalną wycieczkę i ja, udająca, że nie chcę jechać z nimi, choć tak naprawdę zwyczajnie nie miałam pieniędzy.

Oczywiście nie powiedziałam tego wszystkiego Łukaszowi Maczkowi. Nie sądziłam, żeby mógł zrozumieć.

— Wiem trochę o życiu — odpowiedział, jakby słyszał moje myśli. — Chociaż może rzeczywiście o jego innym obliczu niż większość moich znajomych. To takie banalne, filmy się o tym kręci i książki pisze, prawda? Wielkie mieszkanie urządzone jak galeria sztuki, a w nim samotny chłopczyk, którego rodzice traktują jak sprzęt. Co ci będę opowiadał, przecież nie o to chodzi, żeby się skarżyć. Powiem jedno: mam trzydziestkę, a wciąż chodzę do psychoanalityka. Powiedział mi, że nigdy nie dorosnę. Zawsze pozostanę tamtym dzieciakiem, który z jednej strony bardzo chciał zasłużyć na pogłaskanie, a z drugiej miał potrzebę zrobić rodzicom na przekór. Żeby zauważyli, nawet żeby nakrzyczeli. Ale żeby przestać być jak mebel.

— Stąd te rzeczne puby? — zapytałam. — Z przekory?

— Może stąd. Sam nie wiem.

Zamilkliśmy. Nie miałam pojęcia, o czym myśli Maczek — co do mnie, zadumałam się nad tym, jak bardzo wszyscy jesteśmy pokręcani emocjonalnie. Potem Łukasz zapłacił i poszliśmy się jeszcze przejść. Brda migotała, powietrze pachniało chłodną wodą.

— Mimo wszystko... — powiedziałam. — Twierdzisz, że większość ludzi ma fajne życie, lecz go nie docenia. Ty też? Twoje też nie wymaga naprawy? Mimo tego, co powiedziałaś?

— Oczywiście — odparł, patrząc mi w oczy. — Nie ma co spoglądać wstecz, na to, co już za nami. Co nam to da?

— A jednak chodzisz do psychoanalityka.

— Wyłącznie po to, żeby nabrać odwagi na przyszłość. Nie zamierzam analizować przeszłości albo szukać minusów w teraźniejszości.

Wziął mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

— Dlaczego tak dobrze mi się z tobą rozmawia? — zapytał. — Studiowałaś

psychologię czy co?

— Nie, polonistykę — odparłam, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

— Serio? Zawsze podziwiałem ludzi, którzy wybierają filologię. Ta gramatyka, te wszystkie niuanse...

Bardzo pragnęłam zmienić temat, zanim wyjdzie na jaw, że nie ukończyłam tych nieszczęsnych studiów.

— Masz dziewczynę? — palnęłam, ponieważ to było jedyne, co przyszło mi do głowy.

Cóż, do skutków uderzenia pioruna chyba będzie trzeba dopisać jakiś rodzaj zaburzeń na linii myśl — mowa. Z przerażeniem odkrywałam, że słowa wyprzedzają u mnie myślenie o dobrą minutę.

Łukasz objął mnie ciaśniej. Staliśmy teraz bardzo blisko, zupełnie jakbyśmy zamierzali zatańczyć. Trochę się bałam, że zechce mnie pocałować, ale jednocześnie chyba tego chciałam.

— Spotykałem się z kilkoma. Ale nigdy nie udało mi się stworzyć...

— Związku? — podpowiedziałam, ponieważ urwał, jakby szukał właściwego słowa.

— O związku nawet nie wspomnę. Chodziło mi raczej o bliskość. Wiesz, ja chyba tego właśnie szukam. Czegoś takiego, że na przykład ja przychodzę z pracy, a ten ktoś się cieszy, że już jestem. Nie dlatego, że czegoś ode mnie potrzebuje, tylko po prostu... Bo to ja. Rozumiesz?

Kiwnęłam głową, choć jego opis bardziej mi pasował do przyjaźni aniżeli do tego, czego ludzie zwykle szukają w związkach z płcią przeciwną. Chociaż może miał rację, może powinno się wszelkie związki budować najpierw na przyjaźni i bliskości.

— A ty? — zapytał, dotykając ustami mojej grzywki.

— Czy kogoś mam? Nie, nie mam. Ze mną jest... dziwnie, Łukasz.

— Dlaczego?

— Sama nie wiem. Nigdy nie byłam zakochana, nigdy nawet nie szukałam miłości. Nie odczuwałam potrzeby, żeby znaleźć sobie parę. Jeśli ktoś mnie interesował, to raczej jako ładny obiekt, miły w dotyku, taki do patrzenia i dotykania.

Urwałam. Właściwie dlaczego tak bardzo różniłam się pod tym względem od innych dziewczyn? Postanowiłam, że nie stracę rozumu dla faceta i nie wyjdę za mąż, to prawda — ale przecież z postanowieniami różnie bywa. Zdarza się, że je łamiemy, bo po prostu nie sposób się oprzeć. Tymczasem ja nie musiałam się opierać, nie pojawiały się w tej kwestii żadne pokusy... Dobrze byłoby wierzyć, że to także efekt uboczny kontaktu z piorunem — ale przecież nie. Nie zakochiwałam się także wcześniej, a w wieku, kiedy niemal wszystkie nastolatki gorliwie poszukują chłopaka, ja z zapałem przygotowywałam się do egzaminu na studia,

czytając wstępy do wielkich dzieł literatury w wydaniach „Biblioteki Narodowej”.

— Ale cieszysz się, chociaż tak troszkę, że przyjechałem? — zapytał Łukasz. — Że poszliśmy na kolację i na spacer, że jest ciepło i pachnie rzeką...

— Pewnie, że się cieszę.

Pocałował mnie. Najpierw w czoło, potem w okolicy ucha, a na koniec w usta. Chyba lubił rozgrywać takie rzeczy na trzy. Powoli, bez pośpiechu poznawaliśmy swoje wargi, ale nie było w tym jakiejś wielkiej pasji czy namiętności, raczej spokojne szukanie przyjemnych doznań.

Kiedy wróciłam do domu i Agata zapytała mnie, jak było, nie potrafiłam jej o tym opowiedzieć. Było mi trochę smutno, że nie umiem zakochać się w Łukaszu, bo choć bardzo mi się podobał, chociaż przyjemnie było być przytulaną i całowaną, to przecież nie czułam nic więcej.

— Jestem wybrakowana — powiedziałam tylko, a potem rozbeczałam się żałośnie i pozwoliłam się utulić mojej przyjaciółce.

Część II

Jesień

Chandry i smuteczki

Któregoś wrześniego dnia siedzieliśmy z Krzyśkiem na tarasie i rozmawialiśmy o swoich ulubionych lekturach. Bardzo bawiło nas ustalanie, jaką powieść właściwie miałam na myśli, mówiąc o „Perfumach” oraz „Mieszkaniu zmarłych”. O ile z pierwszą Krzyśkowi poszło łatwo (chodziło oczywiście o *Pachnidło*), o tyle z drugą książką mieliśmy niezłą zagwozdkę, ponieważ nie miałam zielonego pojęcia, kto miałby być jej autorem. Pamiętałam jedynie, że to kobieta i że jej imię lub nazwisko zawiera L. Ponieważ nie mogliśmy nic wymyślić, zaczęliśmy się zabawiać zadawaniem sobie zagadek w podobnym stylu. Krzysiek kazał mi odgadywać, co ma na myśli.

„Pełzający w sianie” — rzucił.

— To banalne — roześmiałam się. — „Szperający w trawie” Savalasa.

— Niewiarygodne — sapnął. — Zakładam, że masz na myśli *Buszującego w zbożu*?

— Oczywiście.

— W ogóle wiesz, kto to Savalas?

— Ten pisarz.

Krzysiek zaczął się histerycznie śmiać.

— Nie, to był aktor. Grał Kojaka, tego policjanta z serialu, kojarzysz? Kojak.

Taki łysy, jajowaty.

— Jasne, kojarzę — powiedziałam. — Ale byłam pewna, że to był Kajko.

— Jezu, nie denerwuj mnie. Kajko i Kokosz to zupełnie inna para kaloszy.

To z komiksu dla dzieci.

Patrzyłam na niego podejrzliwie, ponieważ wydawało mi się, że sobie ze mnie kpi. Przecież nie mogę przekreślać nazwisk aż do tego stopnia.

— Dobra, gramy dalej. Kategoria: tytuł. „No to pa, Bronka!” — podjął Krzysiek. — Zgaduj.

— Ale jaka Bronka? Nie kojarzę chyba żadnej powieści z Bronką w roli głównej.

— Ja nie mówię, że tam jest Bronka. To tytuł. Rozumiesz?

Przez chwilę myślałam tak intensywnie, że aż mi zeszywniał kark.

— Nie, poddaję się.

— Żartujesz? Nie masz w sobie za grosz ducha walki.

— Ostatni raz mi powiedz. Przy następnej zagadce już się nie poddam — obiecałam.

Dobrze — zgodził się łaskawie. — To było *Pożegnanie z bronią* Hemingwaya.

Jęknęłam z rozpaczą. Teraz, kiedy podał rozwiązanie, uznałam, że to wcale

nie było takie trudne.

— Dawaj następne — zażądałam. — Tym razem będę walczyć do upadłego.

— Okej, niech pomyślę... Mam! Kategoria: nazwisko. Ale tym razem nie pisarz, tylko aktor. Zagadka brzmi: Rondle Odwłok.

— Co takiego?!

— Słyszałaś: Rondle Odwłok. I nawet nie próbuj jęczeć, że za trudne. Obiecałaś, że się nie poddasz.

— Ale ja mam koszmarny problem z nazwiskami, przecież wiesz...

— Nic mnie to nie obchodzi. Myśl, póki nie wymyślisz.

Remont właściwie się zakończył, pokoje zostały wstępnie umeblowane, świat pożółkł i zbrązowiał od jesieni, a Krzysiek nadal bywał w moim Domu Nad Rzeką, już nie jako pracownik, a towarzysz fascynujących dyskusji o życiu i literaturze. Cieszyłam się z tego, bo zaczynała mi doskwierać samotność. Agata już dawno wróciła do siebie, Sebastian przestał ją nagabywać. Obiecała sobie solennie, że weźmie ze mnie przykład i nie zakocha się... przez najbliższe pół roku, a jeśli już, to w mężczyźnie starszym, nudnym i spokojnym. Mocnych wrażeń i twardych facetów chwilowo miała po dziurki w nosie.

Co do mnie, wciąż czekałam na wizytę Wojtka Korneckiego (albo jeszcze lepiej — jego brata) w sprawie ławeczki. Niestety, żaden z nich dotychczas się nie pojawił. Jakiś tydzień po naszej rozmowie starszy zadzwonił do mnie i zapytał, czy ma przysłać pracowników, żeby wstępnie się rozejrzeli i zaproponowali jakieś rozwiązania. On sam wybierał się z bratem do Włoch na drugą część urlopu. Bardzo się starałam ukryć rozczarowanie; powiedziałam, że dziękuję, ale wolę poczekać. Co szef, to szef, a w dodatku sąsiad, na pewno zaprojektuje wszystko tak, jakby robił dla siebie. To było głupie uzasadnienie, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Nie mogłam mu przecież wyjaśnić, że interesuje mnie jego brat, ponieważ na równi z bzem i ławeczką stanowi jeden z elementów mojego marzenia.

W bezsenne noce zastanawiałam się nad tym, czym jest miłość i dlaczego nigdy jej nie poznałam. Dlaczego uczucie, które napędza rozwój ludzkości, staje się osnową filmów, książek i najpiękniejszych piosenek — coś, w imię czego ludzie gotowi są umierać i zabijać — dla mnie pozostawało pustym słowem? Póki co, nie znajdowałam odpowiedzi. Nawet nie w tym rzecz, że chciałabym to zmienić, bo przecież ślubowałam sobie, że nigdy nie zgłupieję dla faceta — po prostu usiłowałam zrozumieć, czym różnię się na przykład od Agaty albo własnej matki.

Łukasz Maczek dzwonił do mnie co kilka dni, ot tak, żeby pogadać, a w trzeci piątek września zaproponował wspólny wyjazd do Torunia.

— Chcę pochodzić po starówce — powiedział. — Kumpel mi opowiadał, że

znajdę tam idealne miejsca na pub rzeczny. Podobno jest klimatycznie, stare mury obronne, baszty, te sprawy. Kręć mnie takie miejsca. Jedź ze mną.

Zgodziłam się; przecież kochałam podróże, nawet te zupełnie bliskie, a ostatnio zupełnie o tym zapomniałam. Urządzenie Domu Nad Rzeką pochłaniało mnie całkowicie i moje zainteresowania jak na razie ograniczały się do cen lodówek, pralek i odkurzaczy, rozmiarów wykładzin dywanowych i zalet oświetlenia ledowego.

Pojechaliśmy w niedzielę rano. Wsiadając do samochodu, ślubowałam sobie uroczyście, że uczynię wszystko, żeby dobrze się bawić. Bez rozmyślenia o tym, dlaczego nie zaczynam zakochiwać się w Łukaszu. A skoro nie zaczynam, to czy to ładnie, czy też nieładnie całować się z nim, zwłaszcza że mam apetyt na zupełnie inne danie, to o inicjałach MK, które pewnie nawet nie pamięta o moim istnieniu. I czy z kolei ów apetyt ma cokolwiek wspólnego z miłością, pragnieniem miłości albo chociaż gotowością, by się zakochać.

Wyobrażałam sobie, że Łukasz przyjedzie jakąś elegancką toyotą albo volkswagenem touaregiem, a tymczasem zjawił się w nieco zdezelowanym fordzie. Pomyślałam, że to najwyraźniej objaw przekory wobec piekielnie bogatego ojca. Tak czy inaczej, pytać o to byłoby niedelikatnie. Zdziwiły mnie jednak bydgoskie numery rejestracyjne.

— To auto kumpla — wyjaśnił Łukasz, widząc moje spojrzenie. — Ja się zazwyczaj przemieszczam pociągami albo samolotem, wiesz, zawsze to przyjemnie napić się wina do kolacji. Ale teraz pogoda taka niepewna, więc pożyczyłem samochód.

— A kolega gdzie mieszka?

— W Białych Błotach — mruknął, po czym zmienił temat, komplementując mój nowy trenz.

Toruń przywitał nas deszczem i spacer się nie udał. Posiedzieliśmy w kawiarence przy Rynku, wypiliśmy po dwie kawy, a kiedy przestało lać, a zaczęło mżyć, zeszliśmy nad Wisłę i postaliśmy chwilę na Bulwarze Filadelfijskim.

— Ładnie tu — powiedziałam. — Bardziej przestrzennie niż w Bydgoszczy. A tobie jak się podoba?

— Ładnie w sensie, że ładnie — powiedział jakoś nazbyt, jak na mój gust, filozoficznie. — Ale jeśli mowa o River Pub, to tutaj nie pasuje. Trzeba by chyba szukać dalej od centrum.

— Zjedzmy coś na ciepło — zaproponowałam, ponieważ zaczynałam marznąć; mój trenz, choć śliczny, nie nadawał się na deszcz. — A przy jedzeniu opowiesz mi dokładnie, co ty właściwie rozumiesz przez River Pub.

Dość długo szukaliśmy odpowiedniej knajpki, aż w końcu rozsądek wziął górę nad romantyzmem — uznaliśmy, że na taką pogodę najlepsza będzie gorąca golonka.

— No więc każdy River Pub — zaczął Łukasz po pierwszym kęsie — ma być stary albo przynajmniej powinien na taki wyglądać. Mógłbym kupować jakieś niezbyt reprezentacyjne budynki i nakładać elewacje z drewna. Widziałem coś takiego w Kanadzie; deski były pomalowane na szaroniebiesko, jakiś motyw żaglówki, jakiś wędkarz, rozumiesz? Nie żadne dzieło sztuki, ale też nie straszny kicz. W każdym mieście mój River Pub byłby trochę inny, miałyby własną indywidualność.

— Rozumiem. — Skinęłam głową z aprobatą. — A w środku?

— W środku marzą mi się głównie cegły i drewno. Grube liny na ścianach, może jakaś kotwica, koło ratunkowe, te sprawy. Zdjęcia starych żaglowców, globus, róża wiatrów.

— Brzmi świetnie — przyznałam. — Powiedz mi, skąd u ciebie takie ciągoty. Jesteś żeglarzem?

— Byłem kiedyś na obozie na Mazurach. — Łukasz zwiesił głowę. — To były najpiękniejsze wakacje w moim życiu. Chyba jedyne takie.

— Dlaczego?

Oczekiwałam opowieści o przygodach na pokładzie i wspaniałych przyjaciółach, ale on mnie zaskoczył.

— Bo byłem tam po prostu Łukaszem. — wyjaśnił. — Nikt nie wiedział albo może nie chciał wiedzieć, że mój ojciec rzyga pieniędzmi. To nie był obóz dla bogaczy, rozumiesz? Same zwykłe dzieciaki. Dostawaliśmy w kość, sami szykowaliśmy sobie żarcie, wychodek w lesie nie miał drzwi, namioty przeciekały. Ale wieczorem, kiedy ktoś brał gitarę i śpiewaliśmy przy ognisku... Nawet nie umiem tego opisać. Mój terapeuta mówi, że to się nazywa poczucie przynależności do grupy.

Ze smutkiem pomyślałam, że puby rzeczne, choćby najpiękniej urządzone i najlepiej prosperujące, nie dadzą mu tego poczucia.

— Nie masz przyjaciół? — zapytałam.

— Wiesz, jak jest z przyjaźnią — prychnął. — Nie idzie w parze z grubą forszą.

Nie, nie miałam pojęcia, jaki związek ma jedno z drugim. Ale nie wyprowadziłam go z błędu. Pokiwałam głową i zebrałam z talerza resztki musztardy skórką od chleba. Łukasz zamówił herbatę dla siebie oraz grzane wino dla mnie, a ponieważ bardzo mi smakowało i napełniło mnie cudownym ciepłem, wypitałam błyskawicznie i poprosiłam o jeszcze jedno. On zaś wrócił do snucia planów oraz wizji.

Do Bydgoszczy dojechaliśmy późnym popołudniem w nastroju nieco depresyjnym. Obojgu nam zrobiło się rzewnie, nostalgicznie i melancholijnie. Ja — przyznaję, odrobinę podchmielona — niespodziewanie zatęskniłam za mamą; za kim lub za czym tęsknił Łukasz, tego nie wiedziałam, ale było mi go strasznie żal.

Odwiózł mnie pod dom, wysiadł i stanął przed furtką, po czym obrzucił budynek niezbyt przychylnym, jak mi się wydawało, spojrzeniem. Podeszłam bliżej, a wtedy objął mnie ciasno i szepnął mi do ucha:

— Pozwól mi wejść. Chociaż na godzinę. Nie chcę w tej chwili zostać sam w hotelowym pokoju.

Wzruszyło mnie to, że poprosił. Nie próbował dobierać się do mnie, nie całował, tylko zwyczajnie poprosił o wspólny wieczór. Te jego ciemne oczy migotały w mroku przedpokoju. Miał dołek w policzku, był uroczy, troszkę rozczochrany i taki chłopięcy... Pozwoliłam się pocałować. W końcu pocałunki są równie dobrym sposobem na poprawę nastroju, co przytulanie.

Bardzo dobrze całował, musiałam to przyznać. Umiejętnie. Sprytnie poszło mu również z usuwaniem kolejnych części mojej garderoby, włącznie z biustonoszem, który rozpięło się z przodu (skąd, bestia, wiedział, jak to się robi?!).

— Jeszcze się nie urządziłam — zdołałam wyszeptać między jednym pocałunkiem a drugim. — W zasadzie mam tylko łóżko.

— Czyli masz to, co najważniejsze.

Nie zapaliliśmy światła, po omacku przesuwaliliśmy się w stronę mojej sypialni, która wciąż pachniała farbą. Kiedy już wylądowaliśmy w chłodnej pościeli, oboje jedynie w majtkach, Łukasz zaczął się troszkę spieszyć ze zdejmowaniem tych ostatnich skrawków tkaniny. Zanadto, jak na mój gust. Miałam uraz do pośpiechu w kwestii erotycznej.

— Powoli — zamruczałam jak gibka kotka (w każdym razie starałam się tak mrużyć — nie wiem wprawdzie, czy gibka kotka mruczy inaczej niż na przykład gruba kocica; tak czy owak, chodziło mi między innymi o tę gibkość, nawet jeśli sama do końca nie rozumiem, co mam na myśli).

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa — wyszeptał Łukasz, po czym wcale nie zwolnił, tylko przyspieszył.

Nie było to ani romantyczne, ani podniecające. Zupełnie jakby rozpałał ognisko na obozie harcerskim, a tłum skandował mu „jedną zapalką...”. Problem w tym, że nie uzbierałam jeszcze zapasu chrustu, że tak powiem.

— Zaczekaj, zwolnij trochę — spróbowałam raz jeszcze.

Zabrał łapy z moich kościstych bioder i zaczął mnie znowu namiętnie całować, sapiąc przy tym trochę nazbyt teatralnie. Zszedł z pocałunkami na szyję, obojczyki i ramiona. Wystarczyło, żeby uskładało się trochę drewnienek, ale ja miałam przecież nadzieję na cały stos.

— Łukasz, przestań.

— Co takiego? — otrząsnął się. — Ależ... Iga... W takiej chwili?

— Przestań — powtórzyłam twardo. — Nie podoba mi się to, co robisz.

Nigdy więcej wyścigów.

Łukasz usiadł gwałtownie. W ciemności jego plecy zdawały się lśnić, jakby były z jedwabiu.

— Co ty mówisz? — obruszył się. — Jakich wyścigów? Co w ogóle masz na myśli?

— Mam na myśli dokładnie to, co mówię. Że nie podoba mi się to, jak się zabierasz do rzeczy.

Oniemiał. Zapewne nie przywykł do krytyki.

— Nie jestem gumową lalką, którą należy tu i ówdzie pougniatać, a wtedy zrobi się ciepła i będzie można zrobić z niej użytek — dodałam.

Wyglądał na zniesmaczonego.

— Chcę się z tobą kochać — powiedział nagle z romantyczną porywcznością, która zupełnie nie pasowała do tego opryskliwego tonu sprzed kilku sekund.

— Nie, ty chcesz sobie ulżyć. Takie odniosłam wrażenie. Nie chcesz kochać się ze mną. Jestem tylko rekwizytem.

— Do diabła, Iga, zależy mi na tobie! Wydzwaniam, szukam pretekstu, żeby przyjechać, żeby cię zobaczyć...

— Nawet nie zapytałeś, czy się jakoś zabezpieczyłam. Uważasz, że to tylko moja sprawa?

Zmieszał się nagle.

— A jeśli będzie dziecko, to co? To je wychowamy — powiedział po chwili, zbijając mnie z tropu. — Będziemy dla niego dobrzy. Kupię mu rowerek i będę uczył grać w szachy.

— Umiesz grać w szachy?

— Nie — zmieszał się jeszcze bardziej — ale się nauczę.

Kompletnie nie nadażałam za zmianami tematu i nastroju. Być może jakiś udział w tym miało wypite wcześniej wino. Ale bardzo możliwe, że o suchym pysku też bym nie nadażała.

— Łukasz — powiedziałam po chwili, bo znowu zaczął mnie dotykać i namiętnie całować, tyle że tym razem, jako że wypadłam z rytmu, odczuwałam to jak coś w rodzaju dziwnego badania lekarskiego. — Ja nie chcę mieć dzieci.

— Dobrze, więc nie miejmy dzieci — odparł nerwowo. — Ale wyjdź za mnie. Ja cię kocham. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Chcę znów poczuć tę bliskość, chcę do kogoś należeć. Tak jak wtedy, na tym... — zawahał się, jakby szukał odpowiedniego wspomnienia. — Na tym obozie żeglarskim.

Ładnie, prawda? Zakochał się od pierwszego wejrzenia... Wiele dziewczyn na moim miejscu pewnie westchnęłoby z rozrzewnieniem. Ja też bym zasadniczo westchnęła. Tyle że nie westchnęłam. Powody były trzy. Po pierwsze: strasznie mi się zachciało spać. Wszystko przez to wino. Kiedy mówił „kocham cię”, akurat ziewałam, co z pewnością osłabiło wymowę tych słów. A nie powinno, bo przecież

słyszałam je pierwszy raz w życiu.

Cholerne ziewnięcie.

Po drugie: czułam się trochę głupio, siedząc w samych gatkach i nie mogąc się przykryć, aby ukryć rozmiar biustu. Kołdrę Łukasz zamotał sobie wokół nóg i chociaż przez chwilę walczyłam, żeby ją odplątać, w końcu musiałam się poddać. Trudno się wzruszyć, siedząc nago z niemalże płaską klatką piersiową w towarzystwie faceta, który zawija sobie pościel wokół nóg. Człowiek się od razu zastanawia: brudne miał te nogi czy co? Pięty mu pękają? Grzybicę ma? Bo dlaczego tak zamotał?

Po trzecie i chyba najważniejsze: w tym wszystkim był jakiś element teatralny, sztuczny, a w dodatku kiepsko zagrany. Coś mi w tym wszystkim diabelnie nie grało, coś do czegoś nie pasowało, i tylko nie umiałam tego nazwać.

— Łukasz, nie gniewaj się — powiedziałam ostrożnie i niestety znów ziewnęłam. — To jest trochę zbyt poważna sprawa, żeby omawiać ją pod wpływem chwili oraz alkoholu. Nie czuję się na siłach. I bardzo mi się chce spać.

— Dobrze, kochanie, to ty śpij — zgodził się potulnie i zaczął mnie głaskać po plecach. — Ja sobie będę patrzeć, jaka jesteś śliczna.

— Ani mi się waż — warknęłam. — Chcę spać, a nie ładnie wyglądać.

O ile mogłam to stwierdzić w ciemnościach, znów przez chwilę wyglądał jak porzucony szczeniak. Albo uczył się tego przed lustrem, albo miał to wrodzone. Swoją drogą, jak to świadczy o jego drzewie genealogicznym? Miał dziadka cocker spaniela czy jak?

— Jedź do hotelu — powiedziałam już łagodniej. — Porozmawiamy na trzeźwo. Dobranoc.

— Ja nie zrezygnuję — zapewnił mnie i na koniec pocałował raz jeszcze, ale już bez wcześniejszego zapału. — Dobranoc, kochanie.

Ubrał się, błyskając pośladkami w nikłym świetle księżycy. Owinęłam się kołdrą i odprowadziłam go do drzwi, po czymostałam przy oknie, dopóki nie odjechał. Potem z ulgą wróciłam na skotłowane łóżko i nawet nie zdążyłam się nad tym wszystkim zastanowić, bo zasnęłam. Ostatnim rzutem oka na zegarek sprawdziłam, że dochodzi jedenasta.

Spałam bez snów, spokojnie jak dziecko, prawie do piątej! Hurra! Cokolwiek myślałam o wyznaniach Łukasza, jego obecność w połączeniu z winem najwyraźniej pozwalały mi wydłużyć sen z trzech do prawie sześciu godzin.

— Życie jest jednak piękne — powiedziałam do lustra, kiedy umyłam zęby. — I pomyśleć, że jest tyle trunków, których jeszcze nie spróbowałam. I tylu facetów. Wliczając w to redfordowatego Maćka Korneckiego...

Niestety, mimo najszczerzych chęci nie udało mi się wzbudzić w sobie ani żalu, że nie przespałam się z Łukaszem, ani choćby żdźbła tęsknoty za jego obecnością. Chcąc nie chcąc, musiałam przyznać, że nic z naszej znajomości nie

będzie. Jego propozycja małżeństwa była zupełnie absurdalna, postanowiłam więc nie wracać do niej myślami. Nie znaliśmy się przecież, byliśmy raptem po kilku spotkaniach, które nawet trudno byłoby nazwać randkami. Doszłam do wniosku, że nieszczęsny Maczek ma poważne kłopoty z oceną rzeczywistości. Najwyraźniej chodził do kiepskiego terapeuty, skoro nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest kompletnie niedojrzały emocjonalnie.

Jesienne dni mijały jak szalone. Mimo moich bezsennych nocy po raz pierwszy w życiu brakowało mi czasu. Po pierwsze, urządziłam kuchnię. Wprawdzie okazało się, że pan Mietek zostawił na ścianie wystającą rurkę, zamontował grzejnik w miejscu, gdzie miał być ciąg mebli kuchennych, zaś zlew przeniósł w miejsce, w którym planowałam stół, a kiedy do niego zatelefonowałam z pretensjami i żądaniem, aby poprawił, co zepsuł, trafiłam na moment „po wódeczce”. Czyli — jak to sam pan Mietek kiedyś określił — był akurat bardzo rozmowny.

— Allo, allo — powiedział. — Dziń dybry, złociutka. Miło, że dzwonisz. Zlew, powiadasz. A czy ty wiesz, dziewczyno, że za moich czasów nie było zlewu w domu? Ja mieszkałem w Solcu Kujawskim, wiesz? Na Topolowej. Szło się w pizdu daleko, taką długą drogą wzdłuż torów, kawał drogi. Na podwórku była pompa i trzeba było sobie napompować wody, a kuźwa lodowata była, że palce sztywniały. Jak chciałaś pozmywać, to grzałaś wodę na kuchni węglowej i dolewałaś do miednicy, wsadzałaś gary i już. Potem wodę chlust na podwórko i kury miały używanie.

— Ale panie Mietku, ja ten zlew chciałam w innym miejscu. Tutaj miał stać stół.

— A stołu w ogóle w kuchni nie było, nie mieścił się. Tylko taki mały pierdolniczek z szufladką, żeby ojciec przed wyjściem w pole coś przekąsił.

— No dobrze, a grzejnik? Dałoby się jeszcze przenieść? Bo jak ja teraz te meble ustawię?

— Meble to inna sprawa, kurde bela. Tylko weź gwarancję, bo powiem ci, że to gówno się rozkleja. Zwłaszcza szafki wiszące. I koniecznie kup w komplecie wyciąg, żeby para szła w cug, bo sama zobaczysz, że okleina pozłazi. A kiedyś meble były z litego drewna i owszem, tu się wypaczyło, tam skrzypnęło, ale to były rzeczy nie do zdarcia...

Głędził tak jeszcze dobre pół godziny, aż w końcu, po kilku nieudanych próbach przerwania mu, po prostu się rozłączyłam i wyciszyłam telefon, żeby broń Boże nie oddzwonił. Ślubowałam sobie nigdy więcej nie telefonować do pana Mietka. Ostatecznie zatrudniłam projektanta, który mi wszystko pięknie rozplanował i w gruncie rzeczy nawet nieźle wyszło. Wystającą ze ściany rurkę obwiązałam ładnym sznurkiem i postanowiłam wykorzystywać jako wieszak na ściereczki.

Kuchnię miałam jasną, kremową, z dodatkami w kolorze młodych kasztanów. Nakupiłam mnóstwo drobiazgów z drewna, mniej lub bardziej niepotrzebnych, ale za to prześlicznych. Całymi godzinami przestawiałam to

wszystko z miejsca na miejsce, wycierałam z wszechobecnego pyłu (podobno po gipsowaniu ścian to normalne, że się tak kurzy) i marzyłam, jak to będzie, gdy reszta domu zostanie urządzona, zaproszę przyjaciół na uroczyste otwarcie i upichcę dla nich coś specjalnego.

Wprost z kuchni przechodziło się do równie jasnej jadalni, w której znajdował się jedynie owalny stół z sześcioma krzesłami oraz niewielki, ale za to piękny kredens. Zamierzałam poustawiać w nim naczynia: eleganckie talerze i filiżanki, które będę wyciągać z za szybki, gdy nadejdą święta, a w moim Domu Nad Rzeką pojawią się goście. Godzinami przeglądałam oferty sklepów internetowych i nawet wstępnie wybrałam cztery komplety obiadowo-kawowe; oczywiście zamierzałam zdecydować się tylko na jeden z nich, ale z podejmowaniem decyzji wciąż miałam kłopoty.

Pierwszy komplet był zupełnie gładki, w kolorze écru, a jego uroda zawierała się w kształcie talerzy i filiżanek, niby kwadratowym, ale z zaokrąglonymi rogami. Drugi — biały w popielate groszki. Coś pięknego, lecz nie byłam pewna, czy będzie pasował do wystroju salonu (którego jeszcze nie było. Wystroju, bo salon był). Dwa pozostałe komplety zaprojektowano w stylu retro: jeden miał nadrukowany brązowy motyw starego młyna, a drugi — scenki rodzajowe z życia małego miasteczka. Nieduże, nienachalne, a jednak pobudzały wyobraźnię. Patrząc na te miniaturowe obrazki, zaczynałam wymyślać historie z życia ludzi na nich ukazanych — smukłej kobiety w kapelusiku, ze śmieszną parasolką w dłoni, i eleganta w cylindrze, który najwyraźniej wodził wzrokiem za panną.

— Trzeba by to zobaczyć na żywo, bo monitor przekłamuje kolory — orzekła Agata, kiedy przyszła w odwiedziny. Siedziałyśmy przy komputerze i przeglądałyśmy oferty sklepów z ceramiką. — Może po prostu zamów po jednym talerzyku i po jednej filiżance, wypijemy z nich kawę i wtedy wybierzemy. Poza tym przed podjęciem ostatecznej decyzji powinnaś urządzić salon. Żeby się nie okazało, że kupisz prostą, nowoczesną ławę z metalu i szkła, a na niej ustawisz zastawę z motywem starego młyna.

Jak zwykle miała rację. Zamówiłam więc po jednej filiżance ze spodkiem oraz po jednym talerzyku deserowym, zaś kilka dni później, kiedy przesyłka dotarła, rzuciłam się w wir kulinarnego szaleństwa, a konkretnie pieczenia ciasta. Ponieważ nieskromnie mówiąc, byłam w tym niezła, zdecydowałam się na cudownego murzynka z masą z serka mascarpone na wierzchu i mandarynkami. Zadzwoiłam do Agaty i zaprosiłam ją na wieczorną degustację, po czym zrobiwszy niezbędne zakupy, z pasją przystąpiłam do dzieła.

Była to moja premiera w nowej kuchni, a że nie rozpracowałam jeszcze wszystkich nowych urządzeń, praca zajęła mi znacznie więcej czasu niż zwykle. Jedną ręką mieszałam w garnuszku mleko z pokruszoną gorzką czekoladą, a w

drugiej dzierżyłam instrukcję obsługi piekarnika, który wcześniej wprowadziłam umyłam i próbnie uruchomiłam, ale nie zapamiętałam tych wszystkich dziwnych ikon: rożen z dołu, rożen z góry, termoobieg, dół i góra, grill dół, grill góra, rozmrażanie i tak dalej. Koszmar. U mojej mamy w bloku był zwyczajny piekarnik gazowy, który przypalał z tyłu, więc cała filozofia polegała więc na tym, żeby wyciągnąć ciasto, gdy tylko upiekł się przód, a następnie odkroić leciutko zwęglony tył.

Udało mi się w końcu jakoś ustalić, które pokrętko do czego służy; zdecydowałam się na termoobieg, ponieważ ładnie mi brzmiało, wsunęłam murzynka do piecyka, starłam sobie z powiek kropelki surowego ciasta (bo nie rozpracowałam jeszcze tego piekielnego, supernowoczesnego miksera i trochę mnie opryskał w pierwszych minutach miksowania, nie mówiąc już o tym, że był potępieńczo, bo nastawiłam zbyt wysokie obroty), po czym przystąpiłam do przygotowywania kremu z serka i galaretki. Oczywiście mikser znów trochę wymykał mi się z rąk, dzięki czemu do czekoladowych kropek na mojej twarzy i we włosach dołączyły białe, serowe, ale ostatecznie udało mi się połączyć składniki, nic się nie zwarzyło, tężejący krem znalazł się w lodówce, a ja podzieliłam mandarynki na cząstki i doprowadziłam do względnego porządku opryskane blaty i ściany. I w samą porę, bo właśnie rozległo się pukanie do drzwi.

Rzuciłam okiem na zegar — dochodziła dopiero czwarta. Agata zwykle pracowała do osiemnastej, ale zdarzało się, jeśli nie miała umówionej żadnej sesji, że zostawiała tatę samego na placu boju z fotkami legitymacyjnymi i paszportowymi. Zapewne przyjechała mi pomóc. Otworzyłam jej z uśmiechem. Rzecz w tym, że to nie była ona. W progu stał Wojtek Kornecki.

— Dzień dobry — powiedział. — Już się bałem, że nie trafiłem. Przy furtce nie ma żadnego domofonu...

— Ale przecież miał pan zadzwonić — powiedziałam z wyrzutem, odgarniając dłonią włosy z czoła i z przerażeniem konstatując, że palce przykleiły mi się do grzywki.

— Dzwoniłem. Nie odbierała pani — wyjaśnił. — Akurat byłem w okolicy, pomyślałem więc, że nawet jeśli pani nie ma w domu, rzucę okiem na ogród, żeby mieć jakie takie wyobrażenie.

Zapewne ten okropny mikser swoim wyciem zagłuszył mi dzwonek komórki — zwłaszcza że nastawiłam subtelny *Kanon* Pachelbela. Niech to diabli, zyskałabym kilka minut na to, żeby doprowadzić się do porządku. Tymczasem stałam w drzwiach z dwukolorowymi kropkami na twarzy, niepewna, co się właściwie stało z moją grzywką. Wyjrzałam prędko, czy z samochodu zaparkowanego przed furtką nie wysiada młodszy z braci, ale niestety (albo na szczęście, nie miałam jasności w tym temacie) wyglądało na to, że Wojtek przyjechał sam.

— Piekę ciasto — mruknęłam. — Mikser zagłuszał.

Kornecki pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym wskazał dłonią widoczny przez drzwi tarasowe fragment ogrodu.

— Pokaże mi pani? Jak sobie pani wyobraża tę ławeczkę, pergolę i tak dalej?

— Tak, tak, proszę.

W pośpiechu wytarłam ręce w fartuszek (z pomarańczową kaczką z przodu, do diabła, muszę sobie wreszcie kupić coś bardziej seksownego) i poprowadziłam go na taras.

— Widzi pan, panie Wojtku, nie mam tu za dużo miejsca. Nie bardzo się znam na ogrodzie, ale marzy mi się takie miejsce, żeby sobie usiąść i poczytać, i żeby nad głową mieć kwitnący bez, a tam dalej...

— Chwileczkę — przerwał mi. — Przepraszam bardzo, ale dlaczego akurat bez?

— Żeby pachniało.

— Pani ma na myśli lilak czy bez czarny?

— Lilak. Czyli bez. Fioletowy.

Zamyślił się, potarł brodę, a jego milimetrowy zarost wydał przy tym suchy dźwięk. Który, musiałam przyznać, bardzo mi się podobał. Dźwięk. I zarost.

— Bez kwitnie krótko, pani Igo.

Pamiętał moje imię. Może i młodszy brat je pamiętał, może o mnie rozmawiali? Aż mi zapało dech w piersiach.

— Po kwitnieniu staje się mało dekoracyjny, jesienią również nic ciekawego, nie przebarwiają mu się liście. Nie lepsza byłaby roślina, która jest piękna przez cały rok?

— Pewnie lepsza — zgodziłam się. — Ale w moim marzeniu jest bez. Nic na to nie poradzę. Te inne rośliny, piękne przez cały rok, mogę sobie posadzić naprzeciwnko. Będę na nie patrzeć, jeśli książka okaże się nudna.

— No tak. To jest jakieś rozwiązanie. A pszczoł się pani nie boi? Bo pod takim bzem będzie jedno wielkie brzęczenie.

— Nie boję się, wręcz przeciwnie. Bardzo lubię pszczoły. Os i szerszeni nie lubię, ale one chyba nie czają się w bzie, prawda?

— Nie czają się — potwierdził, patrząc dziwnie na moje czoło, co przypomniało mi o resztkach kremu.

— No więc powiem panu, jakie są moje propozycje. Ławeczkę stawiamy albo tu, na krawędzi tarasu — pokazałam — i wtedy tuż przy niej sadzimy bez. Ale nie wiem, czy on by tutaj rósł, czy nie miałby za sucho. Bo wokół tego tarasu, jak pan widzi, jest wysypany taki żwirek.

— I bardzo dobrze. Żeby wilgoć nie wchodziła. Jak się gromadzi woda, to zimą płytki odpadają. A tu jest porządnie zabezpieczone.

— Aha. To świetnie. Albo — kontynuowałam, zbiegając w dół z tarasu —

ławeczkę przestawimy na dół, tu w rogu mógłby rosnąć bez. Tylko że tu jest bardziej mokro i ciemniej, a ja nie wiem, czy bez lubi takie warunki.

— Ciągle bez i bez. Niech pani nie myśli, co on lubi. Trzeba się zastanowić, co pani lubi, gdzie pani by się najlepiej czuła.

— Ja? Ja to najlepiej w bibliotece... — szepnęłam w rozmarzeniu.

Rzucił mi niewiele rozumiejące spojrzenie.

— Może wróćmy do środka — zaproponowałam, ponieważ zaczęłam marznąć. — Mam gazetę, w której jest ławeczka, mniej więcej taka, jak mi się marzy.

Kornecki mruknął coś pod nosem, ale poszedł za mną. Wprowadziłam go do salonu.

— Jeszcze nie ma gdzie usiąść — powiedziałam przepaszająco, po czym urwałam, ponieważ mój nos zarejestrował zapach, którego zdecydowanie wolałby nie rejestrować.

— Coś się pali — zauważył uprzejmie Wojtek Kornecki.

Starłam się nie pisać, ponieważ pamiętałam z czasów szkolnych, jak bardzo chłopcy tego nie lubią. Nie żeby Wojtek był chłopcem, uznałam jednak, że niektóre rzeczy nie zmieniają się z wiekiem. Wydawszy z siebie tylko coś w rodzaju zduszonego syknięcia, pobiegłam do kuchni. Otworzyłam piekarnik i buchnął na mnie czarny dym. Z mojego murzynka została dość gruba brunatna skorupka.

Rozbeczałam się. Klasycznie, po dziewczynsku. Zrobiłam dokładnie to, czego podobno nie wolno robić przy facetach.

— Oj, niedobrze — usłyszałam głos za plecami.

Nawet nie wiedziałam, że Kornecki przyszedł tu za mną. Rozejrzał się, po czym chwycił ścierkę, stanowczym ruchem ujął dymiącą blachę i wyniósł ją na dwór.

— Trzeba porządnie przewietrzyć — powiedział, kiedy wrócił i zamknął piekarnik.

Stałam jak oniemiała i przyglądałam mu się załzawionymi oczami. W myślach powtarzałam jak mantrę: Jak to dobrze, jak cudownie, że przyjechał sam, bez Maćka.

— Przecież nic się nie stało — pocieszył mnie. — To tylko ciasto.

— W lodówce mam prawie gotowy krem — szepnęłam. — Piękny krem z galaretką. Miał być murzynek z kremem i mandarynkami.

— A, to stąd te kropki — mruknął, znów zerkając na moje czoło.

Potarłam twarz nerwowym ruchem, czując, że tylko rozmazuję wszystko jeszcze bardziej. Ten dzień nie mógł być mniej udany.

— O której ma być gotowe? — zapytał jeszcze Wojtek. — Bo ja znam taki łatwy sposób na murzynka bez pieczenia. Może pani zdąży.

— Nie wiem, o której. — Rozłożyłam ręce. — Nie zaprosiłam jakichś tam wielkich gości, tylko...

Urwałam. Czułam się kiepsko z powodu ciasta na twarzy.

— Pozwoli pan, że się trochę umyję — powiedziałam. — Proszę usiąść w jadalni, zaraz przyniosę to czasopismo, o którym wspomniałam, i pokażę panu co i jak.

— Dobrze, zaczekam.

Pobiegłam do łazienki, gdzie rzut oka w lustro przekonał mnie, jak bardzo ośmieszyłam się w oczach tego faceta. Nie ulegało wątpliwości, że opowie o tym bratu, zaśmiewając się do łez. Grzywkę miałam sklejoną w kilka uroczych, słodkich strączków, na czole i w brwiach wciąż tkwiło trochę dwubarwnych kropek. Obraz cukierniczej nędzy i rozpaczy. Umyłam się, wypłukałam grzywkę i osuszyłam ją ręcznikiem, po czym zrezygnowana udałam się do jadalni, zgarniając po drodze z holu archiwalny numer „Mojego Pięknego Ogrodu”, w którym zaznaczyłam sobie jakiś czas temu upragnioną ławeczkę. Czerwonym mazakiem.

— Teraz jest bardzo ładnie. — Wojtek uśmiechnął się na mój widok. — Chociaż z wzorkiem na czole też było interesująco.

Kpił albo usiłował żartować, żeby mnie pocieszyć. Nie raczyłam odpowiedzieć uśmiechem.

— Muszę sobie zanotować — powiedziałam ponuro. — Kolejnym zakupem będą lustra. Powieszę je dosłownie wszędzie. To mnie ustrzeże przed kolejną kompromitacją.

— Zaraz tam „kompromitacją”. Do kompromitacji jeszcze pani daleko.

— Tak? Widział pan kiedyś większą?

— Oczywiście, że widziałem. Ba, sam byłem jej autorem.

— Opowie mi pan?

— Jeśli to pani poprawi humor.

— Chyba tak — przyznałam. — Chyba bardzo potrzebuję, żeby ktoś mnie rozśmieszył. Niech pan opowiada, a ja w tym czasie zaparzę herbatę.

— Kawę, jeśli można. Mocną, parzoną tradycyjnie, z fusami. Ma pani?

Obruszyłam się.

— Oczywiście, że mam. Gdyby pan poprosił o rozpuszczalną, to bym nie miała, ale ziarnistą mam zawsze.

Spojrzał na mnie z szacunkiem, tak mi się wydawało. Kiedy zabrałam się do mielenia i parzenia kawy, on opowiadał.

— Wróciłem wtedy z gór — mówił. — Mieszkałem w akademiku, studiowałem we Wrocławiu. W prawie każdy weekend wyjeżdżaliśmy gdzieś z przyjaciółmi, a to w Karkonosze, a to w Beskidy, rzadziej w Tatry, bo daleko. Całe stypendium na to szło, co do grosza. Po jednej z takich wypraw wróciłem w środku nocy, tak skonany, że nawet nie miałem siły na prysznic, tylko jednym ruchem

zrzuciłem z siebie ubranie... Chociaż trafniejsze byłoby określenie „zsunąłem”. Miałem kalessony, wie pani... — Zarumienił się uroczo. — Jesienią w górach było już bardzo zimno.

— Rozumiem — potwierdziłam.

W rzeczywistości guzik wiedziałam o górach; z powodu niegdysiejszego bliskiego spotkania z piorunem wolałam unikać górskich szlaków, choć musiałam przyznać, że uroda dolin i szczytów oglądana na fotografiach robiła na mnie kolosalne wrażenie.

— Zapomniałem nastawić budzik, a o ósmej miałem piekielnie ważne zajęcia. Kumpel mnie budzi za piętnaście: Wojtek, wstawaj, nie zdążysz na geomorfologię!

— Geomorfologię? — powtórzyłam.

— Tak. Studiowałem geografię — wyjaśnił. — To był listopad, na dworze szaro, a w dodatku jeszcze deszczowy dzień. Po omacku wciągnąłem na siebie spodnie, zrzuciłem na grzbiet jakąś bluzę i zwlokłem się z wyrka. Bez mycia, bez spojrzenia w lustro, wie pani, jak to student, tylko siku, łyk wody i już. Włożyłem kurtkę, wziąłem pod pachę jakiś notes i powlokłem się na przystanek tramwajowy.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, gdzie kryje się to straszne upokorzenie, o którym mówił. Cóż to znowu takiego: zaspany, potargany, z nieświeżym oddechem, mój Boże, to się przecież zdarza.

— Domyśla się pani? — zapytał, a ja pokręciłam głową.

Na chwilę zamknął oczy, a potem przeciągnął dłońmi po twarzy, jakby chciał coś zetrzeć.

— Wciągając dzinsy — wyjaśnił — zapomniałem o kalessonach. One zostały w spodniach, zsuwając je wieczorem zrobiłem to, jak by to określić... za jednym zamachem. Kiedy szedłem na przystanek, stopniowo się wysuwały z jednej nogawki, aż wreszcie wypadły i wtedy taka ładna dziewczyna z germanistyki zwróciła mi uwagę, że chyba coś zgubiłem.

Wyobraziłam sobie ten widok: wypelzającą z nogawki spodni białą, kompromitującą, bieliźnianą gąsienicę. Prawie popłakałam się ze śmiechu i oczywiście przy okazji rozlałam kawę.

— Ta dziewczyna szła za panem? — upewniłam się między jednym wybuchem śmiechu a drugim, a pan Wojtek pokiwał głową ze zbolalym wyrazem twarzy, choć w jego oczach migotały ogniki rozbawienia.

— Podobała mi się jak diabli — dodał. — Mieszkała dwa pokoje dalej. Ale po czymś takim wszystko było jasne, już bym się nie odważył zagadać. Zresztą nigdy nie umiałem zawierać znajomości.

— Ja też nie — pocieszyłam go. — To dla mnie zupełna abstrakcja.

Pokiwaliśmy smętnie głowami, choć każde z nas jeszcze się uśmiechało. Wytarłam blat z rozlanej kawy, postawiłam przed gościem filiżankę, a przed sobą

kubek z herbatą. Rozmyślałam nad tym, jak dziwnie się to wszystko układa: tyle razy mijaliśmy się w windzie i nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, a teraz, kiedy wprowadziłam się na inne osiedle, rozmawiamy jak starzy znajomi.

— To gdzie ta ławeczka? — zapytał po chwili Kornecki, wyrывая mnie z zamyślenia.

— Już szukam.

Przekartkowałam całe czasopismo dwa razy, zanim wreszcie znalazłam. Fotografia przedstawiała uroczy zakątek urządzonego z fantazją ogrodu. Ręczona ławka była po części metalowa, po części drewniana, ale nie było to drewno wypielęgnowane, nowe, pomalowane farbą — wręcz przeciwnie, wyglądało na stare i zaniedbane, podobnie zresztą jak metal, któremu brakowało połysku.

Za oparciem wielki krzew róży uginał się od drobnych, białych kwiatów. Po obu stronach ławki rosła wysoka, rozwichrzona trawa, której zieleń tu i ówdzie rozweselały purpurowe główki niewielkich kwiatów. „Ostnica pięknie komponuje się z drobną świerzbnicą macedońską” — głosił napis pod zdjęciem.

Kornecki milczał. Byłam bardzo ciekawa, co widzi, patrząc na tę fotografię. Szczegóły techniczne mebla ogrodowego, który chciałam mu pokazać? Urodę krzewu różanego albo kosmatych kłosów trawy zwanej ostnicą? A może jednak piękno całej kompozycji?

— Co pan o tym myśli? — zapytałam ostrożnie.

Podniósł na mnie nieobecne spojrzenie.

— To kompletnie nie pasuje — powiedział. — Ja nie wiem. Nie pasuje ani do tarasu, ani do roślin, które tam masz. Przepraszam, które pani ma.

— W sensie, że nie mogę mieć takiej ławeczki? — Mimowolnie podniosłam nieco głos.

— Nie mam na myśli tego, że pani nie może, absolutnie — zapewnił mnie Kornecki, zrywając się z krzesła i jednym haustem dopijając resztę kawy, jakby się bał, że za chwilę go wygonię i już przepadnie. — Ale pani Igo, to nie w takim ogrodzie, nie na takim tarasie...

— A na jakim?

— Trzeba by... — Zamachał rękami i nabrał głęboko powietrza, a ja przez chwilę miałam wrażenie, że to kompletny wariat. — Trzeba by zmienić styl! Ja bym to zrobił tak: po pierwsze, jasne drewno, nie taki brąz, jak teraz jest na tarasie, już prędzej widziałbym to wszystko na białe. Lekkie, cienkie, nie żadne grube belki. Ażurowa pergola i róże pnące. Żywopłot, bo przecież chciałyby się pani odgradzić od sąsiadów, koniecznie liściasty, z buku albo grabu. Ewentualnie śliwa ałycza, ładnie się strzyże. Trochę białego żwiru albo w ogóle jasnych kamieni, niedużo trawnika, raczej takie kamieniste ścieżki. Lawenda, ostróżki, gdzieś tam białe lilie, niechby nawet były trawy ozdobne, takie jak na tym zdjęciu...

Urwał, jakby się zawstydził. Wpatrywałam się w niego jak urzeczona.

— Pan jest może ogrodnikiem, panie Wojtku?

— A gdzie tam, ogrodnikiem — prychnął. — Jestem niedoszłym geografem, potem zacząłem gospodarkę przestrzenną, a wreszcie skończyłem jako facet od altanek.

Zrobiło mi się go żal, bo w jego głosie kryło się tyle goryczy, że mój piorun i nieukończona z jego powodu polonistyka wydały mi się nagle bułką z dżemem czy jak tam się to mówi.

— Ale z zamiłowania pan jest — powiedziałam. — Z talentu. To się czuje.

— Kiedyś chciałem być projektantem ogrodów — wyjaśnił, siadając znowu i jakby z żalem zagładając na dno filiżanki, co sprawiło, że zerwałam się i nastawiłam wodę na kolejną kawę. — Właściwie sam nie wiem, kim chciałem być. Wszystkim po trosze. Przede wszystkim podróżnikiem, a zaraz potem ekologiem. To znaczy, gdyby był taki zawód, oczywiście. Wie pani, to chyba przez te góry, przez geografę w szkole. Mieliśmy takiego nauczyciela, pana Piaseckiego... Ale może pani też go pamięta, przecież pani chodziła do tej samej podstawówki.

Oczywiście, że pamiętałam „Piaska”. Był jednym z najfajniejszych nauczycieli, miał charyzmę i to coś, co sprawiało, że nigdy nie musiał podnosić głosu, a uczniowie słuchali go jak zaczarowani.

Nagle odczułam z całą jaskrawością, jak nienaturalne jest to, że nie mówimy sobie z Wojtkiem na „ty”.

— Boże drogi — powiedziałam — czy możemy wypić brudzia? To znaczy w przenośni, oczywiście. To tak głupio brzmi, kiedy mówimy o naszej podstawówce, a jednocześnie zwracamy się do siebie tak oficjalnie.

— Naturalnie, że możemy — odparł Kornecki i uśmiechnął się szeroko, a ja pomyślałam, że jest jeszcze bardziej podobny do Redforda aniżeli jego młodszy brat. — Ja, mówiąc szczerze, cały czas myślę o tobie po imieniu, przecież pamiętam cię jako dziecko.

Zarumieniłam się, ponieważ uświadomiłam sobie, że on może pamiętać obrazy z różnych etapów mojego życia, również te, na których jestem zasmarkana i zasikana, nie mam górnych jedynek oraz rozmawiam z lalkami.

— Jeszcze kawy? — zapytałam, żeby odwrócić jego uwagę od ewentualnych wspomnień.

— Tak, bardzo proszę. Parzysz doskonałą kawę.

Przyjęłam komplement z zadowoleniem. Żałowałam tylko, że nie mogę mu zaproponować ciasta.

— Wspomniałeś coś o murzynku bez pieczenia — przypomniałam mu. — Byłby idealny do małej czarnej.

— To już raczej na przyszłość — zaśmiał Wojtek. — Bo potrzeba sporo ciastek Oreo, a zapewne nie masz ich w spizarni.

— Nie mam. Na razie w ogóle nie mam zapasów, dopiero się tu urządzam.

— No właśnie. Ale powiem ci, może wykorzystasz. Ja czasem robię sobie takie słodkości bez pieczenia. Po rozwodzie miałem klasyczne objawy odstawienia.

— Wziął łyk kawy, ale była jeszcze bardzo gorąca. Przez chwilę dmuchał do filiżan-ki. — Mam na myśli odstawienie od dobrej kuchni. A że nie umiem piec, zacząłem wykorzystywać takie sprytne sztuczki.

Urwał i zaśmiał się krótko, gorzko. Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć.

— No więc te ciastka Oreo wystarczy zmielić — podjął po chwili. — I wymieszać z odrobiną roztopionej margaryny. Potem sobie z tego lepisz podstawę do ciasta, taki jakby kruchy spód, rozumiesz. I na to dajesz, na co tam masz ochotę. Może być mus owocowy z galaretką, może być masa do sernika na zimno, budyń, czekolada, mleko kokosowe z żelatyną i tak dalej. Dobre do kawy, na długie zimowe wieczory.

Wszystko to zabrzmiało bardzo smutno. Jeden samotny opowiada drugiej samotnej, jak radzi sobie z samotnością.

— Dziewczyna twojego brata nie może ci czasem upiec ciasta? — rzuciłam w rozpaczliwej próbie zmiany nastroju, a zarazem skierowania rozmowy na interesujący mnie temat.

— Znasz Karolinę? — zainteresował się Wojtek, ale widząc, że kręcę przecząco głową, odparł: — Nie wiem, mnie ona nie wygląda na taką, która by cokolwiek upiekła albo ugotowała.

W ten oto sposób dowiedziałam się, że Maciek Kornecki, bohater moich marzeń i ukrytych fantazji, ma dziewczynę o imieniu Karolina.

— W ogóle nie widzę problemu — tłumaczyła mi Agata, kiedy już przyjechała po pracy (zadzwoiłam do niej, żeby po drodze kupiła ciastka Oreo). — To przecież nie tragedia, że Maciek ma dziewczynę. Dziewczyna, też coś! Pewnie nie pierwsza i nie ostatnia. A dobra nowina jest taka, że ta dziewczyna jest najwyraźniej do luftu.

— Dlaczego? — oburzyłam się. — Co to w ogóle za poglądy? Zupełnie jakbym rozmawiała z jakąś szowinistyczną męską świnią, za przeproszeniem! Że nie umie upiec albo ugotować, to zaraz do luftu?

Agata zerknęła na moczającą się w zlewie przypaloną blaszkę od ciasta.

— Nie o to mi chodzi — próbowała się wycofać.

— Właśnie że o to, nie wykręcaj się teraz. Ciekawe, dlaczego wartość kobiety miałyby się mierzyć jakością przygotowywanych przez nią potraw — mówiłam, zaciekle mieszając zmielone ciasteczka ze stopioną margaryną. — Nie te czasy, kochana. Wartości mężczyzny nie mierzymy jakością domu, który potrafi zbudować, ani tempem, w jakim upoluje sarenkę na kolację. W ich świecie wszystko się zmieniło, tylko w naszym, kobiecym, ma zostać jak w średniowieczu, tak?

— Nie zaperzaj się, bo dostaniesz zmarszczek — przerwała mi przyjaciółka. — Już wymerdałaś te ciastka. Dawaj tę tortownicę. Trzeba ją wylepić ciastem i wyłożyć krem, zanim całkiem stężeje. Tymczasem powiedz mi, co z tą ławeczką. Zamówiłaś?

— Nie do końca. To znaczy teoretycznie tak, ale nie konkretnie.

Agata rozłożyła ręce.

— Czasem trudno się z tobą dogadać — westchnęła. — Dlaczego nie konkretnie?

— Bo Wojtek ma mi zrobić trzy projekty. Powiedział, że trzeba podejść do sprawy całościowo, począwszy od przebudowy tarasu. Te ciężkie belki, które tam są, i ta kratka oddzielająca widokowo od sąsiadów kompletnie według niego nie pasują.

— To już nie jego sprawa. Jak zechcesz, możesz sobie postawić nawet kryształowy wychodek na tarasie i nic mu do tego, że nie pasuje.

— Ale on ma rację — broniłam Korneckiego. — Wymyśliłam sobie tę ławkę z metalu i drewna, właściwie nawet nie wymyśliłam, tylko wyszukałam w gazecie, ale w ogóle nie wziąłem pod uwagę, że powinna pasować do otoczenia. On naprawdę ma do tego dryg.

— Albo ma dryg do wyciągania z klientów pieniędzy — skwitowała Agata.

Sprawiła mi przykrość tym stwierdzeniem, choć nie umiałam wyjaśnić

dłaczego. Nie ciągnęłam jednak rozmowy, ponieważ zajęliśmy się już kremem i mandarynkami, a potem dość długo mlaskałyśmy, wylizując resztki masy serowej ze ścianek miski, podczas gdy namiastka murzynka zastygała w lodówce.

Żałowałam, że nie zapytałam Wojtka o opinię na temat zastawy stołowej. Dyskutowałyśmy z Agatą chyba do północy — ona upierała się przy starym młynie, ja obstawałam przy groszkach. Ostatecznie obrzydziła mi te groszki, ale jednocześnie zapalałam gwałtowną niechęcią do starego młyna.

— Widzisz, zawsze to jakaś korzyść — tłumaczyła mi przyjaciółka, wsiadając do taksówki. — Miałaś cztery wzory do wyboru, teraz zostały dwa. Nie mów, że ci nie pomogłam.

— Pomogłaś — odparłam z ironią. — Ukatrupiłaś moją miłość do groszków.

— Faceci nie przepadają za groszkami — szepnęła, całując mnie w policzek na pożegnanie. — Twój Maciek na pewno wolałby coś mniej dziewczyńskiego.

Kiedy odjechała, wróciłam do domu i rozejrzałam się wokoło. Salon świecił pustkami, trzeba go wreszcie urządzić. Tylko w jakim stylu? Znow to samo, co z zastawą stołową, ale na większą skalę.

Rozzłościłam się nagle. Faceci nie przepadają za groszkami, też coś. Nie urządzam domu dla faceta. Urządzam go dla siebie. To ja spędzę tu te wszystkie lata, które mam do przeżycia, i to ode mnie będzie zależało, czy to będą dobre lata. Tylko jak to zrobić, żeby były dobre?

Doskonale mi znane uczucie braku sensu dopadło mnie znowu. Tej nocy nie zmrzyłam oka nawet na trzy godziny. Sen odszedł zupełnie. Siedziałam na podłodze, obejmując ramionami kolana, z kubkiem wystygłej herbaty i nadjedzonym kawałkiem niby-murzynka, gapiąc się na nowy zegar, który powiesiłam w jadalni. Był ogromny, imitował stare dworcowe czasomierze. Pomyśleć, że taka byłam szczęśliwa, kiedy przytaszczyłam ten zakup do domu. Teraz jednak przyglądałam się wskazówce sekundnika, która przesakiwała z kropki na kropkę z suchym dźwiękiem, i zastanawiałam się, jakie to ma, do diabła, znaczenie, że kupiłam sobie ładny zegar. Jakie ma znaczenie, czy na moich filiżankach będą groszki, czy dama z parasolką. Jaki sens ma urządzenie salonu w jakimś konkretnym stylu, wydawanie pieniędzy na zasłonki, dywany i żyrandole?

Zadałam sobie pytanie, czy to się nazywa depresja. A jeśli nie, to jak się to właściwie nazywa? Co mają inni ludzie — a czego mnie brakuje — że dostrzegają celowość otaczania się ładnymi przedmiotami, takiego czy innego urządzania domu i ogrodu? Dlaczego Wojtkowi Korneckiemu wydaje się ważne, żeby poszczególne elementy otoczenia mojego domu do siebie pasowały, podczas gdy mnie nachodzą takie stany jak ten — kiedy mnie to ani ziębi, ani grzeje?

Czułam się najnieszczęśliwszą istotą pod słońcem. Pusta jak skorupka, z której uciekł ślimak. Jałowa jak ziemia, której nikt nigdy nie obsiewał. Bogata,

smutna dziewczyna. Dlaczego? Nie miałam pojęcia.

Po każdym dołku nadchodzi górka, prawda? Albo jakoś tak. W każdym razie niezależnie od tych wszystkich dylematów, depresyjnych nocy i rozmyślań na temat sensu albo bezsensu wszystkiego, mniej więcej w połowie listopada miałam już urządzony niemal cały dom. W salonie — umeblowanym z niemałą pomocą Krzyśka i Agaty — pojawił się komplet wypoczynkowy: popielaty narożnik oraz dwa fotele. Jedną ścianę pokryły regały z woskowanego drewna (niestety, jeszcze wciąż nie do końca wypełnione książkami), a na stoliku w rogu pokoju stała lampka z delikatnym koronkowym abażurem i szarą wstążką. Na ścianach zawiesiłam czarno-białe fotografie w cieniutkich metalowych ramkach, głównie pejzaże, ale też kilka portretów. Wybrałam twarze starych ludzi, poorane zmarszczkami, ponieważ wydały mi się bardziej interesujące niż te młode, gładkie, jeszcze niezapisane żadną historią.

Zastanawiałam się nad barkiem, bo przecież miałam go w planach. Oglądałam rozmaite szafki, które mogłyby pełnić tę funkcję, w końcu jednak uznałam, że póki co obejdę się bez barku. Za dużo alkoholu w domu to ryzyko, że pójdę w ślady taty. A przecież nie chciałam pić. Alkohol interesował mnie wyłącznie w kategoriach walki z bezsennością.

À propos bezsenności — sypialnię urządziłam w delikatnym beżu z kremowymi dodatkami. Jedną ścianę kazałam zabudować szafą z ogromnym lustrem. Okna były przysłonięte zwiewnymi zasłonkami w kolorze śmietankowej bieli. Nad łóżkiem zawiesiłam wykonane miękką kreską grafiki przedstawiające odważne sceny erotyczne. Przyglądając się im, zastanawiałam się czasem, czy dane mi będzie kiedyś skotłować pościel w tym pokoju podczas prawdziwych uniesień — nie seksualnych ćwiczeń gimnastycznych, nie akrobacji erotycznych, tylko prawdziwej namiętności. Wątpiłam w to. Nie pożałowałam żadnego mężczyzny (poza Maćkiem, który przecież miał swoją Karolinę) i nie zanosilo się na żadne fundamentalne zmiany w tym zakresie.

Wojtek Kornecki sporządził trzy projekty zagospodarowania mojego niewielkiego ogrodu. Zadzwonił do mnie i powiedział, że są gotowe, pojechałam więc je obejrzeć. Był paskudny, deszczowy dzień, wiatr wył potępieńczo, a ja walczyłam z parasolką. Skutek owej walki był taki, że dotarłam do siedziby firmy Dream Garden zmarznięta i z zupełnie mokrymi włosami.

— Niedobrze! — powiedział Wojtek na mój widok. — Jeszcze mi tu grypę złapiesz. Zaparzę herbaty, chcesz?

Chciałam. Rozejrzałam się ciekawie po biurze, kiedy on, odwrócony tyłem, sypał do kubka listki herbaciane i czekał, aż woda w czajniku zacznie wrzeć. Na ścianach naliczyłam aż sześć plakatów z wysokogóorskimi widokami.

— To Alpy? — zapytałam.

— Tatry — wyjaśnił. — Moja jedyna miłość.

To by wyjaśniało, dlaczego się rozwiódł, pomyślałam. Może żona miała dość bycia zawsze na kolejnym miejscu, może chciała, żeby to ją kochał najbardziej.

— Ja się trochę boję gór — oznajmiłam, wywołując na jego twarzy grymas niezadowolenia. — Przez ten piorun, rozumiesz. Nie lubię być wysoko.

— Ale chodzenie po górach to także poznawanie dolin — ożywił się Wojtek. — Wiesz, wodospady, jaskinie, wąwozy. To równie piękne miejsca.

— Wierzę ci na słowo.

— Naprawdę. Powinnaś kiedyś... — urwał, jakby złapał się na tym, że zamierza powiedzieć coś, czego mógłby potem żałować. — Spójrz, tu są te projekty.

Spojrzałam. Wojtek kolejno rozwinął przede mną trzy rulony z rozrysowanymi planami. Pierwszy zakładał urządzenie tarasu w taki sposób, aby cały był otoczony prostokątnymi donicami i ażurowymi, białymi pergolami, po których pięłyby się lekkie, kwitnące rośliny. Ławeczka znajdowała się na dole, przy żywopłocie i pergoli z różą pnącą.

— Potrafisz rysować — powiedziałam z uznaniem.

— Ale nie patrz na to, czy rysunek jest ładny, czy nieładny — odparł, czerwieniąc się nieco. — Zwróć raczej uwagę na klimat. Który ci odpowiada? Co lubisz: tradycję czy nowoczesność?

Drugi szkic przedstawiał taras pozbawiony kratak i pnączy. W rogu stały trzy wysokie donice ze smukłymi trawami czy może bambusem. Poza tym znajdował się tam nowoczesny hamak czy raczej fotel bujany — nie wiedziałam, jak to nazwać. Jakby muszla zawieszona na grubym pałaku. Nie wątpiłam, że byłoby to wygodne, ale tej wizji brakowało romantyzmu. Poszukałam ławeczki — surowa w kształcie, prostokątna, z metalu i czegoś czarnego, zapewne tworzywa sztucznego, widniała przy przeciwległym brzegu tarasu. Za nią, przycięty w kulkę, rósł bez szczepiony na pniu.

— To mi nie pasuje — rzekłam stanowczo, a Wojtek, jak mi się wydawało, odetchnął z ulgą.

Pochyliłam głowę nad trzecim projektem. Na tarasie znajdowały się ogromne ceramiczne donice, w których — o ile mogłam rozpoznać — rosły zioła. Wzdłuż krawędzi tarasu rozpościerał się łąn lawendy. W dół zbiegała ścieżka, zatrzymywała się w połowie ogrodu i właśnie tam, w otoczeniu trzech krzewów, z których jeden był z pewnością bzem, stała moja ławeczka. Miała szare deski oraz boki z giętego metalu. Była dokładnie taka, jak sobie wymarzyłam.

— Nie wiem — powiedziałam płaczkliwie. — Nigdy nie będę w stanie wybrać. Nie moglibyśmy jakoś tego połączyć?

— Ale co masz na myśli?

— Drewniane donice, kratki i pnącza z pierwszej propozycji — wyjaśniłam. — Tylko niekoniecznie białe, bo pewnie po pierwszym deszczu zrobiłyby się szare, ale w taki jakiś nieromantyczny sposób. A do tego ta ławeczka z projektu numer trzy.

Wojtek spojrział na mnie z namysłem i zaczerpnął powietrza, by odpowiedzieć, gdy drzwi otworzyły się z impetem i do biura wpadł jego młodszy brat. Mimowolnie poprawiłam włosy, choć przecież nie mogły od tego wyglądać na mniej zmoknięte, wyprostowałam plecy i wypięłam klatkę piersiową.

— Dzień dobry — powiedział Maciek, po czym poznawszy mnie, poprawił się: — Cześć.

— Cześć — odparłam, nieprzytomna z wrażenia.

— Nie dotarły te zamówione siedziska — zwrócił się do starszego brata. — Popakowalibyśmy już w folię i można by odstawić do magazynu. Lepiej zadzwoń i dopytaj.

— Okej, zaraz się tym zajmę. — Wojtek pokazał wzrokiem na rozłożone przede mną rulony. — Tylko załatwimy z Igą sprawę projektu.

Zaczerwieniłam się, zupełnie bez sensu. Maciek zerknął na mnie, po czym pochylił się nad szkicami. Dzięki temu mogłam bezkarnie przyjrzeć się jego twarzy. Miał malutki garbek na nosie; nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Był starannie ostrzyżony niż Wojtek, w ogóle wydawał się bardziej wypielęgnowany. Nic dziwnego, przecież ma dziewczynę, przypomniałam sobie. A starszy pewnie uważa, że nie musi o siebie dbać, bo nie ma dla kogo się starać.

— Narzeczony nie bierze udziału w podejmowaniu decyzji? — zapytał Maciek.

Co oni obaj z tym narzeczonym?! Naprawdę nie mieści im się w głowie, że kobieta może sama urządzić sobie ogród i dom?

— Nie mam narzeczonego, jestem singielką — odparłam z godnością i starając się nie zwracać uwagi na ich porozumiewawcze spojrzenia, postukałam palcem w pierwszy szkic. — Podoba mi się lekkość tego ogrodu. Ale ławeczka najładniejsza jest na trzecim rysunku.

— Przecież nie będziesz dopasowywała stylu do ławki — powiedział z niedowierzaniem młodszy z braci.

Starszy patrzył na mnie z półuśmiechem. Szukałam w jego wyrazie twarzy ironii, ale nie, chyba była tam po prostu sympatia.

— Będę — odparłam. — Od ławeczki wszystko się zaczęło. To ma być mój azyl. Może tego nie rozumiecie, nieistotne.

Rzuciłam wyzywające spojrzenie Wojtkowi, ale on tylko pokiwał głową, skierowałam je więc na Maćka. Patrzył na mnie zmrużonymi oczyma; wyraźnie bawiło go to, co mówię.

— Zabrałabym te projekty, dobrze? — zwróciłam się ponownie do

starszego. — Pomyślę, pogapię się na ogród i podejmę decyzję.

— Dobrze.

Zwinęłam rulony i spojrzałam bezradnie za okno. Wciąż lało jak z cebra.

— Chyba muszę poprosić, żebyś mi je w coś zawinął — powiedziałam. — I zadzwonić po taksówkę.

— Nie przyjechałaś samochodem? — zapytał z niedowierzaniem Maciek. — Tłukłaś się taki kawał autobusem?

Przecież nie mogłam powiedzieć facetowi, na którym chciałam zrobić wrażenie, że w wyniku uderzenia pioruna stałam się najgorszym kierowcą świata. Wzruszyłam tylko ramionami i ponownie zwróciłam się do Wojtka.

— Zapakujesz? — poprosiłam.

Skinął głową, a potem skierował pytające spojrzenie na brata. Tamten jakby się ocknął.

— Mogę cię podzucić — zaproponował. — I tak muszę jechać do hurtowni na Czyżkówku. Mieszkaś teraz na Pias-kach, tak?

Pokiwałam głową z radością. Choćbym myślała cały dzień, nie wymyśliłabym czegoś równie pięknego. Maciek Kornecki podwiezie mnie do domu! Spędzę z nim kilkanaście minut w samochodzie, ramię w ramię, łokieć w łokieć, niemalże ucho w ucho! Jeszcze bliżej niż w windzie! Byłam tak podekscytowana, że kiedy Maciek wyszedł po samochód, nawet zapomniałam zapytać, ile płacę za te projekty, po prostu capnęłam je, zapięłam płaszcz, wzięłam pod pachę zepsutą parasolkę, dopiłam resztę herbaty i stanęłam przy drzwiach, patrząc wyczekująco na parking. Kiedy Maciek wreszcie się pojawił, rzuciłam „do widzenia” starszemu z braci i wybiegłam, usiłując ochronić zawinięte w gazetę projekty oraz własną podsuszoną już głowę przed smagnięciami ulewy.

— Ależ paskudna pogoda — sapnęłam, kiedy zamknęłam za sobą drzwi firmowego busa.

— Nie znoszę jesieni. — Ku mej radości i uldze Maciek podjął temat aury. — Mam ochotę zapaść w sen zimowy aż do kwietnia.

— Ale przecież szkoda byłoby grudnia — zaproponowałam. — Święta mają w sobie to coś.

„Coś”? — powtórzył. — Chyba już wyrosłem z tego „czegoś”. Wielkie żarcie i tyle.

— Nie celebrujecie Bożego Narodzenia?

Maciek wzruszył ramionami.

— Celebруем, choć chyba inaczej niż większość rodzin. Jeszcze za życia ojca siadaliśmy do stołu, do tych wszystkich tradycyjnych potraw. Potem przestaliśmy się wygłupiać. Teraz po prostu spotykamy się, jemy ile wlezie, trochę pijemy i oglądamy telewizję.

— A żona twojego brata? — wyrwało mi się. — Nie ubierała choinki, nie

lepiała uszek?

Spojrzał na mnie z ukosa.

— Tamara jest bardzo nowoczesną kobietą — wyjaśnił, a mnie się wydawało, że w jego głosie słyszę coś, czego nie powinno tam być. — Oni najczęściej wyjeżdżali na święta gdzieś, gdzie jest ciepło.

Miałam ochotę zapytać, dlaczego się rozwiedli, uznałam jednak, że nasza znajomość jest zbyt powierzchowna, bym mogła sobie pozwolić na takie pytania.

— Wojtkowi się to na początku nie podobało — dodał jeszcze Maciek. — Ale teraz sam przeważnie zabiera dupę w troki i wyjeżdża zaraz po Wigilii.

— Pewnie w Tatry.

— Skąd wiesz? — Spojrzał na mnie zdziwiony. — Tak, na ogół w Tatry. Zresztą w inne góry też. Jemu wszystko jedno, byle było wysoko. Czasami tak mówi: byle horyzont był garbaty.

— Ładnie — przyznała polonistyczna część mnie. — A ty? Też lubisz góry?

— Nie bardzo. Wolę powylegiwać się nad morzem. Po jaką cholere tyle się męczyć, włączyć kilka godzin pod górę, skoro potem trzeba zejść? Gdyby tam było coś szczególnego, gdyby chociaż dobre żarcie dawali na szczycie, tobym rozumiał. Ale tak to wiesz, góra dół, góra dół, to trochę robota głupiego, nie uważasz?

Roześmiał się, nie czekając na moją odpowiedź. Widocznie uznał za oczywiste, że się z nim zgodzę. Po zastanowieniu przyznałam, że owszem. Ja też uważałam, że takie chodzenie jest bez sensu. Choć z drugiej strony, mogło mieć sens, który pozostawał dla mnie niezrozumiały, ponieważ nigdy nie spróbowałam.

— Teraz w prawo — powiedziałam, bo tymczasem wjeżdżaliśmy na moje osiedle. — Jeszcze kawałek prosto, potem w lewo za spożywczym.

— Jaki kolor domu?

— Żółty — powiedziałam ponuro. — Na razie jeszcze obrzydliwy żółty jak najżółtsze żółtko. Ale przyjdzie czas, że przemaaluję elewację.

— Żółty nie jest jeszcze taki najgorszy. Widziałem kiedyś chatę w fiolecie. Mówię ci, to był odjazd.

— Fiolet fioletovi nierówny — zauważyłam. — Taki jagodowy na przykład...

— Nie, zapewniam cię, że koło jagody to on nawet nie przechodził — przerwał Maciek. — To był zimny, ohydny fiolet biskupi.

— Pierwszy raz słyszę, żeby mężczyźni rozróżniali takie subtelne odcienie — zauważyłam.

Maciek zarumienił się gwałtownie.

— Prawdę mówiąc, to ja byłem w stanie jedynie określić, że ten kolor był ohydny. Natomiast, że to fiolet biskupi, to już mi powiedziała... znajoma.

— Rozumiem.

Umilkliśmy oboje. Byłam ciekawa, o czym myślał, pewnie o tej „znajomej”.

Co do mnie, poczułam się jak kretyńka. Przecież on ma tę swoją niegotującą Karolinę. Skąd więc ta wielka radość, to podekscytowanie na wieść o tym, że spędzę z nim kilkanaście minut w samochodzie? Zaczynało mi odbijać, ani chybi. Nie chciałam tego. Co innego normalna, zdrowa erotyczna fascynacja, a co innego stan miłosnego ogłupienia. Na to ostatnie zgody nie było, i już!

Część III

Zima

Wzruszenia wielkie i małe
I średnie też

Nie było śniegu. Codziennie wypatrywałam go niczym mała dziewczynka wyczekująca pierwszego wyjścia na sanki. Chciałam, żeby było bajkowo, cudownie, świątecznie — a tymczasem z dnia na dzień robiło się coraz bardziej szaro, buro i depresyjnie.

Czasem tak właśnie jest — im bardziej człowiek się na coś nastawia, im wspanialsze snuje wyobrażenia i plany — tym większa klapa z tego wychodzi.

Marzyło mi się, że kiedy już pięknie urządzę Moje Miejsce na Ziemi i kupię gustowną zastawę stołową (ostatecznie zdecydowałam się na kremową, bez wzorków), kiedy opanuję trudną sztukę obsługi miksera oraz piekarnika, a także całej reszty domowych sprzętów — Dom Nad Rzeką wypełni się śmiechem i gwarem przyjacielskich rozmów. Było to jednak myślenie głupie i naiwne, bo przecież nie miałam wielu przyjaciół; nigdy nie zawierałam łatwo znajomości. Mimo to roiłam sobie, że Agata będzie częściej wpadać na szczerze pogaduchy i może raz czy drugi kogoś przyprowadzi, że zrobimy jakąś imprezę, poznam jej pozostałych znajomych, a ponieważ w moim domu będzie panowała atmosfera wiecznej szczęśliwości — wszyscy zapragną tu wrócić. W taki sam sposób moimi stałymi gośćmi staną się Krzysiek oraz Maciek Kornecki, przy czym z tym pierwszym będę prowadziła długie rozmowy o literaturze, zaś z drugim... Wiadomo.

Niestety, rzeczywistość nijak nie przystawała do tych marzeń. Krzysiek, owszem, wpadał od czasu do czasu, ponieważ po pierwsze rzeczywiście się polubiliśmy, a po drugie — nadal udawaliśmy parę. Kilkakrotnie byliśmy u mamy i Benia na obiedzie (na szczęście mama już nie próbowała zakrapiać posiłków alkoholem), parę razy wybraliśmy się także na spacer, nacykaliśmy sobie zdjęć w czułym uścisku i potem stopniowo wysyłałam je mamie, żeby była spokojna, że wszystko u nas w porządku.

W pewną sobotę Młody poprosił mnie, żebym się zrobiła na seksbombę, i zabrał mnie do klubu, w którym bywała jego była, Zła Pamela. Celem naszej eskapady było oczywiście wzbudzenie w Pameli zazdrości. Nie udało nam się, bo dziewczyna bawiła się doskonale w objęciach jakiegoś wysokiego typka w stylu latynoskiego lowelasa.

— On wygląda jak podróbka Bumeranga — pocieszyłam Krzyśka, który z rozpaczy postanowił się urznąć. — Tylko ma głębszy wyraz twarzy.

— Ale co konkretnie masz na myśli? Jakiego Bumeranga?

— No wiesz, tego aktora.

— Za cholerę nie wiem.

— Alberto Bumerang, grał w takim filmie, co się strzelało z futerału na

gitarę.

— A, Banderas — mruknął Krzysiek. — No to mnie pocieszyłaś. Z Banderasem nie mam szans.

— Ale przecież mówię, że podróbka — upierałam się. — Ty za to masz mięśnie jak ten męski striptizer, oglądałeś? Coś z Myszką Miki w tytule. Nawet nie próbowałam zapamiętać nazwiska, bo jest totalnie odjechane. Kojarzysz?

— Jak mogę skojarzyć nazwisko tylko po informacji, że jest odjechane?

— Chodzi mi o ten tytuł filmu z Myszką Miki. Ale jak nie chcesz, żebym cię pocieszała, to nie — obraziłam się. — Pij dalej, ululaj się na smutno, a najlepiej od razu spróbuj się utopić w alkoholu.

Na szczęście nie posłuchał tej rady i przez resztę wieczoru starał się trzymać fason. W środku nocy zadzwonił do mnie i powiedział:

— Miałaś rację, nazwisko jest odjechane. Channing Tatum. Nieźle zbudowany, rzeczywiście.

Czułam, że zrobiło mu się lepiej.

— A film miał coś z Miki czy znów pokręciłam? — upewniłam się.

— *Magic Mike*, więc można powiedzieć, że jak na ciebie, to całkiem nieźle.

— Aha, to świetnie. A teraz idź spać, pijaczyno.

— Iga?

— Co znowu?

— Dzięki. Wiesz, ta Pamela jest w gruncie rzeczy pusta.

— Też tak uważam.

— I wcale nie taka atrakcyjna.

— A, to już w ogóle. Ja bym jej nie tknęła nawet kijem.

— Dzięki jeszcze raz. Naprawdę.

Fajnie było mieć takiego kumpla jak Krzysiek. Jeszcze lepiej byłoby się w nim zakochać albo przynajmniej uprawiać dziki seks, ale to nie wchodziło w rachubę. Chemii nie było ani z jednej, ani z drugiej strony. Może właśnie dlatego tak bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

À propos chemii — jako że jesień zaczęła ustępować miejsca zimie, sprawa ławeczki chwilowo ucichła, a wraz z nią moje widoki na rozkręcenie znajomości z Mackiem Korneckim. Wprawdzie Wojtek zadzwonił dwa razy, żeby zapytać, czy podjęłam decyzję; chciał nawet przyjechać, żeby pomóc mi sobie to wszystko zwizualizować. Uspokoiliam go jednak, że w gruncie rzeczy wcale mi się nie spieszy, przecież bez posadzę dopiero na wiosnę i wtedy też ustawi się ławkę, zbuduje pergolę oraz zagospodaruje taras. Mamy mnóstwo czasu. Przesłałam mu zaliczkę na konto, bo jak by nie patrzeć, wykonał dla mnie te projekty, po czym umówiliśmy się na kontakt w okolicach lutego.

Prawda była taka, że świadomość, iż Maciek ma dziewczynę, nieco ostudziła

moje zachwyty. Nie, żeby to było coś złego. W sumie znacznie lepiej, że dziewczynę, a nie chłopaka. Po prostu poczułam, że jestem żalosna: marzę o niezobowiązującej znajomości z kimś, kto być może właśnie pracuje nad zbudowaniem trwałego związku.

Ku mojemu zdziwieniu — i nie do końca zgodnie z moimi pragnieniami — bujnie rozkwitła znajomość z Łukaszem Maczkiem. Po tym, jak rozgrzana winem (nomen omen: grzanym) omal nie rzuciłam się w jego ramiona do tego stopnia nieprzytomnie, że mogło się to skończyć nieplanowanym macierzyństwem, zrobiłam się bardzo ostrożna. Uznałam, że jeśli facet nie jest w stanie wzbudzić we mnie ciepłych uczuć, natomiast bardzo dobrze całuje i jest zwyczajnie zbyt ładny jak na normalnego, prawdziwego mężczyznę — należy unikać go jak ognia. Wprawdzie Agata powiedziała, że przynajmniej dzieci byłyby urodziwe, nawet gdyby Maczek okazał się sukinkotem, ja jednak byłam absolutnie przekonana, że póki co nie chcę dzieci. Ani urodziwych, ani szpetnych, ani w ogóle żadnych.

Wracając do Łukasza — dzwonił do mnie regularnie, zazwyczaj wieczorami, kiedy już rozgrzana kąpielą leżałam w łóżku i zabierałam się za czytanie. Zwierzał się, opowiadał o codziennych bzdurach. Do pewnego stopnia było to nawet pożyteczne, bo dzięki temu listopadowe wieczory mniej mi się dłużyły.

Któregoś dnia Maczek zadzwonił, kiedy wracałam z banku. Był grudzień, ale świat wyglądał jesiennie, nie zimowo. Ponieważ bardzo, bardzo, bardzo czekałam na Boże Narodzenie, byłam już w tym szczególnym nastroju, kiedy chce się obdarować cały świat. Pojechałam więc do banku, odnalazłam tę samą miłą panią, która poprzednio pomogła mi uporać się z formalnościami przy zakładaniu konta, po czym założyłam kolejny rachunek i upoważniłam do korzystania z niego Agatę Kosecką. Ku zdumieniu miłej pani bankierki przelałam tam dziewięć milionów i poczułam się znacznie lżejsza i szczęśliwsza.

Łukasz zadzwonił, kiedy akurat wracałam taksówką do domu.

— Wszystko w porządku? — zapytał głosem pełnym troski.

— Dlaczego pytasz?

— A nie wiem. Tak jakoś ostatnio ucichłaś.

Bez sensu. Co znaczy: „ucichłaś”, skoro nigdy do niego nie dzwoniłam, tylko on do mnie? Wprawdzie po pamiętnej propozycji małżeństwa na krótki czas zaniechał telefonów, ale potem wrócił do tych naszych rozmów o wszystkim i o niczym.

— Nie ucichłam — powiedziałam zmęczonym głosem. — Miałam trochę spraw, urządzałam dom.

— Już gotowy? — ożywił się Łukasz. — Bardzo bym chciał go zobaczyć. Mogę wpaść któregoś dnia?

Jak na warszawiaka, jakoś podejrzanie często bywał w Bydgoszczy. Teraz,

zimą, nie rozkręcał chyba pubów rzecznych?

— Ty nie pracujesz? — zagadnęłam. — Tak sobie jeździsz po Polsce jak wolny ptak, tu zajrzysz, tam zajrzysz...

— Oczywiście, że pracuję — odpowiedział. — Przecież ci mówiłem, rodzinny interes. Ale jak to w rodzinie, mogę brać wolne, kiedy chcę. A właśnie bardzo chcę. Stęskniłem się, Iga.

Ostatnie słowa wypowiedział tak miękko, tak ciepło... Przypomniałam sobie jego oczy jak rozżarzone węgielki i ten chłopięcy uśmiech.

— Przyjedź — powiedziałam. — Opijemy moje nowe meble. Może pomożesz mi wyposażyć bibliotekę, bo na razie mam niemal puste regały.

— Bibliotekę to raczej nie. Ale lodówkę albo barek...

— To raczej opróżnić — odparłam ponuro. — Z wyposażaniem radzę sobie sama.

Taksówkarz dowiózł mnie na miejsce; zapłaciłam i wysiadłam. Zapadał wczesny grudniowy wieczór. Rzuciłam okiem na ciemne okna mojego domu i poczułam ukłucie żalu, że nikt na mnie nie czeka. Nie zmieniałam zdania na temat związków i wikłania się w zależności damsko-męskie, ale jednak...

— Jesteś tam? — odezwał się w słuchawce Łukasz.

— Tak, jestem. Przyjedź, kiedy ci będzie pasowało.

Kiedy otwierałam drzwi, zerknęłam w okno kuchenne i na chwilę zastygłam bez ruchu. Wydało mi się, że w odbiciu w szybie dostrzegłam nagły ruch po przeciwnej stronie ulicy. Przy murku odgradzającym śmietnik od jezdni rosły gęste krzaki, w tej porze roku już zupełnie bezlistne. Jeśli mnie wzrok nie mylił, ktoś stał przy krzewach i patrzył na mnie, po czym błyskawicznie schował się za murek, jakby nie chciał zostać zauważonym, gdy odwrócę się, wchodząc do domu.

Szybko zamknęłam za sobą drzwi. Czy to mogło być przywidzenie? Oczywiście, bo kiedy odwróciłam się gwałtownie, nikogo już nie zauważyłam. Inna sprawa, że było dość ciemno, najbliższa latarnia znajdowała się dwa domy dalej, nie mogłam więc ufać własnym oczom.

Z drugiej strony, to wydarzenie przywiodło mi na myśl kilka innych faktów. W ostatnim miesiącu zdarzyło mi się chyba trzykrotnie, że kiedy wyglądałam w nocy przez okno, miałam złudzenie, iż ktoś kręci się po moim zarośniętym ogrodzie. Dwa razy wydawało mi się, że ktoś za mną idzie, gdy spacerowałam po osiedlu i poszłam nad rzekę. A raz krzesło na tarasie stało rano w innym miejscu, niż postawiłam je wieczorem.

Wszystko to przeleciało mi teraz przez głowę. Zdenerwowałam się okropnie. Zgasiłam światło i podeszłam do okna, nie chcąc być widziana z ulicy. Nikogo nie było. Ani przy krzakach, ani — o ile mogłam stwierdzić z tego miejsca — przy śmietniku. Ale przecież ten ktoś zdążyłby dawno czmychnąć i to, że już go nie widziałam, o niczym nie świadczyło.

Drżącymi dłońmi chwyciłam komórkę i wybrałam numer Agaty. Nie odbierała. Widocznie robiła właśnie jakąś sesję; ostatnio oprócz dzidziusiów i ciężowych brzuszków specjalizowała się w szczeniaczkach i kociętach, oferowała nawet specjalne rabaty dla hodowców. Spróbowałam jeszcze z Krzyśkiem, bo nikt inny nie przyszedł mi do głowy, ale odezwał się przez szum szlifierki albo może maszyny do cięcia płytek i powiedział, że nie może teraz rozmawiać.

Byłam sama i okropnie się bałam. Telefonowanie do mamy nie miało sensu, podobnie do Łukasza. Łukasz był daleko, a mama? Mama nie mogła przecież przyjechać, ponieważ odkryłyby, że mieszkam sama. A poza tym zaczęłyby panikować i pewnie zechciałyby tu zostać, żeby mnie chronić.

Mogłabym wybrać numer Wojtka Korneckiego, ale mimo wszystko się nie odważyłam. Był bardzo sympatycznym, lecz przecież zupełnie obcym facetem, którego zatrudniłam, żeby wykonał dla mnie meble ogrodowe. Nie łączyła nas nawet namiastka przyjaźni. Nie, muszę poradzić sobie samodzielnie.

Obeszłam dom i sprawdziłam wszystkie okna, drzwi na taras oraz ponownie drzwi wejściowe. Czaiłam się przez chwilę w każdym z okien — jedynie po to, aby stwierdzić, że na zewnątrz kompletnie nic się nie dzieje. Następnie podkrađłam się do drzwi tarasowych i zapamiętałam, gdzie dokładnie stoi krzesło oraz skrzynka po mandarynkach, w której zostawiłam zakupione niedawno sadzonki bukszpanu. Zdechły zaraz po tym, jak przywiozłam je do domu z wyprzedaży w jednym z dyskontów — ale wciąż nie miałam serca ich wyrzucić i od czasu do czasu podlewałam suche truchelka.

Rozsądek gromkim głosem krzyczał, że jestem bezpieczna, ale zakorzeniony głęboko lęk przed złodziejami uaktywnił się jak nigdy dotąd. Kim mógł być mężczyzna po drugiej stronie ulicy i dlaczego gapił się na mnie, gdy otwierałam drzwi? Dlaczego schował się, kiedy miałam się odwrócić? Dlaczego w ogóle znajdował się w tym miejscu, na moim nieprzyzwoicie cichym osiedlu, o tej porze?

Te i inne pytania kłębiły się w mojej głowie, kiedy — wciąż po ciemku — szykowałam się do snu. Miałam absurdalne wrażenie, że zapalenie światła sprawi, iż stanę się celem dla snajpera albo przynajmniej zboczeńca-podglądacza. W większości pomieszczeń nie miałam zasłon, rolet nie było wcale. Pomyślałam, że kiedy zabiorę się za odnawianie elewacji i zmianę koloru z ohydneho żółtkowego na jakiś subtelny pastelowy, zamówię przy okazji rolety antywłamaniowe. Zaraz potem jednak uświadomiłam sobie, że nawet gdybym miała takie rolety, nie odważyłabym się ich teraz opuścić. Poczulałabym się jak w zamkniętym pudełku, z którego nie ma ucieczki. Ktoś mógłby bezkarnie chodzić wokół budynku, a ja nie miałabym o tym pojęcia.

Zaraz, zaraz, przecież byłam tak nieprzyzwoicie bogata, że mogłam sobie zamówić jakiś sprytny zestaw kamer i czujników. Ta myśl sprawiła, że położyłam się do łóżka z laptopem i zaczęłam wyszukiwać inteligentne systemy monitoringu.

Co jakiś czas wyglądałam nerwowo przez okno, ale w ciemności nie było widać żadnego ruchu.

Obawiałam się, że nie zmruję oka tej nocy, tymczasem stało się dokładnie odwrotnie: kiedy wreszcie zasnęłam, spałam prawie pięć godzin. Najwyraźniej tym, co zapewniało mi sen, były intensywne emocje. Nie alkohol, nie obecność mężczyzny, lecz to, co sprawia, że moje serce bije choć odrobinę szybciej.

O poranku wstąpiły we mnie nowe siły. Sprawdziłam „wystrój” tarasu — skrzynka po mandarynkach i krzesło stały na swoich miejscach. Zaparzyłam sobie kawę i zasiadłam, by ją wypić, z absolutnym przekonaniem, że sobie poradzę. Jeśli będzie trzeba, zatrudnię kilku ochroniarzy, najprzystojniejszych, jakich tylko znajdę. Kupię sobie broń gazową, paralizator, gaz pieprzowy, łzawiący i rozśmieszający na dodatek. Jednym słowem — stawię czoła własnym lękom. A na początek, postanowiłam, zaczaję się i sprawdzę, czy złoczyńca w ogóle istnieje, czy nie jest to po prostu wytwór mojej znużonej zadawnionymi lękami wyobraźni.

W celu zaczajenia się przeprowadziłam niesłychanie sprytną operację taktyczną: przez cały dzień nie wychodziłam z domu ani nie zapalałam światła. Udawałam, że mnie nie ma. Ukradkiem obserwowałam ulicę. Po południu ostrożnie wychynęłam na taras i wystawiłam tam pudło, w którym kilka tygodni temu przywieziono mi nowy komputer z wielkim monitorem. Uznałam, że to będzie doskonały wabik na złodzieja. Jeśli ten facet rzeczywiście zamierza mnie okraść i krąży wokół domu, na pewno zechce sprawdzić, czy karton jest pusty. Poświęciłam jedną z konturówek do ust i zaznaczyłam krzyżykami na posadzce, gdzie dokładnie znajdują się rogi pudła. Jeśli złodziej przesunie je lub choćby podniesie, na pewno nie odstawi precyzyjnie w to samo miejsce.

Po południu wykąpałam się, przebrałam w wygodną piżamę i mięciutki szlafrok, a następnie — dla kurażu, żeby nie umrzeć ze strachu — napiłam się trochę likieru o smaku cappuccino, który kupiłam w Lidlu, bo miał piękną, smukłą butelkę. Okazał się przepyszny, nalałam więc sobie od razu pół szklanki i zaczęłam wyjadać go łyżeczką. Świat poweselał, strach minął. W tym momencie miałam absolutną pewność, że nawet jeśli złodziej krąży wokół mego domu, to ja sobie z nim bez trudu poradzę. To znaczy nie ja osobiście, tylko moja armia ochroniarzy. Jutro, zatrudnię ich już jutro.

Tymczasem zgłodniałam jak wilk, toteż czym prędzej, korzystając z resztek światła dziennego, usmażyłam sobie naleśniki i zjadłam je z nutellą i bitą śmietaną, wykorzystując likier kawowy jako sosik do polewania. Czegoś tak pysznego w życiu nie jadłam. Zwłaszcza likier pasował idealnie. Zanim się spostrzegłam, smukła butelka była już pusta, a ja pomyślałam, że naukowcy powinni się skupić na wynalezieniu takich naczyń na likiery i inne gęste napoje, żeby dało się to wyzymać albo chociaż przekręcać na drugą stronę w celu wylizania denka.

Nagle z tarasu dobiegł mnie jakiś dźwięk. Zapadał już wczesny grudniowy

zmrok i uświadomiłam sobie, że od jakiegoś czasu nie wyglądałam przez okno, zajęta naleśnikami: najpierw smażeniem, a potem konsumpcją. Wstałam od stołu, przez chwilę łąpałam równowagę, po czym — chwyciwszy patelnię, jako że nic innego nie miałam akurat pod ręką — ruszyłam ostrożnie w stronę drzwi tarasowych.

Ktoś tam był. Wysoka, szczupła sylwetka. O ile mogłam się zorientować, nieznajomy stał odwrócony tyłem. Gapił się na mój ogród. Jakim prawem przebywał na moim tarasie? Po co tu wlaź? Niewiele myśląc (no dobrze, spójrzmy prawdzie w oczy: nie myśląc w ogóle), otworzyłam drzwi i wypadłam na zewnątrz.

Nie mam dla siebie żadnego usprawiedliwienia, poza tym jednym — że wychłptałam całą butelkę likieru. Wiem, to było głupie. Bezdennie. Normalnie nigdy bym tak nie postąpiła, a jednak... stało się. Wyskoczyłam na taras, wrzasnęłam: „Czego tu?!”, a gdy mężczyzna odwrócił się ku mnie i stwierdziłam, że nie jest to żaden z moich znajomych, z całej siły walnęłam go patelnią w głowę. Potem upadliśmy oboje. On — bo go zabiłam, a ja — bo widząc to, zemdlałam.

Nie mam pojęcia, jak długo leżałam na posadzce, lecz kiedy się ocknęłam, dygotałam okropnie. Czy z zimna, czy z przerażenia, tego nie wiedziałam. W każdym razie oprzytomniałam błyskawicznie. Zabiłam złodzieja. Potencjalnego wprawdzie, ale przecież nie przylazłby na mój taras, gdyby miał czyste intencje, tylko zapukałby kulturalnie do drzwi.

Czy ktoś coś zauważył? Rozejrzałam się na wszystkie strony. Zimowy wieczór zapadł już na dobre. Na tarasach sąsiednich domów nie było nikogo. Poza okrzykiem bojowym nie wydawałam żadnych innych dźwięków, moja ofiara chyba także nie zdążyła krzyknąć. Patelnia wprawdzie wydała przykry odgłos, choć może pochodził on raczej z głowy trafionego nią nieszczęśnika... Ale zasadniczo miałam duże szanse na to, że nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

Czułam się paskudnie, kiedy nachylałam się nad ciałem mężczyzny leżącego na tarasie i sprawdzałam, czy żyje. Właściwie sprawdzałam, jak bardzo nie żyje. Postawiłam tezę i chciałam ją samej sobie udowodnić. Jakkolwiek strasznie to zabrzmia — pragnęłam, żeby był martwy. Bałam się go tak bardzo, że w innej wersji niż całkowicie ukatrupiony był dla mnie nie do przyjęcia. Przyjrzałam mu się uważnie. Spod głowy powoli wypelzała strużka krwi, rozlewając się w niewielką kałużę. Przez chwilę zastanawiałam się, czy to aby nie świadczy o tym, że trup żyje, bo przecież gdyby nie żył, krew by nie płynęła. Ale z drugiej strony, najpierw musi wypłynąć, żeby móc przestać płynąć, nie może zatrzymać się tak od razu. Trup był trupem, niezaprzeczalnie. Kimkolwiek był i z jakiegokolwiek powodu wtargnął na mój taras.

Stwierdziwszy to, wpadłam w panikę. Ręce zaczęły mi się koszmarnie trząść i poczułam, że zaraz zwymiotuję. Tak na wszelki wypadek, gdyby na przykład obserwował mnie jakiś satelita czy podstępny dron, otworzyłam wielkie pudło po komputerze i postawiłam je w taki sposób, aby nakryć zwłoki. Jakkolwiek absurdalnie to brzmi (będąc w szoku, ludzie nie postępują racjonalnie), pudło obciążyłam patelnią. Następnie biegiem udałam się do łazienki, gdzie przez chwilę walczyłam zaciekle o zatrzymanie naleśników w żołądku. Udało mi się. Dla otrzeźwienia napiłam się zimnej kranówki; zrobiło mi się lepiej na żołądku, ale gorzej pod względem emocjonalnym. Zaczęłam beczeć, a ręce dygotały mi tak okropnie, że kilka razy próbowałam trafić w klamkę, aby wyjść z łazienki. Wreszcie mi się udało. Postanowiłam zatelefonować do Agaty, aby powiedzieć jej, co się stało, i poprosić o pomoc w ukryciu zwłok. Albo może w zawiadomieniu policji. Sama nie wiedziałam. Czy zamordowanie patelnią faceta stojącego na tarasie w zapadającym zmierzchu zostanie uznane za obronę konieczną? Raczej nie. Czyli jednak ukrycie zwłok.

Zanim znalazłam telefon, rozległ się dźwięk, który sprawił, że omal nie wyzionęłam ducha z przerażenia. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że tym, co tak przenikliwie, ostro zadźwięczało w ciszy mojego domu, była patelnia uderzająca o posadzkę tarasu. Trup musiał się poruszyć! Niewiele myśląc, wypadłam na taras, w panice kopnęłam pudło, strącając je z domniemanych zwłok, po czym rzuciłam się na niedokończony trup z pięściami. Byłam chyba gotowa walczyć na śmierć i życie, przynajmniej tak zdefiniowałam swoje postępowanie, kiedy już później, na chłodno, usiłowałam zrozumieć własne poczynania.

Ponieważ jednak zwłoki nie próbowały się bronić, do walki nie doszło. Zamiast tego błyskawicznie wyciągnęłam pasek ze szlafroka i związałam ręce mężczyzny, po czym, nie wiedząc, jak to się fachowo robi, przywiązałam je do uda. Jego oczywiście, nie mojego. Złodziej nie stawiał oporu. Zastanawiałam się nawet, czy to możliwe, żeby jednak nie żył — ale przecież nie, patelnia nie spadła bez powodu, musiał się poruszyć.

Co teraz? Skoro nie udało mi się go ukatrupić, to ukrycie zwłok nie wchodzi w grę. Musiałam zawiadomić policję. Nawet jeśli niełatwo się do tego przyznać — prawda jest taka, że w owej chwili nie miałam ani cienia wyrzutów sumienia. Nic a nic. Wypełniał mnie jedynie zwierzęcy strach. Nie mam pojęcia, czy każdy człowiek w mojej sytuacji czułby się tak samo. Pięknie byłoby móc powiedzieć, że od początku było mi tego człowieka żal, że nie chciałam zrobić mu krzywdy, a jedynie oddać w ręce sprawiedliwości — ale to nie byłaby prawda. Prawda wyglądała ponuro i paskudnie: na wszelki wypadek znów ujęłam w dłonie patelnię, która leżała nieopodal, i czekałam z rękami uniesionymi do ciosu, aż nieznajomy znowu się poruszy.

On jednak, zamiast na przykład szarpnąć się albo agresywnie wierzgnąć, pisnął. Cichutko i żałośnie. Nadstawiłam uszu, ale nie opuściłam patelni. Mógł popiskiwać dla zmylenia przeciwnika, czyli mnie. Cholera, że też nie znalazłam najpierw tego telefonu. Mogłabym już w tej chwili dzwonić na policję.

Jęk powtórzył się po chwili. Tym razem towarzyszyła mu próba podniesienia głowy.

— Leż, bo znowu oberwiesz — wychrypiałam.

Głos mi drżał, podobnie jak ręce. Mężczyzna zamrugał bezradnie. W świetle padającym z wnętrza domu na jego oblicze nie widziałam wyraźnie rysów twarzy, ale dałabym głowę, że już go kiedyś spotkałam.

— Kim jesteś i czego chcesz? — powiedziałam, starając się brzmieć groźnie, choć byłam przerażona tak samo jak on. — Mów, bo cię palnę!

Przez chwilę trwała cisza, zakłócana jedynie stęknieniami mężczyzny, który usiłował chyba dotknąć twarzy rękami i nie od razu dotarło do niego, że zostały one przywiązane do jego własnej nogi. Obserwując to, pomyślałam, że pomysł ze skrepowaniem go w taki sposób był do bani — przecież gdy tylko dojdzie do

siebie, wstanie i ucieknie, wprawdzie zgięty w pół, ale jednak. Należało związać mu nogi.

— Nie bij już — wydukał w końcu nieznajomy. — Nic nie zrobię, nie mam złych zamiarów.

— Tak? To niby dlaczego pałętasz się po moim tarasie? Gdybyś nie miał złych zamiarów, nie byłoby cię tutaj!

— Wiem. Wyjaśnię to.

— Tak będzie lepiej dla ciebie. I to szybko.

— Tylko... boli okropnie. I zimno.

Dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę, że kałuża krwi pod jego głową ciągle rośnie. To, że się odezwał — a w dodatku poskarżył się na ból — sprawiło, że mój szok minął na tyle, żeby doszły do głosu uczucia wyższego rzędu. Po pierwsze, odezwało się sumienie. Po drugie, przestałam się tak okropnie bać.

— Możemy zrobić tak: zwiążę ci nogi — powiedziałam po namyśle. — I wtedy wejdziemy do środka. Opatrzę ci głowę.

— Ale jak wejść, jeśli mi zwiążesz nogi?

No tak. Była w tym pewna logika.

— No to inaczej. Obwiążę cię całego poza nogami.

Mężczyzna zamknął oczy. Przestraszyłam się, że umiera.

— Dobra, dobra! — zawołałam. — Uważaj, pomogę ci wstać. Ale pamiętaj, jeden fałszywy ruch i znowu walnę cię patelnią. Zresztą policja już jedzie — zablokowałam. — I tak nie masz szansy uciec.

Posmutniał wyraźnie. Chwyciłam go za ramię i pociągnęłam w górę. Z wysiłkiem podniósł się na kolana, a potem zgięty w kabłąk, bo przecież dłonie miał przytroczone do uda, pokuśtykał do ciepłego wnętrza, podczas gdy ja podążałam za nim, z patelnią wciąż przygotowaną do zadania ciosu.

Zaprowadziłam go do jadalni i posadziłam na krześle, ponieważ z głowy kapłała mu krew, a nie chciałam przecież, żeby mi poplamiał nowiutki narożnik. Sumienie sumieniem, ale nie należy popadać w przesadę.

— Siadaj — warknęłam, gdyż przyszło mi do głowy, że muszę zgrywać twardzielkę.

Nie miałam drugiego szlafroka, ale przypomniałam sobie o skórzanym pasku w dżinsach, które zostawiłam w łazience. Pobiegłam tam i błyskawicznie wyciągnęłam pasek, drżąc ze strachu, że podczas mojej nieobecności zbir ucieknie albo zaczai się i teraz ja oberwę po głowie. Nic takiego się jednak nie stało, siedział i patrzył na mnie smętnie. Przypięłam go paskiem do oparcia krzesła, zaciskając na wysokości klatki piersiowej. Facet trochę wybałuszył oczy, ale mógł oddychać, a to najważniejsze.

Sięgnęłam po rolkę ręczników papierowych, założyłam gumowe rękawiczki, które kupiłam z myślą o pracach ogrodowych, ale jeszcze nie miałam okazji ich

użyć — po czym ułożyłam mu na głowie prowizoryczny opatrunek, który natychmiast nasiąkł głębokim szkarłatem. Następnie szybko starłam plamki krwi z podłogi i zamknęłam drzwi na taras.

— Wszystko wytłumaczę — odezwał się nieznajomy, który z kupką papieru na głowie wyglądał zdecydowanie bardziej żałośnie niż niebezpiecznie. — Tylko nie trzymaj mnie tu za długo, muszę wracać. Naprawdę muszę.

Jego twarz znowu obudziła we mnie to dziwne wrażenie, że gdzieś go widziałam. Przyglądałam się przez chwilę, jak mrugał powiekami. No tak, oczywiście! Brakowało okularów w srebrnych oprawkach! To ten sam typ, którego widywałam w różnych miejscach, który mnie wyraźnie śledził od jakiegoś czasu.

— Gdzie masz okulary? — zapytałam ostro, a on drgnął.

— Skąd wiesz, że noszę?

— Rozpoznałam cię. Łazisz za mną od jakiegoś roku.

— Nie od roku — zaprotestował. — Od lipca. I nie łążę, tylko jeżdżę skuterem. A okulary musiały mi spaść, pewnie leżą gdzieś na tarasie.

— Aha. A dlaczego akurat od lipca za mną jeździsz?

— Bo wtedy wygrałaś te wielkie pieniądze — powiedział zrezygnowanym tonem.

Zastygłam bez ruchu z garścią ręczników w dłoni. Zamierzałam mu właśnie wymienić opatrunek, ale tylko dołożyłam czystych ręczników na wierzch i usiadłam, tak oszołomiona, jakbym też co najmniej oberwała po głowie. Jakim cudem ten facet mógł wiedzieć o mojej wygranej?! Czyżby Agata komuś wygadała?

— Skąd o tym, do diabła, wiesz?!

— Poszedłem na cmentarz, na grób dziadka. Obserwowałem cię, bo dziwnie się zachowywałaś, taka przyczajona byłaś, kręciłaś się w kółko i rozglądałaś. Pomyślałem, że chcesz komuś podprowadzić znicze albo kwiaty.

Milczałam, ponieważ zupełnie mnie zatkało.

— Podkradłem się bliżej, żeby cię złapać na gorącym uczynku, i usłyszałem, co szepczesz do tego nagrobka. Że wygrałaś w Lotto i że to takie nieprzyzwoicie wielkie pieniądze, nie wiesz, co z nimi zrobić, i się boisz, i wcale nie jesteś szczęśliwa. Najpierw sądziłem, że zmyślasz, że jesteś trochę, wiesz, nie tego na umyśle. Kiedy wyszłaś z cmentarza, poszedłem za tobą. No i się okazało, że łazisz po sklepach i wydajesz kasę bez opamiętania. Że śpisz w hotelu, co chwila zmieniasz kolor włosów, malujesz sobie jakieś dziwne oczy, rozbijasz się taksówkami, kupiłaś dom...

— Czekaj, czekaj! Jakie znów dziwne oczy?

— No, miałaś takie kreski na powiekach — wyjaśnił. — Ale to nawet nieźle wyglądało. Najgorszy był ten kolor na włosach.

— Blond?

— Taaa, powiedzmy. Raczej zieleń. Jak u topielca.

Zdenerwował mnie.

— Nie twoja sprawa, jakie mam włosy — warknęłam. — Jak będę chciała, to się ogolę na zero i nikomu nic do tego. Ale wracając do sprawy, po co łąziłeś za mną, kiedy już się upewniłeś, że to prawda z tą wygraną? Chciałeś na mnie napaść czy co?

— Napaść to nie — powiedział smutno, a potem dmuchnął sobie na czoło; pewnie go swędziało, bo róg jednego z papierowych ręczników łaskotał go nad brwią. — Zresztą przecież nie nosiłaś tej kasy przy sobie. Sam nie wiedziałem, co zamierzam zrobić. Może poprosić o pomoc, może rzeczywiście okraść. Tylko że za cholere nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać. Obserwowałem cię, nie nosiłaś gotówki, zazwyczaj płaciłaś kartą, a ja nie znałem PIN-u. Potem pilnowałem, co kupujesz do nowego domu, pomyślałem, że może chociaż buchnę drogie sprzęty i je sprzedam, ale ty nic, tylko meble, dywaniki, obrazki...

— Kupiłam sobie komputer! — prawie się obraziłam.

— Dla jednego komputera miałem ryzykować? A co z kinem domowym? Jakaś plazma porządna na całą ścianę czy coś...

— Odwal się. Dzwonię na policję. — Zdenerwowałam się. — Jeszcze tego brakowało, żeby mnie jakiś nieudaczny złodziejaszek krytykował.

— To jeszcze nie dzwoniłaś? — ucieszył się. — Zaczekaj, ja ci wytłumaczę...

— Przecież już wytłumaczyłeś. Nie okradłeś mnie tylko dlatego, że nie bardzo było co kraść.

Znalazłam wreszcie telefon; był pod poduchą, wciśnięty w róg narożnika. Okazało się, że miałam siedem nieodebranych połączeń. Dwa od mamy, a pięć od Agaty. No tak, zapewne oddzwaniała od wczorajszego wieczora, kiedy to usiłowałam z nią porozmawiać. Ponieważ wcisnęłam telefon między poduchy, nie słyszałam dzwonka.

— Nie dzwoń! — jęknął ponownie mężczyzna. — Jeszcze ci nie wyjaśniłem, dlaczego to wszystko...

Spojrzałam na niego uważnie. Było coś takiego w jego głosie, że rzeczywiście nie wybrałam numeru, choć tak naprawdę chciałam jedynie zatelefonować do przyjaciółki, żeby się jej poradzić. Telefon na policję mógł mi bowiem przynieść same kłopoty, w końcu to ja zaatakowałam nieznanego, a nie na odwrót.

— Wyjaśnij — zażądałam. — I może się wreszcie przedstawić, do cholery.

Był to chyba pierwszy raz, kiedy powiedziałam do kogoś takie paskudne słowo. W myślach zdarzało mi się przeklinać, oczywiście, ale żeby tak komuś prosto w oczodoły?

— Rafał Mościcki — przedstawił się natychmiast. — I już wszystko wyjaśniam. Widzisz, sprawa wygląda tak: mam siostrę, Kornelkę, która zachorowała. Tata też jest chory, ale z tym sobie radzimy, radziliśmy do tej pory. Ale mała... — Głos mu się załamał, ale przełknął kilka razy i z trudem dokończył: — Z nią jest bardzo źle.

Umilkł na chwilę. Przyglądałam się jego twarzy, usiłując zrozumieć, po co mi to mówi. Mrużył oczy i przyszło mi do głowy, że on mnie może nieostro widzieć.

— Sprawdź, gdzie te twoje okulary — odezwałam się. — A ty mów dalej. Tylko logicznie, bo jak na razie nie dostrzegam związku między poszczególnymi informacjami.

Kiedy wstałam i poszłam na taras, Rafał podjął — nieco głośniejszym głosem, żebym słyszała:

— Tata ma stwardnienie rozsiane. Wymaga całodobowej opieki.

Okulary w srebrnych oprawkach leżały przy krawędzi tarasu. Przyniosłam je, przetarłam ręcznikiem papierowym i założyłam nieproszonemu gościowi na nos.

— Tylko co ma tu do rzeczy twój tata? — zapytałam. — Bo ja nadal nie widzę związku.

— Już mówię. Widzisz, jeszcze niedawno pracowałem w Poznaniu, w składzie budowlanym. Mam kurs operatora wózków widłowych. Ale tacie się pogorszyło, to się nazywa rzut choroby, i potem już nie wróciło do poprzedniego stanu. Musiałem wrócić do Bydgoszczy, żeby pomagać mamie, załapałem się do pracy w Castoramie i przez dwa lata jakoś nam szło, ale w tym roku na początku czerwca straciłem robotę, a na dodatek...

— Wiesz co? — przerwałam, nieco skołowana. — Ja sama jestem piekielnie chaotyczna, ale ty bijesz mnie na głowę. Powiedz jednym, związłym zdaniem: o co ci chodzi?

Rafał patrzył na mnie przez chwilę i poruszał ustami, jakby dobierał słowa.

— Potrzebuję pieniędzy — rzucił w końcu tonem straceńca. — Jak jasna cholera. Jestem zdesperowany i czasem myślę, że mógłbym nawet kogoś zabić, jakiegoś drania czy coś, żeby zdobyć forszę. Zaczekaj, wiem, że to jest więcej niż jedno zdanie. Już ostatnie: u mojej siostry rok temu wykryli siatkówcza.

To wcale nie było tak, że mu od razu uwierzyłam. Najpierw poluzowałam nieco pasek na jego klatce piersiowej i ramionach, ponieważ mówił o sprawach tak okropnych, że poczułam wyrzuty sumienia, nawet jeśli żadna z tych rzeczy nie zdarzyła się z mojej winy. Następnie zamknęłam się w łazience i zadzwoniłam do Agaty. Wysłuchałam jej biadolenia, że jak to, wczoraj dzwonię, a dzisiaj nie odbieram i ona się zamartwia, a nie mogła przyjechać i sprawdzić, co się ze mną dzieje, bo przez całe popołudnie wraz z ojcem obsługiwali fotograficznie jakąś rodzinną uroczystość i dopiero wróciła do domu, bierze prysznic i chce tylko spać.

— Mowy nie ma — powiedziałam kategorycznie. — Jeszcze nie jest późno, a ja potrzebuję pomocy. Natychmiastowej.

— Czyli co?

— Czyli przyjeżdżasz do mnie, bo ja mam tu niedoszłego trupa i on mocno krwawi, a ja nie wiem, czy mogę mu zaufać.

— Jezu Chryste, coś ty znowu narozrabiała? — sapnęła Agata w słuchawkę. — Mów jakoś jaśniej. O co chodzi? Facet ci w łóżku wykorkował czy co?

— Zaraz tam w łóżku! — obraziłam się. — Co ja jestem, maskaron jakiś, żeby mi faceci w łóżku umierali? Poza tym od tego by nie krwawił.

— Fakt.

— Oberwał patelnią — wyjaśniłam krótko. — Przyjedź, bo sama nie dam sobie rady. Tylko autem, błagam, nie rowerem, bo to pilne.

Kiedy wyszłam z łazienki, Rafał wyglądał tak nieszczęśliwie, że po namyśle zaparzyłam mu herbaty i rozwiązałam dłonie. W ten sposób uwolniłam także jego udo i teraz mógł bez trudu uciec; pozostał wprawdzie przypięty do krzesła, ale nie było to niewykonalne. Nie wyglądał jednak na takiego, który by rozważał ucieczkę. Pobladł i zapadł się w sobie. Kiedy podałam mu herbatę, spojrzał na mnie z wdzięcznością, ale zaraz potem z wyrzutem, bo okazało się, że pasek krępuje mu ruchy rąk na tyle, że z wielkim trudem podnosił kubek na wysokość, do której zdołał nachylić głowę.

— Jeszcze się trochę boję — wyjaśniłam. — Nie rozepnę cię, dopóki nie przybędzie odsiecz.

— Czyli kto? — zapytał nerwowo. — Ten bubek z Białych Błot?

— O kim ty mówisz?

— O tym ładniutkim.

Zapewne chodziło mu o któregoś z braci Korneckich; ale firma Wojtka znajdowała się przy Fordońskiej, a Białe Błota były raczej w przeciwnym kierunku. To nie miało sensu.

— Dlaczego z Białych Błot? — drażyłam temat. — Oni tam nie mieszkają.

Żaden z nich.

— Ale jak to „żaden”? — zdziwił się Rafał, siorbiąc herbatę. — Ja mówię o jednym. O tym czarniawym lalusiu.

— Czarniawy lalusz jest z Warszawy — wyjaśniłam mu. — I w sumie wcale nie jest takim lalusiem, na jakiego wygląda.

— Dupa tam z Warszawy — prychnął. — Mieszka w Białych Błotach, w takim szarym domu. Kiedyś to musiała być wypasiona willa, ale teraz mocno podupadła. Nie zapominaj, że ja cię mam na oku od lipca. Musiałem wysledzić, skąd się ten bubek wziął, bo się bałem, że chce mnie uprzedzić. No wiesz — stropił się nagle, bo zorientował się, że rozmawia ze mną o tym, jak bardzo chciał mnie okraść — dla mnie to była sprawa życia i śmierci.

Chciałam mu powiedzieć, że bredzi. Że coś mu się zdrowo pokićkało. Bubek, jeśli mówiliśmy o tym samym bubku, czyli Łukaszu Maczku, pracował w Warszawie i był synem cholernie bogatego tatuśka, nie mógł więc mieszkać w Białych Błotach w podupadłej szarej willi. W Białych Błotach mógł natomiast mieszkać jego kolega, ten od samochodu. Zamierzałam właśnie wyłuszczyć to mojemu więźniowi, ale rozległo się pukanie do drzwi. Zerwałam się więc i wpuściłam do domu Agatę.

Jak można się było spodziewać, narobiła krzyku. Mogłam to przewidzieć i złagodzić nieco szok, usuwając nasiąknięte krwią ręczniki z głowy Rafała, ale przez rozmowę o bubku nie pomyślałam o wrażeniu, jakie ta scena zrobi na Agacie.

— Spokojnie! — zawołałam. — To tylko draśnięcie!

Tę kwestię zapamiętałam chyba z jakiegoś filmu, samo mi się tak powiedziało. To nic, że bez sensu, najważniejsze, że Agata przestała krzyczeć.

— Już wyjaśniam — podjęłam, prowadząc ją na kanapę. — Siadaj, słuchaj i nie krytykuj. Ten nieszczęśnik to Rafał Mostowiak.

— Mościcki — zaprotestował Rafał.

— Mom, ale małe — mruknęła Agata pod nosem, a wówczas on spojrzał na nią z urazą. Zapewne niejednym razem w życiu słyszał ten głupi żart.

— Łaził za mną od lipca, bo podsłuchał na cmentarzu, że wygrałam w Lotto — kontynuowałam. — Zamierzał mi buchnąć pieniądze, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Agata zrobiła zdziwioną minę, lecz nic nie powiedziała. Patrzyła tylko szeroko otwartymi oczami — to na mnie, to na przypiętego paskiem do krzesła mężczyznę z zakrwawioną „czapeczką” na głowie.

— Wczoraj po południu widziałam go po drugiej stronie ulicy, stał i patrzył, a potem schował się za śmietnikiem. Zadzwoiłam więc do ciebie, bo bardzo się bałam, ale nie odbierałaś.

— Robiłam sesję takiej jednej lokalnej pani polityk — wyjaśniła ze skruchą.

— Nie szkodzi, jakoś sobie poradziłam.
— Właśnie widzę. Za chowanie się za śmietnikiem walnęłaś go patelnią?
— Nie, to akurat za czajenie się na moim tarasie.
— Nie czaiłem się — zaprotestował Rafał. — Tylko byłem zainteresowany, bo od wczoraj miałaś zgaszone światło i się bałem, że może coś ci się stało.
— Albo raczej miałaś nadzieję, że wyjechałam?
— Może trochę — przyznał potulnie. — Mógłbym pomyszkować.
— Bezczelny! — skwitowała Agata.
— Żebyś wiedziała — przytaknęłam. — On twierdzi, że to sytuacja życiowa zmusiła go do kradzieży.
— Do kradzieży! — prychnął Rafał. — Jeszcze w życiu niczego nie ukradłem!

— To dlaczego, barania głowo, zamierzałeś okraść właśnie mnie?
Chłopak zmiękł i jeszcze bardziej zapadł się w siebie.
— Właściwie początkowo chciałem cię tylko poprosić, porozmawiać — wyznał. — Łaziłem za tobą, żeby znaleźć odpowiedni moment... Wyobrażałem sobie, że jesteś samotna, zagubiona, pójdiesz do jakiegoś baru, żeby się upić, a wtedy ja się dosiędę, opowiem ci o Kornelce i ty sama jakoś zaproponujesz...

— Mam tego dość! — oznajmiłam z wściekłością, bo zagrały mi we krwi resztki likieru kokosowego. — Wyście chyba wszyscy powariowali! Czy ja jestem jakaś ostatnia lebiega, do ciężkiej choinki? Dlaczego akurat miałabym być samotna? Pani Żanna, stylistka, jak chcecie wiedzieć, powiedziała, że mam świetny tyłek. Dlaczego nie pomyślałeś, że mam faceta, który jest we mnie szaleńczo zakochany i niedługo bierzemy ślub?!

— Nie zwierzałybyś się nagrobkowi — zauważył ponuro Rafał. — Sam to robię od czasu do czasu, stąd wiem. Do tego trzeba być... właśnie... samotnym.

Zapadła cisza. Agata myślała intensywnie, marszcząc czoło; zapewne próbowała zrozumieć ten pokręcony dialog. Co do mnie, coś mnie tknęło. Dosłownie i w przenośni. Coś w środku, w okolicach organu, który nie ma nazwy, ale gdyby miał, nazwałabym go ośrodkiem człowieczeństwa. Czy ktoś, kto podobnie jak ja chodzi się wygadać na cmentarz, może być z gruntu zły? I czy nie jest przypadkiem tak, że robi to z bezradności i rozpacz?

— Pojedziemy do ciebie — zdecydowałam. — Udowodnisz, że mówisz prawdę. Przedstawisz nam siostrę i ojca. Potem pojedziemy gdzieś na kawę i opowiesz wszystko jeszcze raz, składnie i po kolei. Ale najpierw zdejmę ci to z głowy i zobaczę, czy nadal cieknie.

— Czy co?

— Czy cieknie. Czy ci leci krew, no wiesz.

Pokiwał głową z dość ponurym wyrazem twarzy. Agata obserwowała nas w milczeniu.

Okazało się, że wprawdzie Rafał już nie cieknie, ewentualnie tylko trochę się z niego sączy, ale włosy na czubku głowy ma posklejane krwią. Ogólnie wyglądał niewyjściowo. Próbowałam wysuszyć mu ranę jeszcze kilkoma ręcznikami, po czym zdjęłam gumowe rękawiczki i umyłam ręce. Na wszelki wypadek uzbroiłam się w lakier do włosów, a Agacie wręczyłam dezodorant w sprayu.

— W razie niebezpieczeństwa walimy po oczach — szepnęłam, a potem poszłam do jadalni i rozpięłam pasek, uwalniając swoją ofiarę.

Rafał jęknął z ulgą i rozmasował sobie ramiona.

— Dzięki — powiedział z przekąsem. — Jesteś kobietą pełną kontrastów. Z jednej strony troskliwie osuszasz mi ranę i parzysz herbatę, z drugiej walisz po łbie i bezlitośnie krępujesz.

— Naśladuję cię — odgryzłam się. — Troskliwy brat i syn oraz pospolity złodziejasek w jednym.

— Niczego nie ukradłem — przypomniał. — Chciałem, przyznaję, ale nawet nie wiem, czy bym się odważył, choćby w tym pudle stał najdroższy sprzęt wszech czasów. Okazji miałem wiele. Kilka razy plątałaś się sama nad rzeką, mogłem ci założyć jakiś worek na łepetynę, wziąć klucze i splądrować dom. A jednak tego nie zrobiłem.

— Dzięki, dobrodzieju — powiedziałam drwiąco. — Pragnę wyrazić moją głęboką wdzięczność. A teraz morda w kubel i jedziemy. Chcę się przekonać, ile z tego, co mówiłeś, jest prawdą. Agata, zawieziesz nas?

Pokiwała głową, choć w jej spojrzeniu widziałam całą masę wątpliwości.

Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze starego budynku na Osiedlu Leśnym. Klatka schodowa śmierdziała nieco stęchlizną, ale nie było to bardziej uciążliwe niż zapach kapusty w bloku, w którym spędziłam dzieciństwo.

— Jest dosyć późno — zauważyła Agata. — Może odłożmy oględziny do jutra?

— Nie trzeba — machnął ręką Rafał. — U nas i tak nigdy się nie śpi przed północą.

— Jak uważasz — mruknęła moja przyjaciółka.

Co do mnie, czułam się paskudnie. Chyba to, co mnie do tej pory nakręcało: lekkie upojenie likierem, strach i szok spowodowany pojawieniem się obcego mężczyzny na moim tarasie, a także skok adrenaliny po walnięciu go w głowę — wszystko to zaczynało mijać. Dotarło do mnie, że omal nie zabiłam człowieka i że być może to, co zobaczę w jego mieszkaniu, wcale nie pomoże mi poczuć się lepiej.

Rafał otworzył drzwi i wszedł pierwszy. Agata ostrożnie zrobiła dwa kroki, a ja zawahałam się jeszcze, ale ponieważ oboje odwrócili się i spojrzeli na mnie z wyczekiwaniem, w końcu przestąpiłam próg.

Przedpokój ział pustką. Taka była moja pierwsza myśl. Nie było wieszaków, żadnej szafki na buty, lustro. Nic z tych rzeczy, które się zwykle widuje w przedpokojach.

— Tata leży w dużym pokoju — powiedział półgłosem gospodarz. — Pójdę tam i uprzedzę rodziców, że mamy gości.

Przez głowę przebiegła mi myśl, że oto my, idiotki konkursowe, dałyśmy się nabrać. Rafał — o ile to było jego prawdziwe imię — przyprowadził nas do jakiejś meliny, do gniazda żmij, w którym już czekają na nas uzbrojone zbiry. Za chwilę zostaniemy zamordowane, zgwałcone, poćwiartowane, a potem okradzione, choć to ostatnie obeszło mnie akurat najmniej, ponieważ uznałam, że w obliczu poćwiartowania byłby to raczej błahy problem.

Nie wiem, czy Agata pomyślała o tym samym; zdążyła jedynie chwycić mnie za rękę i mocno ścisnąć. Stąd domyśliłam się, że i ona nie czuła się zbyt różnie.

— Nie bój się — usłyszałyśmy, zanim zdążyłyśmy choćby wymienić spojrzenia i ustalić, czy dajemy nogę teraz, czy za chwilę. — Przyszły do nas dwie miłe panie.

Odpowiedzią było piśnięcie, które przy odrobinie dobrej woli można by uznać za „dobrze”. Rafał wynurzył się zza futryny.

— Kornelka się trochę wystraszyła — powiedział szeptem. — Od ostatniego

pobytu w szpitalu zrobiła się jakaś płochliwa. Tata przysnął, a mama chyba jest w łazience. Chodźcie, poznacie moją siostrę.

Nie wiem, jak Agata, ale ja poczułam się idiotycznie. Mimo to — zajrzałam. W dość dużym pokoju znajdowała się meblościanka na wysoki połysk, pamiętająca zapewne czasy PRL-u, oraz rozkładana wersalka, na której drzemał przykryty kocem otyły mężczyzna. Na jego twarzy tańczyło niebieskie światło telewizora.

Rozejrzałam się. Pod ścianą, skulona, jakby oczekiwała ciosu, stała malutka, najwyżej czteroletnia dziewczynka. Miała okrągłą główkę i krótkie włoski. Nigdy się nie znałam na dzieciach, ale wydała mi się bardzo szczupła i jakaś kanciasta. Wyglądała niczym zapałka.

— To jest Kornelka, moja siostra — szepnął Rafał. — Może chodźmy do kuchni, nie będziemy budzić taty.

Chciałam zapytać, co właściwie dolega ojcu, bo słowa „stwardnienie rozsiane”, które wcześniej padły, niewiele mi mówiły. Zauważyłam jednak stojący obok łóżka wózek inwalidzki i zaniechałam pytań.

Udaliśmy się do kuchni. Z łazienki dobiegał szum wody, widocznie pani Mościcka brała prysznic. Kornelia nie poszła z nami, pozostała w półmroku pokoju. Rafał nie zwrócił na to uwagi, widocznie tak miało być. Ja jednak poczułam się bardzo źle z myślą, że mała stoi tam, w zimnym świetle telewizora, ze śpiącym ojcem, który przecież nie zapewni jej opieki ani towarzystwa.

— Nie zawołamy jej do siebie? — zapytałam.

— I tak na razie nie przyjdzie — wyjaśnił chłopak. — Musi minąć sporo czasu, zanim odważy się przebywać w jednym pomieszczeniu z kimś obcym. A drugie tyle, zanim spojrzy w oczy. Jest bardzo nieśmiała.

— Nie chodzi do przedszkola?

— Chwilowo nie. W przedszkolu dostawała ataków płaczu, nie dawaliśmy sobie z tym rady. Przychodzi do niej emerytowana przedszkolanka, pani Janina.

Agata odsunęła delikatnie krzesło i usiadła przy stole. Ja zrobiłam to samo. Rafał chwycił czajnik i zaczął go napełniać, odwrócony do nas plecami. Odniosłam wrażenie, że celowo puścił niewielki strumień wody, aby trwało to dłużej. Może chciał w ten sposób ukryć wzruszenie.

Zwróciłam uwagę na piękne rysunki wiszące nad stołem; przedstawiały liście i kwiaty. Przypominały fotografie makro — wiernie odzwierciedlały każdą żyłkę, plamkę, pręciki kwiatowe i drobinki pyłku.

— Rysujesz? — zapytałam. — Bardzo ładnie.

— Nie, to nie ja, to Kornelia.

Obie z Agatą zrobiłyśmy wielkie oczy. Najwyraźniej mała była bardzo utalentowana. O ile dobrze pamiętałam, ja sama w wieku przedszkolnym rysowałam głównie koszmarnie głowonogi.

— To teraz opowiedz wszystko po kolei — zażądałam.

Rafał odwrócił się wreszcie. Nie pytając, czy chcemy się czegoś napić, nasypał herbaty do trzech szklanek w wiklinowych koszyczkach. Zerknął na zegar wiszący nad lodówką, która pamiętała chyba czasy stanu wojennego. Zresztą wszystko w tym mieszkaniu wydawało się pochodzić z minionej epoki.

— Zawsze było ciężko — powiedział z westchnieniem. — Jak byłem mały, tata pracował w fabryce mebli. Potem stracił pracę i długo nic nie mógł znaleźć. Lekarze powiedzieli, że pod wpływem stresu ujawniła się u niego choroba.

— Stwardnienie rozsiane, tak mówiłeś? — upewniła się Agata.

— Tak. Najpierw miał problemy z widzeniem, potem skarżył się na ból nóg i zaczął się przewracać. Później przez jakiś czas była wielka poprawa, jakby choroba się cofnęła. Tata zaczął pracować jako nocny stróż, urodziła się Kornelia, taki jakby prezent rodzice sobie zrobili na stare lata, wszystko było okej. I nagle sru, kolejny rzut choroby. Ból nóg, brak koordynacji, ciągle zmęczenie; tata funkcjonuje właściwie jedynie do południa, potem by tylko spał.

— Jak to się leczy? — zapytałam. — Leki są drogie?

Strasznie mnie zawstydziała moja niewielka wiedza na ten temat.

— Ale nie, nie o to chodzi! — Rafał machnął ręką, omal nie rozlewając świeżo zaparzonej herbaty. — Naprawdę! Ja nie chcę się skarżyć na nasze życie, dotąd sobie radziliśmy, ojciec ma rentę, mama pracuje w obuwniczym. Wszystko by się jakoś kręciło, nawet to, że straciłem robotę, to w sumie nie żadna tragedia, bo i tak trzeba było zatrudnić opiekę do taty. Tylko teraz... ten pieprzony rak. Siatkówczak. Z tym sobie nie poradzimy.

Zacisnął szczęki; tym razem było już oczywiste, że ledwo powstrzymywał łzy.

— Na zdjęciu z zajęć plastycznych... Bo ona chodzi na takie zajęcia do domu kultury, lepią tam i rysują, to chyba jedyne, co potrafi Kornelkę zająć do tego stopnia, że nie płacze za mamą... Pani im zrobiła zdjęcia i Kornela miała taki dziwny odblask z dna oka. Inny niż normalnie, nie taki czerwony, wiecie. Tylko biały.

Obie z Agatą słuchałyśmy w napięciu.

— Okazało się, że to siatkówczak.

Milczałyśmy. Do kuchni wsunęła się bezszelestnie chudziutka Kornelia; podeszła do lodówki i kilkakrotnie przestąpiła z nogi na nogę.

— Już robię. Z dżemem? — zapytał Rafał.

Mała skinęła głową. Jej brat wyciągnął z lodówki margarynę i dżem brzoskwiniowy, po czym przygotował kanapki dla siostry. Podał jej talerzyk, a ona czym prędzej wyszła, nie spoglądając nawet w naszą stronę. Gdzieś w tle ustał szum wody. Spodziewałam się, że za chwilę przyjdzie do nas gospodyni, i poczułam wyrzuty sumienia z powodu tego wieczornego najścia.

— Jestem bezradny. — Rafał zacisnął pięści. — Bardzo się boję.

Usiadł przy stole, głośno odsuwając krzesło. Mówił półgłosem.

— To jest nowotwór dziecięcy, wiedziałyście? Skurwysyn, atakuje tylko maluchy. Jak to może być, że takie gówno istnieje? Jaki Bóg by na to pozwolił? Kiedyś byłem bardzo religijny, ale odkąd to wszystko się dzieje... Powiedz sama... — Zwrócił się teraz do mnie, a ja poczułam się zupełnie ogłupiona. — Jak to może być, że tyle cierpienia spotyka tych najmłodszych? Że tata chory, rozumiem, nie jest już młody, swoje przeżył, ileś tam nagrzeszył. Gdybym ja zachorował, trudno, mam dwadzieścia cztery lata, ale przecież przyjąłbym na klatę. Ale dziecko? Kornelka, która i tak ma od początku pod górkę, bo w domu chory ojciec, bo wiecznie brak pieniędzy, nie ma jak inne dzieci roweru, nie ma tych wszystkich różowych Hello Kitty czy jak to się nazywa... Jak to, kurwa, możliwe?

Skuliłam się, jak zawsze, kiedy ktoś przeklinał. Nie lubiłam ostrych słów, bałam się ich. Agata, która była zawsze odważniejsza, językowo i pod każdym innym względem, powiedziała, marszcząc czoło:

— Może Boga zostawmy w spokoju, okej? Ja nie jestem zbyt religijna, a Iga to już zupełnie. Wracajmy do konkretów. Co już zrobiliście? Mam na myśli tego pierdolonego siatkówcza.

Boże mój. Owszem, „odważniejsza”, ale żeby aż tak?

— Byliśmy u kilku okulistów. Przebadali Kornelię i dali skierowanie na chemioterapię. Już jesteśmy po dwóch. Po pierwszym cyklu guz zmalął o połowę, ale niestety druga chemia nie przyniosła rezultatów. Kornelka miała też hipertermię, leczenie laserami... W Centrum Zdrowia Dziecka próbowali terapii takim nowym lekiem, melphalanem. Niby podziałało, ale i tak potem była wznowa... Teraz mamy termin trzeciej chemii, ale z cichym zastrzeżeniem, że prawdopodobnie i tak skończy się na amputacji oka.

Agata ukryła twarz w dłoniach. Gdzieś w korytarzu rozległo się skrzypnięcie drzwi. Po chwili do kuchni zajrzała kobieta z turbanem z ręcznika na głowie.

— Co tak długo? — zapytała, po czym stanęła jak wryta, kiedy nas zauważyła. — Koleżanki? Rafałku, dlaczego nie uprzedziłeś? Zaraz się przebiorę...

Miała na sobie błękitny szlafrok z tym nieprzyjemnym odcieniem szarości, który wskazuje na podeszły wiek tkaniny.

— Nie trzeba, niech pani z nami usiądzie — poprosiła Agata cicho. — Przepraszamy za tak późną wizytę, ale... Rafał zranił się w głowę i chcieliśmy mieć pewność, że bezpiecznie dotarł do domu.

Kobieta doskoczyła do syna w ułamku sekundy.

— Gdzie? — zapytała nerwowo, ostrożnie rozgarniając jego gęste włosy. — Boże mój, tu jest mnóstwo zaschniętej krwi! Co się stało?!

— To nic, mamo. — Rafał delikatnie odsunął jej ręce. — Iga miała otwarte okno, a ja się schyliłem, bo upadł mi telefon... I jak się podniosłem, to wiesz,

przygrzmociłem głową w róg. Ale już mi nie leci krew.

Unikał mojego wzroku, ja z kolei nie miałam odwagi spojrzeć na jego matkę.

— Proszę nam powiedzieć — odezwała się Agata tym samym co poprzednio, bardzo cichym głosem. — Jak można pomóc Kornelce?

Pani Mościcka wyglądała na zdeorientowaną.

— Ale jak to: pomóc? — zapytała bezradnie. — Już jest przecież lepiej. Tylko trzecia chemia i będzie po wszystkim.

Rafał zamrugał gwałtownie i jednym haustem dopił gorącą jeszcze herbatę.

— Już mi lepiej, dziewczyny — powiedział nerwowo. — Odprowadzę was na przystanek. Zaraz wracam, mamó.

Zrozumialiśmy, że chce z nami porozmawiać na osobności. Każda z nas wlała w siebie zawartość swojej szklanki, po czym pożegnałyśmy się pośpiesznie i najciszej jak umiałyśmy, żeby nie obudzić pana Mościckiego, wyszłyśmy z mieszkania.

— Mama nie wie o wznowie — wyjaśnił nam Rafał, kiedy znaleźliśmy się przed blokiem. — Nie mam odwagi jej powiedzieć, że Kornelii chcą amputować gałkę oczną. Na chemię jeździłem z małą sam, bo mama nie ma prawa jazdy, a ktoś musiał zostać z ojcem.

— Ale przecież trzeba będzie jej powiedzieć — zauważyłam.

— Właśnie o to mi chodzi... Bo jest jeszcze... Dlatego za tobą łąziłem...

Urwał. Obie z Agatą wpatrzyłyśmy się w niego jak w obrazek.

— Mów wreszcie — zażądała moja przyjaciółka. — Jest jakaś szansa? A jeśli tak, to ile kosztuje?

— Jest szansa — potwierdził Rafał z wahaniem. — Wyczytałem, że oprócz leczenia samym melphalanem, które nie zawsze przynosi efekty, w jednym miejscu na świecie leczy się połączeniem trzech leków: melphalanu, topotecanu i carboplatyny.

— Boże drogi, przecież to nam nic nie mówi! — zniecierpliwiłam się. — Co to za miejsce?

— Nowy Jork. Leczenie prowadzi doktor Abramson, a koszt to...

— Koszt to... — powtórzyła Agata, bo Rafał znowu utknął.

— Lekko licząc, razem z przelotem i kosztami pobytu, dwa miliony — zakończył chłopak bardzo cicho.

Agata odwiozła mnie i weszła na chwilę. Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu, obie instynktownie tuląc do siebie poduchy narożnej kanapy. Wreszcie moja przyjaciółka odważyła się odezwać.

— Twoja propozycja jest aktualna? — zapytała drżącym głosem.

— Jaka propozycja?

— Ta z pieniędzmi. Że połowa dla mnie.

— Agata...

— Tak tylko pytam — stropiła się; widziałam, że zrobiło jej się bardzo przykro. — Nie było tematu.

— Ależ był temat. — Przysunęłam się do niej i objęłam ją ramieniem. — I nadal jest. Chciałam ci powiedzieć tuż przed świętami, to miał być prezent na Gwiazdkę. Założyłam dla ciebie konto, to znaczy ono jest moje, bo ja nie mogłam założyć konta na twoje nazwisko, ale jesteś osobą upoważnioną do korzystania z tych pieniędzy. Tak jak się umawialiśmy, dziewięć milionów.

Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem wybuchnęła płaczem.

— To takie cholernie niesprawiedliwe — szlochała. — Taka mała dziewczynka, taka chudziutka, widziałas? Co ona zapamięta z dzieciństwa? Rurki do kroplówek, narkozę, wymioty po chemii? Powinno się przecież pamiętać grę w gumę, rysowanie kredą na chodniku i ubranka dla lalek. A jeśli jej amputują oczko, to skąd wiadomo, że to drugie nie zachoruje? Iga, ja nie umiem takich rzeczy zaakceptować.

— Ja też nie umiem — odparłam, usiłując się nie rozbeczeć, bo przecież jedna z nas musiała trzymać fason. — Cicho, Agus. Będzie dobrze. On za mną rzeczywiście łąził od lipca, wiesz? Teraz sobie przypominam, faktycznie był na cmentarzu, kiedy zwierzałam się tacie z wygranej, bo ty byłaś wtedy w Portugalii, a mnie aż nosiło, żeby komuś opowiedzieć. Potem natykałam się na niego w różnych miejscach, tak kompletnie bez sensu, widocznie mnie śledził. Robił zdziwione miny, ilekroć zmieniałam kolor włosów albo robiłam sobie mocniejszy makijaż. Nie jest aktorem, nie umie udawać.

— Też to zauważyłam — chlipnęła Agata. — Zresztą nawet nie próbował kręcić, przyznał, po co przylazł na twój taras... A ta malutka Kornelka, taka chudzina...

Rozszlochała się znowu. Przez resztę wieczoru na przemian uspokajałam ją i zapewniałam, że wszystko będzie dobrze, sfinansujemy to leczenie w Stanach i w ogóle jakoś pomożemy rodzinie Mościckich, choć jeszcze nie bardzo wiedziałam jak.

Obudziłam się w środku nocy, jak zwykle. Czułam się dziwnie spokojna, ponieważ wiedziałam już, że tym razem nikt mnie nie śledzi, nikt nie podgląda. Sprawa wyszła na jaw i to sprawiło, że odzyskałam poczucie bezpieczeństwa. Ale spokój już po chwili mnie opuścił. Bo teraz moją głowę zaprzętały zupełnie inne problemy.

Po pierwsze: Co z tym Maczkiem? Dlaczego Rafał twierdził, że Łukasz mieszka w Białych Błotach, w szarej, podupadłej willi? Kłamał czy nie kłamał? W sensie: Rafał. Chociaż w sumie Maczek też. Na jedno wychodziło. Podumałam nad tym chwilę i napisałam do Łukasza esemesa: *Nie wpadaj, jestem bardzo zajęta i wyjeżdżam*. Tak na wszelki wypadek, bo przecież niedawno zapowiadał się z wizytą, a ja w obecnej sytuacji nie bardzo miałam ochotę go podejmować.

Druga sprawa: Jak mam sprawdzić, czy Rafał nie jest jednak oszustem? Teoretycznie mogło być tak, że cała rodzina zagrała przed nami swoje role — ojciec w sumie tylko leżał, to akurat łatwo zagrać; wózek mogli od kogoś pożyczyć, Kornelia może być zdrowa, a fryzurkę mieć krótką z zupełnie innego powodu niż przebyta chemia... Pewnie istnieją jakieś sposoby, by to zweryfikować, ale nie bardzo wiedziałam jakie. Trzeba będzie chłopaka zapytać o dokumentację medyczną albo podjechać do szpitala i poprosić o historię choroby Kornelki. Tylko że pewnie by nie dali, bo to w końcu prywatna sprawa.

Po trzecie: Jeśli to jednak prawda (na co liczyłam, to znaczy oczywiście ze względu na Kornelkę i jej ojca życzyłam sobie, aby byli zdrowi, ale z powodu rodzącej się właśnie sympatii dla Rafała wolałam, by nie okazał się oszustem) — to jak pomóc, żeby to nie było dawanie ryby, tylko wędki? Uważałam, że to nie sztuka dać komuś pieniądze i powiedzieć: radź sobie. Jeśli historia opowiedziana przez Rafała była prawdziwa, to oznaczało, że ci ludzie nie mają pomysłu, jak poradzić sobie z trudnościami. Zresztą wcale mnie to nie dziwiło, sama jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie miałam kompletnie żadnego pomysłu na życie. Powiedzonko, że pieniądze szczęścia nie dają, było oczywiście prawdziwe, skoro nawet teraz, przy tym moim niewyobrażalnie pękatym portfelu, nie wiedziałam, co właściwie chcę zrobić z własnym losem. Ale nie dało się ukryć, że to jednak pieniądze pootwierały przede mną wszystkie drzwi, które przedtem wydawały się zamknięte na głucho.

Rozmyślałam do rana, lecz nic konkretnego nie przyszło mi do głowy. Idealna sytuacja byłaby wówczas, gdybym miała firmę, prowadziła własne przedsiębiorstwo albo potrzebowała kogoś do pomocy. Wtedy mogłabym zatrudnić Mościckiego i dać mu na tyle wysoką pensję, żeby tej rodzinie poprawiły się warunki bytowe. Póki co jednak nie zdecydowałam jeszcze, czym się zajmę. Czasem chodził mi po głowie jakiś sklep, najchętniej księgarnia, w której sprzedawałabym najlepsze książki i organizowałabym spotkania z pisarzami. Ale na takie decyzje było za wcześnie, nie dojrzałam jeszcze do nich.

Zresztą nawet gdybym otworzyła własny sklep — czy byłaby w nim praca dla Rafała? Niekoniecznie. Rozwiązania należało szukać gdzie indziej.

Reszta nocy zeszła mi na szperaniu w internecie. Naczytałam się przeraźliwie smutnych historii o walce z siatkówcakiem — niestety, niewiele z nich kończyło się happy endem. Po śniadaniu pojechałam na Osiedle Leśne i zapukałam do drzwi mieszkania Mościckich. Otworzył mi Rafał, nieco potargany, z czerwonymi, zapuchniętymi oczami.

— Była tu ta twoja koleżanka — powiedział. — Dopiero co poszła. Powiedziała, że mam napisać do doktora Abramsona i błagać go, żeby zgodził się leczyć Kornelkę. O pieniądze mam się nie martwić. Ona też wygrała fortunę, czy co?

— Nie twój interes — powiedziałam szorstko, ponieważ nie chciałam, żebyśmy oboje się rozkleili. — Pieniądze na leczenie małej są, to ci powinno wystarczyć. Ale ja przyjechałam w innej sprawie. Właściwie w dwóch. Po pierwsze, nie obraż się, ale chciałabym zobaczyć dokumentację medyczną twojej siostry. Sam rozumiesz, nie żebym ci nie wierzyła, ale sam przyznałeś, że chodziło ci po głowie, żeby mnie okraść...

— A tak, tak. Oczywiście. — Spłoszył się i odsunął od drzwi, żeby mnie przepuścić. — Tylko idź prosto do kuchni, bo tata jeszcze nieubrany.

Zamknął drzwi od pokoju, w którym poprzedniego dnia widziałam jego ojca. Drzwi od drugiego pomieszczenia były uchylone i udało mi się zobaczyć bawiącą się na dywanie Kornelię. W świetle dziennym wydała mi się jeszcze drobniejsza niż poprzednio. Podniosła na mnie wzrok i przez ułamek sekundy widziałam na dnie jednego z jej czarnych oczu dziwny błysk. Choć oczywiście to mogło być jedynie złudzenie.

Usiadłam w kuchni i zaczęłam rozmyślać o tym, jak dziwnie plotą się ludzkie losy. Rafał przyniósł garść dokumentów i podał mi kilka. Przejrzałam pierwszy z wierzchu — wypis ze szpitala. Z trudem przedzierałam się przez medyczną terminologię. Udało mi się zrozumieć tyle, że zakończono drugi cykl chemioterapii i wyznaczono termin kolejnych badań.

— Retinoblastoma? — przeczytałam. — Co to jest?

— To właśnie inna nazwa siatkówcaka. Ta bardziej oficjalna.

— Obie paskudne — oceniłam.

— Tu masz jeszcze wyniki kolejnych badań...

— Nie chcę — przerwałam mu. — Już nie trzeba, Rafał.

Spuścił głowę i nerwowo skubał skórki przy paznokciach.

— Tak jak powiedziała Agata, nie musisz się już martwić o pieniądze.

— Nie myśl, że ja sam nic nie robiłem — powiedział nagle, jakby poczuł potrzebę usprawiedliwienia się przede mną. — Nawet założyliśmy subkonto w

takiej jednej fundacji. Tyle że zupełnie nie wiedziałem, jak to nagłośnić. Wpływały pojedyncze datki, ale za mało. Uzbierało się dwa tysiące osiemset. Nie wiem, może to trzeba mieć znajomych w telewizji czy coś...

Pewnie trzeba przede wszystkim być sprytnym życiowo i zaradnym, pomyślałam, ale ponieważ sama przez całe dotychczasowe życie byłam ofermą i ciamajdą, nie powiedziałam tego głośno. Zamiast tego zapytałam:

— Co zamierzasz robić dalej? Jak ty sobie właściwie to wszystko wyobrażasz?

— Nie wiem. — Rafał rozłożył ręce, a oczy zaszkliły mu się jeszcze bardziej. — Do Stanów poleci mama, jeśli to się w ogóle uda załatwić, bo ja chyba jeszcze nie wierzę... Ale dajmy na to, że ten lekarz się zgodzi. Nie bardzo wiem, jak sobie poradzimy... Mama nie zna angielskiego, ja też nie za bardzo. Z drugiej strony lepiej, żeby z Kornelką była mama, chociaż w sumie to ja z nią jeździłem na wszystkie zabiegi. A tu ktoś musi zostać z ojcem. Mama pracuje, ja z kolei nie mam żadnego dochodu, ale przecież z renty ojca jakoś się wyżyje.

Mówił bardzo chaotycznie, co chwila przeczesując rękoma włosy i dotykając zranionego miejsca na czubku głowy, które — jak się domyślałam — wciąż musiało go boleć. Był zdenerwowany i przerażony, choć jednocześnie w jego głosie słyszałam coś, czego nie było tam poprzedniego dnia: nutkę nadziei i nieśmiałej radości.

— Chciałabym, żebyś dla mnie pracował — strzeliłam nagle, choć przecież nie przemyślałam tego wcześniej do końca. — Przynajmniej na razie, dopóki nie znajdziesz czegoś lepszego. Potrzebuję faceta do wszystkiego; no, prawie wszystkiego. Po pierwsze, pomożesz mi kupić samochód, bo ja się nie znam, a taksówek mam dosyć. Po drugie, będziesz moim szoferem, bo ja jestem dupa, nie kierowca. I jeszcze ogrodnikiem, takim, co to kosi trawę i strzyże żywopłot. Jak coś się zepsuje, naprawisz. Tu śrubkę dokręcisz, tam odetkasz zlew, zbudujesz karmnik dla ptaszków, wybierzesz liście z rynien i te sprawy. Złota rączka. Co ty na to? Dasz radę?

Patrzył na mnie przez chwilę z bardzo głupim wyrazem twarzy.

— Ale jak? — zapytał w końcu.

Pytanie było równie głupie jak jego mina.

— Ale tak — odparłam. — Tak po prostu. Muszę się tylko podowiadzać, jak to zrobić, żeby było legalnie, rozumiesz... Nie orientuję się w tych sprawach, bo całe życie pracowałam u mamy. Ale wszystkiego się dowiem. Bo chciałabym, żebyś miał ubezpieczenia, uprawnienia, świadczenia czy jak to się tam nazywa. Podpytam i już. A tymczasem pracujesz na czarno. Jeszcze się zastanowię nad zarobkami, pewnie będziemy liczyć od godziny, ale możemy się umówić, że miesięcznie nie mniej niż dwa tysiące na rękę. Wchodzisz w to?

— Wchodzę! — rzucił błyskawicznie, jakby się bał, że mogłabym się

rozmyślić.

— Okej. Twoje pierwsze zadanie... Jak znajdziesz czas, oczywiście, na razie poszukaj kogoś do opieki nad tatą... No więc pierwsze zadanie: znajdź mi samochód. Może być używany, z komisju, ale porządny. Nie jakaś superfura, bo bałabym się złodziei.

— Mogę też pozaglądać do salonów, może będzie wyprzedaż starego rocznika? — zapytał nieśmiało. — Ale to bardziej w styczniu, wtedy się wyprzedaje starsze modele. Jakaś granica cenowa?

Usłyszałam w jego głosie ekscytację. Czyżby to było coś, o czym po cichu marzył: mieć tyle pieniędzy, żeby wybrać sobie auto z salonu?

— No, nie więcej niż sto tysięcy. — Machnęłam ręką. — Na razie szukamy, nie ma pośpiechu. Nie muszę mieć go na teraz, mogę po Nowym Roku. I daj mi swój numer, ja spokojnie pozałatwiam sprawy papierkowe i zadzwonię do ciebie, przyjedziesz, podpiszemy umowę i dostaniesz wypłatę. Znajdziesz kogoś do opieki nad ojcem i wtedy zaczniesz pracować. Może być?

Rozbeczał się. No słowo daję, jak mały chłopiec. Pokiwał tylko głową, bo nie był w stanie mówić.

— A tak na przyszłość — powiedziałam na pożegnanie — zapamiętaj: to był dobry pomysł, żeby po prostu do mnie podejść i poprosić o pomoc. Znacznie lepszy niż łażenie za mną i czajenie się na tarasie. Chociaż w sumie... Jak mawiał mój wuefista, nie liczy się styl, liczy się skuteczność.

Kiedy wyszłam z odrapanego bloku i szłam szeroką ulicą Sułkowskiego, patrząc na mijające mnie autobusy, które posykiwały w chłodnym grudniowym powietrzu, poczułam, że coś kielkuje nieśmiało w moim sercu. To było przyjemne. I nie wydaje mi się, żebym czuła to kiedykolwiek wcześniej. Po namyśle musiałam uznać, że to po prostu szczęście.

Zastanawiałam się, kto mógłby mi pomóc w dopełnieniu formalności. Pomyślałam o mamie, ale niemal natychmiast odrzuciłam ten pomysł. Nie byłam w stanie wymyślić wiarygodnej bajeczki o tym, dlaczego szukam złotej rączki, skoro mieszkam z Krzyśkiem. Swoją drogą, trzeba będzie wreszcie przeprowadzić operację o kryptonimie „Porzucona”, odegrać komedię z rozstaniem, zostawieniem mi domu i tak dalej. Ale jeszcze nie teraz. Teraz miałam ważniejsze sprawy na głowie.

Mogłabym zapytać Łukasza Maczka; jeżeli pracował w rodzinnej firmie, to pewnie zdobyłby dla mnie potrzebne informacje. Problem w tym, że chwilowo kompletnie mu nie ufałam. Musiałam najpierw zweryfikować rewelacje Rafała co do willi w Białych Błotach.

Wreszcie wpadłam na pomysł — Wojtek Kornecki. Był przedsiębiorcą, zatrudniał pracowników; na pewno podpowie mi, jak zabrać się do rzeczy. Nie dało się ukryć, że dodatkowym atutem tego rozwiązania była możliwość spotkania jego seksownego brata. Przejrzałam się w wystawie sklepowej i uznawszy, że wyglądam jako tako, wsiadłam w autobus i pojechałam na Fordońską.

Wojtka zastałam w biurze. Rozglądałam się za Maćkiem, ale nigdzie nie było go widać. W ogóle o tej porze roku w firmie Dream Garden było cicho i pusto, nie kręcili się pracownicy, nikt niczego nie kosił ani nie porządkował. Pewnie wszyscy są w jakiejś hali produkcyjnej, tną i szlifują deski na te swoje ławki i pergole, szykują się do nowego sezonu, pomyślałam. Musi tam ładnie pachnieć. Zawsze lubiłam zapach drewna.

— Iga! — ucieszył się na mój widok Kornecki. — Usiądź, proszę. Właśnie niedawno o tobie myślałem. Zrobiłem jeszcze jeden projekt, tak jak sugerowałaś: połączenie jedyńki z trójką. Wspominałaś, że chcesz zmienić kolor elewacji. To by było dobre posunięcie, bo to, co wymyśliłem, nijak nie pasuje do żółtej.

— A do jakiej? — zainteresowałam się.

— Sam nie wiem. Zaplanowałem szarości, ale takie ciepłe, trochę jakby w beż. Ja bym widział to tak: kremowy tynk, kamień na tarasie zamiast tych rudych płytek i szarawe drewno. Trochę retro, ale bez przesadnego postarzania. Tak jak ci mówiłem: sporo żwiru, lawenda, twój wymarzony lilak, do tego możesz dobrać rośliny kwitnące o każdej porze roku. Zobacz — rozwinął na biurku spory rulon — zrobiłem ci nawet spis. To akurat są bardzo popularne rośliny: bodziszki, lilie, floksy, marcinki. No i trawy ozdobne, pamiętasz, na tym zdjęciu były trawy. Poszperałem trochę w internecie i okazuje się, że jest ogromny wybór. Są miskanty, turzyce, kostrzewy, całe mnóstwo możliwości.

— Dziękuję — wyszeptałam, z zapartym tchem patrząc na projekt.

To było dokładnie to, o co mi chodziło. Ogród z moich marzeń. Moja ławeczka, kwitnący na fioletowo lilak i pierzaste czupryny traw dookoła.

Podoba ci się — stwierdził Wojtek, przekrzywiając głowę i przyglądając mi się z satysfakcją. — Tak myślałem, że ta wersja przypadnie ci do gustu.

— Jeszcze jak — potwierdziłam. — Narysowałeś to, o czym marzyłam.

— Jeśli chcesz, możemy jeszcze przed świętami przyjechać na pomiary. Ustalimy ostatecznie, gdzie ma być pergola, gdzie ławeczka, gdzie ścieżki, ile chcesz mieć drewnianych donic i skrzynek. Zabralibyśmy się do impregnowania drewna zaraz po Nowym Roku, a w marcu można by montować.

— Cudownie! Myślisz, że wtedy już można posadzić bez?

Wojtek roześmiał się serdecznie.

— Wiesz co, jesteś zupełnie zwariowana.

— Owszem — przytaknęłam potulnie. — Ale to na ogół nieszkodliwe wariactwo.

Patrzył na mnie z uśmiechem, jakby oceniał, czy mówię prawdę. Potem nagle spowaźniał.

— To kiedy mam przyjechać na te pomiary?

— Kiedy ci pasuje. — Machnęłam ręką. — Tylko wcześniej zadzwoń, zapowiedz się.

— Oczywiście. A na święta gdzieś się wybieracie?

Znowu użył liczby mnogiej. Najwyraźniej nie mieściło mu się w głowie, że mogłabym mieszkać sama.

— Nie, raczej nie — powiedziałam. — Nigdzie nie jadę, mam tu teraz pilne sprawy na miejscu. No właśnie, Wojtek, ja właściwie przyszedłam w innej sprawie...

Wyłuszczyłam mu, o co chodzi. Nie wtajemniczałam go oczywiście w sytuację rodzinną Rafała, nie wspomniałam też o operacji Kornelki — oznajmiłam jedynie, że zamierzam zatrudnić „złotą rączkę” i kompletnie nie wiem, jak się do tego zabrać.

— Powinnaś zacząć od umowy — powiedział ostrożnie Wojtek. — Określić, co będzie należało do jego obowiązków... Czy może jej?

— Jego.

— Aha. A po co... Po co chcesz zatrudnić tego „złotą rączkę” na stałe?

— Potrzebny mi ktoś taki — odparłam lekko. — Na przykład szofer. Nie chcę się tłuc autobusami w deszczu, a kierowcą jestem marnym. Poza tym nie zamierzam sama przycinać żywopłotu. Nie potrafię obsługiwać tych strasznych nożyc. Oglądałam je w Castoramie. To jakiś koszmar.

— A ten twój... — zaczął Wojtek, ale urwał. — No dobra, nie moja sprawa. Tak jak mówiłem, musisz sporządzić umowę o świadczenie usług. Ile płacisz za godzinę, kiedy wypłata, co dokładnie należy do jego obowiązków, żeby potem nie było problemów.

— Rozumiem.

Jakoś przyjąłam za pewnik, że problemów nie będzie. Zapewne byłam najbardziej naiwną pracodawczynią na świecie, ale chwilowo było mi z tym dobrze.

— Potem musisz iść do ZUS-u i tam pozałatwiać formalności. Zgłaszasz siebie jako płatnika składek, zgłaszasz swoją „złotą rączkę” jako ubezpieczonego. Ale to wszystko ci powiedzą na miejscu, jakie formularze musisz wypełnić i tak dalej.

— Dobrze, chyba sobie poradzę. Dziękuję.

Wstałam od stołu. Byłam trochę rozczarowana, że Maciek nie zajrzał do biura.

— Pokażesz mi, gdzie powstają te wszystkie ogrodowe cuda? — zapytałam.
— Macie pewnie jakąś halę produkcyjną czy coś.

Wojtek podniósł się zza biurka.

— Oczywiście — powiedział i sięgnął po granatową bluzę z polaru.

Kiedy ją założył, wydał mi się podobny do jakiegoś sportowca, żeglarsza, himalaisty czy kogoś w tym stylu — w każdym razie miał w sobie coś, co kojarzyło się ze sportami ekstremalnymi, niebezpieczeństwem i przygodą.

— Chodźmy do stolarni. — Szerokim gestem otworzył drzwi. — Przy okazji zobaczysz kolory drewnochronu, musisz się zdecydować na konkretny odcień.

Tak jak się spodziewałam, w stolarni pachniało nieziemsko. Zapach świeżego drewna i zawartej w nim żywicy sprawił, że otoczył nas aromat świąt. Dwóch roślących facetów uwijało się przy maszynie, która wycinała w lśniących, jasnych deskach coś w rodzaju rowka wzdłuż każdego kantu.

— Pachnie choinką — westchnęłam z lubością.

— Spójrz. — Wojtek nie zwrócił uwagi na mój liryczny nastrój. — Masz tu wzornik kolorów. Miałem na myśli ten, sama widzisz, ni to szarość, ni to bardzo jasny beż. Można by wszystko zrobić w tym odcieniu: ławkę, pergolę, altankę, jeślibyś chciała. Ja bym nawet ogrodzenie dobrał w kolorze, wystarczy wymienić sztachety, wtedy miałabyś naprawdę piękny ogród. Ale to oczywiście zależy od tego, ile przeznaczysz na to pieniędzy.

— Och, pieniądze nie grają roli. — Machnęłam ręką, a on wyraźnie posmutniał.

Bez sensu, powinno go to chyba ucieszyć. Nie miałam jednak czasu zastanowić się nad wyrazem smętnej rezygnacji na jego twarzy, ponieważ po pierwsze, zadumałam się nad proponowanym kolorem, a po drugie, zza kolejnej maszyny, chwilowo wyłączonej, wyłonił się Maciek Kornecki, cały w pachnących strużynkach drewna. Na mój widok uśmiechnął się i z wdziękiem wytrzepał sobie wióry z włosów.

— Cześć! — powiedział radośnie. — I jak, widziałaś nowy projekt?

— Widziałam — potwierdziłam, odwzajemniając uśmiech. — Teraz wybieram kolor farby.

— Bejcy — poprawił mnie starszy z braci.

— Jak zwał, tak zwał. — Maciek machnął ręką i podszedł bliżej.

Miał na sobie zgniłozielone sztruksy na szelkach i koszulę w kratę. Był chłopięcy, pełen wdzięku i po prostu zabójczo przystojny. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby znów musiał jechać do jakiejś hurtowni i przy okazji odwiózł mnie na Piaski, ale niestety tak się nie stało. Pokręcił się chwilę, porozmawialiśmy o pogodzie i braku śniegu, po czym Maciek wrócił do pracy, ja zaś zgodziłam się z Wojtkiem co do koloru bejcy, pożegnałam się i pojechałam do ZUS-u, żeby dać pracę Rafałowi Mościckiemu.

— U kogo Wigilia? U nas czy u was? — zapytała mama podczas niedzielnego obiadu, sprawiając, że omal nie udławiłam się pulpetem.

Sprawy przybierały niekorzystny obrót. Nie należało lekceważyć matczynych nadziei na rychłe wesele i zapewne gromadkę wnuków w pakiecie. Musiałam szybko coś wymyślić. Przez chwilę miałam w głowie goniwę pomysłów, a jeden wydawał się głupszy od drugiego. W rezultacie palnęłam coś, nad czym nie zdążyłam się zastanowić, a co — jak to się często zdarza w takich wypadkach — okazało się strzałem w dziesiątkę.

— Postanowiliśmy wyjechać — powiedziałam. — Oboje potrzebujemy przestrzeni. Może góry, może zimowy Bałtyk...

— Ale jakiej przestrzeni? — Mama się zdenerwowała. — Jaka tobie jest przestrzeń potrzebna? Ty musisz rozniecić ognisko domowe, a nie szukać przestrzeni! Nie stajesz się coraz młodsza!

— Nie bądź jak ta koszmarna matka Indiany Jones — obruszyłam się, choć nie byłam pewna, czy to była akurat matka; czytałam tę książkę kilkanaście lat temu i pamiętałam tylko, iż ktoś z życzliwych krewnych wciąż powtarzał głównej bohaterce, że zegar biologiczny tyka, tik-tak, tik-tak.

— No wiesz? Koszmarna matka! — prychnęła mama, która zapewne nie знаła książki, co najwyżej film. — Sprawiasz mi wielką przykrość. Chcę dla ciebie jak najlepiej.

— Chcesz mnie wydać za mąż! — Odważyłam się to powiedzieć, naprawdę?! — A ja się za mąż nie wybieram.

— To po co mieszkasz z Krzysiem? Po co urządzasz dom, robisz mu nadzieję?

O cholera, nie przemyślałam tego. Przez chwilę byłam zbyt szczerą, zapomniałam o odgrywanej roli.

— No dobrze, może rozważam zamażpójście — spokorniałam. — Kiedyś. Ale nie spiesz mi się do tego. Krzysiek sam prosił, żebym się wprowadziła, bo czuł się samotny. A że teraz chce przestrzeni, to co ja mam zrobić? Przecież go nie przywiążę do kaloryfera, żeby mi nie uciekł.

— A więc jednak. Rzuci cię, jak nic.

Zaczęła biadolić i snuć katastroficzne wizje mojej samotnej starości. Wbiłam wzrok w talerz z rosółem i rozważałam, jak się ulotnić. W pewnej chwili zerknęłam kątem oka na mamę, aby ocenić, czy już kończy, czy dopiero się rozkręca. Byłam przyzwyczajona do maminego trajkotania, nic więc nie powinno mnie dziwić. A jednak coś wydało mi się zaskakujące; mianowicie fakt, że mama wyraźnie mrugnęła do Benia, kiedy sądziła, że nie patrzę. Benio jak przebudzony ze snu

natychmiast powiedział:

— Jak się nazywa impreza taneczna u Weroniki?

Zapadła cisza.

— Disco Very! — rzucił triumfalnie Benedykt.

Wstałam gwałtownie.

— Muszę już iść — powiedziałam. — Pewnie masz rację, mamó. Chyba nie ma na co czekać z decyzją. Wóz albo przewóz. Kto wie, może on się oświadczy w tych górach.

— W górach? — powtórzyła mama. — Przecież ty się boisz wysokości.

— Czasem trzeba się odważyć — oznajmiłam, zadziwiając nawet samą siebie — i przełamać własne lęki.

Kiedy wychodziłam, kątem oka złowiłam pełne satysfakcji spojrzenie, które mama rzuciła Benedyktowi. Zupełnie nic z tego wszystkiego nie rozumiałam.

Na wieczór zaprosiłam Agatę i Krzyśka. Piliśmy szampana (nie chciałyśmy wtajemniczać Krzyśka w nasze sprawy, ale obie byłyśmy podekscytowane w najwyższym stopniu, bo Rafał dostał odpowiedź ze Stanów, że Kornelkę wstępnie zakwalifikowano do leczenia) i graliśmy w grę, którą kupiłam jakiś czas temu — „Osadnicy z Catanu”. Mieliśmy za sobą już dwie partyjki. Podczas ostatniej, przed tygodniem, okropnie się pokłóciliśmy, ponieważ każde z nas inaczej rozumiało zasady. Tym razem postanowiliśmy, choćby nie wiem co, doczytać instrukcję do ostatniej kropki, a potem w spokoju i z godnością osobistą rozegrać partię bez sprzeczek.

Oczywiście jako osoba wybitnie chaotyczna nie do końca potrafiłam zaplanować własne działania w tej rozgrywce. Czy powinnam, tak jak Agata, dążyć do zbudowania najdłuższej drogi? Czy podobnie jak Krzysiek stawiać osady gdzie popadnie, a następnie zamieniać je w miasta? Czy jedno i drugie? A może wybrać trzecie wyjście: inwestować w tak zwane punkty rozwoju? Jednym słowem, strategia mnie przerosła i grałam spontanicznie, wymieniając bez sensu słomę na glinę i na odwrót.

Ku memu zdumieniu, wygrałam. Z tej radości dopiłam szampana, a kiedy bąbelki nieco zaszumiały mi w głowie, odważyłam się i zaproponowałam moim przyjaciółom wspólne święta. Oczywiście nie miałam wielkich nadziei, ale uznałam, że nie zaszkodzi spróbować.

— Pojechalibyśmy w jakieś piękne miejsce — fantazjowałam. — Może Bałtyk, może góry... Albo za granicę.

Widziałam, że Agata patrzy na mnie roziskrzonym wzrokiem. Ale też doskonale wiedziałam, że nie zostawi ojca na Wigilię.

— Przecież wiesz, jak bardzo bym chciała — szepnęła, po czym przeniosła spojrzenie na planszę, a jej oczy, o ile to w ogóle możliwe, stały się jeszcze

bardziej błyszczące. — Może kiedyś...

— Spędzasz... Spędzasz Boże Narodzenie z rodziną? — zapytał Krzysiek jakoś nieśmiało.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że to pytanie nie było skierowane do mnie. Usiadłam wygodnie w rogu kanapy i przyglądałam się tym dwojgu. Agata spiekła raka.

— Z tatą — odparła.

— Ktoś do was przychodzi? — pociągnął Młody, z uwagą oglądając sobie paznokcie.

— Nie, zawsze siedzimy we dwójkę.

Powstrzymałam parsknięcie. Nie pamiętałam świąt, które Agata spędziłaby wyłącznie z ojcem. Co roku biesiadował z nimi któryś z jej ukochanych — naturalnie co roku inny. Nie było w tym winy mojej przyjaciółki. Ona była po prostu kochliwa, a że trafiała na paskudnych typków, nic dziwnego, że na każdą Gwiazdkę przychodził nowy facet.

— Mam rozumieć, że nigdzie nie pojedziemy? — rzuciłam, bo znudziło mi się obserwowanie tych ich podchodów. Sprawa stawała się klarowniejsza z każdą minutą: Krzysiek czuł miętę, a Agata zaczynała ją odwzajemniać. (Czy mówi się: odwzajemniać miętę? Nie? To od teraz już się mówi.) — Ty też masz w planach nudne, rodzinne święta?

— Dlaczego nudne? — zaprotestował. — Rodzinne tak, ale nie nudne. Mam bardzo liczną rodzinę, zjeżdżamy się wszyscy w Inowrocławiu u dziadka Szczepana i siedzimy tam przez tydzień, do Nowego Roku. To prawdziwa szkoła przetrwania. Kulinarnie i alkoholowo. Ale pod innymi względami też nie ma lekko. Całymi dniami anegdota dziadka i obu babć, plotki ciotek, gawędy wujków, gromadka rozbrykanych, przejeżdżonych dzieci. Szaleństwo. Nigdy w życiu bym z tego nie zrezygnował.

Agata zrobiła maślane oczy. Z dwojga złego już wolałam ten wcześniejszy rumieniec.

— W takim razie mam was w nosie — oznajmiłam. — Wygląda na to, że ja też przejdę szkołę przetrwania. Pytanie brzmi: Po którym dowcipie Benia stracę przytomność?

— Nie przesadzaj — roześmiał się Krzysiek. — Niektóre z jego sucharków są całkiem strawne. No nic, muszę lecieć, dziewczyny. Nie upijcie się tą resztką szampana.

Widziałam, że Agata zrobiła zdziwioną minę; zapewne nie rozumiała, jakim cudem Krzysiek może znać Benia. Nie zapytała jednak o nic, a ja wolałam nie wtajemniczać jej w temat, bo wciąż budził on we mnie niejakie zawstydzenie. Zresztą tuż po Nowym Roku miałam zamiar odegrać rozstanie z moim „narzeczonym”, cała sprawa miała się rozmyć i zwyczajnie zostać zapomniana.

Kiedy zostałyśmy same, obgadałyśmy sytuację rodziny Mościckich. Rafał pracował u mnie już od kilku dni.

— Jak się sprawuje? — zapytała Agata.

— Doskonale. Uporządkował chaszczę przy ogrodzeniu, bo niedługo mają przyjechać bracia Korneccy. Będą wymieniać sztachety i malować słupki. Od jutra zaczynamy porządkować garaż.

— My?

— Nie, no Rafał. Z przyzwyczajenia tak mówię.

— Podoba ci się? — Moja przyjaciółka mrugnęła do mnie filuternie.

— Rafał? Przestań, za młody jest!

— Młody, ale przystojny.

— Uspokój się. Zatrudniłam go, żeby mu pomóc, a nie żeby mieć seksownego pomocnika w ogrodzie.

— Ale jest seksowny, musisz przyznać — upierała się.

No dobrze, musiałam przyznać. Tyle że mnie zupełnie nie kręcił.

— Przecież musisz się wreszcie zakochać. — Agata westchnęła. — To nie jest normalne, żeby tak zupełnie nic.

— Podoba mi się Maciek Kornecki — przypomniałam.

— Podoba się, podoba. To zupełnie coś innego. Ty go traktujesz jak jakieś wyzwanie. Tak jak himalaista traktuje górę. Zdobyć, zaliczyć, odhaczyć. Ty nie jesteś go ciekawa, nie chcesz z nim być. Chcesz go tylko mieć na koncie.

Oczywiście miała rację.

— Zawsze ci tłumaczyłam, że nie interesuje mnie miłość — powiedziałam.

— Kiedy w niebie obdzielali kochliwością, ty zgarnęłaś całą pulę.

Agata spojrzała na mnie czujnie. Pewnie była ciekawa, czy zauważyłam jej maślane spojrzenia posyłane w stronę Krzyśka. Zauważyłam, a jakże. Ale wolałam, żeby sama mi się zwierzyła.

— A jak tam doktor Andersen? — zmieniłam temat.

Przez kilka sekund patrzyła na mnie trochę skołowana, zanim załapała, o co pytam.

— Abramson — poprawiła. — Nie wiem, jak tam. Tyle tylko, że poprosił o szczegółową dokumentację.

Agata jako mocniejsza w angielskim pomagała Rafałowi w kontaktach z lekarzem ze Stanów.

— Wysłaliście? — upewniłam się.

— Wysłaliśmy.

Przesiadła się z fotela na narożnik i przytuliła mnie mocno.

— Dziękuję ci — wyszeptała. — Jesteś niesamowita, a dzięki tobie i ja mogę zrobić coś dobrego. Mogłaś zrobić z tą kasą tyle rzeczy. Mogłaś wylegiwać się na Karaibach, kupić sobie cucky i apartament na Manhattanie, no sama nie wiem...

„A na co mi cycki?”, chciałam zapytać, ale w porę przypomniałam sobie, że owszem, był taki pomysł.

— Guzik prawda — rzuciłam przez zaciśnięte gardło. — Na Karaibach, całkiem sama? Wyobrażasz to sobie? Jak ja bym się tam czuła?

— Jak się ma tyle forsy, to przyjaciele się zawsze znajdują.

— Właśnie widać — zażartowałam gorzko. — I dlatego święta spędzę w towarzystwie mamy i Benia?

— Przecież wiesz, że nie mogę zostawić ojca. — Agata spoważniała.

— Wiem — przerwałam jej. — To tylko wygłupy. A wracając do tego, o czym mówiłaś: prawda jest taka, że nie miałam pojęcia, co zrobić z taką fortuną. Dom, okej, tego naprawdę potrzebowałam. Urządzić go, też okej. Ale reszta? Wyjazdy, przygody? Fajne, owszem, lecz tylko wtedy, kiedy można je z kimś dzielić. Ciuchy? Bardzo przyjemnie jest kupić nową kieckę, przyznaję. Tyle że przydałby się jeszcze ktoś, kto będzie za mną wodził wzrokiem, kiedy ją założę. W przeciwnym razie to tylko szmatka.

— Iguś, ale przecież jest ten Łukasz...

— Nie, nie, dupa tam Łukasz. — Machnęłam ręką. — Ja się nie skarżę na samotność, nic z tych rzeczy. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że sprawa z Rafałem, cała ta pomoc i tak dalej, to tylko egoizm. Ładniejsza odmiana egoizmu, rozumiesz? Bo jest mi diabelnie przyjemnie, że mogę mu pomóc. To znaczy Kornelii. Po raz pierwszy od Bóg wie kiedy poczułam się coś warta. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Chyba tak — przyznała ostrożnie Agata.

— Czytam te wszystkie niusy ze świata bogatych i nie mogę uwierzyć — ciągnęłam. — Jakaś para wydała pół miliona dolarów na operacje plastyczne, żeby upodobnić się do Barbie i Kena. Dasz wiarę?

Moja przyjaciółka tylko pokiwała głową.

— Ktoś inny chwali się, że ma buty za kilka tysięcy złotych. Że wydał na auto tyle, ile kosztuje uratowanie oka naszej Kornelki. Ty jesteś w stanie to zaakceptować?

— Nie.

— Właśnie — westchnęłam. — No właśnie ja też nie. Nie rozumiem świata. Nie rozumiem tych dziwacznych, wygiętych póz, w których ludzie robią sobie zdjęcia i wrzucają je do internetu. Po co?

— Ale co „po co”?

Po co ktoś wciąga brzuch, wypina nienaturalnie klatkę piersiową w jedną stronę, a dupkę w drugą przed lustrem w łazience, robi głupi wyraz twarzy jak karp w wannie i pstryka sobie selfie, po czym umieszcza je w mediach społecznościowych?

— Szuka samca. Lub samicy.

— Serio?

— Myślę, że to jedyne wytłumaczenie. Popatrz na zachowania godowe zwierząt. Prężą się, wyciągają szyjki, stroszą piórka. Wszystko jest uwarunkowane biologicznie. Taki instynkt.

— No tak. To by wyjaśniało sprawę.

Pomilczałyśmy jeszcze przez chwilę na ten temat, po czym Agata pożegnała się i pojechała do domu. Ja zaś włączyłam jakąś muzykę, żeby zagłuszyć pustkę, zamasyście dopiłam resztę szampana, zadzwoniłam do Rafała, żeby upewnić się, że wszystko w porządku, a potem, zupełnie bez sensu, wybrałam numer Wojtka Korneckiego.

— Cześć — powiedziałam. — Nie przeszkadzam?

— Nie, skądże — odparł. — Coś się stało?

— Nie, nic. Tylko chciałabym, żeby już szybciej te pomiary... Kiedy przyjedziesz?

Milczał przez chwilę, pewnie zaglądał w kalendarz albo coś w tym rodzaju.

— Nie mogę się doczekać wiosny — dorzuciłam szybko, aby jakoś się usprawiedliwić, dlaczego dzwonię tak zniechęca. — Wyobrażam sobie tę ławeczkę, kwitnący bez i chłodną trawę pod stopami.

Wyobrażnię masz niczego sobie — zaśmiał się. — Ja o tej porze roku nie umiem sobie wyobrazić, że kiedykolwiek jeszcze coś zakwitnie.

W sumie miał rację. Było szaro, buro i ponuro, człowiek myślał jedynie o tym, że przydałby się sen zimowy. Niezła ze mnie kłamczucha.

— Ściemniam — przyznałam. — Nie wierz w ani jedno moje słowo. Mam depresję zimową jak stąd do Nowego Sącza i dlatego gadam od rzeczy.

— W takim razie jutro przyjadę — powiedział. — Pomierzemy, obejrzymy i coś postanowimy. Może ci przejdzie ta depresja. Pasuje?

— Pasuje.

Nie odłożył słuchawki. Z jakiegoś powodu ja także tego nie zrobiłam.

— Czego tam słuchacie? — zapytał nagle zupełnie innym tonem.

Rozejrzałam się. Nawet nie pamiętałam, że włączyłam płytę, zanim do niego zadzwoniłam.

— Agnes Obel — powiedziałam. — Ale dlaczego „słuchacie”? „Słuchasz” powinno być. Jestem sama, piję szampana i słucham Agnes. Znasz ją?

— Nie — powiedział jakoś cicho i drżąco, jakby nie panował nad głosem.

— Zapisz sobie: Obel. Jest niezwykła. Zwłaszcza *Fuel To Fire*.

— Dlaczego pijesz szampana? Jakaś okazja?

— Tak. Okazja jak jasna cholera. Że spędzę sama święta.

Milczenie.

— To przyjedziesz jutro na te pomiary? — upewniłam się jeszcze.

Odmruknął coś, co musiało być potwierdzeniem. W każdym razie brzmiało

bardziej jak „tak” niż „nie”. Albo to było moje pobożne życzenie.

Grubo po północy, nie zważając na niestosowną porę, wysłałam do niego esemesa: „I jeszcze koniecznie *Riverside*. Też Agnes Obel”. Sądziłam, że nie odpisze, ale odpowiedź przyszła natychmiast: „Właśnie słucham. Tak. *Riverside* jest najlepsze”.

Tej nocy nie zmrużyłam oka. Słuchałam Agnes, piłam mocną herbatę i kiwałam się w rytm własnych myśli oraz tych magicznych piosenek; to był dokładnie ten sam rytm.

Rafał przyjechał swoim skuterem już o siódmej. Najciszej jak potrafił — aby mnie nie obudzić (skąd miał wiedzieć, że o tej porze nigdy nie śpię) — zamiótł taras, powyberał resztki zeschniętych liści z drobnego żwirku i zabrał się za sprzątanie garażu. Postanowił, że musi go odmalować na powitanie samochodu, który miałam sobie sprawić po Nowym Roku.

Zajrzałam do niego po śniadaniu z kawą i ciastkami anyżowymi, które upiekłam poprzedniego dnia z myślą o nadchodzących świętach, ale jakoś nie miałam apetytu na degustację.

— Dziękuję — powiedział, kiedy podałam mu kubek z kawą. — Tylko najpierw muszę wykaszleć kurz.

Podszedł do nieumytej brudnej umywalki, która znajdowała się w rogu garażu. Zwieszała się nad nią imponująca pajęczyna. Przez dłuższą chwilę chłopak kaszlał i dmuchał, obmywał sobie twarz, aż wreszcie zerknął w wiszące nad umywalką straszliwie brudne lustro i uznał, że wystarczy.

— Teraz może poczuje smak kawy — powiedział. — Bo przedtem miałem w gardle coś w rodzaju zatyczki z brudu.

Wolałam nie wnikać w szczegóły, czym prędzej zmieniłam więc temat.

— Zainteresowała mnie sprawa bubka — zagałam. — Wiesz, tego ładniutkiego, jak to określiłeś. Nie dokończyliśmy tej rozmowy.

Rafał mruknął coś niezrozumiale i pomacał się po głowie. Chyba słowo „bubek” przywodziło mu na myśl niezbyt miłe wspomnienia.

— Ja właściwie nic o nim nie wiem — wyjaśnił. — Po prostu byłem ciekaw, co to za jeden. Skąd się bierze i gdzie znika. Kiedy zacząłem za tobą jeździć, natknąłem się na niego pod hotelem raz i drugi. Później także w innych miejscach. Gapił się na ciebie, potem wsiadał do auta i odjeżdżał. Wiesz, co mnie zastanowiło? Że śpi w drogim hotelu, a jeździ byle jakim samochodem.

— No tak, też zwróciłam na to uwagę. To znaczy na ten samochód. Ale to podobno kolegi.

— Dupa tam kolegi — mruknął Rafał.

— Łukasz się przemieszcza głównie pociągami i samolotami. On ma takiego cholernie bogatego tatę i ten tata chciałby z niego zrobić rekina finansjery.

— Wiesz co? — przerwał mi dobitnie mój pracownik. — Jak dla mnie, to on nie ma nikogo cholernie bogatego. To znaczy matka, o ile udało mi się wyłapać powiązania, pracuje w banku, więc pewnie biedy nie klepią. Ale żeby bogaty ojciec? Nie sądzę. Tam w ogóle nie ma żadnego ojca. Chyba że właśnie ojciec mieszka w Warszawie, tak jak mówiłaś.

Coś mnie tknęło. Gdzieś w okolicach żołądka poczułam zimno.

— A gdzie konkretnie ta mama pracuje? — zapytałam ostrożnie. — Gdzie ten bank?

Rafał wymienił nazwę banku, w którym założyłam rachunek po wygranej. I w którym otworzyłam także konto dla Agaty. Zimno, które pełzało po moich organach wewnętrznych, stało się jakby bardziej namacalne. I jeszcze zimniejsze. Lodowate, rzekłabym.

— Jesteś tego absolutnie pewien?

— Jestem.

— Aha.

Milczałam przez chwilę. Rafał także nie miał nic do dodania.

— Dobra — odezwałam się wreszcie. — Dopij kawę i zjedz ciasteczka. Potem zostawisz ten garaż w cholerę i pojedziesz na misję.

— Jaką misję? Gdzie mam jechać?

— Pod ten bank. Albo do Białych Błot, sama nie wiem. Muszę zobaczyć zdjęcie tej mamuski, rozumiesz?

— Po co ci?

Patrzyłam na niego, zastanawiając się, czy mogę mu zaufać. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu uznałam, że tak. Choć przecież był to zupełnie obcy facet i jeszcze parę dni wcześniej podejrzewałam, że dybie na moje życie.

— Mam pewne paskudne skojarzenia — szepnęłam, co było kompletnie idiotyczne, zważywszy na to, że byliśmy zupełnie sami w moim zapyziałym garażu, a podsłuchać nas mogły jedynie pająki. — Teraz, kiedy o tym powiedziałaś, przyszło mi do głowy, że poznałam Łukasza wkrótce po tym, jak założyłam konto w tym samym banku, którego nazwę wymieniłaś. Jestem bardzo ciekawa, czy przypadkiem pani, która doradzała mi, jaki rachunek otworzyć, nie wygląda choć troszkę jak jego mama.

— Ale sądzisz, że on chciał cię okraść? — zaniepokoił się Rafał.

— Gorzej — wyznałam. — On chciał się ciupciać i żenić.

— No, to już naprawdę świnia!

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę, po czym Rafał z trzaskiem ugryzł ciasteczko.

— O cholera! — mruknął. — Mam nadzieję, że nie złamałem sobie zęba.

— Takie twarde?

— Nie, w porządku, są wspaniałe. — Zmieszał się. — Uwielbiam smak marcepanu.

— To anyż.

— Tak, właśnie. Zawsze mi się myli.

Potem nie mówił już nic więcej, ale kiedy zmywał z siebie resztki kurzu przed wyjazdem na „misję specjalną”, dziwnie szeroko się rozdziawił i skrupulatnie obejrzał sobie w lustrze wnętrze jamy ustnej. Z czego

wywnioskowałam, że ciasteczka były jednak za twarde.

Kiedy zostałam sama, skosztowałam. Jasny gwint, tego się nie dało pogryźć! Zajrzałam do książki kucharskiej, z której wzięłam przepis. „Jeśli chcesz, aby anyżki zmiękły, odłóż je na tydzień, niech nabiorą wilgoci. Jeżeli jednak wolisz, by pozostały twarde, zamknij szczelnie puszkę, w której je przechowujesz”.

Dobrze. Złota myśl na dziś: czytaj przepisy kulinarne do końca. To raz. Nie ufaj zbyt ładnym facetom, bo oni po prostu nie mogą być prawdziwi. To dwa.

A propos — czy bracia Korneccy należą do kategorii „zbyt ładni”? Maciek może tak, ale Wojtek? Miał przecież kilka zmarszczek. Może jednak był prawdziwy.

Podczas gdy Rafał był „na misji”, ja poświęciłam się poszukiwaniu ofert *last minute*, żeby ukryć się przed mamą na czas świąt. Chodziła mi po głowie jakaś wycieczka do ciepłych krajów, do miejsca tak egzotycznego, że zapomniałabym o tej mojej dysfunkcji, która sprawiała, że nie umiałam się zakochać, zagniazdować, związać się z kimś niczym gęś bernikla białowica czy jak to się tam nazywa. Potrafiłam tylko marzyć sobie niezobowiązująco o Maćku Korneckim, który, jasny gwint, akurat kiedy sprawdzałam te oferty wycieczek, zapukał do mych drzwi. A metr za nim stał jego starszy brat, nieco tylko mniej piękny, a przez to ciut prawdziwszy.

— Na pomiary? — zapytałam głupio, no bo przecież nie na obiad.

— Cześć! — powiedział rażno Maciek. — Dawaj do ogrodu, będziemy mierzyć. A co to tak pachnie?

— Pachnie coś? To pewnie ciasteczka. Upiekłam anyżki.

Obaj zrobili rozanielone miny, ale ich zignorowałam. Nie mogłam przecież pozwolić, aby połamali sobie te równiutkie, białe ząbki.

— Tylko założę kurtkę i już do was wychodzę — powiedziałam. — Idźcie dookoła.

Głupio mi było tłumaczyć, że moje wypieki należałoby najpierw podziabnąć siekierą. Z dwojga złego lepiej było udawać, że ciasteczka zostały już zjedzone.

Ubrałam się i wyszłam przez drzwi tarasowe. Miałam nadzieję, że nie widać śladów krwi po niedawnej „walce” patelnią z Rafałem. Maciek i Wojtek stali na tarasie i patrzyli w dół na ogród.

— Właściwie to wszystko zależy od tego — zaczął Wojtek — gdzie lubisz spędzać czas. Tam na dole na pewno jest chłodniej, ale też więcej komarów.

— Bliżej tarasu można się opalać — zauważył Maciek. — I skoczyć po drinka.

Przemknęło mi przez głowę pytanie, jak to świadczy o nich obu, ale nie zdołałam owej myśli pochwycić, uciekła mi. Tak czy owak, miałam wrażenie, że jest jeden zero dla Wojtka.

— Ale na dole nie jest się widzianym — dorzucił starszy z braci. — Jest

więcej intymności.

— Na co komu intymność?! — prychnęłam, mając na myśli wyłącznie to, że nie mam z kim zostać przyłapana in flagranti.

Wojtek spojrzał na mnie z niemym wyrzutem, a Maciek rozpromienił się i dodał:

— Stary, nie te czasy. Teraz nawet jak ktoś ma intymne sam na sam, to robi sobie selfie i wrzuca na Fejsa.

Przeżyliście kiedyś coś, co można by określić mianem kubła lodowatej wody na łeb? Takiej z kostkami lodu, dosłownie? Nie? A ja tak. I to był właśnie ten moment.

Maciek Kornecki. Moje bożyszczce. Wydawał się taki śliczny, taki idealny. Buzia jak u Redforda. Rzęsy takie długie, zawinięte leciutko na końcach. Żuchwa taka męska, kanciasta tam gdzie trzeba, a w innych miejscach zaokrąglona, tylko pogłaskać. Dołek w policzku. Zęby białe, równe, idealne. Usta do całowania. Błękit tęczówek taki, że jasna cholera i w ogóle.

A w głowie sieczka. Trociny. Dno i kilometr mułu. Psia kupa. Rany, jak to bolało. Niczym upadek z drugiego piętra wprost na tyłek. Kość ogonowa pogruchotana i ani usiąść, ani stanąć, ani się położyć. Serio.

Ustaliliśmy w trójkę, gdzie stanie pergola i jakich będzie rozmiarów, gdzie ławeczka, gdzie donice, Maciek pokręcił się jeszcze trochę, pomierzył, co było do pomierzenia, po czym skierował się ku tarasowi i usiadł na nie pierwszej czystości krzesła z bordowego plastiku. Wyciągnął telefon i coś tam pikał. W moich oczach stracił niemal całą atrakcyjność, a jednak odrobinę interesowało mnie, co pika i do kogo. Pewnie do tej swojej Karoliny.

— To wolisz na dole czy na górze? — zapytał Wojtek.

— Na dole co?

— Na dole ławeczkę. W ogóle: czy wolisz siedzieć na dole.

— Tak. Zdecydowanie. Wolę na dole.

— Okej. Czyli jednak jakaś intymność.

— Szczerze? — zapytałam głupio, całkowicie świadoma, jak bardzo głupie jest to pytanie.

— Szczerze — potwierdził Wojtek, który zapewne był świadom tego samego.

— Intymność jest fajna, kiedy ma się ją z kim uprawiać. Ale ja nie mam.

Ostatnie zdanie niemal wyszeptalam, myśląc przy tym, że powinnam być pijana przy takich wyznaniach. Wtedy łatwiej byłoby je wypowiedzieć.

— Dlaczego nie masz? — zapytał równie cicho Wojtek Kornecki.

Rzuciłam okiem na górę. Maciek nadal pikał w telefon. Nie interesował się mną. Ani ty-ci-ty-ci.

— Bo jestem sama.

Wojtek odwrócił wzrok. Przyglądał się teraz z wielką uwagą chwastom wyrastającym z trawnika. Swoją drogą, była połowa grudnia, a chwasty miały się świetnie. Czy one nie powinny zniknąć przynajmniej w zimie?

— To po co ławeczka? — padło wreszcie pytanie. — Nie wracasz do mamy?

Aż się wzdrygnęłam.

— Dlaczego miałabym wrócić? Przecież ci tłumaczyłam, że kupiłam dom z pieniędzy...

— Twoja mama mi opowiadała — przerwał mi Wojtek, nie odrywając oczu od trawy — że masz tak bogatego faceta, że nawet rzuciłaś pracę. Że urządzenie razem dom i w ogóle niedługo ślub... Więc pomyślałem, że teraz, kiedy się z nim rozstałaś...

— Jak? Kiedy? Kiedy moja matka z tobą rozmawiała? — plątałam się w tych pytaniach, bo w głowie mi się nie mieściło, żeby mama omawiała moje prywatne sprawy z sąsiadami. — I w ogóle... jakim cudem? Że z klientkami plotkuje na mój temat, to wiedziałam, ale z tobą? Robisz sobie u niej paznokcie,

maseczki ci nakłada czy jak?

— Zahaczyłem ją kiedyś w windzie — przyznał się Wojtek. Usłyszawszy słowo „plotkuje”, zrobił bardzo niewyraźną minę. — To w sumie moja wina, bo zapytałem, czy nie czuje się samotna. Wiesz, takie tam frazesy, że to musi być dla matki trudne, kiedy jedyne dziecko wyfruwa do własnego gniazda.

Słuchałam w milczeniu. Byłam ciekawa, czy wygadał mamie tamto moje kłamstewko, że niby odłożyłam pieniądze po ojcu i kupiłam dom.

— Pamiętałem, co mówiłaś, że kupujesz dom w tajemnicy — uspokoił mnie, zupełnie jakby słyszał moje myśli. — Ale przecież wyprowadzka nie była żadnym sekretem, prawda?

— Trudno, żeby była — zauważyłam sarkastycznie. — Jak sądzę, mama dość szybko się zorientowała, że już z nią nie mieszkam.

— Jesteś na mnie zła.

— Nie, nie jestem zła na ciebie, tylko na mamę. Plotkara jedna.

— Ale przecież nic się nie stało. Co w tym złego, że...

— Nic w tym złego, tylko że to bzdura! — krzyknęłam ze złością. — Nie ma żadnego bogatego faceta, to była historia zmyślona na użytek mamy. Zrozum, ja mam dość jej wtrącania się, kierowania moim życiem. Chciałam wreszcie zacząć żyć na własny rachunek. Chciałam, żeby przestała mi dyktować, jak mam urządzić ten dom, co powinnam kupić, a czego nie kupować, w jakie kolory mam się ubierać i jakimi się malować. Rozumiesz?

Wojtek słuchał mnie w milczeniu. Mrugałam jak najęta, próbując zatrzymać łzy, bo absolutnie nie chciałam się rozbeczeć. Po pierwsze, beczałam poprzednio, nad spalonym murzynkiem — Kornecki gotów jeszcze pomyśleć, że mam to w zwyczaju. A po drugie, Maciek wciąż jeszcze siedział na tarasie. Nawet jeśli należał do tych dziwnych istot, które nieustannie bombardowały świat swoimi zdjęciami z buzią ułożoną w dziobaska, to przecież wciąż był niezmiernie przystojny i nie chciałam, żeby uważał mnie za beksę.

— Chyba rozumiem — odezwał się po chwili starszy z braci. — Ale nie boisz się, że sprawa się rypnie? Przecież mama może chcieć wpaść do was, znaczy do ciebie... na święta czy coś.

— O właśnie, przypomniałeś mi! — Zdenerwowałam się. — Muszę się ulotnić na Boże Narodzenie. Ty jeździsz często w góry, tak mówiłaś. Nie znasz jakiegoś miłego miejsca, gdzie nie byłoby nachalnie rodzinnie, żebym nie wpadła w depresję? Nie musi być luksusowo, byle był święty spokój i luz. Najlepiej jakiś pensjonat, gdzie zostawia się ludzi samym sobie, nikt nie każe śpiewać kolęd i cmokać się w powietrze koło ucha przy łamaniu się opłatkiem... Chciałabym po prostu odpocząć i trochę się wyciszyć, bez tego ryzyka, że mama z Benedyktem wpadną na obiad.

Wojtek roześmiał się, a wtedy delikatne zmarszczki wokół jego oczu ułożyły

się w promyczki. Po raz pierwszy pomyślałam, że zmarszczki mimiczne mogą być ładne.

— Oczywiście, że znam takie miejsce — powiedział. — Jeżdżę tam od kilku lat. To stara góralska chałupa w Kościelisku, pod Tatrami. Z blaszaną wanną w małej łazience, z niemiłosiernie skrzypiącym łóżkiem i widokiem na regle. Żadnych luksusów, ale też żadnych nachalnych wspólnych imprez.

Westchnęłam z zachwytem. Brzmiało cudownie, chociaż nie byłam pewna, co to są te „regle”. Coś mi się kołatało w głowie, jakaś dawno zapomniana lekcja geografii, ale nie byłam pewna.

— A nie zabrałbyś mnie? — zapytałam nieśmiało. — To znaczy nie, żeby razem, nie o to mi chodzi. — Niespodziewanie zarumieniłam się aż po cebulki włosów. — Dałabym ci święty spokój, przysięgam. Ty w swoją stronę, ja w swoją.

Wzruszył ramionami. Z jakiegoś powodu wydawał się urażony. Może miał pretensje, że chciałam mu zepsuć świąteczny wyjazd.

— Mogę zadzwonić do pana Jędrzeja — odparł chłodno. — Tam są trzy niewielkie pokoje, w każdym jest piętrowe łóżko. Jeśli ma wolne miejsce, to czemu nie. Ale pamiętaj, ja się wybieram w góry...

— Naprawdę nie będę ci przeszkadzać — zapewniłam gorąco.

— A poza tym to jest, że tak powiem, całkowite zaprzeczenie luksusu.

— To mi nie przeszkadza. Od czasu do czasu dobrze jest dostać w skórę, nie uważasz? Potem się docenia codzienne wygody.

Wojtek zerknął na mnie w sposób wyrażający uprzejme zainteresowanie.

— Coś w tym jest — potwierdził. — Po pracy zadzwonię do pana Jędrzeja i dam ci znać.

Rafał wrócił dopiero wieczorem. Był zmęczony, trochę poszarzały, ale jego oczy jaśniały, jakby triumfował.

— Zajrzałem do domu i posiedziałem z ojcem, dlatego tak długo to trwało — wyjaśnił od razu. — Pani Halinka, która opiekowała się nim do tej pory, gdy musieliśmy gdzieś wyjść, nie mogła dziś zostać. Muszę znaleźć kogoś nowego, najlepiej mężczyznę, bo tata swoje waży. Ale do rzeczy: mam sensacyjne wieści. Po pierwsze, twój czarnooki piękniś tutaj dzisiaj był. Nawet go nie zauważyłaś, bo miałaś gości. A ja przez cały czas siedziałem mu na ogonie.

— Serio? Był tu i co robił?

— Nic. Patrzył. Potem polazł nad rzekę i chyba próbował podsłuchiwać od strony zarośli. Potem znowu patrzył, a jak te blondasy od altanek pojechały, to on też się zmył.

— Coś podobnego!

— Właśnie to samo sobie pomyślałem.

Chwilowo nie mogłam zebrać myśli. Postanowiłam, że nad Łukaszem Maczkiem zastanowię się później.

— A po drugie?

— Po drugie, mam zdjęcie mamusi.

— Dawaj!

Rafał wyciągnął z kieszeni telefon i pokazał mi fotografię kobiety wchodzącej po schodkach na ganek szarego domu jednorodzinnego. Mimo kiepskiej jakości obrazu udało mi się stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że to ta sama osoba, która obsługiwała mnie w okienku bankowym.

Zamyśliłam się. O czym to świadczy, zapytałam samą siebie, a następnie wypowiedziałam to pytanie na głos.

— Że mamusia skojarzyła twoją wizytę w banku z kumulacją w Lotto? — podpowiedział Rafał. — Albo zresztą nawet mogła nie skojarzyć. Właściwie kumulacja nie ma tu nic do rzeczy. Mogło być tak: mama ma synka na wydaniu. Synek poza tym, że ładny, to nic szczególnego nie potrafi. Przydałaby mu się bogata panna. I nagle do mamuski przychodzi taka właśnie panna, bogata, niebrzydka — w tym miejscu pomyślałam, że ten Rafał to jednak niezwykle inteligentny młody człowiek — i samotna.

— Znów to samo! — syknęłam. — Według ciebie mam tę samotność wypisaną na czole?

— Pomyśl. Przyszłaś bez faceta, nie upoważniłaś nikogo do korzystania z konta... Czy upoważniłaś?

— Nie.

— No więc sama widzisz.

— Widzę. No i co dalej? Jak niby ten Maczek znalazł się w hotelu, w którym się zameldowałam?

— Nie wiem. To już jego trzeba by zapytać. Może na przykład cię śledził?

— Wykluczone! — powiedziała triumfująco. — On tam był wcześniej. Kiedy otwierałam drzwi kartą, on szedł korytarzem.

— No dobrze. To może masz podsłuch w telefonie?

— Chyba naoglądałaś się za dużo filmów o Bondzie! Niby jak by mi założył podsłuch?! A poza tym, ha, tu cię mam, ja wcale nie dzwoniłam do tego hotelu, tylko napisałam maila!

Rafał popatrzył na mnie uważnie.

— Maila? — powtórzył.

— Tak.

— A adres mailowy podawałaś przy zakładaniu rachunku?

— No tak, bo dostaję raporty o stanie konta.

— Czy nie mogło być tak, że on się włamał do twojej skrzynki?

— Niby jak? Przecież nie zna hasła.

— Nie, no koszmar! — zakpił. — Wiesz, jakie hasła ma większość ludzi? Imię dziecka, psa, brata albo własne. Plus data urodzenia dla większej ściemy. W którym roku się urodziłaś?

— W osiemdziesiątym piątym.

— Okej, nie masz brata, dziecka ani kotka, więc zakładam, że twoje hasło to *iga1985*. Blisko?

Obraziłam się, bo oczywiście było blisko. Było blisko jak jasna cholera. Rzekłabym nawet, że to się nazywa trafić w punkt.

— Ale Łukasz nie wie, w którym roku się urodziłam — warknęłam.

— Jasne. Zakładając rachunek bankowy, nie podaje się daty urodzenia. Ani pesel-u. Ani w ogóle nic. Jesteś incognito, pod pseudonimem, masz zasłoniętą twarz, uszy i odciski palców, a w ogóle cała operacja jest ściśle tajna.

Byłam zła. Byłam bardzo, nieopisanie, niebotycznie wściekła na Maczka i jego matkę. Podejrzywałam, że takie postępowanie jest karalne, lecz wiedziałam także, że nie udowodnię nikomu, iż pani Maczek złamała tajemnicę bankową. Łukasz mógł się przecież znaleźć w hotelu przypadkowo. Poza tym nie zrobił nic złego — podrywał mnie, to prawda, usiłował nawet zrobić mi dziecko (teraz, kiedy o tym myślałam, cierpła mi skóra), lecz ani słowem nie wspomniał o moich pieniądzech.

Niestety ta sprawa, poza tym, że wzbudziła we mnie wściekłość i niesmak, miała jeszcze jeden paskudny skutek. Mianowicie taki, że krucha pewność siebie, jaką nabyłam w ostatnich miesiącach wraz z nową fryzurą, drogimi kieckami oraz umiejętnością zrobienia sobie makijażu — otóż owa wiara we własny wdzięk i kobiecy czar... potrzaskała się w drobny (nomen omen) maczek.

Dotychczas nie uświadamiałam sobie nawet, ile znaczył dla mnie fakt, że po raz pierwszy w życiu byłam uwodzoną. Że Łukasz patrzył na mnie z zachwytem i wyraźnym zakochaniem w oczach (teraz wiedziałam, że dobrze zagranym, ale przecież wtedy wierzyłam, że choć nieodwzajemnione, było to szczere uczucie). Ile zadowolenia i cichej babskiej satysfakcji dawało mi przeświadczenie, iż taki przystojniak pragnął mego ciała i kombinował, jak by tu zaciągnąć mnie do łóżka.

Teraz to wszystko oklapło. Poczulałam się naiwna, głupia po prostu, a do tego kompletnie nieatrakcyjna. Jedyne, co komukolwiek mogło się we mnie podobać, to stan mojego konta. Z takim nastawieniem poszłam spać i przespałam jak zabita całe dwie godziny. Potem zaś siedziałam do rana, smętnie wpatrując się w wyświetlacz komórki, na którym widniała informacja, że mam trzy nieodebrane połączenia od Wojtka Korneckiego. Musiał dzwonić akurat podczas mojego krótkiego, acz intensywnego snu. Nie oddzwoniłam. Po pierwsze, było już za późno, a po drugie — pomyślałam, że nie powinnam mu tego robić. Nie powinnam

psuć urlopu takiemu sympatycznemu facetowi. Może on u tego górala pozna jakąś atrakcyjną babkę? A ja będę mu tylko kulą u nogi. Ta babka nie zagada, nie uśmiechnie się do niego, bo pomyśli, że jesteśmy razem. Wojtek tak samo jak ja do końca życia będzie sam i na starość zostaniemy zjedzeni przez koty (każde przez swojego, oczywiście).

Kolejne dni przyniosły kilka zmian. Po pierwsze, w czwartek Rafał otrzymał odpowiedź ze Stanów: tak, Kornelia może przyjechać na leczenie, ale potrzebna jest wpłata całości kosztów leczenia i pobytu. Dlatego też cały nasz sztab kryzysowy (ja, Agata i młody Mościcki) spotkał się u mnie na obiedzie w celu omówienia planu działania. Ugotowałam porządną, gęsty żurek z boczkiem, a do tego jajeczka. Zjadłszy i poprawiwszy dokładką, wywnioskowaliśmy, że amerykańscy lekarze chcą mieć pewność, iż nas stać na kurację i nie wycofamy się, kiedy oni uruchomią już wszystkie procedury. Niby logiczne, ale wpłacenie z góry takiej kwoty było dla nas jednak trudne, że tak powiem, emocjonalnie.

Mimo to pojechaliśmy z Agatą do banku i załatwiłyśmy sprawę. Rafał został wysłany do domu z misją specjalną — miał za zadanie powiedzieć całą prawdę mamie. O wznowie, o groźbie amputacji gałki ocznej oraz, kiedy już mama dojdzie do siebie, o tym, że znalazł sponsora na leczenie w Stanach.

Agata upierała się, że ona także musi się dołożyć. Tłumaczyłam jej, że to nie ma sensu, ale nie chciała mnie słuchać. Wykonałyśmy więc szereg idiotycznych operacji — najpierw ona zleciła przelanie miliona złotych z mojego konta, do którego miała upoważnienie, na to, do którego nie miała. Następnie ja przelałam dwa miliony na numer rachunku podany w mailu przez doktora Andersena... tfu, Abramsona.

Kobieta, która nas obsługiwała, nie była ani trochę podobna do tej ze zdjęcia przywieziona przez Rafała. Na wszelki wypadek przeczytałam jej nazwisko na plakietce przypiętej do bankowego mundurka — zdecydowanie nie brzmiało jak „Maczek”. Brzmiało jak „Pliszkiewicz”. Nie miałam jednak wątpliwości, że mama mojego niedoszedłego kochasia dowie się w jakiś znany tylko sobie sposób, że z mojego konta ubyło tyle pieniędzy.

Nie myliłam się. Ledwie pożegnałam się z Agatą i podałam taksówkarzowi adres na Piaskach, w mojej torebce zadzwonił telefon. Dzwonił oczywiście Łukasz. Nie odebrałam. Chciałam przemyśleć sprawę. Należało to wszystko dobrze rozegrać. Bo założmy, że Maczek jest znacznie gorszym człowiekiem, niż się wydaje? Że jest zdeterminowany i gotów na wszystko, byleby zdobyć moje pieniądze? Co może zrobić w takiej sytuacji? Zamordować mnie? Porwać dla okupu? Szantażować? Tylko czym? O, wiem! — może porwać Agatę albo moją mamę i wtedy zażądać ode mnie forsy.

W domu wzięłam prysznic, opatuliłam się grubasnym szlafrokiem i założyłam cudownie miękkie podkolanówki w paski, po czym zasiadłam przy komputerze z kubkiem gorącej herbaty. Chciałam sprawdzić, czy w korespondencji mailowej były jakieś informacje o wygranej — aby mieć pewność, czy włamawszy

się do mojej skrzynki, Łukasz mógłby uzyskać poufne informacje. Niczego takiego jednak nie znalazłam. W ogóle rzadko korzystałam z tej formy komunikacji (pewnie dlatego, że nie miałam do kogo pisać).

Na wszelki wypadek zmieniałam hasło na najtrudniejsze, jakie mi się udało wymyślić: *pieprzonypiorun2008*. Uznałam, że nikt nigdy na to nie wpadnie. Zmiana hasła wprawiła mnie w tak doskonały humor, że zatelefonowałam do znanego mi już SPA w Bacówce i umówiłam się na kilka zabiegów odmładzających, upiększających i podnoszących samoocenę, przy okazji zahaczając oczywiście o temat ewentualnego pobytu w czasie świąt. Okazało się jednak, że wszystkie miejsca są zajęte; noclegi na okres bożonarodzeniowy trzeba było rezerwować najpóźniej w listopadzie. Pożegnałam się z żalem i zakończyłam połączenie akurat w samą porę, by zdążyć jeszcze odebrać telefon od Wojtka Korneckiego.

— Słuchaj — powiedział, rytmicznie sapiąc do słuchawki, z czego wywnioskowałam, że właśnie idzie albo nawet biegnie (ewentualnie uprawia dzięki seks, lecz wtedy raczej by nie dzwonił). — Pan Jędrzej ma jeszcze wolny pokój. Ale musisz się zdecydować bardzo szybko, bo teraz jest ten gorący czas, z dnia na dzień ludzie dzwonią i rezerwują.

— Decyduję się! — powiedziałam błyskawicznie, jakby powodzenie tego wyjazdu zależało od tego, w jakim tempie wyrzucę z siebie te słowa. — Jadę. Jasne. Kiedy?

— No, nie wiem, kiedy chcesz — odparł niepewnie. — Ja wyjeżdżam dwudziestego drugiego.

Zrobiło mi się okropnie głupio. Moje pytanie było głupie, ja byłam głupia, sytuacja była głupia. Jakoś z automatu przyjął, że pojedziemy razem, że zabiorę się z nim.

— Chodziło mi o to, kiedy mogę przyjechać. Tam ktoś teraz jest?

— Masz na myśli ten pokój? Nie, jest wolny.

— Aha, czyli mogę jechać, kiedy chcę?

— No, trzeba by uprzedzić gospodarza. A ty czym zamierzasz...? — zawahał się, ale najwyraźniej zrezygnował z tego, co chciał powiedzieć, bo zakończył ni przypiął, ni przyłatał, w dodatku jakimś sztucznie ożywionym tonem: — To ja ci wyślę esemesem numer do pana Jędrzeja, a jak już będziesz wiedziała, kiedy jedziesz, po prostu zadzwoń i go uprzedź. Powołaj się na mnie, bo on może ciebie nie skojarzyć.

— Okej. Dziękuję ci bardzo.

— Nie ma za co. Do zobaczenia w górach.

Dobrze, doskonale. Na następny dzień miałam zaplanowane zabiegi odmładzająco-liftingująco-detoksykująco-wygładzające (albo jakoś tak) na twarz i

resztę ciała, uznałam więc, że wyjadę do Zakopanego najwcześniej pojutrze. Kiedy telefon zapikał radośnie, oznajmiając, że przyszła wiadomość od Wojtka, czym prędzej zatelefonowałam do rzeczonoego pana Jędrzeja, który chropowatym głosem kogoś, kto pił trzy dni, a kolejne cztery doby miał strasznego kaca, oznajmił mi, że nie ma problemu, mogę przyjechać za dwa dni.

Na koniec zadzwoniłam jeszcze do Rafała z informacją, że wyjeżdżam, i poprosiłam go o opiekę nad domem oraz przypomniałam mu, aby pamiętał o rozgrzebanym garażu.

— O tym nie musisz mi przypominać — powiedział. — Nie mogę się doczekać, kiedy kupisz ten samochód, a ja zacznę się bawić w mechanika i szofera.

— A mama jak? — chciałam wiedzieć. — Powiedziałaś jej wszystko?

— Tak. Początkowo była w szoku, krzyczała, że do żadnej Ameryki dziecka nie wyśle, ale kiedy się uspokoiła, dotarło do niej, ile mamy szczęścia, że spotkałam cię wtedy na tym cmentarzu.

Ostatnie słowa wypowiedział podejrzanie wilgotnym głosem, czym prędzej więc się pożegnałam.

Wieczór spędziłam, analizując połączenia kolejowe do stolicy Tatr. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że elektroniczny rozkład jazdy proponował mi na przykład podróż trwającą dwadzieścia godzin, w dodatku z czterema przesiadkami. Uznałam więc, że muszę posłużyć się zdrowym rozsądkiem oraz starymi, sprawdzonymi sposobami; otworzyłam mapę Polski i rzuciwszy okiem na sieć dróg, uznałam, że pojadę pociągiem do Krakowa, a stamtąd dostanę się do Zakopanego choćby taksówką. Następnie na powrót przeprosiłam się z nowoczesnymi technologiami, kupiłam przez internet bilet do Krakowa, po czym zaczęłam się pakować. Spakowałam adidas na wypadek, gdyby nie było śniegu, przygotowałam także wysokie kozaczki na wypadek, gdyby jednak był. Sweterek w norweskie wzory (nowy nabytek), obcisłe džinsy, w których było widać, że mam szczupłe biodra, kilka ładnych bluzek w etniczne wzory (uznałam, że to pasuje do góralskiej chałupy), kosmetyki, szlafrok i miękkie papucie, perfumy, takie tam drobiazgi. Wzięłam też czytnik e-booków, który kupiłam sobie jakiś czas temu i którego jeszcze nie miałam okazji użyć, bowiem nade wszystko lubiłam zapach książek i szelest kartek. Uznałam jednak, że w podróży, a tym bardziej w górach, czytnik będzie jak znalazł. Wyobraziłam sobie siebie w tym ładnym sweterku w norweskie wzory, z filiżanką aromatycznej herbaty, siedzącą na werandzie w promieniach górskiego słońca i zatopioną w lekturze dobrej książki. Była to wizja bardzo ponętna.

Z trudem dopiąwszy walizkę, uznałam, że świetnie sobie radzę i nieważne, kompletnie nieistotne jest to, że Łukasz Maczek nie leciał na mnie, tylko na stan mojego konta. Nie liczyło się też, że nie miałam szans uwieść Maćka Korneckiego, bo on miał swoją Karolinę. Miałam to gdzieś. Byłam silną kobietą, nie

potrzebowałam męskiego zainteresowania. Zamierzałam przeżyć kawał górskiej przygody i wrócić całkowicie odmieniona, a może nawet opalona w górskim słońcu i kto wie, kto wie? Może z pierwszym stopniem wtajemniczenia w taternictwie albo przynajmniej w narciarstwie.

W Krakowie udałam się najpierw do porządnego baru, żeby coś przekąsić. Nigdy nie lubiłam fast foodów, poszukałam więc knajpki starego typu, takiej z zupami i przystawkami. Miałam wielką ochotę na coś wyrazistego; po namyśle wybrałam śledzia w oleju. Zawsze miałam dość plebejskie gusta.

Kiedy zabrałam się do jedzenia, zauważyłam, że przy stoliku naprzeciwko przysiadł jakiś mało wyjściowy typek. Miał kilkudniowy zarost, ale nie w stylu „udaję, że zupełnie o sobie nie dbam, a moja uroda jest darem od Bozi”, tylko raczej „kuźwa, znów nocowałem gdzieś, gdzie nie ma łazienki”. Typek wpatrywał się we mnie tak nachalnie, że poczułam się tak, jakbym była nago w folii. Śledź przestał mi smakować. Rozejrzałam się — bar był niemal pusty, panował w nim półmrok, moja droga ucieczki była zastawiona stolikami, a w dodatku miałam spory i ciężki bagaż. Zaczęłam rozważać, czy w razie molestowania zdołałabym podnieść walizkę i huknąć faceta w łeb, ale nie zdążyłam dojść do żadnych wniosków, ponieważ on wstał od stołu i już wyraźnie zmierzał w moim kierunku.

Oceniłam jakoś sztucców. Nóż był do bani — zaokrąglony na końcu, tępy, taki raczej do smarowania dżemu niż krojenia czegokolwiek. Nie dałoby się nim nawet porządnie skaleczyć napastnika. Co innego widelec. Przełożyłam go do prawej dłoni, tak na wszelki wypadek. Celować w gałkę oczną, powtarzałam sobie w duchu. Zaczęłam się leciutko trząść, ponieważ mężczyzna był już obok mnie. Zatrzymał się przy stoliku i patrzył na mnie przenikliwie.

— Pani — zaczął mocno przepitym głosem. — Mogę na słówko?

Podniosłam nic nierozumiejący wzrok na jego nieświeżą facjatę.

— Dobry ten śledzik?

— Słucham? — zapytałam z niebotycznym zdumieniem.

— Czy śledzik dobry? Bo ja, widzi pani, jestem wielkim amatorem śledzia. Ale nie wszędzie, kurde, dobrze przyrządzą. Lubię, żeby był wymoczony, ale nie za bardzo, kurde, śledź jednak trochę soli musi mieć. I żeby cebulka była świeża, nie zaśmiardła. No i mam taką metodę na śledzia, że siedzę i patrzę, jaka mina u klienta. A u pani ani skrzywienia, ani zadowolenia. Kamienna twarz. No to myślę sobie, podejść i się zapytam.

Musiałam wyglądać jak kretyńka, przyglądając mu się z rozdziawionymi ustami.

— To jak pani mówi? Dobry ten śledzik? — powtórzył typek.

— Dobry — odparłam. — Bardzo dobry.

Kiedy odszedł, drżącymi dłońmi dokończyłam jedzenie i czym prędzej opuściłam lokal. Pomyśleć, że omal nie wbiłam widelca w oko faceta, który chciał mnie tylko zapytać o to, czy śledź nie jest za słony.

Na szczęście bez problemu znalazłam transport do stolicy Tatr — okazało się, że kiedy tylko zbierze się komplet chętnych (a tych nie brakowało), spod dworca odjeżdża bus do Zakopanego. Trochę zaniepokoiło mnie to, że byłam jedyną osobą bez rękawiczek, ale za to w kozaczkach na obcasie (niewysokim, ale jednak). Wszyscy pozostali pasażerowie mieli buty na grubaśnej podeszwie, ciepłe skarpety wywinięte na spodnie niczym getry, bluzy i kurtki z polaru, goretexu albo innych wynalazków. Cóż, mój nowy płaszczyk z czerwonej wełenki i czarny beret z antenką, który nosiłam zawadiacko przekrzywiony na lewo, trochę tu jakby nie pasowały. Nie mówiąc o walizce, wyraźnie odstającej stylem od plecaków rozmaitych firm.

Podróż tak zwaną „zakopianką” okazała się szalenie interesująca. Widoki były niezwykle, mgły podnosiły się i opadały niczym para w jakimś wielkim garnku, na przemian odsłaniając i ponownie zakrywając malownicze, ciemnozielone wzgórza. Zanim się spostrzegłam, przebyliśmy trzy czwarte drogi, na horyzoncie zamajaczyły Tatry, a ja zrozumiałam, co miał na myśli Wojtek, mówiąc o „garbatym” horyzoncie. W owej chwili przeżyłam coś w rodzaju rytuału wtajemniczenia, zakochałam się, zadurzyłam, wpadłam po uszy i już wiedziałam, że odtąd będę pragnęła widzieć tę garbatość częściej.

Kiedy wysiadłam z busa w Zakopanem, nagle znalazłam się na samym dnie owego garnka z parą. Gór nie było. Zniknęły. Rozglądałam się bezradnie przez jakiś czas, nie znalazłam jednak żadnego dowodu na to, że jestem u podnóża Tatr. Zupełnie jakbym padła ofiarą jakiegoś okrutnego żartu.

Udałam się przed siebie beztroskim spacerkiem. Kółeczka walizki podskakiwały radośnie na nierównościach chodnika. Sama nie wiem, jak to się stało, że znalazłam się na ulicy, której nazwę kojarzyłam z telewizji — Krupówki (wprawdzie dotąd byłam pewna, że są to „Zacierki”, ale odczytana na tabliczce nazwa wyprowadziła mnie z błędu). Uznałam, że Zakopane jest zapewne tak zbudowane, żeby turysta, w którą by nie poszedł stronę, znalazł się właśnie na Krupówkach. Weszłam do pierwszego z brzegu lokalu, zamówiłam dwa gofry z bitą śmietaną i owocami oraz wypiłam kawę, robiąc przy okazji przegląd mody turystycznej. Już wiedziałam, że nie należało przyjeżdżać ani w czerwonym płaszczku, ani w butach na obcasie. Należało natomiast kupić kurtkę ze sztywnego materiału z kontrastującą naszywką, koniecznie z przyrostkiem „-tex” w nazwie. Obowiązkowa była też czapka z polaru albo chociaż jakaś opaska na uszy, rękawiczki (też z naszywką), buty z wysoką cholewką i grube skarpety.

Stwierdziwszy to wszystko, udałam się do baru naprzeciwko, gdzie pochłonęłam jeszcze podwójną porcję frytek, a następnie, objedzona i opita jak bąk, pokulałam się w stronę postoju taksówek, bo w porę przypomniałam sobie, że jestem paskudnie bogata. Taksówkarz uśmiechnął się, usłyszawszy, że chcę jechać do Kościeliska. Ruszył natychmiast, najwyraźniej pełen obaw, że się rozmyślę i

wysiądę.

— To paniusia chyba przy forsie — zauważył, zabawnie akcentując słowo „przy”. — Dudki som, a to nawozniejse.

— Dlaczego przy forsie? Z czego pan wnioskuje?

— A bo do Kościeliska cepry wozom się busami abo pekaesem — wyjaśnił jak jakiejś głupiej, akcentując kolejno sylaby: ko, bu oraz pe. — Ale cy to aby nie omyłka z tym Kościeliskiem? Bo panna ma takie buciki, jakby jednak do hotelu...

Uparcie akcentował pierwszą sylabę w każdym wyrazie. Wariat czy co?

— Żadna pomyłka — rzekłam, niechcący popadając w tę samą manierę (co do akcentu). — Ja pierwszy raz w Tatrach. Zamierzam obserwować i pilnie się uczyć. Jak będzie trzeba, to kupię odpowiednie buty i w ogóle wszystko, co potrzeba.

Taksówkarz pokiwał głową ze zrozumieniem, ale wokół ust błąkał mu się specyficzny rodzaj uśmiechu, który wcale mi się nie podobał. Postanowiłam jednak robić dobrą minę do złej gry. Z zainteresowaniem rozglądałam się po uliczkach Zakopanego, a gdy wyjechaliśmy z miasteczka, podziwiałam tonące we mgle ciemne świerkowe lasy, które wspinały się ku górze (i tylko stąd wiedziałam, że Tatry rzeczywiście gdzieś tu są).

Kiedy wysiadłam w Kościelisku, ze zdumieniem stwierdziłam, że pogoda była tu najwyraźniej zupełnie inna niż w Bydgoszczy i nawet w samym Zakopanem: chodnik był oblodzony, a pobocze pokrywała brudna śniegowa breja. Stwierdziwszy to, straciłam równowagę i klapnęłam z rozmachem na tyłek.

Trudno zachować godność i kobiecy wdzięk, kiedy się siedzi na mokrym chodniku, z błotem śniegowym przesiąkającym przez spodnie, z walizką na kolanach, i kiedy człowiek ma problem ze wstaniem. Mimo to uśmiechnęłam się do dwóch rumianych i wąsatych górali, którzy stali oparci o swoje nyski i przyglądali mi się z zainteresowaniem. Jakoś udało mi się wstać, wbić się obcasami w lód, przywołać nieposłuszną walizkę do porządku, jako tako otrzepać mokre na tyłku spodnie i ruszyć w dół, ku domom, z których większość nie wyglądała wcale na stare góralskie chałupy — wręcz przeciwnie, przypominały raczej nowoczesne, kompletnie pozbawione uroku i klimatu wille. Tyle że miały spadziste dachy.

Na szczęście moja walizka miała kółka, bo nie dodźwigałabym jej do chałupy pana Jędrzeja. Chata była ukryta za wszystkimi tymi luksusowymi pensjonatami, apartamentami i willami i... cóż, rzeczywiście była chałupą. Chatą. Drewnianą. Starą, zaniedbaną i byle jaką. Ale za to góralską. Z tradycjami, prostym wystrojem i w ogóle, powiedziałam sobie w duszy. Na pohybel tym, co przedkładają luksusy ponad jedyną w swoim rodzaju, autentyczną tatrzańską atmosferę.

Jakąś godzinę później, kiedy bezskutecznie próbowałam odkręcić ciepłą

wodę w łazience (to znaczy nie żeby kran się zaciął czy coś — kurek kręcił się idealnie w obie strony, tyle że nieodmiennie leciała z niego lodowata woda), zaczęłam powoli zmieniać zdanie co do wygod i luksusów. W zasadzie nie miałabym nic przeciwko. Tym wygodom. Kosztem atmosfery nawet, a niech tam. Kapka ciepłej wody. Lusterko albo chociaż blaszana taca, w której można by się przejrzeć, co by to komu wadziło?

W końcu westchnęłam, opłukałam tylko twarz, wróciłam do mego pokoju (który należałoby raczej nazwać izdebką, albowiem poza piętrowym łóżkiem i stolikiem nie było w nim zupełnie nic), włożyłam na siebie kilka bluzek i wszystkie skarpetki, żeby nie zamarznąć, po czym położyłam się spać z nadzieją, że stareńki gospodarz, który przy powitaniu wręczył mi tylko klucz do pokoju, przeliczył pieniądze za noclegi i mruknął coś, co mogło być na przykład życzeniami miłego pobytu — napali w piecu. Póki co, kaloryfery były zimne.

Następnego dnia obejrzałam dokładnie część chaty przeznaczoną dla gości. Niestety, nie było żadnej werandy, na której mogłabym się romantycznie zatopić w lekturze i pić herbatę. Oprócz trzech pokojów, z których dwa na razie pozostawały puste, oraz łazienki (którą już znałam z tego, że było w niej zimno i z kranu leciała zimna woda) znajdowała się tu jeszcze jedynie kuchnia turystyczna. Miałam do dyspozycji dwa palniki kuchenki gazowej, czajnik z nadtopionym gwizdkiem, średni garnek oraz mały ronderek (z których żaden nie został chyba nigdy porządnie umyty), obrzydliwie tłuste aluminiowe sztucce, dwie miseczki oraz sześć białych wyszczerbionych kubków z napisem „SPOŁEM”. Zlew pokrywała warstwa kamienia i brudu, nie znalazłam jednak gąbki ani żadnej szmatki, aby móc podjąć próbę doprowadzenia go do porządku (nie wspominając już o płynie do mycia naczyń). Uznałam więc, że nie będę jadać w tym uroczym miejscu.

Na ten dzień zaplanowałam wielkie zakupy. Nie będzie taksówkarz pluł nam w twarz, powiedziałam sobie; nie pozwolę się z siebie naśmiewać. Udałam się — tym razem busem — do Zakopanego, zjadłam placek po zbójnicku w barze Fis, wróciłam na Zacier... tfu, Krupówki i dokonałam ponownego przeglądu mody turystycznej. Następnie odwiedziłam kilka sklepów i już po kilku godzinach stałam się posiadaczką cudownego, czerwonego plecaka z popielatymi paskami, a do tego miałam na sobie następujący zestaw: bieliznę ciepłochronną, bluzę z białego polaru w czerwone renifery, kurtkę z goretexu, popielate spodnie sztruksowe z flanelową warstwą ocieplającą, czapkę z klapkami na uszy, puchaty szalik, rękawice z jednym palcem oraz piekielnie sztywne buty, które pan w Alpinusie określił jako prawie zupełnie nieprzemakalne. Kiedy zapytałam, dlaczego „prawie”, odparł z pewną wyższością, że jeśli chcę mieć całkiem nieprzemakalne, to powinnam kupić kalosze. Albo ewentualnie zaopatrzyć się w impregnat marki... i tu nastąpił strumień reklam, który jednakowoż puściłam mimo uszu.

Tak wystrojona udałam się (nie bez trudu, bowiem zapiętki nowych butów uwierały mnie straszliwie) na pocztę, gdzie nabyłam kartonowe pudełko i nadałam paczkę na własny adres — w paczce tej znajdowały się oczywiście „miejskie ubrania”, które zdjęłam z siebie w sklepie Alpinusa. Następnie zajrzałam do księgarni, by kupić przewodnik po Tatrach oraz porządną mapę.

W Café Piano pochłonęłam trzy ciastka, wypięłam podwójną kawę i przeczytałam wstęp do przewodnika. Poczułam, że teraz wiem już wszystko. Potrzebowałam tylko: peleryny foliowej, plastrów na odparzenia, czekolady, sucharów i tak dalej, wody w dwóch małych butelkach, latarki (na wypadek, gdybym musiała wzywać pomocy, a w komórcie nie byłoby zasięgu albo nie umiałabym określić, gdzie się znajduję), pieniędzy (na wypadek nieplanowanego noclegu w schronisku), tabletek przeciwbólowych, no i mapy. Na brak pieniędzy nie narzekałam, mapę już miałam, resztę wyposażenia nabyłam drogą kupna, poczułam zatem, że jestem gotowa, by zdobyć nawet najbardziej niedostępne szczyty (których zresztą wciąż nie było widać, albowiem nadal znajdowałam się na dnie garnka z parą). Oczywiście było już za późno, aby wyruszyć w góry, kupiłam więc kabanosy oraz bułki z myślą o kolacji i śniadaniu następnego dnia, po czym wróciłam do Kościeliska.

Z mieszanymi uczuciami (była tam jakaś dziwaczna trwoga, rozczarowanie, a także radość i idiotyczne podniecenie, którego źródła kompletnie nie rozumiałam) skonstatowałam, że przed chałupą pana Jędrzeja stoi samochód Wojtka Korneckiego. Starając się ukryć kuśtykanie, weszłam do środka i udałam się do swojego pokoju, niepewna, czy powinnam pójść się przywitać, bo przecież Wojtek zaznaczył wyraźnie, że zamierza chodzić własnymi drogami. Kiedy zdejmowałam moją nową, pachnącą jeszcze sklepem kurtkę, rozległo się pukanie.

— Proszę!

— Cześć. — Zza uchylonych drzwi wysunęła się blond głowa Korneckiego.

— Cześć. Fajnie, że już jesteś.

Wojtek uśmiechnął się i reszta jego ciała znalazła się w moim pokoju. Miał na sobie fantastyczny szary sweter z golfem i jasne dżinsy. Skąd się biorą tacy faceci, pomyślałam. Jak to możliwe, że po tym, jak rozstał się z żoną, żadna wystrzałowa babka jeszcze go nie capnęła?

— Pozwiedzałaś trochę? — zapytał, podchodząc do okna i spoglądając na ciemne świerki. — Pogoda nie najpiękniejsza, ale przynajmniej nie pada.

— Tyle że gór wcale nie widać — odparłam wymijająco, bo przecież nie mogłam się przyznać, że przez cały dzień „zwiedzałam” jedynie kawiarnie i sklepy.

— To nic. One tu są, to najważniejsze. Zawsze będą.

Kiedy to mówił, w jego głosie zabrzmiała jakaś tkliwość. Zupełnie jakby góry były żywymi istotami i jakby on je kochał. Tak jak kocha się starych przyjaciół.

— Gdzie się jutro wybierasz? — zapytałam.

— Jeszcze nie wiem. — Wykonał szeroki, nieokreślony gest, jakby chciał ogarnąć nim wszystko dookoła. — Zależy od pogody. Muszę też dzisiaj podpytać, jak wyglądają szlaki. A ty? Jakie plany na jutro?

— Nie mam pojęcia. — Postanowiłam nie robić z siebie idiotki, tylko zwyczajnie zapytać go o radę. — Co mi polecasz na początek górskich przygód? Tylko pamiętaj, żadnych przepaści. Muszę się stopniowo oswajać.

— Jeśli nie byłaś jeszcze w Kościeliskiej, to może zacznij od niej. Przespaceruj się do Ornaku, powdychaj tatrzańskie powietrze. Musisz się zaaklimatyzować. A co do przepaści, zimą w Tatrach nie wchodzi się na wyższe szlaki. Jeśli leży śnieg, to nie należy pchać się powyżej granicy lasu. To znaczy oficjalnie zakazu nie ma, ale u początkującego turysty byłby to objaw...

— Głupoty?

— Tak, bezdennej głupoty — zgodził się Wojtek. — Albo brawury, co na jedno wychodzi. No nic, idę coś przekąsić po podróży. Baw się dobrze.

I wyszedł, zostawiając mnie z tysiącem pytań. Bo jak to: mam zacząć od Kościeliskiej. To to jest ta „Kościeliska”? Przecież właśnie, o ile czegoś znów nie pokićkałam, znajdowaliśmy się w Kościelisku. To jest to samo czy nie to samo?

Usłyszałam dobiegające z kuchni turystycznej odgłosy trzaskania garnkami; widocznie Wojtek przyrządzał sobie jedzenie w tym katastrofalnym brudzie. Cóż, nie moja sprawa.

Rozlokowałam się na łóżku z mapą i przewodnikiem, po czym zagłębiłam się w lekturze. Kościeliska, powiedział. Nie musiałam długo szukać; cały rozdział poświęcono właśnie Kościeliskiej i jej otoczeniu — okazało się, że jest to malownicza dolina. Poczytałam, obejrzałam zdjęcia, potem jeszcze przeanalizowałam mapę i poczułam się zachęcona.

Teraz to drugie, to na O. Usiłowałam sobie przypomnieć, ale za diabła nie mogłam: Ogłaz? Okular? Ognik? Wreszcie przejrzałam indeks nazw na końcu przewodnika i znalazłam: Ornak. Grzbiet w Tatrach Zachodnich. Ma cztery wierzchołki. Żeby się na niego wdrapać, muszę przejść całą Dolinę Kościeliską, potem wleźć na Iwaniacką Przełęcz, no i już hop, prawie jestem. Wysokość względna od 500 do 700 metrów; dobra, uśrednijmy, niech będzie 600. Czyli muszę wspiąć się na wysokość sześćset metrów, licząc od dna doliny? Jeśli przyjąć, że jeden mój krok to pół metra, będę musiała wykonać tysiąc dwieście kroków w górę. Co to dla mnie? Dam radę. Jeśli tylko nie będzie przepaści, to miałam szansę przezwyciężyć mój lęk przed byciem na wysokości (czytaj: blisko piorunów).

Z tą pocrzepiającą myślą udałam się do łazienki, w akcie desperacji umyłam się letnią wodą (w porównaniu z wczorajszą wydawała mi się niemal gorąca!), po czym owinęłam się kołdrą i kocem, spod których wystawiłam jedynie głowę i dłonie

z czytnikiem e-booków. Tym razem kaloryfery były ciepłe, nie marzłam więc tak okropnie. Na ten wieczór wybrałam *Wszystko czerwone* Chmielewskiej. Zagłębiłam się w lekturze, co jakiś czas wybuchając śmiechem. Nawet nie zauważyłam, kiedy czytnik wysunął mi się z dłoni, a ja — zasnęłam.

Rano wydrążyłam palcem dziury w bułkach i wsadziłam do nich kabanosy. Zjadłam dwie, zaś dwie pozostałe włożyłam do kieszonki plecaka. Następnie okleiłam sobie pięty dwiema warstwami plastrów i założyłam na siebie wszystkie turystyczne „krzyki mody”, które kupiłam poprzedniego dnia. W okropnej mgle, przez którą moje wystające spod czapki włosy natychmiast zamieniły się w wilgotne strączki, wyruszyłam na spotkanie z górską przygodą. Wojtek prawdopodobnie jeszcze spał w którymś z sąsiednich pokojów, bo w chacie panowała niczym niezmacona cisza. W każdym razie już wiem, że nie chrapie, pomyślałam, a myśl ta, nie wiedzieć czemu, bardzo mnie ucieszyła.

Zerknąwszy na mapę, stwierdziłam, że najpierw muszę dotrzeć do miejscowości o żalobnej nazwie Kiry. Obliczyłam, że to niecałe półtora kilometra, poszłam więc na piechotę asfaltową drogą. Następnie odnalazłam wejście do doliny, kupiłam bilet do parku narodowego, wodę mineralną oraz trzy oscypki (na czarną godzinę, nigdy nic nie wiadomo), wzięłam głęboki wdech i ruszyłam.

Dolina Kościeliska z początku wydawała mi się jakąś kolosalną pomyłką. Szłam i szłam, i za diabła nie mogłam dostrzec niczego interesującego, nie mówiąc o tych malowniczych skałkach, które poprzedniego dnia podziwiałam na zdjęciach w przewodniku.

Stopniowo jednak mgła zaczęła się podnosić, a ściany doliny zbliżać do siebie, w wyniku czego nagle odkryłam, że znajduję się w czymś w rodzaju wąwozu, którego dnem płynie huczący potok. Po obu stronach rosły majestatyczne świerki, a nad moją głową co jakiś czas, spoza gęstej jak śmietana mgły, wyzierały skały.

A więc one tu rzeczywiście są, powiedziałam sobie w duchu. Tak jak mówił Wojtek, góry są tutaj, stoją nad nami niewzruszone, potężne i pradawne, a mnie, małemu robaczekowi, wydawało się, że zniknęły — jedynie dlatego, że coś mi je zasłoniło. Zadumana nad własną małością, nie wiedzieć czemu wzruszona i już po uszy zakochana w tym miejscu, doszłam do polany, na której ustawiono ławki i stoły dla turystów. Mgła (a może była to wyjątkowo nisko pełzająca chmura?) podniosła się uprzejmie nieco wyżej, doprowadzając mnie niemal do ekstazy widokiem poszarpanych turni (z przewodnika dowiedziałam się, że tak się to fachowo nazywa).

Pochłonęłam bułki z kabanosem, pół litra wody oraz dwa oscypki. Na wszelki wypadek napełniłam pustą butelkę lodowatą wodą z potoku, który w tym miejscu łaskawie rozlał się dość szeroko, co pozwoliło mi nabrać życiodajnej cieczy bez skapania się po kolana. Następnie ruszyłam dalej, coraz bardziej zakochana, spocona i zasapana. Zwiedziłam przechodzący wszystkie moje

wyobrażenia o pięknie Wąwóz Kraków, niestety okropnie zeszpecony przez turystów, którzy poustawiali pod jego stromymi ścianami tysiące patyków. Po krótkiej i bolesnej refleksji nad ludzką głupotą i kretyńskimi motywacjami niektórych uczynków powędrowałam dalej. Od tej pory było coraz bardziej pod górkę, w związku z czym coraz głośniejszy dyszałam i miałam coraz większą ochotę zrzucić z siebie wszystkie ciepłochronne łaszki.

Kiedy dotarłam do schroniska, powitał mnie zapach zupy, której nie potrafiłam zidentyfikować, ponieważ pachniała jak połączenie krupniku z pieczarkową. Postanowiłam jednak nie wchodzić i nie spożywać, bowiem obawiałam się, że ciepło w żołądku podziała na mnie rozleniwiająco i wówczas żadna siła nie zmusi już moich członków do ponownego podjęcia wędrówki. Nie! Zupa będzie nagrodą, jeśli wdrapię się na ten nieszczęsny Ornak i zdołam wrócić — tak sobie postanowiłam. Westchnęłam i ruszyłam pod górę, brnąc w coraz głębszym śniegu, wdychając coraz bardziej lodowate powietrze — i pocąc się jak mysz.

Nie mam pojęcia, kto mierzył te wszystkie szlaki i obliczał czas. Najwyraźniej była to jednak osoba, która urodziła się na siłowni, a zamiast mleka matki piła napoje izotoniczne. Ilekroć na drogowskazach było napisane, że dotrę gdzieś w godzinę, mnie zajmowało to dwa razy tyle. I wcale nie szłam jakoś bardzo wolno. Po prostu co kilka kroków musiałam się zatrzymywać i rozpaczliwie łapać oddech niczym ryba wyrzucona na brzeg. Przypomniałam sobie rozmowę z Maćkiem — „gdyby chociaż dawali dobre żarcie na szczycie, tobym zrozumiał”, tak powiedział. Coś mi mówiło, że miał rację. A jednak jakaś głupia ambicja i wstyd przed Wojtkiem sprawiały, że brnęłam dalej, czując, jak palce u nóg powoli mi zamarzają (bo buty naprawdę okazały się „prawie nieprzemakalne”), parując w górskim powietrzu niczym rozgrzana lokomotywa i co parę kroków podjadając śnieg, aby ukoić wyschnięte od sapania gardło.

Kiedy dotarłam na Iwaniacką Przełęcz, znalazłam się w jeszcze gęstszej chmurze. One tu są, te góry, przypominałam sobie, aby się zmotywować. Skoro jestem na przełęczy, to zapewne po obu stronach mam przepiękne górskie szczyty. To, że ich nie widzę, nie sprawia, że są mniej piękne. Jeśli wleżę na górę, może chmura okaże się sympatyczna i podniesie się trochę. Albo właśnie na odwrót, opadnie, a ja znajdę się ponad nią. I wcale się nie boję, bo to nie jest chmura burzowa. Na sto procent. Ta myśl sprawiła, że zjadłam ostatniego oscypka i zagryzłam go garścią śniegu, uśmiechnęłam się do mijających mnie właśnie turystów, którzy powiedzieli mi „cześć” (musieli mnie z kimś pomylić), po czym dziarsko ruszyłam pod górę. Zastanawiałam się, czy odmrożone palce u nóg zamieniają się w lodowe kuleczki, które po prostu odpadają, czy też raczej po rozmrożeniu stają się rozkłapciane jak miniaturowe naleśniki.

Szłam pod górę z zapamiętaniem, w jakiejś dzikiej furii. Nawet nie

zauważyłam, że nie muszę już zatrzymywać się co kilka kroków na uspokojenie oddechu. Najwyraźniej złapałam rytm, odnalazłam właściwe tempo. Zamrożone strączki włosów łaskotały mnie w czoło i policzki, usta miałam spierzchnięte od ciągłego oblizywania, śmierdziałam potem i koszmarnie pociągałam nosem — ale kiedy znalazłam się w miejscu, z którego dalsza droga nie wiodła już w górę, lecz w dół (z czego wywnioskowałam, że jestem na szczycie), poczułam się jak bogini. Jakbym narodziła się na nowo i miała nigdy nie umrzeć. Jakby cały świat leżał u moich stóp. I nieważne, że tego świata nie widziałam, ponieważ chmura wcale nie okazała się sympatyczna i nie zamierzała ani opaść, ani się podnieść.

Po kilku chwilach euforii zaczęłam marznąć. Postanowiłam pójść jeszcze kawałek ścieżką wzdłuż grzbietu Ornaku — z lektury przewodnika zapamiętałam, że są tu aż cztery wierzchołki. Cudownie będzie móc powiedzieć, że zdobyłam wszystkie cztery. Po namyśle sprecyzowałam: cudownie będzie powiedzieć Wojtkowi, że je zdobyłam. Że dałam radę, i to zupełnie sama w tej cholernej mgle.

Zaraz, zaraz. Ile razy już było w dół i znowu pod górę? Nie miałam pewności. Chyba cztery, a może nawet pięć. Czyli jestem już dalej, poza tym grzbietem? Jasny gwint, żeby ta chmura choć na chwilę zmieniła położenie... Jedyne co przed sobą widziałam, to wydeptane w śniegu ślady. Dobrze, że choć tyle. Miałam przynajmniej pewność, że nie zabłądziłam, nie zesłam ze szlaku. Uznałam jednak, że najwyższa pora zawrócić. Raz, że z zimna kostniałam coraz bardziej; nie spodziewałam się, że na górze tak wieje. Dwa: na dole, w schronisku, czekała zupa, zupa, zupa...

Moje cikliwe rozmyślenia o tym, czy będzie to krupnik, czy raczej jednak pieczarkowa, przerwał ostry dzwonek telefonu. Spojrzałam na wyświetlacz: dzwonił Wojtek Kornecki.

— Słucham — rzuciłam do słuchawki, ignorując fakt, że zęby szczękają mi z zimna.

— Gdzie jesteś? — odpowiedział pytaniem; w tle słychać było gwar głosów.
— Myślałam, że cię tu spotkam, czekam i rozglądam się, ale nigdzie cię nie ma. Minęliśmy się? Idziesz już w stronę wylotu?

— Jakiego znów wylotu? Czy tobie się nie pomyliły numery? Przecież nie jestem na lotnisku.

Zamilkł na chwilę, a potem niepewnym głosem zapytał:

— Iga?

— No pewnie, że Iga! — Zdenerwowałam się, bo zamarzała mi ręka (w rękawicach z jednym palcem nie dało się odebrać telefonu). — Słuchaj, nie wiem, co masz na myśli, mówiąc o wylocie. Idę, ale już prawdę mówiąc, resztką sił. Zaraz skost-nieję i utknę, turyści będą tu przychodzili oglądać rzeźbę lodową, a to będę właśnie ja.

— Żartujesz czy mówisz poważnie? — zaniepokoił się.

— Sama nie wiem — odparłam szczerze. — Chwilami roznosi mnie energia i radość, że się tu wdrapałam, że jest tak fantastycznie, chociaż powiem ci szczerze, że kompletnie nic nie widać i gdybyś mi wczoraj nie powiedział, że one tu są, te góry, to pewnie trudno by mi było w to uwierzyć... Ale po chwili opadam z sił i mam ochotę tylko usiąść i się rozplakać, i zamarznąć sobie cichutko.

— Przestań, nawet tak nie mów! Ale gdzie ty w ogóle jesteś? Mówiłem ci, żebyś sobie poszła pomalutku na Ornak...

— No właśnie jestem na Ornaku. Nie wiem tylko, na którym wierzchołku.

— Iga! Na jakim znów wierzchołku? Poszłaś na Ornak?!

— Przecież sam przed chwilą powiedziałeś...

— Ale schronisko! Schronisko to jest Ornak. To znaczy... Wszyscy tak na nie mówią. Cholera, przepraszam cię bardzo, to był taki skrót myślowy. Jezu, ale mi głupio. Poszłaś na Iwaniacką w takim paskudnym śniegu?

— Wcale nie jest taki paskudny — zaprotestowałam. — To nic, że mam spodnie mokre aż po uda. A jest jeszcze zupa? Bo ty jesteś w tym schronisku, tak?

— Tak, jestem. I jest zupa. Ale Iga... Przecież już się zaczyna robić ciemno. Ty schodzisz? Jesteś na przełęczy?

— Nie wiem, chyba nie. Tu w ogóle nic nie widać, jest sino od tej mgły. I strasznie zimno. Jestem cała mokra.

— Idź szybko, nie zatrzymuj się. Biegnę po ciebie.

— Daj spokój, dam sobie radę. Tylko zamów dla mnie dużo zupy, żeby nie wykupili. — Zaszczękałam zębami.

— Masz coś słodkiego? Czekoladę albo coś?

— O, właśnie, dobry pomysł. Oczywiście, że mam czekoladę. Jestem bardzo dobrze przygotowana. I mam latarkę, żeby nadawać sygnał SOS.

— Przestań się wygłupiać, nie będziesz musiała nadawać żadnego sygnału. Schodź szybkim krokiem, nie zwalniasz, pamiętaj. Tyko nie zejdziesz ze szlaku. Zaraz się spotkamy.

Rozłączył się, a ja sięgnęłam do plecaka po czekoladę i zachciało mi się płakać z zimna. I może też trochę ze zmęczenia. Oraz strachu.

Posłuchałam Wojtka pod każdym względem. Po pierwsze, wtrząchnęłam całą czekoladę. Po drugie, szłam szybko i nie zatrzymywałam się ani nie zboczyłam ze szlaku, choć straszliwie chciało mi się w krzaczkę, ponieważ jak by nie patrzeć, najadłam się sporo śniegu. Wolałam jednak nasikać w spodnie, niż minąć się z moim wybawcą.

Robiło się coraz ciemniej. Mgła wprawdzie podniosła się nieco i teraz już nie miałam wątpliwości, że znajduję się w górach, ale za to zbocze, po którym niemal zbiegałam w dół, wydawało się jakies trupio sine. Byłam zupełnie sama na szlaku i ta samotność wobec surowej, potężnej natury sprawiła, że czułam się jak nic nieznaczący pyłek. Zapraagnęłam znaleźć się daleko stąd, w malutkim mieszkanku

o tekturowych ścianach. Najpierw oczywiście skorzystałabym z toalety. Potem mama przyniosłaby mi kubek herbaty z cytryną i potrajkotała trochę o facetach, makijażu i ciuchach. Benio opowiedziałby jakiś sprośny kawał. W telewizji leciałby idiotyczny serial, a ja próbowałabym poczytać w swoim pokoju, wygodnie ułożona na wąskim tapczanie z wgłębieniem w kształcie mojego ciała. Byłoby cudownie. Najcudowniej na świecie.

Kiedy w końcu spotkaliśmy się z Wojtkiem na szlaku, zdążyło się zrobić zupełnie ciemno.

— Cicho, już cicho — powiedział tylko, bo na jego widok rozkleiłam się zupełnie.

A potem wziął mnie za rękę i sprowadził na dół, do schroniska na hali Ornak. Podczas gdy ja z poczuciem absolutnego szczęścia korzystałam z toalety, Wojtek zamówił dla mnie talerz zupy, szarlotkę i herbatę z rumem. Zjadłam, wypiłam i uznałam, że będę żyć. Potem musieliśmy jeszcze dobre dwie godziny maszerować do wylotu doliny, ale to już nie było takie straszne, bo po pierwsze, nie byłam sama, a po drugie — pod wpływem zmęczenia (i uwolnionych emocji oraz rumu w herbacie) dostałam okropnej głupawki i śmiałam się ze wszystkiego, nawet z bólu pozdzieranych do krwi pięt (nie pomogło nawet to, że Wojtek nakleił mi nowe plastry — mokre skarpetki sprawiły, że od razu się odklejały).

— Mam straszne wyrzuty sumienia — powiedział mój towarzysz, kiedy wreszcie dotarliśmy do chałupy pana Jędrzeja. — Jeśli zniechęciłem cię do gór, to chyba strzelę sobie w łeb.

— Nie strzelaj, błagam — odparłam sennie. — Jestem tak nieziemsko zmęczona, że nie miałabym siły wezwać pogotowia. Za chwilę wskoczę do łóżka i poczuję się najszczęśliwszą istotą na tym pięknym świecie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się tak czułam i czy w ogóle kiedykolwiek mi się to zdarzyło. A nie, przepraszam, już pamiętam. Dzisiaj, kiedy wreszcie poszłam siusiu w tym schronisku. Widzisz? Czyli dwa razy w ciągu jednego dnia udało mi się przeżyć niebiańskie szczęście, i to dzięki tobie.

Po powrocie przekonaliśmy się, że podczas naszej nieobecności ostatni pokój został zajęty przez sympatyczną, nieco hipisową parę studentów. Wychylili się, rozczochrani jak nieboskie stworzenia, aby się z nami przywitać, po czym schowali się ponownie. Z odgłosów, jakie dobiegały z ich pokoju, wywnioskowałam, że nie przyjechali tu chodzić po górach, lecz bzykać się długo i bez zahamowań.

Gdy już prawie zasypiałam, zwinięta w ciasną kulkę, rozległo się pukanie do drzwi. Nie protestowałam, chociaż nie miałam już najmniejszej ochoty na rozmowę, herbatę ani w ogóle na nic. Chciałam jedynie spać. Na szczęście Wojtek tylko przyniósł mi gorącą wodę w płaskiej flaszce po wódce.

— Termofor retro — wyjaśnił. — Na szczęście pan Jędrzej ma sporo

butelek.

Następnie wsunął to źródło boskiego ciepła pod kołdrę, gdzie znajdowały się moje zamienione w bryłki lodu stopy. Usiadł na brzeжку łóżka i szepnął:

— Na to schronisko mówi się zwyczajowo Ornak, wiesz? Nigdy w życiu bym ci nie polecał wyjścia w góry przy takiej pogodzie. Przepraszam.

— Ale przynajmniej zdobyłam szczyt. Cztery szczyty — zamruczałam.

Nawet jeżeli Kornecki coś mi na to odpowiedział, nie słyszałam go, ponieważ zasnęłam z cudownym poczuciem, że najgorsze już poza mną i od teraz zawsze będzie dobrze.

Spałam jak suseł — nie mam pojęcia, ile godzin, ale z pewnością pobiłam własny rekord życiowy. Obudziło mnie trzaskanie garnków w kuchni turystycznej, a potem odgłos zamykania drzwi. A zatem Wojtek wybrał się w góry.

Co do mnie, opadłam z sił. Chyba pierwszy raz w życiu czułam się tak słaba. Chyba tylko porządna dawka kalorii mogła postawić mnie na nogi. Spakowałam więc plecak i ubrałam się, ze zdumieniem stwierdzając, że ktoś — oczywiście dobrze znałam tego „ktosia” — wypchał moje buty gazetami i postawił na kaloryferze w łazience, dzięki czemu wyschły.

Najpierw pojechałam do Zakopanego i pochłonęłam omlet z bitą śmietaną i jagodami. Od razu poczułam się lepiej. Następnie wytrąbiłam dwie kawy w dwóch różnych kawiarniach, aby sobie porównać. Niestety, nie byłam w stanie wybrać lepszej, bo obie były do luzu. W związku z tym zamówiłam jeszcze herbatę i pograżyłam się w analizowaniu mapy oraz przewodnika. Na koniec poszłam do Biedronki, uzupełniłam zapasy słodczy i postanowiłam podjąć decyzję w sprawie wyboru trasy na dziś.

Miałam trzy pomysły. Jeden to sztandarowe, niemal obowiązkowe Morskie Oko, którego nigdy dotąd nie widziałam — chyba jako jedyna Polka na całym świecie. Nie miałam pojęcia, jakim cudem żadna z moich szkolnych wycieczek nie była wycieczką do Zakopanego. Teraz miałam okazję to zmienić, zniechęcał mnie jednak opis w przewodniku, z którego wynikało niezbicie, że musiałabym tuptać drogą asfaltową przez kilka godzin. Nie brałam pod uwagę przejażdżki bryczką; nie zniosłabym chyba pogardy we wzroku Wojtka, gdyby się o tym dowiedział. Poza tym, chociaż nigdy nie interesowałam się zwierzętami i nie pragnęłam żadnego mieć, czułam jednak coś na kształt sympatii i współczucia dla koni. Niech sobie taki góral, myślałam, zarabia na wożeniu turystów, okej. Niech weźmie turystę na grzbiet i jazda! Ewentualnie niech zainwestuje w riksę. Ale koń? Biedna szkapina się namęczy, a nie zarobi nic. Ot, tyle co owsa w brudnym worku uwiązanym u szyi.

Drugą propozycję trasy stanowiła wędrowka do Rusinowej Polany, z której autor przewodnika obiecywał magiczne, nieziemskie wręcz widoki. Ponieważ jednak pamiętałam, jakie widoki obiecywano mi ujrzeć z Ornaku, a jakie ujrzałam w rzeczywistości — uznałam, że przy niepewnej pogodzie lepiej sobie ową Rusinową Polanę odpuścić.

Wreszcie pomysł numer trzy — Hala Gąsienicowa. Wyczytałam z mapy, że mogłabym na nią dotrzeć okrężną drogą — pojechać kolejką linową na Kasprowy Wierch (aż mi się chciało zapiszczeć z ekscytacji!), potem zejść do schroniska zwanego Murowańcem i (zjadłszy zupę) wrócić do punktu wyjścia, to znaczy do

stacji kolejki linowej. Do wyboru były dwa szlaki: niebieski i żółty. Lektura wstępu do przewodnika uświadomiła mi, że kolory te nie mają nic wspólnego ze stopniem trudności i nawet gdyby jeden z nich był czarny, to wbrew temu, o czym byłam zawsze przekonana, nie oznaczałoby to, iż trasa jest trudna i mordercza.

Ponieważ nie było ryzyka, że Wojtek Kornecki mnie zobaczy i prychnie z pogardą, do stacji kolejki linowej podjechałam taksówką. Co mi tam! Wysiadłam, poprawiłam plecak i podekscytowana do granic możliwości ruszyłam pod górkę, by kupić sobie bilet na Kasprowy.

Cóż. Cóż, cóż. Ekscytacja ma to do siebie, że im jest większa, z tym głośniejszym hukiem pęka, kiedy ktoś lub coś przekłuje ten emocjonalny balonik. I moja też narobiła hałasu. Okazało się bowiem, że stojąc w kolejce do kasy biletowej, zdążyłabym zapuścić włosy albo wyhodować długie paznokcie u nóg. Absolutnie nie było mnie stać na takie bohaterstwo.

Postanowiłam więc pójść jednym ze szlaków, które przedtem znalazłam na mapie i którymi zamierzałam wracać. Żółty czy niebieski? Oba drogowskazy podawały identyczny czas przejścia — półtorej godziny, co oznaczało, że zajmie mi to nie mniej niż trzy godziny. Wreszcie zdałam się na los, rzuciłam monetą i wypadło na żółty. Przez Jaworzynkę.

Trasa była ładna i początkowo bardzo łatwa. Nie przeżyłam takiego zachwytu jak poprzedniego dnia, ale cieszyłam się wędrówką i udawało mi się ignorować pobołowanie w okolicach pięt. Wprawdzie potem, kiedy skończył się równy odcinek ścieżki i zaczęło się podejście, przyszło mi do głowy, że jestem nienormalna, skoro wczorajszy dzień niczego mnie nie nauczył — a jednak brnęłam dalej pod górę, sapiąc niczym miech kowalski.

Tego dnia spotykałam wielu turystów, z czego wywnios-kowałam, że znalazłam się w miejscu popularnym i chętnie odwiedzanym. Nie miałam jedynie pojęcia, dlaczego nadal niemal wszyscy witali się ze mną jak ze starą znajomą. Najwyraźniej byłam do kogoś szalenie podobna. Najpierw sądziłam, że może przypominam jakąś celebrytkę, kogoś powszechnie lubianego albo przynajmniej znanego. Po namyśle jednak uznałam, że do celebrytki nikt nie dyszałby z uśmiechem „Cześć” na górskim szlaku, raczej proszono by ją o autograf.

Mgła rozwiała się, kłaczki chmur unosiły się ku niebu, by po chwili gdzieś zniknąć, a nade mną rozpostarł się głęboki błękit. Kiedy podejście wreszcie się skończyło, doznałam objawienia. Uczucie zauroczenia górami, znane mi już z podróży zakopianką, a potem z dna Doliny Kościeliskiej, wydało mi się nagle czymś banalnym i trywialnym. W tej chwili przeżywałam prawdziwą, najprawdziwszą miłość. Widok, który ukazał się moim oczom, gdy stanęłam na przełęczy między niewielkimi wzgórzami, a u moich stóp rozpostarła się dolina, której nazwy nie znałam... po prostu rzucił mnie na kolana. Dosłownie. I nie podniósł mnie z tych kolan nawet fakt, że bardzo szybko zrobiło mi się mokro i

zimno.

Nad doliną wznosiły się surowe, postrzępione szczyty. Drżącymi rękami rozwinęłam mapę i usiłowałam odgadnąć nazwy tych kolosów. Kasprowy Wierch — to łatwe, rozpoznałam go po prostokątku stacji kolejki linowej. Następne szczyty musiały być kolejno Świnicą (fuj! Co za głupek nazwał tak tę cudną górę!) i Kościelcem, a gdzieś dalej musiał znajdować się Kozi Wierch i Granaty... Nie umiałam przypisać kolejnych nazw do mniej lub bardziej strzelistych szczytów, ale w owej chwili było mi wszystko jedno. Kochałam na zabój. Poznałam magię gór. Podejrzywałam, że znaleźć się tam, na jednym z tych wierzchołków, to musi być przeżycie metafizyczne, mistyczne i... zabrakło mi przymiotników. Paranormalne albo coś w tym rodzaju. Wcale bym się nie bała — tak to czułam w owej chwili. Tam, na górze, nie było burz, nie było piorunów, nie było w ogóle ziemskich spraw. Tam, na górze, był raj i błogostan.

Tymczasem jednak znajdowałam się raczej na dole. Zeszłam jeszcze niżej, do schroniska o nazwie Murowaniec, gdzie zjadłam talerz ogórkowej i wielką porcję ziemniaków z kotлетem o zapachu bardzo nieświeżych frytek. Potem wyszłam na kamienną werandę i siedziałam na murku, majtając nogami i gapiąc się w zachwycie na zapierający dech w piersiach grzebień szczytów. Słońce paliło mi policzki i czoło, ale nie zwracałam na to uwagi, po prostu chłonełam w siebie jego ciepło i urodę tego miejsca. O pójściu w góry nawet nie myślałam: po pierwsze, pamiętałam słowa Wojtka, że o tej porze roku byłaby to głupota; po drugie zaś moje zdarte do krwi pięty odmówiły dalszej wędrówki.

Zadzwoiłam do Agaty, żeby jej powiedzieć, że się zakochałam (w Tatrach), potem do mamy, aby uspokoić ją, że jestem szczęśliwa (z Krzyśkiem), następnie do Krzyśka, by mu przypomnieć, że teoretycznie jest ze mną w górach, a na koniec do Rafała, by zapytać, czy w domu wszystko w porządku. Powiedział, że owszem, posprzątał garaż i ogarnął trochę w kotłowni, zmniejszył też temperaturę na piecu centralnego ogrzewania, bo było ustawione na piętnaście stopni, a on uznał, że dziesięć wystarczy, bo przecież nie mam akwarium ani żadnych roślin doniczkowych. Podwyższy się w sylwestra, żeby dom nagrzał się do mojego powrotu. Podziękowałam mu, poinformowałam, że lada dzień przyjdzie paczka z moimi ubraniami, po czym pożegnałam się i złożyłam życzenia dobrych świąt. Kazałam mu uściskać z całych sił Kornelkę i rodziców. Potem, uspokojona, że załatwiłam wszystkie sprawy poza paskudnym problemem Łukasza Maczka (na rozwiązanie którego jednakowoż chwilowo nie miałam pomysłu), wróciłam do opalania. Dopiero po kilku godzinach, kiedy słońce schowało się za szczytami, a mnie zrobiło się zimno, zdecydowałam, że pora wracać. Wprawdzie pierwsze kroki przyniosły mi uczucie porównywalne do skrobania pięt na tarce jarzynowej, lecz na szczęście ten koszmarny ból dość szybko ustąpił.

Tym razem wybrałam szlak niebieski, który zresztą początkowo wiódł tą

samą drogą, którą tu przyszedłam. Nogi ugięły mi się ze zmęczenia, a w kościach czułam dziwne łamanie. Wreszcie dotarłam do Kuźnic. Nie bacząc na ewentualne pogardliwe prychnięcia Wojtka, wzięłam taksówkę i kazałam się zawieźć do Kościeliska. Czułam się coraz gorzej. Dygotałam, twarz mnie paliła, jakby wypromieniowywała całe ciepło i blask słoneczny, jaki tego dnia zaabsorbowałam. Ale przede wszystkim bolały mnie mięśnie i stawy. Uświadomiłam sobie, że następnego dnia jest Wigilia. Trzeba będzie zrobić jakieś większe zakupy spożywcze, pomyślałam, kiedy udało mi się dokonać pobieżnych ablucji w letniej wodzie i wskoczyłam pod kołdrę. Studenci stękali i pojękiwali rozkosznie w swoim pokoju, a Wojtek znów trząsał garnkami w kuchni, ale nie byłam ani ciekawa, co gotuje, ani głodna, ani nawet zainteresowana rozmową. Chciałam tylko spać.

A miało być tak pięknie. W każdym razie tak mówi tekst piosenki, która nie wiadomo dlaczego — zamiast jakiejś przyzwoitej kolędy — przyplątała mi się w ten wigilijny poranek. Miało być tak: pośpię znacznie dłużej niż moje trzy godziny, bo przecież mam za sobą i emocje, i ogromne zmęczenie; wstanę, przeciągnę się, umyję w letniej wodzie, pojadę na kawę i zakupy w Zakopanem, potem przywiozę owe zakupy do Kościeliska i udam się spacerkiem do którejś z niewielkich dolinek, na przykład do Strążysk, by zobaczyć wodospad Siklawica (poprzedniego dnia na werandzie Murowańca postudiowałam trochę mapę).

Rzeczywistość wyglądała nieco inaczej. Wprawdzie spałam całe pięć godzin, ale obudziłam się spuchnięta, ze spieczonymi policzkami. Usta pulsowały mi w rytmie bicia serca, a kiedy ich dotknęłam, okazało się, że są nabrzmiałe i wypełnione płynem. Dostałam opryszczki wszech czasów. Do tego najprawdopodobniej miałam gorączkę, bo było mi na przemian gorąco i zimno, okropnie łamało mnie w kościach i czułam ból dosłownie wszędzie. Bolała mnie nawet skóra. Ale najbardziej, najstraszniej i najobrzydliwiej bolało mnie gardło.

Z trudem wstałam i wykonałam konieczne czynności w łazience. Następnie, aby przynieść sobie ulgę w cierpieniu, postanowiłam zagrzać wodę i wypić jej trochę, udając, że to herbata. Na ból gardła zawsze najbardziej pomagała mi gorąca herbata. Niestety, nie przewidziałam, że odgłos nalewania wody oraz szcęk czajnika obudzą Wojtka Korneckiego.

— Chryste Panie! — zawołał na mój widok, po czym dodał bardziej, że tak powiem, nowocześnie: — Ja pierdziele! Co ci się stało?!

Chciałam odpowiedzieć, że nic takiego, to tylko opryszczka, wirus cholerny... Ale nie byłam w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. To znaczy, mam na myśli dźwięki mowy ludzkiej. Czyli głoski. Bo inne dźwięki, i owszem, wydawałam. A konkretnie charczenie i chrypienie. Na szczęście w porę zorientowałam się, że nie brzmi to szczególnie kobieco, i zwyczajnie postanowiłam milczeć.

— Jesteś chora? — zapytał Wojtek. — Jasna cholera, jesteś! Chyba trzeba do lekarza.

Pokręciłam głową. Jak świat światem, z żadną opryszczką jeszcze nie byłam u lekarza. Co najwyżej w aptece. Inna sprawa, że w życiu nie miałam opryszczki aż takich rozmiarów.

— Maść — wychrypiałam (pał diabli, czy brzmiało to kobieco, czy nie; ważne, że choć trochę było mnie słychać). — Trzeba kupić maść.

— Co takiego?

Nie miałam siły powtórzyć, było mi słabo, a krtań bolała mnie tak, jakby

ktoś powycierał ją od środka suchą szmatką albo nawet przeszlifował papierem ściernym. Wróciłam do pokoju, bo bałam się, że upadnę. Wyobraziłam sobie, jaką by to wzbudziło panikę u Korneckiego, i litościwie postanowiłam mu tego oszczędzić. Okazało się jednak, że poszedł za mną i przyglądał się, jak zwijam się w kłębuszek pod kołdrą.

— Rany koguta, Iga! — westchnął. — Naprawdę się zaprawiłaś. Ale to nie jest żadne uczulenie? Nie jadłaś nic takiego... alergizującego?

— Nie. — To słowo wyszło mi nawet nieźle.

— Okej. Teraz powtórz, co przedtem mówiłaś, bo nie zrozumiałem.

— Maść — powtórzyłam. — Na usta. Maść.

— Dobra, chyba chwytam. Maść?

— Tak.

— Na co ta maść?

— Na gębę.

— Na dęby?

— Na gębę. Usta.

— Aha. Ustal. Co mam ustalić?

— Usta! Wargi! Gęba!

— Aaa, rozumiem, na te spuchnięte usta?

— Tak.

— A poza tym wszystko dobrze?

— Nie. Gorączka. Chyba.

— Masz gorączkę?

— Chyba — powtórzyłam.

Braterskim gestem położył mi dłoń na czole. Była lodowata.

— Jesteś rozpalona — ocenił. — Podjadę do apteki, zobaczę, co mi powiedzą. Najwyżej przywiozę ci tutaj lekarza.

Machnęłam tylko ręką. Wojtek przyniósł mi herbaty z czymś cudownie słodkim, w czym — o niebiosa! — rozpoznałam smak konfitury malinowej, będący dla mojego biednego gardła niczym nektar albo inna ambrozja, po czym pojechał do Zakopanego.

Musiałam się zdrzemnąć, ponieważ wydawało mi się, że nie ma go najwyżej pięć minut. Jeśli pukał, to moje przytępione zmysły nie zarejestrowały tego faktu; wydawało mi się, że wtargnął do mojego pokoiku jak tajfun, z rumianymi policzkami i wiatrem we włosach, w zawadiacko rozpiętej kurtce, triumfalnie dzierżąc w dłoni maleńką różową reklamówkę. Chociaż może zamiast słowa „tajfun” powinnam w tych okolicznościach przyrody użyć raczej określenia „halny”.

Tak czy owak, najpierw poinformował mnie, co powiedziała pani farmaceutka. Że po pierwsze, bardzo dużo pić. Według niej po porządnym

przemarzeniu oraz zmęczeniu (tamtego dnia na Ornaku) oraz dodatkowo po olbrzymiej dawce zwielokrotnionego (bo odbitego przez śnieg) światła słonecznego mogę cierpieć z powodu: a) poparzenia twarzy, b) opryszczki (tyle to ja sama wiedziałam), a ponadto c) osłabienia oraz wynikającego z niego d) ataku jakiegoś wirusa przebrzydłego — i stąd podwyższona temperatura oraz utrata głosu.

— Kazała cię najpierw nakarmić czymś w miarę lekkostrawnym, a potem napić. Następnie masz zażyć ibuprofen, bo nie tylko obniży temperaturę, ale też podziała przeciwzapalnie. No i tu masz coś do ssania, ale to dopiero na koniec. Co byś zjadła?

— Ja nic nie mam.

— Co takiego?

— Nic nie mam — powtórzyłam, nie bacząc na to, że z mojej obolałej krtani wydobywał się tylko syk. — Miałam zamiar dzisiaj zrobić zakupy.

Wojtek przyglądał mi się przez chwilę, po czym zdezerterował do swojego pokoju. Nie bardzo wiedziałam, co takiego powiedziałam, że zwiął. Ciężko wzdychając, usiadłam na łóżku z zamiarem pójścia do kuchni i popicia ibuprofenu kranówką.

— Leż, bo jesteś blada i woskowa jak śmierć! — zawołał Kornecki, który tymczasem wrócił z gazetą i długopisem. — Mam gdzieś notes, ale nie mogę teraz znaleźć, napisz mi tutaj na tym skrawku. Co mam kupić i ile. Bo jak ty charczysz, to ja nic nie rozumiem, a w dodatku się boję, że zsiniejesz i się udusisz.

— Nie trzeba — usiłowałam powiedzieć, ale on wiedział swoje.

— Nie wiadomo, kiedy będziesz na chodzie, może cię trzymać parę dni, a przecież jeść musisz. Ja mam tylko żarcie turystyczne, mięcho w słoikach, zupki chińskie, takie tam paskudztwa.

Na myśl o zupkach chińskich zaświeciły mi się oczy. Byłam bowiem wielką entuzjastką jednej z nich. W owej chwili błogosławiłam utratę głosu, ponieważ gdybym mogła mówić, wstydziłabym się własnej ignorancji. Kłopot z ową zupką polegał mianowicie na tym, że nie potrafiłam wymówić jej nazwy. A nazwa ta brzmiała: pho. Tak po prostu. Pho. I teraz: czy to się wymawia *pho*? Czy może bardziej z łaćńska: *fo*? Ale właściwie dlaczego miałoby być z łaćńska? Chiny, Wietnam i w ogóle te rejony pozostawały chyba poza zasięgiem kultury śródziemnomorskiej, prawda? Więc chyba jednak pho.

Z niekłamaną ulgą napisałam Wojtkowi na rogu gazety: zupka chińska PHO w dowolnej ilości, byle dużo. Ponadto: herbata, cytryna, kawa mielona, kabanosy, pstrąg wędzony z Biedronki, serki wiejskie (takie granulowane), jogurty naturalne, śledzie matias w oleju na plastikowej tacce, cztery bułki grahamki (do śledzi), a na koniec duuuużo mandarynek i bananów.

— To ma być menu wigilijne? — zapytał Wojtek ze zdumieniem.

Spojrzałam na niego z powątpiewaniem. Nie byłam pewna, czy wciąż jeszcze zależy mi na robieniu dobrego wrażenia. Bo przecież właściwie skreśliłam Maćka jako kandydata do podbojów miłosnych. Nie musiałam więc już niczego udawać, grać żadnej roli przed jego bratem. Mogłam być sobą.

— Tak — wychrypiałam. — Mnie nic więcej do szczęścia nie trzeba.

— Ale nie lubisz czy nie masz siły? — dopytywał się Kornecki, wyraźnie zaniepokojony moim stanem psychicznym.

— Siły — odparłam, bo po pierwsze, łatwo było to wysyczyć nawet przy obrzęku krtani, a po drugie, była to prawda.

Nie mogłabym powiedzieć, że nie lubię. Byłoby to straszne kłamstwo. Bo takie na przykład uszka w barszczu w wykonaniu mojej mamy to ósmy cud świata. Zresztą sama robiłam też niezłe pierogi z kapustą. Potrafiłam także upiec wspaniałe keks i makowiec z masą kawową, ponadto miałam przepis na doskonałą sałatkę z buraczków i śledzi, taką warstwową, z zieloną częścią pora na wierzchu. Gdybym powiedziała, że tego nie lubię, mógłby mnie trzasnąć piorun z jasnego nieba, bo byłaby to po prostu czysta herezja.

— No dobrze — powiedział z ociąganiem Wojtek. — Kupię ci to, co chcesz. Ale najpierw, wiesz co? Zaparzę ci herbaty i zrobię kanapkę. Żebyś mogła połknąć lekarstwo. Jesz kanapki?

Prychnęłam.

— Ja wszystko jem.

Diabli wiedzą, czy mnie zrozumiał, w każdym razie wyszedł, a kiedy wrócił, niósł w jednej ręce kubek z herbatą, a w drugiej talerzyk, na którym spoczywał kawałek chleba z żółtym serem.

— Lubisz z dziurami? — upewnił się, ale nie musiałam odpowiadać, ponieważ na widok mojej miny dodał od razu: — Lubisz. No, to zjedz i wypij. A potem lekarstwa.

Położył mi na poduszce tabletki, pastylki do ssania i maść na opryszczkę, potem kiwnął się dziwnie w moją stronę, zupełnie jakby chciał mnie pogłaskać albo przynajmniej poklepać, a na koniec wyszedł.

Kiedy zostałam sama, zjadłam połowę kanapki, po czym mnie zemdliło. Mój żołądek skurczył się do rozmiarów orzecha włoskiego. Było to dziwne, zważywszy na moje normalne możliwości w dziedzinie jedzenia. Obawiając się sensacji żołądkowych, jeśli uprę się jeść dalej, postanowiłam zaprzestać pochłaniania kanapki, popić tabletki herbatą, po czym zażyłam pastylkę do ssania, a usta wysmarowałam grubo maścią. Bardzo się starałam nie spać, ponieważ obawiałam się, że pastylka do ssania zaklei mi gardło i zwyczajnie się uduszę, nie udało mi się jednak wymknąć z objęć Orfeusza, Perseusza czy też Morfeusza. Jak zwał, tak zwał — dość, że zasnęłam.

Jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: to były najdziwniejsze święta w moim życiu. Nie umiałabym określić, czy lepsze, czy gorsze niż zwykle, lecz z całą pewnością nieprzeciętne.

Wigilię właściwie spędziłam w półśnie. Wojtek przywiózł mi zakupy, poustawiał na parapecie, bo tam było najchłodniej, zostawił herbatę w termosie oraz tabletki przeciwgorączkowe w zasięgu ręki, żebym nie musiała wstawać (i tak musiałam, bo przecież pampersa mi nie założył), po czym ulotnił się w góry. Wprawdzie zapytał, czy wolałabym, aby został, ale stanowczo zaprzeczyłam.

— Daj spokój — wychrypiałam. — Umawialiśmy się przecież: żadnego wchodzenia sobie w drogę.

— Ale ty jesteś chora.

— Widać, że nie znasz się na kobietach — odparłam wyniośle. — Kobiety nie lubią, kiedy się je widzi brzydkie, bez makijażu, potargane i spocone od gorączki, a w dodatku ubrane na cebulę.

— No tak. Rozumiem.

I poszedł. Z tego, co mówił o planach na ten dzień, zapamiętałam tylko coś o gęsiej szyi, ale chyba nie chodziło mu o to, że zamierza upolować jakąś gąskę na obiad. Przecież była Wigilia, dzień postny, to po pierwsze, a po drugie, w kuchni turystycznej pana Jędrzeja nie było piekarnika ani nawet wystarczająco dużego garnka, aby przyrządzić gęsinę. Przez chwilę rozważałam, czy nie mógł to być komplement, może Wojtek powiedział mi na przykład, że mam szyję smukłą niczym gęś? Przy moim zamroczeniu spowodowanym gorączką mogłam go zwyczajnie nie zrozumieć. Po namyśle jednak uznałam, że takiej opcji nie ma — byłam zakutana we wszystkie ubrania, jakie się na mnie zmieściły, miałam na sobie bluzę w reniferki, a szyję wciskałam w ramiona, aby zatrzymać trochę ciepła. Nikt, absolutnie nikt nie powiedziałby mi tego dnia, że mam smukłą szyję. Ani w ogóle żadnego komplementu — może poza takim jakimś medycznym, na przykład że wyhodowałam absolutnie niesamowitą opryszczkę.

Zdrzemnęłam się trochę, a po przebudzeniu poczułam się nieco lepiej. Na wszelki wypadek zażyłam jeszcze dwie tabletki, possałam pastylkę, nałożyłam na obrzmiałe usta kolejną warstwę maści, po czym wzięłam się za lekturę przewodnika, ponieważ postanowiłam sobie, że gdy tylko wyzdrowieję, natychmiast wrócę do górskich wędrówek. Panu Jędrzejowi już pierwszego dnia zapłaciłam za pobyt do drugiego stycznia, chciałam więc wykorzystać czas co do sekundy. Jako się rzekło, zdążyłam się zakochać w Tatrach i żałowałam tylko, że jest zima, ten cholerny śnieg jest taki mokry, a nieprzemakalne buty rzeczywiście — jak twierdził pan w Alpinusie — nie istnieją.

Wojtek wrócił pod wieczór, kiedy jadłam właśnie aromatyczną, cudowną zupkę pho, dygocąc w środku, bo chyba znowu rosła mi temperatura. Dłonie miałam lodowate, ujęłam więc miseczkę z zupą w obie ręce i chleptałam niczym piesek. Zapewne wyglądałam żałośnie, nie zważałam jednak na to, ponieważ ciepło, które przenikało przez ścianki naczyń w moje palce, przynosiło mi cudowną ulgę.

— Oj, Iga, chyba powinienem wezwać lekarza — powiedział Wojtek, patrząc na mnie z niepokojem.

— Daj spokój.

— Ale ty wyglądasz coraz gorzej.

— Dzięki.

Wypiłam do końca gorący płyn, resztką siły woli powstrzymując się od wybrania palcami drobinek makaronu ryżowego z dna miseczki.

— Wesółych świąt — powiedział jeszcze Wojtek, a potem ulotnił się, zostawiając mnie samą z niesamowitym wrażeniem, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

Zapadał zmrok, gdzieś tam na niebie zapewne migotała już pierwsza gwiazda. Dziwnie było pomyśleć, że w tej chwili niemal cała Polska zasiada do stołów uginających się od potraw wigilijnych. Że ludzie łamią się opłatkiem, piją kompot z suszonych owoców i wyławiają uszka z parującego barszczu z majerankiem. Po raz pierwszy znalazłam się na zewnątrz całej tej dekoracji i ze zdumieniem odkryłam, że wcale nie było mi smutno. Gdybym została w Domu Nad Rzeką, pewnie czułabym się bardzo samotna; nie wytrzymałabym, pojechała do mamy, wymyśliła jakąś bajeczkę, dlaczego nie mogę spędzić tego wieczoru z Krzysiem... Tyle że wcale nie poczułabym się szczęśliwa, bo przecież takich Wigilii było w moim życiu już bardzo wiele — i wszystkie one tylko na chwilę zabijały poczucie pustki.

Nie zdążyłam odpowiedzieć sobie na pytanie, co w takim razie zabiłoby ową pustkę na dłużej, a może nawet na dobre — bo rozległo się pukanie do drzwi i moim oczom ukazała się blond głowa Wojtka Korneckiego.

— Zrobiłem barszczyk, taki błyskawiczny — powiedział jakoś wstydliwie. — A ty masz śledzie i bułki, więc pomyślałem sobie, że to niezła kolacja wigilijna. Mogę wejść?

Wzruszyłam się trochę, dlatego udałam, że drapie mnie w gardle, pokaszlałam, potem wysmarkałam się z fasonem i wreszcie zaprosiłam go szerokim gestem. Podał mi kubek z barszczykiem, który zalatywał trochę plastikiem, a następnie rozkrojoną bułkę wypchaną śledziami.

— Wesółych świąt — powiedział po raz drugi tego dnia, siadając na podłodze obok mojego łóżka.

Widziałam teraz tył jego głowy, z włosami przygniecionymi od czapki.

Utworzył się tam śmieszny wicherek. Miałam ochotę rozprostować go palcem, ale oczywiście nie zrobiłam tego.

— Wesołych świąt — odparłam. — Dziękuję.

— Za co?

— Za barszcz i śledzia, za zakupy, za zupkę chińską. Za to, że powiedziałaś mi o Tatrach. Bo wiesz? Ja się w nich chyba zakochałam — wychrypiałam zanikającym głosem.

Nie mam pojęcia, ile z tego zrozumiał, w każdym razie wsłuchiwał się w moje chrypienie bardzo uważnie. Potem przez jakiś czas nic nie mówił, a kiedy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał jakoś szorstko, jakby teraz on walczył ze wzruszeniem.

— Tamara, moja żona... Ona nie znosiła zimy. Co tydzień chodziła do solarium, żeby jej było cieplej. Tak mówiła.

Milczałam. Niby co miałabym powiedzieć?

— Kiedy zbliżały się święta — ciągnął — zaczynała mnie namawiać na wyjazd. Wiesz, w jakieś egzotyczne miejsca. Raz Majorka, innym razem Bermudy.

Westchnęłam. Ciężko i ponuro. Do niedawna te nazwy pozostawały dla mnie niedostępne, zupełnie jakby nie istniały naprawdę, a jedynie w baśniach o królewnach w bikini. Gdyby nie głupi piorun i jego skutek w postaci panicznego lęku przed samolotami, pewnie teraz takie miejsca miałabym w zasięgu ręki. Może już w tej chwili, przysmażona jak frytka, pławiłabym się w ciepłku na złotym piasku u wybrzeża jakiejś Australii czy innej Nowej Zelandii. Chociaż nie, tam pewnie są rekiny. A taki rekin to jest pod pewnymi względami nawet gorszy niż piorun.

— Właściwie nawet nie było mi specjalnie żal. W domu nigdy nie spędzaliśmy świąt w jakiś fajny sposób. Wychowałem się bez matki, pewnie wiesz. A zresztą może nie wiesz. Niby mieszkaliśmy tak blisko siebie, ale przecież ja też wiedziałem o tobie jedynie tyle, że sporo czytasz, no i o tym piorunie.

— Skąd?

— Co skąd?

— Skąd wiedziałeś, że dużo czytam?

— Daj spokój. Jak człowiek spotyka w windzie dziewczynę, która nigdy nie ma reklamówek z nazwami firm odzieżowych, tylko z logo Empiku albo Matrasa, to sama rozumiesz...

Milczałam. Nie byłam pewna, czy bardziej mi przyjemnie, czy przykro. Przykro, bo musiał sobie myśleć: nie dba o siebie, ubiera się byle jak. Przyjemnie, ponieważ zauważył moją miłość do książek. A tej miłości nie musiałam się wstydzić.

— No więc dorastaliśmy bez matki, a tata jakoś nie umiał albo nie chciał... Wiesz, wszystkie te dyrdymały, sianko pod obrusem, choinka i te sprawy.

Wszystko to znaleźliśmy z Maćkiem jedynie z telewizji.

Odruchowo nadstawiłam uszu, gdy padło imię Maćka.

— A wasze dziewczyny? — zapytałam. — One nie mogły wprowadzić trochę atmosfery?

— Tamara, już ci mówiłem, nie miała takich ciągót. A dziewczyny Maćka, no cóż, może były za młode, może za głupie. On sobie wybiera takie lalunie, wiesz, ten typ w kusych spódniczkach, obcisła bluzeczka, dekolt do pasa i paznokcie na pięć centymetrów. Trudno zrobić pierogi, jak się ma takie szpony.

— Dużo ich było? — wykaszlałam.

— Paznokci?!

Parsknęłam wariackim śmiechem. Wojtek odwrócił się i przez chwilę przyglądał mi się z konsternacją, a kiedy zrozumiał, że pytałam o dziewczyny, także zaczął się śmiać. Chichraliśmy się tak dobre kilka minut, a ilekroć jedno z nas przestawało, drugie zaczynało od nowa. Myśl o tym, że Wojtek mógłby spodziewać się, że mam wątpliwości co do liczby paznokci, zupełnie rozłożyła mnie na łopatki. Zresztą, może miałam też głupawkę spowodowaną chorobą i nadmiarem emocji.

— A ty? — zapytał, poważniejąc nagle. — Dlaczego uciekłaś przed świętami?

— Nie uciekłam.

— Daj spokój. Zwiałaś. Schowałaś się tutaj.

— To jest element mojej wielkiej tajemnicy. Mówiłam ci przecież.

— Czyli ukrywasz się przed mamą?

— Można tak powiedzieć. Dopóki nie przeprowadzę akcji „rozstanie”, muszę jeszcze trochę poudawać.

— Opowiesz mi? O tej akcji?

— Nie ma co opowiadać. Po prostu powiem mamie, że ten bogaty facet rzucił mnie w trąbę, i poudaję trochę, że bardzo cierpię.

— A dom?

— Zostawi mi jako ochłap.

— Nie gniewaj się, ale to trochę niewiarygodne.

— Wiem — stropiłam się. — Będę musiała pokombinować. Że niby on miał ciemne sprawy, a ja o nich wiedziałam i żeby mi zamknąć usta...

— Prędzej by ci je naprawdę zamknął. W sensie: ukatrupiłby cię.

— Naprawdę tak myślisz?

— No, gdyby to był facet, który ma na sumieniu ciemne sprawy...

— Ale to jest bardzo miły chłopak — zarumieniłam się nagle.

Wojtek przez chwilę patrzył na mnie z uwagą, a potem odwrócił głowę. Dopił barszcz i podniósł się z podłogi.

— No nic, idę się położyć — powiedział jakimś suchym tonem. — Jutro

wybieram się do Pięciu Stawów. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

— Nie, dzięki. I w ogóle już mi lepiej.

— To dobrze. Jeszcze raz wszystkiego dobrego.

I nie czekając na moją odpowiedź, wyszedł, zabierając mój kubek po barszczu. A ja zostałam w pustym pokoju, nie wiedząc czemu zła jak osa. Najpierw napisałam esemesy z życzeniami świątecznymi do mamy (nie mogłam zadzwonić, bo słysząc moje chrypienie, wpadłaby w panikę, że umrę z powodu utraty głosu), Agaty, Krzyśka, Rafała i pana Mietka, ale wcale mnie to nie uspokoiło. Wreszcie rozbeczałam się z tej złości i wtedy zrobiło mi się trochę lżej, w każdym razie na tyle, że zasnęłam i spałam — o niebiosa! — całe siedem godzin.

Ani w pierwszy, ani w drugi dzień świąt Wojtek nie zajrzał nawet do mojego pokoju; z kolei ja, choć bardzo się starałam, nie natknęłam się na niego w kuchni turystycznej. Czułam się znacznie lepiej, nie miałam już chyba podwyższonej temperatury, moja twarz straciła niezdrowy wygląd ugotowanego raka, a zamiast tego zbrązowiała nieco, tylko na nosie zaczęła mi się łuszczyć skóra. No i usta: nadal wypełnione płynem, swędzące, rekordowo-opryszczkowe, skutecznie zniechęcały mnie do wyściubienia nosa z domu. Z nudów przeczytałam wszystkie e-booki, jakie przed wyjazdem załadowałam do czytnika, zjadłam pozostałe siedem zupek pho, które kupił mi Wojtek, a wieczorem, gdy nie było już ryzyka, że ktokolwiek mnie zobaczy i krzyknie z przestachu na widok mojej facjaty, wybrałam się na przechadzkę po okolicy. Mimo tego dotlenienia górskim powietrzem i tak spałam jedynie trzy godziny, czyli wszystko pod tym względem wróciło — niestety — do normy.

Wreszcie następnego dnia po świątach poczułam się znakomicie i uznałam, że pora stawić czoła światu, nawet jeśli wyglądam jak ostatnia paskuda. Wprawdzie opryszczka zaczęła mi przysychać, ale w wersji z jednym wielkim strupem nie wyglądałam wcale dużo atrakcyjniej. Nic to, powiedziałam sobie. Kornecki w ogóle nie interesuje mnie jako mężczyzna, ja z kolei nie interesuję go jako kobieta. A poza nim nikt mnie tu przecież nie zna. Mogę wybrać się w góry z kołtunem na głowie, zaropiałymi oczami i malowniczym gilem u nosa, i nikomu nic do tego.

Wnikliwa analiza mapy sprawiła, że zrozumiałam, co miał na myśli Wojtek, mówiąc o Gęsiej Szyi. Był to po prostu jeden z grzbietów górskich, zachwalany przez autora przewodnika z powodu roztaczającej się z niego panoramy Tatr. Postanowiłam więc pojechać do Wierchporońca i stamtąd powędrować zielonym szlakiem. Słoneczko wyglądało co chwila zza chmur, powietrze było mroźne, śnieg nie kleił się do butów, a szlak był wydeptany. Szło się cudownie, choć odczuwałam jeszcze słabość po chorobie. Tradycyjnie wszyscy napotkani turyści witali się ze mną jak ze starą znajomą, a ja zaczynałam już rozumieć, że nie jest to kwestia

mojego podobieństwa do celebrytki ani w ogóle kwestia mojej osoby, lecz po prostu górski obyczaj. Który zresztą bardzo mi się podobał.

Dotarłam do Gęsiej Szyi, zakochałam się po raz setny w tatrzańskich widokach, a następnie — o ile zdołałam się zorientować w topografii terenu — doszłam do Równi Waksmundzkiej. Stamtąd czerwonym szlakiem, powolutku, rozkoszując się zapachem starych świerków, wróciłam w dół i po kilku godzinach, wściekle głodna i jeszcze wścieklej zadowolona z życia, znalazłam się na szosie, przy przystanku o dziwnej nazwie „Toporowa Cyrhla”. Poczekałam parę minut na autobus, po czym pojechałam do Zakopanego i odbiłam sobie ostatnie trzy dni głodowania, jedząc w restauracji dwudaniowy obiad z deserem.

Mijał mi się z Wojtkiem przez następne dni; raptem dwa razy wpadliśmy na siebie w drzwiach łazienki. Nie miałam pojęcia, co się właściwie wydarzyło, o co Kornecki mógłby mieć do mnie żal (bo wyglądał tak, jakby miał). Ponieważ jednak ja także miałam żal do niego (również nie wiedząc o co), nie szukałam jego towarzystwa. Tak było aż do sylwestra, kiedy to — zupełnie niespodziewanie — nasze ścieżki przecięły się w schronisku w Dolinie Chochołowskiej.

Wybrałam się tam, ponieważ z opisu w przewodniku wynikało, że to bardzo łatwy szlak. Ponadto zapragnęłam zobaczyć, co jest po drugiej stronie — w sensie: za tym wielkim murem, który tworzą Tatry. Do tej pory poruszałam się po niższych szlakach i wszystkie panoramy, jakie dane mi było oglądać, zamykał widok tych kolosów, które odcinały mi drogę dalej na południe. Teraz wymyśliłam, że chcę wdrapać się na jakieś wzniesienie, które pozwoli mi zajrzeć dalej, za ten — by użyć określenia Wojtka — garbaty horyzont. Mój wybór padł na górę o sympatycznej nazwie Grześ, ponieważ była stosunkowo niewielka.

Pogoda była piękna, choć na szczęście słońce nie świeciło tak ostro jak tamtego dnia na Hali Gąsienicowej. Kiedy dotarłam do schroniska położonego na końcu doliny, postanowiłam odsapnąć w nim nieco przed dalszą wędrówką i — jako że wciąż żywe były w mej pamięci wspomnienia z Ornak — skorzystać z toalety. Po załatwieniu tej drugiej, bardziej żywotnej potrzeby poszłam zamówić sobie herbatę i tam właśnie, w bufecie, spotkałam się oko w oko z wciąż naburmuszonym, jak mi się wydawało, Wojtkiem Korneckim.

— No proszę — powiedziałam. — Jak ten świat jest jednak mały.

— Prawda? — odparł uprzejmie. — A już zwłaszcza Tatry.

— Wybierasz się pod górkę czy już schodzisz?

— Pod górkę.

— To tak jak ja.

Sama nie wiem, po co to powiedziałam. Przecież wcale nie miałam ochoty na wędrówkę w jego towarzystwie.

— Ale chyba nie na Ornak?

— Nie. A nawet gdyby, to nie bój się, tym razem nie zadzwonię do ciebie po

pomoc.

— To nie ty do mnie zadzwoniłaś — burknął. — Tylko ja do ciebie.

Zamilkłam. Przez chwilę analizowałam to, co powiedział. Rzeczywiście, to on zatelefonował do mnie, gdy schodziłam z Ornaku. Nie miało to oczywiście żadnego znaczenia, zdziwiło mnie jednak, że o tym pamięta. Ja już zdążyłam zapomnieć. Czyżby o tym myślał, wspominał, analizował w myślach tamte zdarzenia? Dziwne.

— Dzisiaj idę na Grzesia — powiedziałam w końcu i zupełnie przypadkiem wyszło mi to jakoś pojednawczo.

— To tak jak ja.

— Aha.

Zapłaciłam, wzięłam herbatę i poszłam do stolika. Wojtek czekał jeszcze przez chwilę, zdaje się na żurek, po czym odebrał swoje zamówienie i zawahał się. Spojrzał na mnie, a ja odruchowo posłałam mu coś w rodzaju uśmiechu, na co on, kiwnąwszy się dziwnie (miał najwyraźniej szczególne predyspozycje do kiwania), ruszył w moją stronę.

— Ładnie pachnie ten twój żurek — powiedziałam. — Wart grzechu?

— Oj, wart. Pyszny.

Przez chwilę patrzyłam, jak je.

— I gęsty — zauważyłam, a wtedy Wojtek się zdenerwował.

— Chcesz trochę? — zapytał.

— Nie, nie — spłoszyłam się. — Zamówię sobie, jak zejde. Teraz nie chcę.

— To czemu tak patrzysz? Człowiek nie może spokojnie łyżki donieść do ust.

— Tak się robi, nie wiedziałeś? — roześmiałam się. — Jak człowiek nie wie, czy coś w barze jest smaczne, to trzeba usiąść naprzeciwko klienta, który właśnie to zamówił, i obserwować.

Opowiedziałam mu o typku z Krakowa i jego „metodzie na śledzia”. Wojtek także zaczął się śmiać, a ja dosłownie poczułam, jak z tym rozbawieniem obłazi z niego ten dziwaczny foch, w którego się przyoblekł po naszej wigilijnej rozmowie.

— Na pewno masz siłę na wędrownkę? — zapytał po chwili. — Już wydobrzałaś?

— Tak. Zaraz po świętach byłam na Gęsiej Szyi, potem w Strążyskach, następnego dnia na Hali Kondratowej. Chciałam pojechać na Kasprowy, ale te kolejki mnie dobijają.

— Tak, teraz nie jest dobry czas. Tłumy ludzi.

— A latem jest ich mniej?

— Nie, w Tatrach najlepsza jest jesień. Koniec września, początek października. Trzeba trafić na moment, zanim przyjdzie zima, ale już po powrocie studentów do akademików. Wtedy nie ma tłoku na szlakach, a widoki są

piękniejsze niż kiedykolwiek.

— Nie wierzę, że może być jeszcze piękniej niż teraz.

— Może — powiedział Wojtek z czułym uśmiechem, od którego troszkę zakręciło mi się w głowie.

A potem dokończył żurek, ja dopiłam herbatę i tak się jakoś porobiło, że razem wyszliśmy ze schroniska i poszliśmy na tego Grzesia, który wprawdzie okazał się niewielki, ale i tak dał mi porządnie w kość. Podczas wędrowki nie rozmawialiśmy, bo trudno jest prowadzić konwersację, kiedy się sapie niczym miech kowalski, a z nosa cieknie woda. Za to na szczycie Wojtek opowiedział mi o wielkich połaciach jagodzisk, które się tu rozciągają i o tym, jak przyjemnie jest latem położyć się na stoku, skubać jagody i gapić się na słowacką stronę. Pokazał mi także swoje ulubione szczyty słowackich Tatr Zachodnich: dwa Rohacze, z których jeden nazywał się Ostry, a drugi Płaczliwy, i do tego drugiego, pewnie z racji nazwy, poczułam nagłą sympatię. Obiecałam sobie, że wrócę tu latem i może nawet odważę się zejść na tamtą stronę, poza „garbaty horyzont”. Tymczasem posiedzieliśmy trochę w kucki na śniegu, zjedliśmy na spółkę tabliczkę czekolady, po czym zeszliliśmy z powrotem do schroniska, bo niebo zaczynało się chmurzyć i Wojtek orzekł, że zaraz zacznie padać śnieg.

Na dole wtrząchnęliśmy po miseczce żurku, ponieważ Wojtek stwierdził, że nie widzi przeszkód, aby zarepetować. Potem powoli wróciliśmy do wylotu doliny. Początkowo Kornecki pstrykał mnóstwo zdjęć, na których w większości byłam ja na tle starych szaleśców góralskich, ale później rzeczywiście zaczął sypać śnieg, więc aparat powędrował do plecaka, a my, obrzucając się śnieżkami jak dzieci, wróciliśmy do szosy i bussem udaliśmy się do Kościeliska. Pan Jędrzej, jakby na powitanie nowego roku chciał być czysty jak niemowlę, napalił w piecu tak, że z kranu lał się wrzątek. Wykąpaliśmy się więc, a potem przyrządziliśmy sobie ucztę, na którą złożyły się kanapki z paprykarzem oraz z mielonką turystyczną, paluszki, mandarynki, banany, herbata z cytryną, a na koniec — niespodzianka od Wojtka — „szampan” z czasów naszego dzieciństwa, czyli „Sowietskoje Igristoje”.

Przy okazji wspólnego picia bąbelków powspominaliśmy trochę dawne lata, zabawy pod trzepakiem i na boisku. Ja omijałam temat mamy braci Korneckich, a Wojtek taktownie nie wspominał o śmierci mojego taty. Nie opowiadał też więcej o swojej żonie. Doprowadziłam go niemal do płaczu (ze śmiechu) opowieścią o tym, jak pięknie potrafię przekręcać tytuły i nazwiska, po czym zaczęliśmy grać w zagadki. Bez trudu odgadł, że mówiąc o Ślusarczyk mam na myśli Tokarczuk, rozszyfrował także tytuły większości książek i filmów, pokonałam go dopiero zagadką, którą niegdyś zadał mi Krzysiek i której do tej pory nie rozwiązałam: Rondle Odwłok.

— Ale jak to: Rondle? Rondle w sensie liczba mnoga? Rondelki? Garnki?

— Nic nie podpowiadam — powiedziałam, bo przecież sama nie miałam

pojęcia. — Musisz sam odgadnąć. Podpowiedź brzmi: jest to nazwisko aktora. I ani słowa więcej.

Myślał i myślał, a ponieważ skończyło się Igristoje, w końcu pożegnał się i poszedł do siebie. Wcale nie chciałam, żeby już szedł, tak dobrze nam się rozmawiało; ale przecież nie mogłam prosić go, żeby został. Złożyliśmy sobie życzenia udanego Nowego Roku, Wojtek swoim zwyczajem kiwnął się leciutko, jakby chciał mnie przy tym uściskać, po czym zabrał pustą butelkę i zniknął za drzwiami.

Do północy została jeszcze godzina, ale nie chciało mi się czekać. Zresztą jakie to ma znaczenie, pomyślałam. Nigdy nie przywiązywałam wielkiej wagi do zmiany cyferki w dacie. Wysłałam esemesy z życzeniami udanego Nowego Roku — do mamy i Benia, do Rafała i reszty Mościckich, Krzyśka, Agaty, a nawet Maczka. Odebrałam ich życzenia. Przebrałam się w piżamę i wskoczyłam pod kołdrę. Potem sięgnęłam po przewodnik i mapę, by zaplanować trasę na następny, ostatni już dzień mojej tatrzańskiej przygody. Nawet nie zauważyłam, kiedy zasnęłam, z policzkiem na chłodnym papierze. Obudził mnie odgłos otwieranych drzwi i jakieś szmery w moim pokoju.

— Jeszcze raz szczęśliwego Nowego Roku — usłyszałam po chwili głos Wojtka Korneckiego i poczułam, że delikatnie podnosi mi głowę. — Nie gnieć mapy. A zagadkę rozwiązałem. Rondle Odwłok to Gary Cooper. Dobranoc.

Po czym zgasił światło i zamknął drzwi, zupełnie nieświadomy tego, że zostawił mnie leżącą w ciemności z szeroko otwartymi oczami i — nie wiedzieć dlaczego — z tak samo otwartym sercem, zupełnie jakby obudziło się po raz pierwszy w życiu i nie chciało już nigdy zasnąć.

Ostatni dzień pobytu w Zakopanem nie udał mi się zupełnie, ponieważ niespodziewanie przyszło ocieplenie i zaczął padać deszcz ze śniegiem. Uznałam, że wyjście w góry przy takiej pogodzie byłoby idiotyczne; poszweniałam się więc trochę po mieście, odwiedziłam zabytkowy cmentarz, gdzie wypatrywałam grobów sławnych ludzi, dziwiąc się nieco, że ich nazwiska brzmią właśnie tak, jak napisano na nagrobkach (bo oczywiście w mojej świadomości funkcjonowały w nieco innym brzmieniu).

Rano nie spotkaliśmy się z Wojtkiem w kuchni, ponieważ nie mogłam spać i bardzo wcześnie wyszłam z domu, zaś po południu Korneckiego już nie było. Nie zadzwonił, nie pożegnał się, nie zapytał, czy przypadkiem też nie chcę wracać — mogłabym zabrać się z nim samochodem. Znalazłam jedynie wetkniętą w drzwi karteczkę z naszkicowaną naprędce ławką i jakimiś chaszczami, w których domyśliłam się bzu. Czy było to coś w rodzaju ciepłego „do zobaczenia przy montażu ławeczki pod bzem”, czy raczej przypomnienie, że w gruncie rzeczy łączy nas jedynie relacja klient — wykonawca? Nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale było mi przykro. Zmiałam kartkę i wyrzuciłam ją do śmieci.

Studenci hipisi leczyli sylwestrowego kaca klinem. Chłopak, nagusieńki jak go Bozia stworzyła, mignął mi, wychodząc z łazienki, a dziewczyna wystawiła głowę przez drzwi i zapytała, czy wpadnę na kielicha. Odmówiłam grzecznie i poszłam spać, bo poprzedniej nocy niemal nie zmrużyłam oka, miałam więc nadzieję, że teraz mi się skumuluje. Niestety, tak się nie stało; tradycyjnie o trzeciej byłam już wyspana i zaczęłam się pakować. Czułam się przerażająco samotna. Skoro świt zjadłam śniadanie składające się z tego, co mi zostało z ostatnich zakupów, żeby nie wozić ze sobą jedzenia. Następnie zarzuciłam na grzbiet wypakowany po brzegi plecak, w rękę zaś ujęłam pustą walizkę, z którą tu przyjechałam — i wyszłam, nie budząc gospodarza ani tym bardziej studentów. Ruszyłam pieszo szosą w stronę Zakopanego, słusznie podejrzewając, że jakaś dobra dusza zlituje się nade mną i mnie podwiezie. Tak też się stało. Dobrą duszą okazał się rumiany góral, który jechał właśnie do pracy w warsztacie samochodowym; podrzucił mnie na dworzec. Przy okazji udzielił mi rady, abym unikała w tym dniu „zakopianki” i wybrała raczej dłuższą, ale pewniejszą podróż pociągiem. Jak się potem okazało, miał rację, tyle że niestety przekonałam się o tym dopiero, stojąc, a raczej siedząc w korku, w dusznym, śmierdzącym busie jadącym do Krakowa — bo oczywiście rady rumianego górala nie posłuchałam.

Wskutek korkowego szaleństwa i wypadku, jaki wydarzył się w okolicach Myślenic, znalazłam się w Krakowie dopiero po południu. Nie miałam ochoty na

jazdę z przesiadkami, kupiłam więc bilet na wieczorny TLK, a że do odjazdu pociągu miałam sporo czasu, udałam się na spacer po mieście. Odwiedziłam bar ze śledzikiem, potem Rynek i Bramę Floriańską, kupiłam sobie bursztyny na rzemyku (zupełnie bez sensu, to powinno się kupować na molo w Sopocie), po czym zrobiło mi się tak zimno, że wstałam na wódkę do pierwszej z brzegu knajpki. Ponieważ nigdy nie umiałam pić czystej, bo mi się zwyczajnie cofało, zamówiłam drinka z żółdkowej gorzkiej, która — wiedziałam to od Agaty — wbrew nazwie jest słodka. Wypiłam. Smakowało. Zamówiłam jeszcze dwa, a wypiwszy, poturlałam się na dworzec, gdzie usiadłam na pierwszej z brzegu ławce, po czym wdałam się w radosną, pijacką rozmowę z siedzącym obok mnie brodatym mężczyzną, w wyniku której to rozmowy zyskałam nowego znajomego (bezdomnego Stefana) oraz straciłam walizkę (to znaczy po prostu podarowałam ją Stefanowi).

Kiedy znalazłam się w pociągu, nadal byłam w nastroju do rozmowy. Najchętniej długiej, szczerzej i przyjacielskiej. Młoda kobieta, która zajmowała miejsce obok mnie, najwyraźniej w takim nastroju nie była, bo założyła słuchawki na uszy i coś tam pikała w komórce. Próbowałam zadzwonić do Agaty, ale miała zajęte, a mama odpadała, ponieważ rozmowa z nią nie byłaby szczerą. Sama nie wiem, jak to się stało, że wybrałam numer Wojtka Korneckiego. Po prostu wybrał mi się sam.

— Hej — powiedział Wojtek bez zdziwienia, jakby czekał na mój telefon.

— Jak tam? Dojechałeś szczęśliwie? — zapytałam.

Przez chwilę panowała cisza.

— Ale to już wczoraj — odparł po chwili. — Wczoraj wyjechałem. Nie zauważyłaś?

— Zauważyłam. Jassssne. Nie miałam z kim wypić herbaty.

— Dziwnie brzmisz.

— Taaaa. Bo się troszkę napiłam.

— Czego się napiłaś, Iga?

Ależ miękko wypowiedział moje imię. Łagodnie. Niemal czule, jak wujaszek albo starszy brat. Rozrzewniło mnie to.

— Się napiłam drinków. Trzech ich było. Znaczą się trzy były. One.

— Ja cię kręcę, jesteś napruta.

— Się mówi: nabombana w trzy rurki.

— Dlaczego? Kto tak mówi?

— Tak mówił mój ojciec, pijak, a on się naprawdę znał — wyjaśniłam, bardzo dokładnie wymawiając wszystkie głoski i nie zważając na to, że siedząca obok mnie pasażerka gwałtownie poruszyła głową, jakby kręciła nią z niesmakiem.

— Iga... Gdzie ty jesteś?

— W pociągu. Relacji Kraków — Bydgoszcz. Jadę do domu. Pożegnałam

się ze Stefanem.

— Jakim Stefanem? Chyba Jędrzejem?

— Nie, Stefanem. Jędrzej jeszcze spał. A Stefan jest bezdomny. Mieszka sobie normalnie na dworcu, wyobrażasz sobie? Poznałam go właśnie dzisiaj i dałam mu prezent, no wiesz, on nie ma zupełnie nic.

— Ja piernicę, ty jesteś naprawdę nawalona.

— Przesadzasz.

— Iga... A znalazłaś...? Przeczytałaś...?

Urwał. Nie wiedziałam, o co mu chodzi.

— Co miałam przeczytać?

— Czyli nie przeczytałaś.

— Czego?

— Nic, nieważne.

— Ja sporo czytam — powiedziałam z urazą. — Ale jaki to ma związek z faktem, że jestem na rauszu?

— Naprawdę nieważne. No nic, jedź bezpiecznie. O której będziesz w Bydgoszczy? Jak chcesz, to cię odbiorę z dworca.

— Nie trzeba — odrzekłam wyniośle, bo naprawdę mnie zdenerwował tym tajemniczym gadaniem o czytaniu. — Mam swojego szofera.

Pominęłam fakt, że nie posiadałam jeszcze samochodu.

— A, no tak. To miłej podróży. Cześć.

Rozłączył się. Chamidło. Przez chwilę miałam ochotę zatelefonować jeszcze raz i pouczyć go, że zgodnie z zasadami savoir-vivre'u rozmowę kończy ten, kto zadzwonił. Rozmyśliłam się jednak, ponieważ okropnie zachciało mi się spać. Ziewnęłam raz i drugi, po czym odpłynęłam do krainy snów. Śniło mi się, że bezdomny Stefan odkleja brodę i okazuje się Łukaszem Maczkiem, który mówi: „Ha, wiedziałem, że w tej walizce będą wszystkie twoje pieniądze”. Obudziłam się złana potem, trzeźwiejąca, z lekkim bólem głowy — i do rana nie zmrużyłam już oka.

Do domu dotarłam taksówką. Moja dzielnica spała jeszcze pod cieniutką pierzynką śniegu, który musiał spaść podczas mojej nieobecności. Z cichą radością uświadomiłam sobie, że to już styczeń i że dni będą się teraz robiły coraz dłuższe. Kiedy się nie śpi po nocach, coraz wcześniejszy świt ma spore znaczenie.

Dom Nad Rzeką był ciepłutki, Rafał pamiętał o podkręceniu pieca. Przez parę minut chodziłam po wnętrzach i ogarniałam je miłosnym spojrzeniem. Naprawdę zdążyłam pokochać to miejsce. Na sprzętach leżała warstewka kurzu, ale nie przeszkadzało mi to. Później posprzątałam. „Kurz jest po to, żeby leżał”, jak powiedział ktoś bardzo mądry. A dom jest po to, żeby usiąść z ulgą po długiej podróży i wypić gorącą kawę. A nie żeby w nim sprzątać.

W chwili, kiedy rzeczywiście usiadłam na moim popielatym narożniku i wzięłam łyżeczek cudownie aromatycznego naparu, poczułam cichutkie szczęście — inne niż tamto rozgrzewające mi serce uczucie, gdy szłam przez Osiedle Leśne z przeświadczeniem, że uda nam się uratować oczko Kornelii — i również zupełnie odmienne niż zachwyty i ekstaza po ujrzeniu szczytów nad Doliną Gąsienicową. To, co w owej chwili napełniło moją duszę, było spokojne i kojące, podobne do ciepłego okładu na bolesne miejsce albo odwrotnie: do chłodnej dłoni na rozpalonym czole. Tak czy owak, przynosiło ulgę. Jestem w domu. Bezpieczna. Nic nie muszę, nigdzie się nie spieszę. Mam gorącą wodę i czystą kuchnię, jest mi ciepło, a za ścianą żadni zwariowani studenci nie pukają się jak króliki. I nikt nie wlezie mi tu z herbatą...

Stop, jeszcze raz... Nie pukają się jak króliki. To było kojące, owszem. Ale myśl, iż Wojtek Kornecki nie zapuka, żeby zapytać, czy chcę herbaty, wcale taka nie była. Ani ta, że nie pójdziemy już razem w góry. Wspólna wyprawa na Grzesia była naprawdę przyjemna, a uczucie, kiedy sprowadzał mnie za rękę z Iwaniackiej Przełęczy, okazało się jedyne w swoim rodzaju. I wreszcie — nie sprawiała mi przyjemności myśl, że on się znowu o coś nabzdyczył. W ogóle okazał się facetem, który dość łatwo się naburmusza — co, nie ukrywam, trochę mnie irytowało. Gdybym jeszcze rozumiała, z czego te fochy wynikają. Ale nie rozumiałam.

Dopiłam kawę (przypomniłam sobie, jak piłam ją razem z Wojtkiem), wzięłam cudownie gorący prysznic (natychmiast przypomniała mi się radość z gorącej wody w sylwestra) i pochłonęłam wyciągnięte z zamrażalnika i odgrzane pierogi (tym razem wspomniłam opowieść Wojtka o dziewczynach Maćka i ich szponach). Co jest, do diabła?! Co bym nie robiła, za co bym się nie wzięła, wszystko kojarzyło mi się z Wojtkiem Korneckim!

Żeby dłużej o nim nie myśleć, wzięłam się ostro do roboty. Pościierałam kurz z mebli i parapetów, odkurzyłam i umyłam podłogę, rozpakowałam plecak i

wstawiłam wielkie pranie. Czynność rozpakowywania plecaka skierowała moje myśli ku podarowanej bezdomnemu walizce i rozmowie z nim, potem z kolei przypomniałam sobie, o co pytał mnie Wojtek. Czy przeczytałam. Ale co miałam, u licha, przeczytać?

Zorientowawszy się, że moje uparte myśli wróciły do Korneckiego, postanowiłam zająć je czymś innym. Udałam się do garażu i oceniłam niesamowitą przemianę, jakiej uległo to pomieszczenie dzięki pracy Rafała; następnie zrobiłam obchód ogrodu, uśmiechnęłam się na widok wygrabionych i porządnie zebranych do worków liści — a potem zwyczajnie się poddałam, bo oczywiście widok ogrodu sprawił, że zaczęłam myśleć o Wojtku jeszcze bardziej intensywnie, ponieważ naturalnie przyszła mi na myśl moja wymarzona ławeczka.

Niedługo, pewnie już w lutym, zacznie się nieśmiałe przedwiośnie. Wtedy w tym miejscu pojawią się bracia Korneccy. Zawsze liczyłam na to, że większość roboty będzie wykonywał Maciek — teraz miałam nadzieję, że szef nie zostawi realizacji projektu bez nadzoru. Musi przecież dopilnować, aby jego przedstawiona na szkicach wizja znalazła odzwierciedlenie w rzeczywistości.

Rozejrzałam się wokół i usiłowałam sobie wyobrazić ogrodzenie z tego popielatego drewna, które zaplanował dla mnie Wojtek. A może by tak zamówić jeszcze jakieś dodatkowe konstrukcje, domki dla ptaków i tak dalej? Ogród miałam wielki, można by go urozmaicić, jakoś tę przestrzeń wypełnić.

Na szczęście nie poszłam dalej w tych rozmyślaniach (kto wie, do czego bym się jeszcze posunęła, może po prostu wyciągnęłabym telefon i zadzwoniła do Korneckiego), ponieważ furtka zaskrzypiała i na podwórko wszedł Rafał.

— O, jesteś już! — Ucieszył się, chuchając w powietrze. — Fajnie. Bo zaczynają się wyprzedaże starszych roczników. Pora wybrać sobie furę.

Sprawa samochodu zajęła mnie na resztę dnia tak skutecznie, że nie miałam głowy ani do zrobienia obiadu, ani do odwiedzin u mamy, która dzwoniła do mnie kilkakrotnie i za każdym razem zapraszała nas z Krzyśkiem na ciasto. Odmówiłam jej grzecznie raz i drugi, tłumacząc się chwilowym brakiem czasu, a potem po prostu przestałam reagować na dzwonek telefonu.

Najpierw usiedliśmy z Rafałem do komputera i bardzo długo analizowaliśmy promocje proponowane przez producentów. Co do mnie, miałam wielki apetyt na forda albo opla, ale Rafał upierał się, żebym pomyślała też — jak się wyraził — o „japończykach”.

— Właściwie dlaczego? — zapytałam hardo. — Pokaż mi jakieś dowody, że akurat Azjaci robią lepsze auta.

— A ty się choć trochę znasz?

— Nie. Nie znam się ani trochę. Ale lubię mieć wszystko czarno na białym. To nie powinna być kwestia sympatii albo przeczucia.

— Okej. — Rafał nachylił się nad klawiaturą. — Już ci szukam czarno na

białym.

Postukał, poklikał i wyszukał zestawienie, z którego wynikało, że najrzadziej psują się mazdy.

— Spójrz na datę — prychnęłam. — To jest artykuł z 2013 roku.

— Jak nie chcesz mojej pomocy, to sama sobie wybieraj — obraził się. — Ja chcę ci pomóc, zauważyłaś? Ale jak nie, to nie. Kupisz, co zechcesz, a ja będę pucował, naprawiał, na ile potrafię, woził cię do tych twoich kosmetyczek i fryzjerek...

— Tak jakbym ciągle przesiadywała w salonach piękności! — zawołałam z wyrzutem.

— A ja tam nie wiem, gdzie ty przesiadujesz!

Parsknęłam śmiechem. Nasza kłótnia przypominała awanturę starego małżeństwa. Rafał przez chwilę patrzył na mnie skonsternowany, ale potem też się uśmiechnął.

— Pokazuj te twoje mazdy — rzekłam pojednawczo. — Może coś mi się spodoba. W sumie to nie musi być żaden najnowszy model.

Chłopak otworzył stronę firmową i zaczęliśmy przeglądać zdjęcia. Wprawdzie miałam zamiar kupić auto nieduże i zwinne, nie mówiąc już o tym, że zamierzałam zmieścić się w konkretnej kwocie — ale kiedy zobaczyłam na fotografii czerwoną mazdę CX-3, zwyczajnie poległam. Była piękna. Wydawało mi się, że jeśli ją kupię, sama stanę się równie cudna i całe moje życie nabierze blasku oraz klasy.

— Tak — szepnęłam.

— Co „tak”? — zapytał z nadzieją Rafał, któremu oczy świeciły się do niej tak samo jak mnie. — Umówić się na jazdę próbną?

— Umówić. Bardzo.

— Dobra.

Ręce zaczęły mu leciutko drżeć, kiedy wybrał salon na Fordońskiej i wysłał zapytanie, kiedy możemy przejechać się wybranym modelem. Co do mnie, natychmiast zatelefonowałam do Agaty, by poinformować ją, że absolutnie koniecznie musi wziąć udział w tym wydarzeniu.

Wzięła. Wiedziałam, że na nią zawsze można liczyć: wzdychała z zachwyty dokładnie wtedy, kiedy było trzeba, wraz ze mną piszczła z ekscytacji i razem ze mną gładziła tapicerkę. Rafał nie odzywał się, przeżywał swoją ekstazę w pełnym nabożeństwie milczeniu. Prowadził lekko, z finezją i wyczuciem — w każdym razie o ile potrafiłam to ocenić (jako materiał porównawczy mogłam podstawić sobie jedynie poznanych w przelocie taksówkarzy).

Ostatecznie samochód kupiliśmy dopiero w połowie stycznia, ponieważ model, który stał w salonie, nie był czerwony, a ja uparłam się na czerwień.

Nigdzie mi się nie spieszyło, zamówiłam więc auto w kolorze, który uszczęśliwi mnie całkowicie, nawet jeśli trzeba będzie trochę poczekać. Oczekiwanie skracałam sobie buszowaniem na wyprzedających — kupiłam między innymi szpilki w kolorze karoserii oraz także torebkę i szminkę.

Kiedy odebraliśmy moją mazdę, ubrałam się w krótką, czarną kieckę i skórzaną ramoneskę, włożyłam czerwone szpile i wzięłam pasującą do nich torebkę, po czym ruszyliśmy w tany. Rafał przewiózł mnie w tę i z powrotem po mieście, potem pognaliśmy do Inowrocławia, a stamtąd do Torunia i znów do Bydgoszczy. Następnie zrobiłam coś, o co nigdy bym samej siebie nie podejrzewała. Kazałam się mianowicie zawieźć do salonu urody mojej mamy, aby odświeżyć fryzurę i poddać się kilku zabiegom upiększającym. Oczywiście mogłam wybrać jakiegokolwiek inne miejsce, ale nie potrafiłam sobie odmówić widoku Szyneczki, kiedy zobaczy mnie wysiadającą z boskiej czerwonej mazdy.

Zaiste, wyraz jej twarzy był tego wart. Weszłam, przywitałam się serdecznie z panią Tereską manikiurzystką, poprosiłam o pasujący do auta kolor paznokci, potem udzieliłam Szyneczce kilku rad na temat tego, jak ma mnie ostrzyć i jakich błędów nie powinna popełniać, a następnie pozwoliłam się trochę poupiększać własnej mamie.

Po maseczce, peelingu i masażu twarzy, a także wypielęgnowaniu dłoni i pomalowaniu paznokci usiadłam wreszcie na fotelu i pozwoliłam Szyneczce zająć się moimi włosami.

— Masz brzydkie odrosty — powiedziała.

— Więc zrób coś, żeby ich nie miała — powiedziałam lekko. — Od tego jesteś fryzjerką.

— Pracowałaś tu kilka lat — syknęła. — Nie umiesz sama włosów ufarbować?

— Umiem, tylko po co mam brudzić umywalkę?

Wzruszyła ramionami. Przez chwilę rozczesywała mi włosy, potem podsunęła mi pod nos wzornik kolorów farb.

— Który brąz? — zapytała opryskliwie.

— Uważaj — odparłam. — Jesteś niemiła dla klientki. Jeśli nie zmienisz tonu, będę musiała porozmawiać z szefową.

— Ty nie jesteś klientką. Jesteś jedną z nas. Wrócisz tu i będziesz stać obok mnie, tak samo będą cię boleć nogi...

— Bzdura — przerwałam jej. — Ja tu nie wrócę, bo mam dosyć twojego towarzystwa. To po pierwsze. A po drugie, mam teraz forsy jak lodu.

— Tak, twoja mama mówiła. Tylko co zrobisz, jak cię ten twój facet puści kantem?

Roześmiałam się.

— On mnie nie puści kantem, kochana, bo jesteśmy razem bardzo

szczęśliwi. Pomijając bliskość charakterów i takie same poglądy na wiele spraw, bardzo go pociągam. On lubi szczupłe, wiesz? Nie znosi pulchnych. Mówi, że wymiona — tu zmierzyłam spojrzaniem jej biust — są dobre u krów.

Nie było to eleganckie, przyznaję. Ale okazało się niezłą rekompensatą za lata znoszenia upokorzeń ze strony tego wstrętnego babska. Wstałam i rozwiązałam sobie pelerynkę pod szyją.

— Mamo, rezygnuję z usługi fryzjerskiej — zawołałam, a wówczas zza parawanu oddzielającego pomieszczenia ukazała się zdziwiona twarz mojej matki. — Irenka nie bardzo sobie radzi z nożyczkami. Na twoim miejscu wysłałabym ją na ponowne przeszkolenie. Nałóż mi tylko ładny makijaż, proszę, a fryzurę wolę jednak zrobić gdzie indziej.

Kiedy wyszłam z salonu, robiło się już ciemno. Zaczerpnęłam głęboko powietrza i poczułam, jak wraz z nim pojawia się we mnie błogi spokój. Nie bałam się już Szyneczki i jej komentarzy. Nie czułam się od niej gorsza. Czy sprawiły to ogromne pieniądze na moim koncie, czy może czerwone, lśniące auto? Albo raczej wszystko razem: ostatnie przeżycia w Tatrach, przyjaźń (czy to była przyjaźń?) z Wojtkiem, to, że poradziłam sobie z kupnem domu i jego urządzeniem, że walnęłam Rafała patelnią, że pomogłyśmy Kornelce i jej rodzinie... Wszystko razem. Byłam innym człowiekiem. Czułam się silna i wolna.

Miałam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Jedną z nich było rozwiązanie zagadki, dlaczego moje myśli wciąż wracały do Wojtka Korneckiego, choć już bez kontekstu ławeczki w tle. Nie potrafiłam przestać myśleć o tym, co właściwie chciał mi powiedzieć tamtego wieczoru, kiedy dzwoniłam do niego z pociągu. To była sprawa numer jeden. Sprawą numer dwa był cholerny Maczek. A numer trzeci na mojej liście stanowiła operacja o kryptonimie „Porzucona”, którą planowałam przeprowadzić w miarę prędko, by na dobre uwolnić się od konieczności odgrywania narzeczonej Krzysia.

Postanowiłam kuć żelazo, póki gorące. W sensie punktu pierwszego. Miałam ładny makijaż (oprócz szminki — niestety strupki po opryszcze wciąż jeszcze uniemożliwiały malowanie ust) i piękne paznokcie, brakowało wprawdzie fryzury, ale uznałam, że Wojtek widywał moje włosy w gorszym stanie. Odstawiłam się jak gwiazda filmowa, a pora była taka, że miałam szansę jeszcze zastać Korneckiego w biurze.

— Wież mnie na Fordońską — poleciłam Rafałowi, a on z wyraźną przyjemnością przekręcił kluczyk w stacyjce. — Firma Dream Garden. Na razie jedź prosto, powiem ci, gdzie to jest.

Na szczęście w oknach biura paliło się jeszcze światło, choć było już parę minut po szóstej. Usiłując się nie zabić, weszłam w szpilkach po ośnieżonych schodkach i nacisnęłam na klamkę. Poprosiłam Rafała, żeby zaparkował nieco dalej, bo miałam dziwne przeczucie, że Wojtkowi nie spodobałby się fakt, że jeżdżę czerwona mazdą i wozi mnie smarkaty wprawdzie, ale przystojny szofer.

Ponieważ działałam pod wpływem impulsu, nie zastanowiłam się właściwie, co powiem, kiedy wejdę do biura. Zupełnie jakby rozwiązaniem mojego problemu był sam fakt, że zobaczę Wojtka Korneckiego. Jakbym za nim tęskniła albo coś. Absurdalne.

Wojtek siedział przy stole, za uchem miał ołówek, marszczył czoło i wpatrywał się w jakieś szkice leżące na biurku. Kiedy weszłam, podniósł nieprzytomny wzrok i przez chwilę po prostu gapił się na mnie. Potem zerwał się gwałtownie, strącając kilka kartek, toteż następne kilkanaście sekund spędził pod biurkiem, zbierając to, co pospadało. Dzięki temu zyskałam trochę czasu na uporządkowanie myśli.

— Cześć — powiedziałam. — Wpadłam, bo...

— Cześć. — Wynurzył się spod stołu i gruchnął głową o szufladkę, którą najwyraźniej wcześniej wysunął.

— Nic ci się nie stało?!

Nie odpowiedział, uznał to za pytanie retoryczne. Masował sobie potylicę z

miną, która mówiła: nie zbliżaj się. Chyba nie był w najlepszym nastroju. Na dodatek wydawało mi się, że unika mojego wzroku.

— Słuchaj, wpadłam na chwilę, bo chciałam cię przeprosić — podjęłam. — I podziękować.

Nareszcie spojrział mi w oczy.

— Może dasz się zaciągnąć na kawę? — zaryzykowałam. — Pogadamy chwilę.

Teraz jego wzrok prześlizgnął się po mojej twarzy i zjechał w dół, na buty, które — jakkolwiek piękne — absolutnie nie były odpowiednie do pory roku.

— Przyjechałaś autobusem? — zapytał z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Nie.

Czekałam, że może zapyta, czy taksówką, czy z tym moim szoferem, ale milczał. Nie odniósł się także do mojej propozycji pójścia na kawę. Uznałam więc, że się ośmieszam, narzucam i w ogóle robię z siebie konkursową idiotkę.

— Widzę, że jesteś bardzo zajęty — powiedziałam sucho. — W takim razie nie będę przeszkadzać, to był głupi pomysł... Jeszcze raz dziękuję, wiesz, nie tylko za opiekę nade mną w czasie choroby, ale też za całokształt... Za wycieczkę na Grzesia i za to, że pokazałeś mi Tatry...

— Nie pokazałem ci — burknął. — Sama je odkryłaś. Ja ci tylko dałem numer do pana Jędrzeja.

— Dobrze więc. Więc dziękuję ci za numer do pana Jędrzeja — warknęłam, bo to wszystko zaczynało mnie okropnie złościć. — I przepraszam.

— Za co z kolei?

— Za to, że zadzwoniłam wtedy do ciebie. Byłam nabombana, może nie w trzy rurki, ale w jedną na pewno, nie powinnam była telefonować w tym stanie.

— Nie powinnaś była — zgodził się, czym rozzłościł mnie jeszcze bardziej.

— Rzecz w tym, że potrzebowałam rozmowy, a wydawało mi się... Wydawało mi się.... — Trochę się zakałapuściłam, do oczu napłynęły mi łzy, a głos wszedł na histeryczne re-jestry. — Że się polubiliśmy! — zakończyłam rozpaczliwie, po czym odwróciłam się i wyszłam z impetem.

Oczywiście jeden z moich obcasów poślizgnął się na oblodzonym stopniu, wskutek czego wywinęłam orła wszech czasów i zawisłam na drewnianej poręczy — ale na szczęście Wojtek tego nie widział. Hałasu nie narobiłam, dane mi więc było oddalić się z godnością. W samochodzie rozbeczałam się i nakrzyczałam na Rafała, że się gapi, a potem przeprosiłam go i pojechaliśmy na czekoladę na gorąco z bezą, żeby poprawić sobie nastrój.

Punkt numer dwa postanowiłam załatwić jak najprędzej. Od kilku tygodni, a konkretnie od dnia, kiedy upewniłam się, że pani z okienka bankowego jest matką Łukasza Maczka, odsuwałam od siebie myśl o tym, że trzeba będzie stanąć z tym

łobuzem twarzą w twarz. Odrzucałam połączenia od niego, usuwałam esemesy bez czytania — no i wyjechałam na dziesięć dni. Teraz jednak uznałam, że przyszedł czas na ostateczne rozwiązanie tej kwestii. Naradziłam się z Rafałem, ustaliliśmy plan działania, po czym zerknęłam w kalendarz i stwierdziłam, że trzeba to zrobić w najbliższy weekend.

Kiedy nadeszła sobota, Rafał przywiózł arsenał w postaci gazu łzawiącego oraz kija do bejsbola, a ja zebrałam się na odwagę i zatelefonowałam do Łukasza.

— Iga? — Odebrał nieco zaskoczony; w jego głosie wyczułam wahanie.

— Cześć, Łukasz. Wiesz, przepraszam, unikałam cię ostatnio, wdałam się w taki... może nie romans, to za dużo powiedziane, ale znajomość z jednym chłopakiem i wydawało mi się, że aby być wobec niego w porządku, powinnam jakoś wyciszyć tę przyjaźń z tobą...

Zawiesiłam głos i czekałam, czy połknie przynętę.

— I co się stało? On cię zranił? — zapytał domyślnie.

— Tak, okazał się jednym z tych gnojków... No wiesz, sukinkot totalny...
— Udałam, że zanoszę się szlochem.

Rafał, który przysłuchiwał się rozmowie, podniósł uniesiony kciuk. Nieźle mi szło.

— Przypomniałam sobie, co kiedyś mówiłeś o tych wszystkich dziewczynach, które lgną do ciebie jak osy do drożdżówek, a tak naprawdę chodzi im tylko o twoją forszę — chlipnęłam i pociągnęłam nosem, żeby nie wydało mu się dziwne, że tak od razu przestałam rozpaczać.

— Tak, Iga. Tak. Właśnie.

— Dlaczego ja ciebie odrzuciłam, Łukasz? Dlaczego bałam się do ciebie zbliżyć?

— Kochanie, przyjadę, jeśli chcesz. Chcesz? Mam przyjechać?

— Ale gdzie? Do Bydgoszczy?

Chwila wahania, zaledwie ułamek sekundy, ale jednak.

— Ja akurat jestem w Bydgoszczy, tak się złożyło. U tego kolegi, co mi zawsze pożycza samochód, w Białych Błotach. Zaraz będę. Chcesz?

— Chcę. Proszę, przyjedź.

— Rozchmurz się, małeńka, jadę do ciebie.

Rozłączył się. Wyobrażałam sobie, jak się szykuje. Może liczy na seks, bierze szybki prysznic, wkłada świeżą koszulę, spryskuje mankiety wodą kolońską. Potem przeczesuje czuprynę palcami, na które nabrał troszkę żelu. Myje zęby, zerka w lustro.

Skurczydupek — mruknęłam przez zęby, a w moim głosie było tyle wściekłości, że Rafał aż się wzdrygnął.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, Mościcki dopił herbatę z pigwą, a potem poszedł ukryć się w bibliotece. W samą porę, bo po paru minutach rozległo się

pukanie. Wzięłam głęboki wdech i poszłam otworzyć.

Łukasz stał w progu, rumiany od lekkiego mrozu. We włosach połyskiwały mu drobne śnieżynki; miał roziskrzzone oczy i był cudowny. Istne ciacho. Gdyby jeszcze nie był największym gnojkiem, jakiego znałam, nadawałby się na kolację ze śniadaniem. Za plecami chował coś, co — jak się spodziewałam — było bukietem kwiatów.

— To na rozluźnienie — powiedział i wyciągnął wcale nie bukiet, tylko butelkę cytrynowego absoluta.

Nie spodziewałam się tego, lecz wiedziałam już wystarczająco dużo o życiu, aby przyjąć wódkę, kiedy dają.

— Wejdz — powiedziałam, po czym zgodnie z planem zamknęłam drzwi na klucz.

Nie wiem, jak to zrozumiał, ale uśmiechnął się leciutko. Próbował mnie objąć, wyslizgnęłam się jednak z jego ramion.

— Porozmawiaj ze mną — poprosiłam. — Czuję się tak... podle potraktowana. Oszukana. No wiesz.

— Wiem, kochanie. Nie przejmuj się, to minie. Zawsze mija.

Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam do salonu. Wódkę odstawiłam do kredensu.

— Napijesz się czegoś? — zapytałam. — Zmarzłeś? Coś gorącego?

Może być herbata, najlepiej owocowa — zgodził się łaskawie. — A potem chodź tu do mnie, bo stęskniłem się za tobą.

Zaparzyłam mu herbaty z hibiskusa. Trochę drżały mi dłonie, kiedy niosłam kubek i stawiałam go na ławie. W sumie nikt nie mógł przewidzieć, jak zachowa się taki Maczek. Może zechce mnie na przykład udusić. Może uderzy. Może zwiąże i każe podać numer PIN.

Usiadłam w fotelu, by widzieć dokładnie jego ruchy i zachować dystans.

— Chodź, przytul się — poprosił znowu. — Ja ciągle o tobie myślałem, wiesz? Wydzwaniałem, przyjeżdżałem tu do Bydgoszczy i płątałem się po twoim osiedlu... Raz nawet widziałem cię z tym typkiem, jeśli to był on. Taki w drucianych okularach?

— Tak — potwierdziłam, przyjmując płaczliwy wyraz twarzy.

Gorączkowo zastanawiałam się, kiedy i gdzie mógł mnie widzieć z Rafałem. Musiał nas śledzić, gnojek jeden.

— Ja mu kupiłam samochód, wyobraź sobie — powiedziałam, siąkając nosem.

— Żartujesz! — Łukasz złapał się za głowę z rozpaczą, która wcale nie wyglądała na udawaną. — No co ty, Iga! Nie możesz być przecież taka łatwowierna. Faceci są... Zresztą kobiety też bywają... No wiesz...

— Wiem — powiedziałam ponuro, odchylając się w fotelu i patrząc na niego

przymrużonymi oczyma. — Opowiem ci o tym dupku. Najpierw były kolacyjki, obiadki, takie rzeczy. Potem komplementy, wspólny wyjazd, tu jakieś lody, tu kawa, tam golonka, grzane wino...

Łukasz wzdrygnął się lekko.

— Ja bardzo lubię ten zestaw — wyjaśniłam mu, żeby się tak od razu nie wystraszył. — Następnie zaczęły się delikatne zaloty, a nawet próba zaciągnięcia mnie do łóżka, na szczęście nieudana. Myślałam, że mnie lubi. Nie byłam pewna, czy ja lubię jego, ale on... wydawał się szczery.

Maczek słuchał w skupieniu.

— Później dowiedziałam się, wyobraź sobie, że on mnie przez cały czas okłamywał. Nie mieszkał tam, gdzie twierdził, że mieszka. W dodatku, i tu się zacznie najciekawsze... jego mamusia... Rozumiesz, to po prostu niepojęte, jak można zrobić coś takiego... Jego mamusia pracuje w banku, który obsługuje moje konto. Ta mamusia wiedziała, że nagle się wzbogaciłam, i postanowiła zaryzykować, złamać tajemnicę bankową i nasłać swojego synka w roli podrywacza...

Urwałam i obserwowałam twarz mojego gościa, która przybierała interesujące barwy. Coś jakby w klimatach narodowych, raz była czerwona, raz biała jak prześcieradło.

— Źle się czujesz? — zapytałam.

Łukasz wykonał taki ruch, jakby chciał się zerwać z miejsca, ale zatrzymał się w pół gestu. Wzrok utkwiał w czymś, co znajdowało się za moimi plecami. Odwróciłam się i ujrzałam Rafała z gazem łzawiącym w jednej i kijem bejsbolowym w drugiej ręce.

— Iga... — powiedział Maczek ustami, które wyglądały w tej chwili jak dwie grube, blade dżdżownice. — Co ty sobie wymyśliłaś? O czym ty mówisz?

— Ja nic nie wymyśliłam — powiedziałam spokojnie. — Po prostu dowiedziałam się, jakim obrzydliwym skunksem jesteś. Jakim oszustem.

— To nie tak...

— A jak? — zainteresowałam się.

Łukasz sapnął z rozpaczą i spojrzał wymownie na Rafała.

— Ja ci wszystko wytłumaczę, tylko niech on wyjdzie — poprosił.

— Jeszcze czego — zaperzył się Mościcki. — Ja tu jestem po to, żeby Igę chronić. Nigdy więcej jej nie skrzywdzisz!

— Dobra, dobra!

— Opowiadaj — zażądałam. — Rafał zostanie, chyba że go zemdli od twoich kłamstw.

— Dlaczego zaraz kłamstw — zdziwił się smutno Łukasz. — Teraz to ja już nie mam po co kłamać. Plan się nie powiódł, skończyło się babci sranie.

Nie znałam tego powiedzonka, ale musiałam przyznać, że oddziaływało na

wyobraźnię; aż się wzdrygnęłam.

— Muszę zacząć od tego, że nie mam bogatego ojca — podjął Maczek. — Ale miałem. Miałem bogatego skurwysyna, dokładnie tak, jak ci opowiadałem. Samotny chłopczyk w domu pełnym drogich sprzętów, matka chorobliwie zazdrosna, bo ojciec szastał pieniędzmi na inne kobiety. Moim zdaniem on był chory psychicznie, ale nigdy nie chciał słuchać, kiedy ludzie mu mówili, że powinien się leczyć. Dobrze się bawił. Tyle że narobił długów, a potem utonął sobie beztróska na wakacjach z jedną ze swoich kochanek, w jakimś ciepłym morzu. Na jachcie byli.

— Hm, jak już się topić, to luksusowo — mruknął bezczelnie Rafał, który przysiadł na drugim fotelu.

Widziałam, że nie wierzy Łukaszowi ani odrobinę.

— Rzecz w tym, że nigdy nie znaleziono ciała. Więc ja myślę, że on się wcale nie utopił, tylko po prostu zwiął. Uciekł przed wierzycielami, ukrył się, a nas zostawił z tym wszystkim...

Maczek urwał i przez chwilę wyłamywał palce. Jego kostki wydawały przy tym irytujący dźwięk. Postanowiłam jednak czekać cierpliwie na dalszy ciąg opowieści. I doczekałam się.

— Żeby uwolnić się od długów, musieliśmy z mamą zrzec się spadku. Mieszkaliśmy wtedy w Warszawie, tak jak ci mówiłem. Na szczęście tu w Białych Błotach mieszkał dziadek od strony matki i wziął nas do siebie, a przed śmiercią dom zapisał na córkę, bo inaczej zostalibyśmy bez dachu nad głową. Tak czy owak, nagle jako dziewiętnastolatek stałem się biedny. Dziadek umarł, raka miał. Mama dostała pracę w banku, bo ona jest po ekonomii, i jakoś sobie radziliśmy, ale wciąż żyliśmy... i nadal żyjemy w takim dziwnym przeświadczeniu, że to wszystko jest tylko złym snem. Że tamte złote czasy wrócą.

— We łbach się poprzewracało — skomentował Rafał. — Do roboty się wziąć to nie łaska?

— Do roboty, do roboty! — prychnął Maczek. — Ja przecież próbowałem. Ale nauka mi nie szła za bardzo i zakończyłem edukację na liceum. To gdzie niby pracę dostanę? Trochę pracowałem w Tesco, trochę w CCC, nawet w Biedronce. Ale to nie jest dla faceta, ja się nie nadawałem. Na niczym konkretnym się nie znam, nic nie potrafię, nawet żarówki nie wkręcę. Któregoś dnia mama mi podsunęła pomysł, że jest pewna bogata klientka w banku.

Wyprostowałam się. Nareszcie doszliśmy do mnie.

— Nie, nie o ciebie chodzi — machnął ręką Maczek, widząc ten mój ruch. — To jest taka jedna lekarka, Brygida. Ona ma już prawie sześćdziesiątkę, ale jeszcze dosyć atrakcyjna, nie myślcie sobie. Samotna, konto pęka w szwach od kasy, ona w futrach chodzi, mieszka w dworku jak z *Pana Tadeusza*, normalnie hrabina. No to spróbowałem i mi się udało. Zabieram ją do dobrego lokalu, mówię

komplementy, czasem teatr, czasem opera. Raz na jakiś czas bzyknę, popieszczę, pocałuję to jej zamszowe ciało. Ona mi daje parę stów na zakupy, no wiecie... Nie żeby mi płaciła ze seks, tylko chce, żebym dobrze wyglądał, jak ją gdzieś zabieram.

— Jasne — wycedził Rafał, a ja skrzywiłam się z obrzydzeniem.

— Nie jestem z tego dumny — przyznał Maczek. — A na dodatek zacząłem mieć problemy z... No wiecie. Nie działa już tak, jak powinien. Za dużo robię na zamówienie, a za mało z prawdziwej chęci.

Zarumienił się okropnie, a ja odwróciłam głowę z zażenowaniem. Natomiast Rafał po raz pierwszy popatrzył na Łukasza z życzliwym zainteresowaniem.

— A z młodymi idzie ci lepiej? — zapytał. — Czy też nie staje?

— Nie to, że nie staje. Tylko szybko się, że tak powiem, poddaje.

— Więc dlatego tak się wtedy spieszyłeś? — domyśliłam się. — Bałeś się, że ci armatka oklapnie?

— Częściowo. Ale też okropnie się bałem, że się rozmyślisz. Jeju, jaka ty byłaś niedostępna, Iga!

Sprawiło mi to przyjemność, nie powiem.

— Ale po co ja ci w ogóle byłam potrzebna? — zapytałam jeszcze. — Skoro masz tę swoją hrabinę...

— Bo ty jesteś ładna i młoda. I taka normalna — wypalił. — Z tobą to ja bym mógł naprawdę... No pewnie, że zaczęło się od pieniędzy, mama mnie nakierowała, co będziesz stare truchło posuwał, mówi, jak tu masz młodą cizię z milionami. Miałem szczęście, że mi się udało włamać na twoją skrzynkę pocztową. Właściwie chciałem tylko upewnić się, czy jesteś singielką, ale przy okazji odczytałem maila, że rezerwujesz noclegi w City Hotel, i uznałem, że to idealna okazja.

— A pieniądze na hotel skąd miałeś? — wtrącił się Rafał.

— Od hrabiny. — Maczek machnął niecierpliwie ręką. — Miałem sobie kupić kurtkę motocyklową, bo Brygida lubi czarną skórę na gołym torsie, ale co tam, do odważnych świat należy. A potem się okazało, że ty wcale nie jesteś zainteresowana, że zwyczajnie chcesz być singielką, więc zostało mi tylko jedno...

— Czyli?

— Cięża — wyjaśnił takim tonem, jakby mówił o sposobie na rozegranie partii warcabów. — Gdybyś zaszła w ciążę, pozmieniałoby ci się i wyszłabyś za mnie.

Dłonie same zacisnęły mi się w pięści.

— Rafał, przyłóż mu, bo normalnie nie wyrobię! — krzyknęłam. — Ty nadęty dupku! Ty bufonie jeden! Nigdy bym za ciebie nie wyszła! Co ty sobie myślisz, że do czego byłbyś mi potrzebny?! Do porodu? Karmienia piersią? W czym to wy niby jesteście tacy niezastąpieni?

Rafał podniósł się, ale na szczęście rozumiał, że posłużyłam się czymś w rodzaju metafory, bo wcale nie chciałam w moim salonie mordobicia. Zresztą niewykluczone, że mój „ochroniarz” po prostu nie byłby w stanie nikomu przyłożyć.

— Uspokój się, Iga, przepraszam! — wołał tymczasem Maczek. — Ja to rozumiałem już wtedy. To znaczy tamtej nocy. Odpuszczam, rezygnuję, tak powiedziałem matce, ona się nigdy nie da uwieść. Mama na to, że musisz być chyba lesbijką, ale mnie się po prostu widziało, że ci się nie podobam.

— Bardzo dobrze ci się widziało — odparłam z godnością. — A teraz won z mojego domu. Nie chcę cię znać.

— Zaczekaj — powiedział jeszcze błagalnym tonem. — Widzisz, rzecz w tym, że ja ciebie po prostu cholernie polubiłem. Nie znam tu nikogo, przeprowadziliśmy się z matką już po moim liceum, wszyscy znajomi zostali w Warszawie. Nie mam nawet do kogo gęby otworzyć. Nie licząc hrabiny, ale to... Sama wiesz.

— I tak się wynoś — powiedziałam. — Nie udobruchasz mnie w ten sposób. Ja też cię polubiłam, tak po kumpelsku, ale z mojej strony było to szczere. Nie miałam w tym żadnego interesu. A teraz już idź, zanim się z Rafałem rozmyślimy i objemy twoją śliczną buzię.

Maczek podniósł się z westchnieniem i przybrał ten swój wyraz twarzy niekochanego szczeniaczka. Nie miałam już żadnych wątpliwości, że musiał to ćwiczyć przed lustrem.

— A puby rzeczne? — zawołałam za nim. — To też było kłamstwo?

Odwrócił się, wkładając kurtkę.

— Nie — powiedział z pasją. — Puby rzeczne to moje wielkie marzenie. Jeszcze kiedyś je zrealizuję, zobaczysz.

— Powodzenia — szepnęłam, gdy wyszedł.

Rafał przyglądał mi się, kiedy zaczęłam chlipać.

— Ale nie jesteś w ciąży? — upewnił się. — Bo ostatnio sporo becysz. Pamiętam, że jak moja mama stała się taka płaczliwa, to potem urodziła się Kornelia.

— Nie jestem w ciąży i nigdy nie będę — odpowiedziałam, a moje myśli nie wiedzieć czemu powędrowały ku Wojtkowi Korneckiemu i wtedy natychmiast przestałam płakać.

Albowiem uświadomiłam sobie, że właśnie kończy się styczeń, wkrótce będzie luty, a po lutym przyjdzie wiosna i Wojtek będzie MUSIAŁ przyjechać, żeby mi zrobić ławeczkę.

Wojtek jednak nie zczekał na wiosnę. Zadzwoił w ostatnim tygodniu stycznia, pewnego mroźnego wieczoru, kiedy właśnie rozgrywaliśmy z Agatą i Krzyśkiem kolejną partię z „Osadników z Catanu”. Byłam zła, ponieważ sromotnie przegrywałam. Rafał pojechał do siebie, bo tata czuł się gorzej, a mama z Kornelką już od kilku dni były w Stanach.

Wzięłam telefon i poszłam do kuchni.

— Słucham.

— Iga?

— Tak, no jasne, że Iga.

Nie udało mi się ukryć rozdrażnienia.

— Źle trafiłem? To nieodpowiedni moment? — zapytał ostrożnie.

— Ależ skąd. Jeśli pominąć fakt, że mam beznadziejne usytuowanie osad i za diabła nie mogę uzyskać wystarczającej ilości gliny do budowy dróg, to moment jest wręcz idealny.

— Nie jestem pewien, czy rozumiem.

— Nieważne. Wal.

— Co takiego?

— Wal. W jakiej sprawie.

— A nie, wiesz, tak trochę bez powodu...

Zrobiło mi się głupio. Sądziłam, że dzwoni w sprawie projektu, a on chciał pogadać. Tymczasem ja z nim tak obcesowo... Tylko dlatego, że nie mam gliny. Bez sensu.

— Tęsknię za Tatrami, wiesz? — powiedziałam pojednawczo. — Chciałabym tam wrócić, kiedy śnieg stopnieje.

— Właśnie niedawno o tym myślałem.

— O czym?

— Że złapałaś bakcyła.

— No, powiedziałabym nawet, że podwójnie. Dosłownie i w przenośni.

Myślał przez chwilę, widocznie nie od razu zrozumiał, ale potem musiał załapać, bo zaśmiał się jakby z ulgą.

— Naprawdę się wtedy przestraszyłem. Byłaś rozpalona i te spuchnięte usta...

— Tak, opryszczka XXL. Zdarza się w najlepszej rodzinie.

— Iga, twój rzut! — wrzasnęła Agata. — Czekaamy!

— Dobra, nie będę przeszkadzał — powiedział szybko Wojtek. — Chciałem tylko powiedzieć, że ja wtedy miałem ochotę na kawę. Tylko ty zawsze tak szybko uciekasz. Więc jakbyś kiedyś chciała... Gdybyś się zgodziła, to teraz ja zapraszam.

Albo na herbatę. Na co tam będziesz miała apetyt. No, leć już, bo ktoś tam na ciebie czeka.

— To przyjaciółka...

— Zadzwoń któregoś dnia, cześć.

I rozłączył się, głupek jeden. Wróciłam do gry, ale nic mi nie szło, gliny nadal nie miałam, a do tego gromadziłam za dużo kart i co chwila zabierał mi je tak zwany złodziej, bo jakoś często wypadła siódemka (a kiedy wypadnie siódemka, to złodziej zabiera połowę kart wszystkim, którzy mają więcej niż siedem. Nie cierpię tej zasady). Mimo to czułam się dziwnie lekka i przestało mi przeszkadzać, że gram jak ostatnia oferma.

Przed zaśnięciem usiłowałam przypomnieć sobie, czy ja wtedy rzeczywiście szybko uciekłam z jego biura. Może powinnam była dać mu więcej czasu do namysłu? Może inni ludzie, choć nie walnął ich piorun, także miewają problemy z wyrażaniem własnych myśli, z doborem słów albo interpretacją komunikatów. Nawet jeśli te komunikaty są tak proste i oczywiste. Chciałabym cię zabrać na kawę. Żebyś ty mnie zabrał na kawę. Chciałabym iść z tobą na randkę. Nie chcę się zakochać, nigdy nie chciałam, ale gdyby miało mnie jednak trafić, to chciałabym, żebyś to był ty.

Ostatecznie poszliśmy na kawę w zupełnie niespodziewanych okolicznościach — mianowicie przypadkiem spotkaliśmy się w Empiku na Gdańskiej. Ja próbowałam wybrać książki, aby zappełnić kolejny regał w mojej wciąż częściowo pustej biblioteczce, a Wojtek przeglądał grubą książkę z czymś w rodzaju dawnej monety na okładce. Zajrzałam z ciekawością: Cherezińska. Nie znam.

— Cześć — powiedziałam, a on aż podskoczył. — Co kupujesz?

Przez chwilę patrzył na mnie zdumiony, jakby fakt, że przyszłam do księgarni, był jakiś strasznie dziwny.

— Jeszcze nie wiem, czy kupię — powiedział. — Lubię historię, najbardziej średniowiecze. Słyszałem, że ona dobrze pisze.

— Kup — poradziłam mu. — A potem mi powiesz, czy warto.

— A ty? — chciał wiedzieć. — Co kupujesz?

— Ja... Wszystkiego po trochu. Kompletuję biblioteczkę. Mam już ambitną prozę polską, Myśliwskiego, Stasiuka, Tokarczuk, te klimaty. Mam trochę fantasy i science fiction, mam klasykę, teraz chcę wziąć coś z literatury obyczajowej, ewentualnie dobry kryminał. Rzecz w tym, że jej nie znam i nie wiem, co warto, a czego nie tykać.

— Ile tego chcesz?

— Ile wlezie! — powiedziałam. — Ogranicza mnie tylko miejsce na półkach, a tego mam naprawdę sporo.

— Czyli żadnych limitów finansowych? — upewnił się.

Zajrzałam mu głęboko w oczy i zobaczyłam tam coś na kształt kpiny. On chyba naprawdę sądził, że jestem czyjąś utrzymanką. Co za głupek.

— Mam pieniądze — powiedziałam dobitnie. — Już ci to tłumaczyłam. Czy to źle, że chcę je wydać na książki, a nie na futro z norek?

— Nie — odparł bardzo poważnie. — Wręcz przeciwnie. To bardzo dobrze. Co powiesz na Akunina?

— Nie wiem, co powiem. Nie znam.

— To poznasz.

Podał mi trzy książki, których tytułów nie zdążyłam odczytać — było tam coś z Achillesem i Lewiatanem. Pognał dalej między regały. Wariat.

— Jak już jesteśmy przy kryminałach — powiedział, kiedy go dogoniłam — to bierz Miłoszewskiego i Kwiatkowską.

— Kto to Kwiatkowska?

— Zobaczysz. Polubisz.

— Dobrze, wierzę ci na słowo, biorę. Coś jeszcze?

— Jasne. Obyczajówki. Masz tu Sochę, Fabisińską i Olejniczak.

— O rany.

— I Ałbenę Grabowską. Jest naprawdę dobra.

— Dobrze. Ciężko mi już. Chodźmy do kasy.

— I Zyskowską-Ignaciak.

— Wojtek!

— Czekał, jeszcze...

— Chodźmy do kasy! — wrzasnęłam histerycznie. — Ręce mi się urywają!

Rzucił mi spojrzenie pełne jadowej satysfakcji. Kompletnie nie rozumiałam jego reakcji.

— Dobrze — powiedział. — Pora na rachunek.

— Pora — przytaknęłam.

Patrzył na mnie kpiąco, kiedy podałam kartę kasjerce.

— To co, teraz kawa? — zapytałam. — Tylko zaniosę książki do auta. Dasz się zaprosić? Oczywiście ja stawiam.

Nie miałam zielonego pojęcia, dlaczego w jego towarzystwie wstępował we mnie diabeł. I to taki, który najchętniej posługiwał się ironią.

— Okej — odparł Wojtek. — Najwyraźniej zarabiam znacznie mniej niż ten twój... Znaczy się, niż ty. Więc chętnie dam się zaprosić.

— Do bani z taką kawą — powiedziałam po jakichś piętnastu minutach milczenia, oblizywania łyżeczek po jabłeczniku i dmuchania w filizanki. — Na kawę się idzie nie po to, żeby się napić kawy, tylko żeby pogadać.

— Co ty nie powiesz? — sarkastycznie odparł Wojtek. — A ja myślałem, że

na kawę się idzie, żeby wbić komuś szpilkę.

— Jaką znowu szpilkę? Co ty wygadujesz?

— Szpilkę. Złośliwość. Bo się odsłonił i teraz jest mniej odporny na ciosy.

— O czym ty mówisz?!

Coś w moim wyrazie twarzy i w tonie, autentycznie zdumionym i nawet nieco zalęknionym, musiało go przekonać, że pytam poważnie.

— O liście — powiedział ostrożnie.

— O jakim liście, do diabła?

— O tym, który schowałem w walizce.

Zatkało mnie. W walizce. Ja nie mam żadnej walizki. Chwila, kiedyś miałam. Ale podarowałam ją Stefanowi.

— Powiedz to jeszcze raz.

— W wa-liz-ce.

— Zrozumiałam. Tylko to wcześniej. Co to znaczy: schowałeś?

— Schowałem. — Zarumienił się nagle. — Wsunąłem do kieszonki, pod taką siateczkę, wiesz.

— Po co?

— Nie wiem. Nie umiałem sobie poradzić z nadmiarem emocji. Tak myślę.

Dobra, dobra. Nie panikować. Wy tłumaczyć wszystko w miarę logicznie.

— Kiedy to zrobiłeś?

— W sylwestra. To znaczy bardziej już w Nowy Rok. Poszedłem do ciebie, chciałem złożyć ci życzenia i dać ten list, ale już spałaś, więc włożyłem list to walizki... Pomyślałem, że następnego dnia, jak się będziesz pakować, znajdziesz i...

— To było wtedy, gdy zasnąłam na mapie? I mi ją wyciągnąłeś spod policzka?

— Tak. — Wojtek zmieszał się nagle. — Właśnie wtedy.

Umilkłam. Usiłowałam sobie przypomnieć tamten wieczór, nasze rozmowy przy szampanie. Jakich emocji miał w nadmiarze, z jakimi uczuciami sobie nie radził do tego stopnia, że postanowił napisać list?

— Ale o czym właściwie napisałeś?

— Naprawdę nie czytałaś?

— Nie. Powiedz mi.

— Po prostu otwórz i przeczytaj. — Wojtek dopił kawę tak zamaszycie, że nad górną wargą utworzył mu się mały wąsik z fusów. — Przecież nie będę ci streszczał.

— Ale ja nie przeczytam.

— Słucham?

— Nie przeczytam, Wojtek, bo... Bo ja już nie mam tej walizki.

Rzucił mi spłoszone spojrzenie.

— Spotkałam wtedy na dworcu w Krakowie bezdomnego... Wiem, że to głupie. Pamiętasz? Mówiłam ci. Miał na imię Stefan, a ja byłam trochę dziabnięta. Podarowałam mu tę walizkę, bo była pusta, wszystkie rzeczy miałam w plecaku.

— Aha. Bez sensu.

— Przepraszam.

— Nie, no skąd mogłaś wiedzieć.

Unikał teraz mojego wzroku. Spojrzał na zegarek w taki sposób, żebym nie przeoczyła tego gestu.

— Późno już — powiedział. — Muszę wracać. Zwykle robię sobie znacznie krótsze przerwy obiadowe.

— Zaczekaj — poprosiłam. — Powiedz mi, co tam napisałeś.

— Nie, naprawdę nic szczególnego. Wiesz, takie wspomnienia o mojej żonie. Wtedy z jakiegoś powodu wydawało mi się ważne, żeby z kimś się nimi podzielić.

— A teraz już nie? Już ci się nie wydaje?

Nadal na mnie nie patrzył, kiedy kręcił głową.

— Nie wiem — odparł. — Teraz chyba już nie.

Nic nie odpowiedziałam. Dopiłam kawę, a potem wstaliśmy od stolika, pożegnaliśmy się, założyliśmy kurtki, czapki i rękawiczki, po czym każde z nas poszło w swoją stronę.

Biłam się z myślami: zadzwonić do niego czy dać sobie spokój. W końcu to nie moja wina, że włożył list do walizki, zamiast zwyczajnie pogadać o tym, co go trapi. A skoro nie moja, tylko jego, to także jego głowa w tym, żeby teraz obrócić całą tę sytuację w żart albo wręcz przeciwnie — poważnie o tym wszystkim porozmawiać.

Prawdę mówiąc, przywykłam do bycia czyjąś powierniczką. Od lat pełniłam tę rolę, gdy Agata przeżywała swoje kolejne zawody miłosne i każdy z nich musiała przepracować, obgadać ze mną i wyciągnąć z tych nieudanych związków wnioski na przyszłość. Podobno potrafiłam słuchać, tak twierdziła. Sama nie wiedziałam, czy to prawda — prawdą było natomiast to, że lubiłam, gdy mi się zwierzano. Sprawiała mi przyjemność myśl, że ludzie mi ufają. Że ktoś chce powierzyć mi swój sekret, że odsłania się przede mną. Agata, moja mama, Krzysiek, który opowiadał mi o Złej Pamelii. A ostatnio Wojtek ze swoimi wspomnieniami o Tamarze.

Pewnie dlatego teraz chciałam poznać treść owego listu. Schlebiało mi, że Kornecki — choć przecież nie znaliśmy się zbyt dobrze — obdarzył mnie zaufaniem i zaprzagnął otworzyć się właśnie przede mną. Musiało go to sporo kosztować. A tymczasem ja, jakkolwiek niewiarygodnie to brzmiało, podarowałam list z jego zwierzeniami bezdomnemu Stefanowi.

Z drugiej strony czułam się trochę tak, jak wystrojona w śliczne fatałaszkę panna, która wybiera się na spacer i doskonale zdaje sobie sprawę, że wygląda ponętnie i że panowie wodzą za nią wzrokiem — ale cóż, wpadł jej do buta maleńki kamyczek. Mimo że naprawdę niewielki, nie pozwala cieszyć się przechadzką. Uwiera i drażni, choć oczywiście nasza panna, jako istota dzielna i odporna, bólem by tego nie nazwała. Do bólu jeszcze daleko.

Co było tym kamyczkiem? Co mnie uwierało? Czy fakt, że zamiast pogadać, Kornecki wolał napisać? Ilekroć się nad tym zastanawiałam, tyle razy dochodziłam do wniosku, że mógł przecież zaproponować mi wspólny powrót samochodem następnego dnia — i po drodze powywnętrzać się trochę na temat żony, jeśli tego tak bardzo potrzebował.

Takie rozumowanie ma dwie poważne wady — odzywał się natychmiast jakiś głos we mnie. Po pierwsze: niektórzy wolą pisać. Wtedy im łatwiej. Tak już jest. Może wspomnienia o żonie były zbyt bolesne, aby mogły przejść Wojtkowi przez gardło. Może bał się niemęskich reakcji, wzruszenia i łez.

Druga sprawa to odpowiedni czas. Tak czasem bywa, doskonale o tym wiedziałam — że nadchodzi taka godzina, taka minuta i nawet sekunda, dokładnie ten jeden moment, w którym jesteśmy gotowi, w którym chce się z nas wylać

wezbraną rzeką to, co zbierało się przez całe miesiące, a może nawet lata. No więc wyobraźmy sobie, że u Wojtka taki właśnie moment nadszedł, facet się spał, zebrał w sobie, odważył się i zajrzał do mojego pokoju, aby uwolnić się od wspomnień — a ja śpię z policzkiem wprasowanym w mapę Tatr. Co robi znękany Kornecki? Wraca do pokoju, bierze kawałek papieru i pisze, by wyrzucić z siebie to, co mu się tą rzeką czy innym potokiem chciało wylać. Potem, wciąż pod wpływem emocji, zanosí to do mego pokoju, wsuwa pod siateczkę do walizki (za diabła nie pamiętałam, że tam w ogóle była jakaś siateczka), po czym idzie spać. I już mu lepiej.

Niezależnie od tego, która z tych wersji była prawdziwa, pozostawało pytanie: Czego on ode mnie oczekiwał? Czy list kończył się prośbą o radę? O pomoc? Czy był tylko próbą wywleczenia brudów po to, aby zabrał je nurt codzienności, aby oczyścić się i pozwolić temu wszystkiemu przeminąć?

Jak widać, obracałam całą sprawę niczym jakąś nieudaną szklaną kulę, oglądałam ze wszystkich stron i usiłowałam wywróżyć z niej najbliższą przyszłość. Co ja powinnam zrobić, co uczyni Wojtek, czy cokolwiek z tego dziwnego zamieszania wyniknie? Pewnie ostatecznie bym zadzwoniła i poprosiła o spotkanie, by wypytać go jeszcze raz o treść listu — ale zdarzyło się coś absolutnie, kompletnie, totalnie nieoczekiwanego...

Była sobota, początek lutego. Wraz z Agatą układałyśmy właśnie w biblioteczkę moje nowe zdobycze. Wprawdzie ustawiłam je wcześniej na pustych półkach, lecz tego dnia wstąpiła w nas nowa energia i uznałyśmy, że książki w porządnej bibliotece powinny być ułożone alfabetycznie.

Rafał urwał się do domu; w ostatnich dniach musiał się popołudniami zajmować tatą. Byłyśmy z Agatą w świetnych humorach, ponieważ spędziłyśmy przedpołudnie na zakupach i obie przywiozłyśmy cudowne trofea — ja spodnie rurki w drobną pepitkę (wyobraziłam sobie, jak zakładam do nich czarne botki i skórzaną kurtkę, ech, i uwodzę pół męskiego świata, a wtedy Wojtek Kornecki pęka z zazdrości), zaś Agata bardzo kobiecą, burgundową sukienkę z głębokim dekoltem.

— Właściwie to grzech, że nie kupiłyśmy do niej wina — stwierdziła moja przyjaciółka. — Powinnam założyć tę kieckę i wytrąbić burgunda, i wtedy by mnie wzięło na zwierzenia...

Z czegokolwiek chciała mi się zwierzyć, przerwał jej dzwonek do drzwi. Poszłam otworzyć, z jakiegoś powodu absolutnie przekonana, że to Rafał wrócił, żeby nam pomóc. Albo w jakimś innym celu. W każdym razie — to powinien być Rafał. Ale nie był. Był to natomiast Krzysiek z moją matką.

— Cześć, córeczko! O, witaj Agatko! — powiedziała rozpromieniona mama, wchodząc i otrzepując buty z resztek śniegu. — No, nareszcie mogę obejrzeć to wasze gniazdko. Myślałam, że już nigdy mnie nie zaprosicie.

Krzyś miał na twarzy totalne, doskonałe w swym wyrazie przerażenie. Natomiast mama była uosobieniem ciekawości. Weszła, rozglądając się po holu, potem powęszyła nieco w kuchni i salonie, wreszcie jednak dała się usadzić na fotelu.

— Spotkałem mamę w IKEA — powiedział nieco teatralnie Krzysiek. — Wybierałem poduszki, tak jak chciałaś. Powiedziała, że czy tego chcę, czy nie chcę, muszę ją do nas przywieźć na kolację. Sterroryzowała mnie normalnie.

Rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie, a ja uśmiechnęłam się głupkowato i zatrzepotałam rzęsami.

— A co ty, mamó, kupowałaś? — zapytałam słabym głosem.

— Ja to właściwie nic — powiedziała mama beztrąsko. — Lubię się tak przejść i poplanować. Może jakiś pokoik dziecięcy czy coś? Jak chcesz, to ci kupię zasłony, bo nie masz, widzę. A dom bez zasłon to jak oko bez makijażu.

— My nie lubimy zasłonek, mamó — powiedziałam, a wtedy Krzysiek w geście solidarności podszedł i objął mnie w pasie.

— I jadalnię macie taką jakby pustą — orzekła mama, kompletnie nie przejmując się naszą mową ciała, która wyrażała sprzeciw wobec jej wścibskiego nosa.

Wystraszyłam się. Mama rzuciła ciekawskie spojrzenie na schody, potem skierowała wzrok w stronę łazienki. Wiedziałam, że zaraz wybierze się na inspekcję. A wtedy zauważy, że w szafce łazienkowej są wyłącznie babskie kosmetyki, a na kaloryferze suszy się tylko jeden ręcznik kąpielowy. Ponadto w garderobie i sypialni nie znajdzie ani śladu bytności męzczyzny. Nie, po prostu nie mogłam pozwolić na to, żeby tam poszła.

— Napijemy się wódki — zawołałam, olśniona nagle myślą, że przecież Maczek przyniósł mi onegdaj absoluta. — Mam cytrynową. Musimy oblać wizytę mamy.

— Taka okazja, masz rację — podchwycił Krzysiek, który rzucił spłoszone spojrzenie na drzwi do toalety i najwyraźniej pomyślał o tym samym. — Iguś, kochanie, polej.

W całym tym zamieszaniu, które nastąpiło później, zupełnie nie zwróciłam uwagi na to, że Agata kurczy się coraz bardziej w sobie, że podczas gdy Krzysiek przytula mnie, cmoka w policzek i udaje, że czule mierzwi moje włosy, a ja nalewam wódkę i podsuwam ją mamie (i oczywiście Krzyśkowi) — moja przyjaciółka blednie i ma coraz większe oczy... Niestety, wszystko to działo się zbyt szybko i zupełnie po wariacku. Kiedy nalewalam mamie kolejny kieliszek, kiedy Krzysiek sypał jak z rękawa anegdotami z naszego „wspólnego życia”, kiedy

oboje jak szaleni pracowaliśmy nad tym, aby przekonać mamusię, że nie musi zwiedzać reszty domu, ponieważ jego serce znajduje się tutaj, gdzie kochający się ludzie, czyli my — Agata wstała i jak duch ulotniła się, wyszła po angielsku, zniknęła po prostu. I ani ja, ani Krzysiek, kompletnie tego nie zauważyliśmy, choć dla nas obojga, jak się miało nazajutrz okazać, właśnie Agata była jedną z najważniejszych osób na świecie.

Okoliczności wymagały, aby Krzysiek został u mnie na noc, a to z tej przyczyny, że zwyczajnie nie był w stanie wrócić do domu.

— Pśluchj — wybełkotał, kiedy Benio przyjechał po mamę i zabrał ją do domu, pełnym wyrzutu wzrokiem oceniwszy szkody, jakie poczyniliśmy (a były nieliczne: mama ledwie trzymała się na nogach). — Ja prstu musz tu zostć. Upiłm ś okrpń.

Jakoś dziwnie się urznął; do tego stopnia, że zjadało mu głównie samogłoski.

— Nie ma problemu, Krzysiu — odparłam łagodnie, rozglądając się za odpowiednim miejscem do spania dla takiego półtrupka.

Mogłabym pościelić mu na narożniku, ale było dość daleko do łazienki, a obawiałam się wypadku związanego z nagłym „wyjazdem do Rygi”.

— Chodź ze mną — powiedziałam i pociągnęłam go za sobą na górę. — Pościelę ci w tak zwanej sypialni dla gości, wprawdzie tam jeszcze nie ma łóżka, ale coś mi mówi, że dzisiaj nie zauważysz różnicy, jeśli zdrzemniesz się na zwykłym materacu.

Krzysiek próbował coś odpowiedzieć, ale nie bardzo mu to wychodziło. Albo może mnie słabo szło domyślanie się treści z samych spółgłosek — dość że w końcu położyłam go na materacu, przykryłam śpiworem, obok postawiłam miseczkę na ewentualne pawiki, po czym wyszłam, zostawiając uchylone drzwi i zapalony kinkiet w łazience, aby mu wskazywał drogę niczym latarnia morska.

Było już po pierwszej w nocy, ale zupełnie nie chciało mi się spać (może dlatego że w odróżnieniu od mamy i Krzyśka nie piłam, co oczywiście natychmiast wzbudziło mamine podejrzenia, że jestem w ciąży). Próbowałam trochę poczytać, ale nie mogłam się skupić na żadnej historii, wszystkie wydawały mi się miałkie i nieprawdziwe. Czułam się dziwnie rozdrażniona, jakby ten kamyczek w bucie wciąż uwierał mnie w piętę, jakby gdzieś coś rozdrapywało mi małą ranę i nie pozwalało się zagoić. Kilka razy sprawdziłam, czy Wojtek nie zadzwonił albo chociaż nie napisał esemesa. Niestety nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

Zasnęłam dopiero nad ranem i ostatecznie pospałam raptem godzinę. Obudził mnie dźwięk trzaskania czajnikiem o zlew.

— Co usiłujesz zrobić? — zapytałam, schodząc na dół. — Rozwalasz czajnik? Co ci zawinił?

— Ciii. — Krzysiek bardzo powoli zbliżył palec do ust i pokazał, żebym nie mówiła tak głośno. — Próbuję nabrać wody.

Nie bardzo sobie radził, przejełam więc stery, a tymczasem on, skulony nad miseczką, zasiadł na kanapie w salonie i zakrył sobie oczy dłonią.

— Strasznie daje po oczach — wyszeptał. — Nie mogłabyś zgasić?

Rozejrzałam się; światło nie było zapalone; musiało mu chyba chodzić o wschód słońca. Nie bardzo byłam w stanie pomóc w tej kwestii, a rolet nie posiadałam.

— Połóż się — poradziłam życzliwie. — I przykryj sobie oczy poduszką. Chcesz herbaty czy kawy?

— Herbaty.

— Pawie latały nisko czy górami?

— Nawet nie mów o pawiach, bo od razu mi niedobrze.

Czyli chyba wcale nie latały; nie byłam pewna, jak zinterpretować tę odpowiedź. Zrobiłam mu mocną herbatę, sobie zaparzyłam kawę.

— Rozwiązałam zagadkę — przypomniało mi się nagle. — To znaczy nie ja, tylko mój... przyjaciel. Rondle Odwłok to Gary Cooper, tak?

— Tak.

— Niezłe.

— Uhm. — Krzysiek przez chwilę milczał, usiłując znaleźć odpowiednie ułożenie dla swojego znękanego kaczuszką ciała. — A powiedz mi, Iga... Właściwie kiedy Agata wczoraj wyszła?

Zastanowiłam się, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć.

— Nie mam pojęcia — wzruszyłam ramionami. — Dlaczego pytasz?

— Bo nie wiem, nie jestem pewien... Czy to było po tym, jak twoja mama zaczęła mówić o ciąży?

Tym razem zamilkłam na dłużej. Nie pamiętałam.

— Naprawdę nie jestem w stanie... Nie wiem.

— A wcześniej, jak cię przytuliłem, a mama już była w ciąży i powiedziała, że tak długo jesteśmy razem, że może pora na ślub... Myślisz, że Agata to słyszała?

Zastanowiłam się, ale tym razem nie nad tym, o co pytał, lecz raczej — dlaczego zadawał te pytania.

— Krzysiek — zapytałam ostrożnie. — Czy ty chcesz mi coś powiedzieć?

Naciągnął sobie poduchę na całą twarz.

— Nie chowaj się — rzekłam stanowczo. — Mów. Całą prawdę i tylko prawdę, prosto w oczodoły. Mnie się od jakiegoś czasu wydawało, że wy do siebie czujecie jakąś miętę. Coś było?

Zachnął się pod tą poduszką.

— Nic jeszcze nie było, bo ona jest taka ostrożna. Wstrzemięźliwa. Mówi, że się sparzyła i że facetom nie można zaufać.

— Bo to prawda. Sparzyła się.

— Guzik mnie to obchodzi. Ja też się sparzyłem, a nie uogólniam, tak? To niesprawiedliwe. Że Pamela była puszczalska, to od razu mam skreślać inne dziewczyny?

— Nie, oczywiście że nie. Agata też nie skreśla... ani ciebie, ani... To znaczy nie skreśla cię, absolutnie.

— Iga?

— No?

— Ale dlaczego ona tak zniknęła? Nie pożegnała się, nie powiedziała nawet, że idzie...

— No właśnie.

Niejasno przeczuwałam, że coś się wydarzyło. Coś, co oboje z Krzyśkiem przeoczyliśmy, zajęci sobą i własnym problemem, czyli — moją matką. Jeżeli rzeczywiście między Agatą a Krzyśkiem coś się zaczynało dziać, w sensie — DZIAĆ, a nie tylko iskrzyć i dymić, to właśnie zraniliśmy moją jedyną przyjaciółkę, dziewczynę, której zawdzięczałam to, że nie oszalałam z samotności w wieku dojrzewania (i zresztą później też), że... Jednym słowem, zawdzięczałam jej wszystko.

Natychmiast chwyciłam za telefon i wybrałam jej numer. Trochę trwało, zanim odebrała, ale w końcu to zrobiła.

— Słucham.

Brrr, jak zimno zabrzmiał jej głos. Teraz już miałam pewność, że nieźle nabroiliśmy.

— Masz jeszcze dwie godziny do otwarcia zakładu — powiedziałam. — Przyjedź na kawę.

— W dupę jeża.

Aha, czyli było nawet gorzej, niż myślałam.

— Aguś, musimy pogadać.

— Nie ma o czym.

— Ależ jest.

— Nudzisz mnie. Muszę się szykować.

— Ale Agata, pozwól sobie wytłumaczyć.

— Nie ma czego tłumaczyć. To w końcu jesteś w tej ciąży? Zamierzałaś mi kiedyś powiedzieć?

Zerknęłam na Krzyśka, ale przykryty poduszką pewnie nie słyszał. W każdym razie znałam już odpowiedź na jedno z jego pytań. Zawsze coś.

— Jesteś głupia i masz wszy na pępku — oznajmiłam. — Czy ja cię kiedyś oszukałam?

— Nie. — Rozplakała się nagle. — I właśnie dlatego teraz tak boli.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, rozłączyła się. Próbowалам zadzwonić jeszcze kilka razy, ale już nie odebrała.

Krzyśiek zasnął. Kiedy poduszka zsunęła mu się z głowy i zobaczyłam, jaki odcień przybrało jego oblicze, uznałam, że to nawet lepiej. Niech śpi. Kto śpi, ten nie „woła lwa”, jak określali sensacje żołądkowe moi znajomi z akademika. Ja

jednak nie mogłam odpoczywać po tej dziwacznej nocy, musiałam działać. Kiedy tylko przyjechał Rafał, kazałam mu się zawieźć pod zakład fotograficzny „Babette”, a następnie samemu wrócić do Domu Nad Rzeką, dopilnować, żeby Krzysiek wypił herbatę, a potem odwiedzić go, gdzie sobie tylko biedak zażyczy.

Zanim Agata przyjechała do pracy, zdążyłam porządnie zmarznąć. Był mróz, a w nocy spadło trochę śniegu. Trzęsłam się jak galareta.

— O, Iga. Cześć. Nie boisz się, że dziecko przeziębisz? — zapytała Agata na mój widok głosem jeszcze zimniejszym niż otaczające nas powietrze.

— Nie. Nie boję się — odparłam. — Jedyne, czego się boję, to głupota. Szczególnie bolesna bywa u ludzi, których do tej pory ceniliśmy i uważaliśmy za inteligentnych.

— Może to błąd — odparła, otwierając drzwi. — Może oni w rzeczywistości są naiwni i głupi.

Potem odwróciła się w moją stronę i przybrawszy odpychający wyraz twarzy, dodała:

— Wybacz, nie mam dziś dla ciebie czasu.

— Gówno prawda — odpowiedziałam i aż mnie zatkało na chwilę, że jestem taka odważna pod względem doboru słów, bo przecież zasadniczo nie używałam wulgaryzmów. — Ja tu jestem jako klientka. Przyjechałam na sesję.

— Ciężową?

Ech, ta jej złośliwość. Ale w sumie złośliwi bywają tylko ludzie bystrzy. Głupim to nie wychodzi.

— Niestety nie. Raczej żalobną — syknęłam. — Dziś jestem w nastroju pogrzebowym. Żegnam się z przyjaciółką, która uznała, że nie warto wysłuchać, co mam do powiedzenia. W związku z czym uważam to za pogrzeb naszej wieloletniej przyjaźni.

— Słusznie uważasz.

Kurczę, twarda jest, pomyślałam. Musi jej naprawdę zależeć na Krzyśku.

— Więc co z tą sesją? — zapytałam. — Czy może profesjonalizm przegra z tanim sentymentalizmem?

— Ależ proszę, oczywiście. Służę jaśnie pani.

Chwilę trwało, zanim Agata pozapalała światła, ustawiła blendy i podkręciła taboret na właściwą wysokość. Czekałam cierpliwie. Wreszcie stanęła za aparatem.

— Nie wiedziałam, co powiedzieć mamie — zaczęłam. — Wiesz, kiedy wygrałam tę koszmarną forszę. Więc wymyśliłam takie kłamstwo, że niby wyprowadzam się do bogatego narzeczonego. Krzysiek remontował mi dom. Zapropnowałam mu, żeby za pieniądze udawał mojego chłopaka.

Agata milczała, coś tam ustawiała, kręciła obiektywem. Doskonale wiedziałam, że słucha.

— Byliśmy raz u mamy na obiedzie, zresztą Krzysiek zhańtował się wtedy

pod stół. Potem było jeszcze kilka takich spotkań, za każde zarabiał stówę. Do jego obowiązków należały cmoknięcia, przytulańce, czochranie po głowie, takie tam gesty. Nie byłam z tego dumna, wręcz przeciwnie, trochę mnie to upokarzało, dlatego ci nie powiedziałam. Miałam zamiar to odkręcić, powiedzieć mamie, że mnie puścił kantem, ale ciągle brakowało albo czasu, albo odwagi, albo pomysłu, jak właściwie powinnam to wszystko rozegrać.

Lampa błysnęła, pierwsze zdjęcie zostało zrobione. Agata udawała, że nie jest zainteresowana.

— Bo widzisz, nie bardzo wiem, jak wyjaśnić fakt, że on mnie rzuci, ale zostawi mi dom. Niby ustaliliśmy, że poskarżę się mamie, jakobym nakryła Krzyśka na jakichś ciemnych sprawkach i wtedy, żeby mi zamknąć usta, on zapisał na mnie dom. Taka transakcja: ty milczysz, ja ci zostawiam chatę. Albo coś w tym rodzaju. Ale w praktyce to wymaga dopracowania. Wojtek mówi, że to okropnie grubymi nićmi szyte. I dlatego tak z tym zwlekam...

— Profil — powiedziała Agata.

Aha, czyli zaczyna się odzywać. Dobra nasza. Usiadłam nieco bokiem.

— Wczoraj, kiedy pojawiła się mama, oboje wpadliśmy w panikę, jak zresztą mogłaś zauważyć. Kompletna pustka w głowie. A co będzie, jeśli ona pójdzie na górę i zobaczy, że w sypialni nie ma jego rzeczy, co jeśli zajrzy do łazienki, do którejkolwiek szafy? Dlatego wyciągnęłam wódkę, żeby mamę unieszkodliwić.

— Drugi profil.

— Spanikowaliśmy okropnie, przyznaję. Do tego stopnia, że zapomnieliśmy o twojej obecności. Strasznie mi głupio, bo przecież od dawna widziałam, że coś się między wami dzieje, choć nie byłam pewna, bo nic nie mówiłaś...

— Broda niżej.

— A dziś rano, jak Krzysiek zaczął chorować, to już nabrałam pewności. Bo on nic, tylko pytał o ciebie. Kiedy wyszłaś i dlaczego bez słowa. I czy to możliwe, że wzięłaś to wszystko na poważnie. I czy ja ci o niczym nie powiedziałam, ale dlaczego nie powiedziałam, co ze mnie za przyjaciółka...

— No właśnie! — wrzasnęła Agata. — Co z ciebie za przyjaciółka?! Skoro widziałas, czułaś, że Krzysiek zaczyna dla mnie coś znaczyć, że zaczynam się w nim... Bo ja sobie obiecałam, że nie zakocham się nigdy więcej, ale on przecież jest taki... A ty ani słowa!

Wiem, można się w tym pogubić. Ja jednak doskonale nadażałam za jej tokiem myślenia.

— A z ciebie? — Odbiłam cios. — Co za przyjaciółka? Nie zwierzyłaś się, nie powiedziałaś ani słowa? Ja się muszę domyślać? Przecież gdybyś po ludzku ze mną pogadała, sprawa by się ryła, bo wszystko bym ci wyjaśniła...

— Ale ja nie wiem! — Agata rozbeczała się nagle. — Ja wcale nie wiem.

Może on jest taki sam jak Sebastian. Mięśnie ma takie, że... Że ...

— Co tam mięśnie — odparłam, podbiegając i biorąc ją w objęcia. — On ma mózg, dziewczyno. Jest odczytany. Skończył polonistykę.

— Dla ciebie każdy, kto skończył polonistykę, jest geniuszem — zauważyła Agata, wycierając nos w sweter na moim ramieniu. — Ale z mózgiem się rodziny nie zakłada, tylko z sercem, wiesz?

— Serce też ma — uspokoiliam ją. — Samo to, że zgodził się udawać mojego chłopaka, świadczy o jego wrażliwości. Był wtedy zakochany, zresztą nieszczęśliwie, w Złej Pamelii...

Jasny gwint, że też nie ugryzłam się w język. Oblicze Agaty przybrało kolor, który trochę kojarzył mi się z biskupią purpurą. Ni to sine, ni czerwone.

— Nic nie wiem o Pamelii. Kto to taki? Kiedy to się skończyło? Opowiadaj! — zażądała, a ja zapragnęłam schować się do skorupki jak ślimak.

— Wiesz co? — powiedziałam, jako że żadnej skorupki w pobliżu nie było, a jakoś wybrnąć przecież musiałam. — Najlepiej będzie, jeśli on ci sam o tym opowie. Ja nie powinnam zdradzać cudzych tajemnic. Jemu nie powiedziałam o twoim Sebku, zresztą nie wspomniałam też o Marku, Jonaszu ani Patryku.

Agata stopniowo nabierała normalnego koloru.

— Powiem ci tylko jedno — dodałam jeszcze konspiracyjnym szeptem, bo doskonale wiedziałam, że to zadziała. — To jest tak pokiereszowany chłopak, że trzeba go teraz dosłownie poskładać na nowo. Stracił wiarę w siebie [przesadzałam], wiarę w miłość [okropnie przesadzałam] i nawet te wiesz, męskie potrzeby mu się chyba przyblokowały [tu już w ogóle zagrałam *va banque*]. No, chyba że to ja tak kompletnie na niego nie działałam.

Znałam moją przyjaciółkę od dzieciństwa. Wiedziałam, że zrobi wszystko, byle Krzysia odblokować, zarówno w sensie wiary w miłość, jak i męskich potrzeb. Bo przecież dla kobiety nie ma nic przyjemniejszego niż świadomość, że to właśnie ona rozgrzewa faceta do czerwoności i potrafi wyleczyć go z erotycznej niemocy.

Jak to załatwili między sobą — nie mam pojęcia, dość, że wkrótce kochali się jak dwa aniołki. Pozostał jednak między nimi cień nieufności, co objawiało się na przykład niechęcią Agaty do wszelkich sytuacji, w których pozostawałam sam na sam z Krzyśkiem. Uznała, że jest to zagrożenie dla naszej przyjaźni. Stanowczo zabroniła mu bawić się w mojego narzeczonego, a na mnie wymogła obietnicę, że operacja „Porzucona” zostanie przeprowadzona jak najprędzej.

Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Obgadaliśmy rzecz w trójkę, czyli ja, Agata i Rafał, bo bałam się, że chlapiemy o jedno słowo za dużo przy Krzyśku, niewtajemniczonym w sprawę mojej wygranej w Lotto. Ustaliliśmy następującą wersję oficjalną, przeznaczoną dla uszu mamy: przyłapałam narzeczonego w uściskach z obfitą blondyną. Opętana zazdrością, śledziłam go potem przez dwa dni — i przyłapałam z następną, tym razem rudą. Przyparty do muru przyznał się, że zatrudnia owe panienki, a jego bogactwo pochodzi między innymi z sutenerstwa. Aby uspokoić mnie, tryskającą jadem i żądną zemsty, zaproponował mi polubowne rozstanie. Ponieważ dom już wcześniej, w chwili kupna, zapisany był na mnie, ustaliliśmy, że tak zostanie. Jako nagroda pocieszenia.

— Twojej mamy to nie zastanowi? — zapytał z powątpiewaniem Rafał. — No wiesz, że dom kupiliście od razu na ciebie? To trochę dziwne posunięcie u gościa, który cię zdradza z prostytutkami.

— On prał brudne pieniądze — wyjaśniłam. — Żeby nie mieć problemów z urzędem skarbowym, bo niby skąd miał taką gotówkę, zaproponował, że kupimy dom na mnie. A ja byłam głupia i naiwna, wcale mnie to nie zdziwiło, bo myślałam, że to dowód miłości.

— Potrafisz tak dobrze zagrać? — martwiła się Agata. — Może na wszelki wypadek się upij, bo to wcale nie będzie łatwo beczeć, zawodzić i w ogóle brzmieć autentycznie w tej rozpacz.

— Jeśli się upiję, to równie dobrze mogę się zacząć chichrać — zaprotestowałam. — Nie daj Boże weźmie mnie na szczerłość i powiem całą prawdę. Nie, absolutnie. Muszę być trzeźwa jak świnia.

Jak chcesz. Ale ja się obawiam, że mama ci nie uwierzy. Zacznie wypytywać, ty się sypniesz na jakimś drobiazgu i cała sprawa się wyda.

A jednak, wbrew czarnowidztwu Agaty, wszystko się udało. Pojechałam do mamy na niedzielny obiad, ubrana w szarobury porozciągany sweter, bez makijażu i z niestaranną fryzurą. Modliłam się tylko o jedno: żeby nie spotkać w windzie Wojtka. Moje życzenie się spełniło: natknęłam się jedynie na Maćka, który prawdopodobnie także wybierał się w odwiedziny połączone z konsumpcją.

— Chora? — zapytał po przywitaniu, co upewniło mnie, że moja stylizacja jest całkiem udana.

— Paskudna jelitówka — mruknęłam, skutecznie wypłaszając go w przeciwny kąt windy.

Zachciało mi się śmiać. I pomyśleć, że jeszcze kilka miesięcy temu za wszelką cenę chciałabym go właśnie zwabić ku sobie. Teraz był mi obojętny tylko dlatego, że pyknął sobie selfie na moim tarasie. Chociaż, jak się tak porządnie zastanowić, to może nie tylko dlatego (ale na porządne zastanowienie nie miałam w tym momencie czasu, ponieważ wysiadłam z windy).

— Bój się Boga, jak ty wyglądasz! — zawołała mama na mój widok. — A Krzyś nie przyjdzie?

Jakby nie dowierzała, wyrzała jeszcze na klatkę schodową i sprawdziła.

— W tym stanie puszcza cię samą! — skomentowała, nawet nie próbując ściszyć głosu. — Przecież wyglądasz jak z krzyża zdjęta. Na początku ciąży się wymiotuje, mdleje, różnie bywa!

Nerwowo szarpałam ją za rękaw, bo mówiła to wszystko stojąc w progu. Piętro wyżej trzasnęły drzwi windy i dał się słyszeć głos któregoś z braci Korneckich.

— Mamo, daj spokój! — wykrzywiłam usta w podkówkę. — Przecież nie jestem w ciąży.

— Ja tam swoje wiem...

— Nie jestem! — krzyknęłam histerycznie, nie zwracając uwagi na Benia, który pomachał do mnie z kanapy w salonie. — Nie jestem i nie będę! Rozstaliśmy się z Krzyśkiem, bo on był... On był... Kurwiarzem był!

Z trudem, ale jednak przeszło mi to przez gardło. Natomiast z płaczu nic nie wyszło. Próbowałam, słowo honoru, było już nawet blisko, ale wymuszone łzy zatrzymały się w oczach i za diabła nie chciały polecieć. Postanowiłam więc pójść raczej w stronę histerycznej wściekłości.

— Blondynka! — wykrzykiwałam. — Potem ruda! Jedna, druga, no kto to widział! A tak się łąsił, tak się uśmiechał. Ja myślałam, że kocha, dom przecież na mnie zapisał, to myślę sobie, do końca życia, no nie? A tu jedna łachudra, druga, no ileż można! I w końcu się przyznał. On normalnie regularny burdel prowadził, mamo! Z tego były te jego wielkie pieniądze! Wyobrażasz sobie?

Umilkłam na moment dla zaczerpnięcia oddechu i zdumiało mnie, jak cicho się zrobiło. Po raz pierwszy w życiu mama nie próbowała wchodzić mi w słowo, nie przerywała i nie forsowała swojego poglądu na sprawę. Ba, wyglądało na to, że ona w ogóle nie ma żadnego poglądu. Na chwilę stała się smutną, oszołomioną matką, która pojęła już, że ktoś skrzywdził jej córkę, tylko kompletnie nie rozumiała, jak to się mogło stać.

Westchnęłam. Może przesadziłam z aktorstwem.

— I co? — zapytała mama bezradnie. — Nie wrócił?

— Ale jak to?! O co ty właściwie pytasz, mamó?! Jak to „wrócił”?! Ja go już nie chcę, nie rozumiesz? Nie będzie się drań jeden prowadzał z panienkami lekkich obyczajów! Jeszcze mi jakieś choróbsko przyniesie!

Tym razem wcale nie musiałam grać; naprawdę się zaciętrzewiłam i prawie uwierzyłam, że Krzysiek rzeczywiście mnie zdradził.

— Iguś, to nie te czasy... — Głos mamy brzmiał błagalnie. — Teraz one są czyste, zabezpieczają się, do lekarzy chodzą.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Opadły mi zarówno ręce, jak żuchwa. Nawet Benio rozdziawił usta i patrzył na matkę ogłupiały.

— Bo ten dom... — wyszeptła, nagle zmieszana i jakby niższa o kilka centymetrów. — Taki ładny, z ogrodem, urządziłaś go już przecież i byłaś taka kwitnąca, taka szczęśliwa. Nigdy przedtem nie wyglądałaś tak ślicznie. I dziecko.... Myślałam, że zajdziesz w ciążę. Że wszystko będzie dobrze.

— Bo będzie, mamó — oznajmiłam z werwą, siadając na krześle w salonie i udając, że wycieram załzawione oczy. — Ja sobie dam radę. Z Krzyśkiem czy bez Krzyśka. A konkretnie bez Krzyśka.

— Przychodzi niedźwiedź do zajaczka i pyta, dlaczego tamten się tak rozmnaża... — zaczął Benio, ale napotkawszy wzrok mamy, ujrzał w nim coś takiego, że zamilkł i nie odezwał się już do końca mojej wizyty.

Odetchnęłam z ulgą, bo obawiałam się, że ten jeden raz nie wytrzymam i wbiję mu widelec w oko.

— Jeśli jest coś na ten obiad, to ja bym może zjadła — dodałam jeszcze, bardzo się pilnując, żeby nie zabrzmiało to radośnie. — A potem szybko wracam do domu. Muszę dbać o swoje. Nie dam się skrzywdzić, nie bój się, mamuś. Dom jest kupiony na mnie i nikt mi go nie zabierze.

— Jesteś pewna? — zapytała jeszcze mama, stawiając przede mną miseczkę z pachnącym żurkiem, w którym pływała biała kiełbasa. — Może poradź się jakiegoś prawnika, tak na wszelki wypadek.

— Tak zrobię, masz rację — zgodziłam się. — Pyszny żurek, dziękuję. Jak to jednak dobrze zjeść domowe jedzenie, od razu świat nabiera kolorów.

Mama pokraśniała, ja ponownie odetchnęłam z ulgą, i tylko Benedykt jadł w milczeniu, obrażony albo wystraszony. Nieważne; grunt, że milczał.

Niedzielne popołudnie spędziłam w boskim nastroju. Wyłączyłam telefon, żeby mama nie mogła zadzwonić i wypytywać mnie o samopoczucie, upiekłam sobie faworki i zjadłam od razu całą blachę (zjadłabym i drugą, ale trochę mnie zemdliło od cukru pudru), i położyłam się na kosmatym dywanie, który ostatnio kupiłam do salonu. A więc tak smakuje wolność, myślałam. Tak właśnie czuje się człowiek, który wszystko może, a nic nie musi. Nie musi udawać, kłamać, kręcić.

Może wsiąść do pociągu byle jakiego i pojechać przed siebie. Może się rozebrać i łązić na golasa przez cały dzień. Może sobie zaprosić kogo chce, napić się z nim czego chce i uprawiać seks, i może też nikogo nie zapraszać, niczego nie uprawiać i w ogóle nie pić.

Po dwóch godzinach ten dziwny nastrój zaczął mnie nieco nudzić. Wszystko mogę, też coś. I co z tego? Jestem sama i nie mam do kogo gęby otworzyć. Do mamy nie zadzwonię, bo póki co muszę jeszcze poudawać zdruzgotaną. Agata z Krzyśkiem byli na randce. Rafał miał wolne, nie mogłam mu przecież zawracać głowy w niedzielę.

Z nudów wyszłam na dwór i przeszłam się po moim ogrodzie. Było już zupełnie ciemno, ale na niebie świecił księżyc i migotały miliony gwiazd. Lekki mróz szczypał mnie w brodę, ostre jak brzytwa powietrze wypełniło moje płuca i napełniło mnie nową energią.

— Kiedyś będzie tu pięknie — powiedziałam do siebie. — Zrobię sobie rajski ogród.

Jak energia, to energia. Weszłam do domu, wzięłam kąpiel w wannie wypełnionej pianą o zapachu granatu, po czym opatuliłam się mięciutkim szlafrokiem, na stopy naciągnęłam grubaśne wełniane skarpety i z kubkiem herbaty z cynamonem zasiadłam do komputera. Ogrodniczy sklep internetowy? Cóż, były tego setki. Świat Cebul, Future Garden, Sadowniczy... Otworzyłam sobie kilka witryn i przepadłam z kretesem.

Jakiś czas później, kiedy z pałającymi policzkami i kompletnie rozczochranymi włosami dorzucałam do koszyka kolejne sadzonki bodziszków, nanosząc je jednocześnie (w postaci małych różowych kółeczek) na kartkę papieru, na której próbowałam naszkicować coś w rodzaju amatorskiego projektu zagospodarowania ogrodu, rozległo się pukanie do drzwi.

Pewnie mama doszła do siebie i zafunduje mi teraz sesję pocieszenia, pomyślałam. Rzuciłam okiem w lustro — koszmar, obraz nędzy i rozpacz, każdy włos w inną stronę. Bardzo dobrze, tak właśnie powinna wyglądać zdradzona kobieta. Otworzyłam ze zboląłą miną i zamarłam, ponieważ w progu stał Wojtek Kornecki.

— O kurczę — powiedział — Widzę, że rzeczywiście cię wzięło.

— Ale co mnie wzięło?

— Jelitówka — wyjaśnił. — Maciek mi mówił, że spotkał cię w windzie i wyglądałaś jak nieszczęście, ale nie sądziłem, że jest aż tak źle. Mogę wejść?

Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, że stoimy w drzwiach. Wpuściłam go, przyglądałam jako tako włosy i poprawiłam szlafrok, którego rozchełstane poły odsłaniały trochę za bardzo moją klatkę piersiową. Byłam zupełnie naga pod tym szlafrokiem i ta myśl sprawiła, że poczułam się nieco... nienaturalnie podeksycytowana.

— Przywiozłem ci orzechówkę — powiedział Wojtek, zdejmując kurtkę i wyciągając z wewnętrznej kieszeni zgrabną piersiówkę. — Ciocia Lodzia robi co roku i rozdaje całej rodzinie.

— Lodzia? — powtórzyłam bezmyślnie, bo przez tę wcześniejszą niezdrową ekscytację poczułam się strasznie zakłopotana.

— Leokadia. Podobno świetnie działa na żołądek. Znaczy... orzechówka, a nie ciocia.

— Tak, tak — potwierdziłam. — Ciocia nie. To ty się rozgość, a ja skoczę na górę, ubiorę się.

Rzucił mi nieodgadnione spojrzenie, jakby pełne wyrzutu, ale nie próbowałam nawet interpretować, o co mu chodziło, tylko czmychnęłam czym prędzej i ubrałam się w polarowy dres. Oczywiście nie zapomniałam o biustonoszu udającym biust. Dopiero wtedy poczułam się pewniej.

— Nalałem ci — powiedział Wojtek, kiedy zeszałam do niego do kuchni. — Te kieliszki masz trochę za duże, więc tylko trzy czwarte. Myślę, że więcej nie przełkniesz.

Miał całkowitą rację — więcej nie dałabym rady. Było ohydne; z pewnością ciocia Lodzia nie sporządzała tej nalewki z myślą o kubkach smakowych swoich krewnych.

— Coś obrzydliwego — oznajmiłam. — Zrobić ci kawy albo herbaty?

— Ja sam sobie zrobię, ty się połóż. Jeszcze zemdlejesz. A co tu robisz? — zapytał Wojtek, który tymczasem podszedł do stołu w jadalni i oglądał mój nieudolny projekt ogrodu.

— Sadzę bodziszki. I floksy, i liliowce.

— Aha. Czyli nie chcesz tych roślin z mojego projektu?

Złapałam się za brzuch, bo przypomniało mi się, że powinnam zachowywać się jak człowiek chory, i podreptałam na kanapę do salonu.

— To nie tak, że nie chcę — wyjaśniłam. — Po prostu zaczęłam przeglądać oferty sklepów internetowych, i tak kompletnie zbzikowałam, że zapragnęłam mieć wszystko. Spodobało mi się takie projektowanie. Znalazłam nawet program komputerowy, Garden Puzzle się nazywa. Tyle że w darmowej wersji większość roślin nie jest dostępna. Dlatego zaczęłam sobie rysować na kartce.

— Ale pamiętasz, żeby brać pod uwagę czas kwitnienia? — zapytał Wojtek.

Nie pamiętałam. Szczerze mówiąc, tylko rysowałam sobie kółeczka — na różowo bodziszki, a na żółto liliowce.

— My właściwie chcieliśmy kompleksowo zajmować się ogrodami — ożywił się mój gość. — Wiesz, meble, mała architektura ogrodowa, ścieżki, oczka wodne, a do tego rośliny. To znaczy... właściwie ja chciałem, bo Tamara nie bardzo.

— Dlaczego?

— Dlaczego ona nie chciała czy dlaczego ja chciałem?

— Dlaczego ona.

— Aaaa, bo wiesz... Tamara w zasadzie chyba wcale nie chciała pracować. Wymarzyła sobie taki model życia: ja mam firmę i zarabiam, a ona prowadzi dom.

— I zajmuje się dziećmi?

— Nie, dzieci nie. Dzieci to akurat nie planowaliśmy.

— A ty nie mogłeś sam się zająć firmą?

— Trochę nie nadażalem. Miałem sporo zamówień na altany, pergole, ogrodzenia, takie duperelki w stylu studzienek albo mostków przy oczkach wodnych. A do roślin to trzeba mieć serce. I czas.

Zamilkłam. Byłam ciekawa, czy ja bym miała. W sensie serce, bo czasu mi nie brakowało.

— Miałeś sobie zrobić herbaty — przypomniałam Wojtkowi. — Mnie też możesz zaparzyć. W szafce koło lodówki są kubki z zaparaczem, takie z napisami. Cytaty z Hefajstosa czy coś.

Wojtek rzucił mi zdziwione spojrzenie, ale poszedł do kuchni i sięgnął po naczynia.

— Heraklit — przeczytał. — Panta rhei.

— No właśnie mówiłam. A herbata jest w środkowej szufladzie, tej szerokiej. Dla mnie ze skórką pomarańczy.

Coś tam mruczał przez chwilę, pewnie psioczył na bałagan w szafce. Miałam słabość do herbaty i zawsze kupowałam sto różnych gatunków, a potem pudełka nie mieściły mi się w szufladzie.

— Wracając do projektowania — podjął Wojtek, kiedy już przyszedł do mnie z kubkami w obu rękach. — Musisz pamiętać o kilku sprawach. Po pierwsze, na rabatce w żadnym miesiącu nie powinno być pusto. Sprawdzaj nie tylko to, kiedy dana roślina kwitnie, ale też kiedy wypuszcza młode pędy, jak wygląda po kwitnieniu i kiedy zamiera.

Gapiałam się na niego jak sroka w gnat.

— Poza tym weź pod uwagę wysokość. Z tego miejsca, gdzie będziesz stać lub siedzieć, powinno być widać najpierw niskie, potem średnie, a w tle wysokie rośliny. No i na koniec kolory. Musisz sobie rozrysować, jakie będą odcienie w danym miesiącu. Na przykład tutaj, zobacz, narysowałam tulipany i lilie, tak?

— Bo to ładnie będzie razem... — broniłam się. — Lilie wybrałam białe z żółtym środkiem, a tulipany żółte.

— Ale one się nie spotkają, Iga. Tulipany już dawno zaschną, podczas gdy lilie dopiero rozwiną pąki.

Usiadłam i złapałam się rękami za głowę.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — zapytałam z rozpaczą. — Ja nigdy nie spamiętam, co kiedy kwitnie. Nie znam się, a tak bardzo bym chciała się znać.

— Pamiętaj, że ja planowałem taki biznes. Też początkowo nic nie wiedziałem. Podrzucę ci parę książek — pocieszył mnie. — Poczytasz, rozrysujesz sobie jeszcze raz, a na wiosnę zaczniemy sadzić kwiatki. Tylko o tulipanach na razie zapomnij, bo sadi się je jesienią.

Miałam ochotę zawyć jak ranne zwierzę. W głowie miałam totalny mętlik. Wypiłam herbatę i opadłam na poduszki, a Wojtek usiadł przy mnie, przesunął laptopa tak, żebym wszystko widziała, po czym zaczął mi pokazywać rośliny, które jego zdaniem do siebie pasują i którymi mogłabym obsadzić okolice mojej ławeczki.

Znalazł mi także sadzonki bzu szczepionego na pniu, ale zaprotestowałam stanowczo: chciałam mieć tradycyjny, rozwichrzony i trochę nieporządną bez, który będzie mi kwitł na bzowo i nieprzyzwoicie pięknie pachniał. Kiedy o tym mówiłam, Wojtek spojrzał na mnie jakoś niewyraźnie, z czego wywnioskowałam, że okropnie go znudziłam i za chwilę zaśnie. Pewnie tak było rzeczywiście, bo czym prędzej się pożegnał i poszedł, nakazując mi jeszcze wypić rano kolejny kieliszek orzechówki.

Tej nocy nie mogłam zasnąć, byłam jakaś rozdygotana. Wzięłam sobie do łóżka laptopa i przeglądałam gatunki floksów, a kiedy wreszcie poczułam się senna, zamknęłam oczy z nadzieją, że przyśnią mi się całe łąny kwiatów. Zamiast tego pod powiekami miałam obraz Wojtka, krzątającego się po mojej kuchni i parzącego herbatę. Miał szerokie plecy. Kiedy podawał mi kubek z herbatą, przez chwilę czułam na palcach dotyk jego opuszek. Były szorstkie, pewnie od pracy w -stolarni.

Część IV

Wiosna

Ławeczka,
Tyle że bez bzu

Pewnego marcowego dnia wyszłam na taras i poczułam, że nareszcie przyszła. Wiosna, oczywiście. Pachniało nią od rzeki. Pachniała nią ziemia, ten zapach unosił się nad sztachetami płotu, które złożyli na tarasie bracia Korneccy, i nad kałużą przed domem, w której przeglądało się bladoniebieskie niebo.

Projekt zagospodarowania ogrodu miałam gotowy od dawna: pracowaliśmy nad nim z Wojtkiem przez cały luty i kawałek marca. Na ogół zaczynało się od tego, że któreś z nas dzwoniło w jakiejś błażej sprawie, na przykład koloru pnącza, które ma się pięć po pergoli, po czym Wojtek przyjeżdżał do mnie — czasem z dobrym winem, czasem z ciastkami albo orzeszkami, a czasem w ogóle z niczym; po prostu wpadał na herbatę i rozkładaliśmy wielkie szkice, na które nanosiliśmy kolejne rośliny.

Oczywiście ogród był tylko punktem wyjścia naszych pogawędek. Po kilkunastu minutach rozmowy o odmianach liliowców albo terminie cięcia róż w jakiś płynny sposób przechodziliśmy na inne tematy. Niekiedy opowiadałam Wojtkowi o skutkach uderzenia pioruna (to go bardzo interesowało), czasem także o ojcu, o moim dziwnym dzieciństwie i pokręconej relacji z mamą, a on mnie — o jeszcze bardziej pokręconym małżeństwie z Tamarą.

Dowiedziałam się, jak się poznali (złapała go na dobrą kuchnię; jako chłopak wychowujący się bez matki przez całe życie tęsknił za dobrym, domowym żarciem), jak po ślubie okazało się, że Tamara jest kapryśną żoną oraz czepialską synową, i wreszcie jak zdradziła Wojtka z producentem bram garażowych. Tamten był bogatszy i przystojniejszy (trudno mi było w to ostatnie uwierzyć, ale się nie kłóciłam), a od wyjazdów w góry wolał filmy akcji i siłownię.

— Nakryłem go w łazience, wyobrażasz sobie? — opowiadał Wojtek, sącząc okropnie wytrawne wino, takie, że aż język drętwiał. — Wróciłem wcześniej z pracy, wchodzę do domu, a Tamara owinięta ręcznikiem wychodzi z łazienki i jakoś dziwnie nerwowo mówi, że ugotowała gęsty krupnik, taki jak lubię. Dobrze, mówię, tylko umyję ręce i już się biorę za jedzenie. A ona, że wywaliła do wanny pełno prania, a w umywalce moczy się bielizna, więc żeby umył w kuchni. I właściwie miałem zamiar to zrobić, ale ten dupek się tam poruszył i coś spadło, jakiś żel pod prysznic czy coś. Wparowałem i widzę nagiego gościa w kabinie prysznicowej. Nie zdążył się ubrać.

— Jasny gwint — wyszeptałam ze zgrozą.

— No właśnie.

Pomilczeliśmy przez chwilę, sącząc wino, a potem Wojtek nalał nam jeszcze.

— A ty? — zapytał nagle. — Ja mówię o Tamarze, wywracam tę historię na

lewą stroną i pruję co do nitki, a ty nic.

— No... nic.

— Nic w sensie nic? Nikt cię nigdy nie zranił? Nie zdradził?

— Nie chcę o tym mówić — odparłam, myśląc o Łukaszu Maczku, bo był jedyną znaną mi osobą, do której pasował czasownik „zdradził”, ale przecież nie mogłam opowiedzieć Wojtkowi tej historii.

— Dawno?

— Co „dawno”? — nie zrozumiałam.

— Dawno zdarzyło się to, o czym nie chcesz mówić?

— Niedawno. W każdym razie nie jakoś bardzo dawno. Naprawdę nie chcę.

— Okej. Powiedz tylko, czy nadal boli.

Zastanowiłam się. Tak naprawdę chyba nigdy nie bolało, ale nie mogłam wyznać tego bez wnikania w szczegóły.

— Nie — odparłam. — Już ani trochę. A ciebie?

Spojrzał na mnie poważnie.

— Teraz już nie — odpowiedział z namysłem. — Aż sam jestem zdziwiony.

Po tamtej rozmowie nie dzwoniliśmy do siebie przez trzy dni, choć nie umiałabym powiedzieć dlaczego. Chyba oboje potrzebowaliśmy ochłonąć i nabrać dystansu. Czwartego dnia Wojtek zatelefonował, że ziemia rozmarzła na dobre, dlatego nazajutrz przyjadą z Maćkiem wytyczyć ścieżki i wyznaczyć dokładnie miejsce, gdzie co postawią. Drewno jest zaimpregnowane, sztachety na płot gotowe, podobnie słupy i kratki na pergole.

Jakoś głupio czekałam na tę wizytę, włożyłam nowy, rudy golf i błękitne sztruksy, zrobiłam sobie piękny makijaż i ułożyłam włosy, upiekłam jabłecznik i zaparzyłam wielki dzbanek herbaty z imbirem — a tymczasem Korneccy po przyjeździe wzięli się bez słowa do roboty. Poczułam się zlekceważona.

Wreszcie nie wytrzymałam i wyszłam do nich do ogrodu.

— Szarlotki? — zagadnęłam Maćka, bo do Wojtka miałam niejasne pretensje o to, że milczy.

— Oj tak, bardzo chętnie! — powiedział. — Zawsze i każda ilość.

Przyniosłam kilka kawałków na dużym talerzu; postawiłam go na stercie desek. Nie będę się narzucać, uznałam. Wojtek nawet nie patrzył w moją stronę; zachowywał się tak, jakby nie było tego wszystkiego, jakby nie zdarzył się nasz wyjazd w góry, wspólna wędrówka na Grzesia, jakby nie było nieodczytanego lis-tu w walizce, rozmów o Tamarze i całej reszty. Poszłam sobie, bo chciało mi się beczeć. Potem zza winkła obserwowałam, czy jadł ciasto. Jadł. Ale tylko jeden kawałek. Resztę wtrząchnął Maciek.

Wieczorem zadzwoniła Agata, ale nie umiałam jej o tym wszystkim opowiedzieć. Zamiast tego wypytywałam o jej sprawy, zwierzyła mi się więc

trochę z kłótni z Krzyśkiem (chyba wciąż miała do niego pretensje o Złą Pamelę). Położyłam się spać poirytowana, nie do końca wiedząc, czego mi właściwie trzeba do szczęścia. Już zaczynałam przysypiać, kiedy rozbudził mnie sygnał wiadomości.

Nie mogę się pozbierać — napisał Wojtek.

Ale że co? — odpisałam. — *Bo nie rozumiem.*

Że Ty.

Sporo trwało, zanim dotarła do mnie ta dziwaczna treść. Że ja. Aha.

I co teraz? — napisałam w końcu, nadal nie bardzo rozumiejąc, co on właściwie ma na myśli.

Boję się. Obiecywałem sobie, że nigdy więcej nie będzie mnie bolało.

Jasna cholera, co on mi robił?! Dlaczego mi to robił? Że jego nie będzie bolało? A ja? Przecież właśnie zadawał mi ból! Serce waliło mi jak oszalone, a w klatce piersiowej miałam ogromny ciężar. Dosłownie nie mogłam oddychać.

A boli? — zapytałam.

Nie, ale boję się, że będzie.

Nie odpowiedziałam. Nie wiedziałam, co miałabym napisać. Czy to było wyznanie? Prośba o to, żebyśmy wycofali się, zanim będzie za późno? I właściwie z czego wycofali i na co za późno. Przecież między nami nic się nie działo, nic jeszcze nie było i może nigdy miało nie być. Ja nigdy nie chciałam się zakochać, nie wolno mi, zabroniłam sobie stanowczo. Wojtek też nie chciał, tak wywnioskowałam. Słusznie wywnioskowałam? Nie byłam pewna.

Jesteś tam? — napisał po chwili. — *Nie chowaj się.*

Jestem — odpowiedziałam i wtedy on umilkł na bardzo długo, a kiedy już byłam przekonana, że nie napisze, przyszła bardzo długa wiadomość:

Przepraszam za dzisiaj. Zachowywałem się jak gówniarz. Byłem zły, że uśmiechasz się do Maćka, że on jest ze mną, że nie mogę wejść i pogadać z Tobą o mszycach na kalinie albo innych bzdurach, patrzeć, jak trzymasz kubek w tych szczupłych palcach i jak śmiesznie dmuchasz na gorącą herbatę. Byłem zły, że przyniosłaś ciasto i on je zjadł, że nie wyszłaś do nas i że właśnie wyszłaś, ale tylko na chwilę, i bałem się, że przyjdiesz popatrzeć, i że nie przyjdiesz.

Jesteś osioł — odpisałam, a on już nie odpowiedział.

Najpierw wymienili sztachety i słupki w płocie. Potem rozkopali ziemię w tym miejscu, gdzie chciałam mieć pergolę. Następnie wkopali słupy, wyrównali grunt i czegoś tam podsypali, żeby było stabilniej. Nie znałam się na tym i chyba nie chciałam się poznać; jeśli pytałam, to tylko po to, żeby mieć pretekst do rozmowy z Wojtkiem.

Rafał bardzo chciał pomagać, ale starszy Kornecki patrzył na niego spode łba, wysłałam go więc na objazd okolicznych szkółek z drzewami i krzewami ozdobnymi, żeby pospisywał, jakie mają odmiany lilaków i w jakiej cenie. Oczywiście mogłam to załatwić telefonicznie, ale chciałam, żeby zszedł Wojtkowi z oczu. Kolejnego dnia nie mogłam już wysłać go w podobną misję, dlatego po konsultacjach z panem Mietkiem zleciłam chłopakowi skuwanie płytek tarasowych. Zgodnie z projektem firmy Dream Garden zamiast rudej terakoty miał się tam pojawić szary kamień.

Znalazłam także ekipę do odświeżenia i zmiany koloru elewacji, tak więc wokół mojego Domu Nad Rzeką naprawdę wrzało. Przez resztę marca i spory kawałek kwietnia budowlańcy plątali mi się po tym, co kiedyś miało stać się bujnym ogrodem, a ja z rosnącym z dnia na dzień smutkiem stwierdzałam, że nie zdążę posadzić niektórych roślin, które miały zakwitnąć na wiosnę.

Piekłam babeczki, gotowałam zupy i przygotowywałam gorące napoje, a potem częstowałam nimi pracowników, ponieważ pogoda wcale nas nie rozpieszczała. Przez okno widziałam, że niekiedy Wojtkowi i Maćkowi czerwieniały z zimna ręce, kiedy montowali te wszystkie słupki i kratki.

Po skończonej pracy rozjeżdżali się do domów, a ja zostawałam w nagłej ciszy, niby ciesząc się spokojem, ale co chwila sprawdzając, czy nie mam esemesa od Wojtka. Miałam. Codziennie. Po wymianie kilku wiadomości jedno z nas dzwoniło i rozmawialiśmy do późna, aż on zaczynał ziewać, bo przecież przez cały dzień pracował na świeżym powietrzu.

Starannie omijaliśmy w naszych rozmowach to, o czym wtedy napisał w wiadomości. Nie wiedziałam, czy powinnam wrócić do tematu. Marzyłam sobie, że pewnego dnia, gdy już zakończą się prace stolarskie i kamieniarskie, Wojtek przyjedzie do mnie — już nie jako pracownik, lecz przyjaciel — i może wtedy uda nam się znowu porozmawiać w sposób, który przyprawiał mnie o szybsze bicie serca.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym ekipa braci Korneckich zakończyła realizację projektu. Pergola została nakryta daszkiem z szarego gontu, miała trzy ażurowe ścianki, przy których zamierzałam posadzić powojniki oraz posiać groszek pachnący. Na podeście z desek stanęły cztery krzesła i stół, przy którym

zamierzałam urządzać ogrodowe przyjęcia albo pijać kawę w letnie poranki.

Z pergoli schodziło się ścieżką nieco w dół i właśnie tam, w oddalonym zakątku, którego nie było widać z tarasu, stanęła ostatecznie moja wymarzona ławeczka. Po jej lewej stronie, nieco z tyłu, posadziłam lilak odmiany *Sensation*, największy, jaki udało nam się z Rafałem zmieścić do bagażnika. Według opisu miał kwitnąć na fioletowo, a każdy płatek miał mieć biały brzeżek. Poczułam się jak królewna, której właśnie oznajmiono, że dobra wróżka spełni jej życzenie.

Drewniane donice wykonane przez Korneckich już czekały, na razie wciąż puste, aż posadzę w nich jakieś barwne kwiecie i ustawię je na tarasie, nadal jeszcze niegotowym. Elewacja domu była jasnopopielata, wszystko do wszystkiego pasowało. Latem zamówię jeszcze kostkę brukową i już. Będzie pięknie. Będzie najpiękniej na świecie.

O tym właśnie myślałam, wysiadając z samochodu przed firmą Dream Garden, gdzie przyjechałam po południu, by rozliczyć się z Wojtkiem. W torebce miałam sporą sumę, wołałam więc, aby Rafał podwiózł mnie pod same drzwi. Odstawiłam się jak malowana lala, włożyłam zwiewną beżową sukienkę w białe groszki.

— Mam czekać? — zapytał Rafał. — Czy wracać do domu i zabrać się za wyrównywanie gruntu?

W ostatnich dniach nieustannie czytał o zakładaniu trawników, ich pielęgnacji i nawożeniu — postawił sobie za punkt honoru, by mój Dom Nad Rzeką był otoczony najbardziej soczystą trawą w całej okolicy. Zapewne zabijał w ten sposób niepokój o Kornelkę i mamę — kuracja dziewczynki była w toku i wszyscy czekaliśmy z zapartym tchem na jej wyniki.

— Czekaj — zdecydowałam. — Pewnie nie posiedzę długo, tylko się rozliczymy.

Weszłam do biura, usiłując zachować spokój. Prawda była taka, że okropnie się denerwowałam. Nie byłam sam na sam z Wojtkiem od tamtego wieczora, kiedy opowiedział mi o kochanku Tamary w kabinie prysznicowej. Dzwoniliśmy do siebie i napisaliśmy setki wiadomości, lecz z jakiegoś powodu nie udawało nam się spotkać; wyłącznie w obecności Maćka, Rafała oraz pozostałych pracowników.

— Dzień dobry — powiedziałam, siłą się na żartobliwy ton. — Przyjechała gruba forsa.

— Cześć.

Wojtek siedział za biurkiem i przekładał jakieś papiery. Z jego szybkich, nerwowych ruchów wywnioskowałam, że czuje się tak samo jak ja. Może nawet myślał o tym samym. To znaczy oczywiście nie o kostce brukowej lub zakładaniu trawnika, tylko o tym, że nie rozmawialiśmy w cztery oczy od ponad miesiąca.

— Usiądź — poprosił. — Gdzieś tu mam to całe rozliczenie. Jest. Koszty drewna, impregnowanie pod ciśnieniem, lakier, montaż...

— Nie czytaj mi — przerwałam. — Po prostu powiedz, ile wyszło razem. Ja się boję wozić w torebce takie pieniądze. Chcę się ich jak najprędzej pozbyć.

Podał kwotę, a wtedy odliczyłam pliczek banknotów i podałam mu.

— Nie przeliczyłeś — powiedziałam, widząc, że chowa je do kasetki na biurku.

— A ty nie sprawdziłaś faktur.

Miał na sobie tę samą koszulę, w której odwiedził mnie tamtego dnia, gdy udawałam jelitówkę. Podwinięte rękawy odsłaniały silne przedramiona i bliznę powyżej lewego nadgarstka.

— Co sobie zrobiłeś? — zapytałam, wskazując to miejsce.

— Nic takiego, nadziałem się kiedyś na paskudną drzazgę. Stare dzieje — odparł lekko.

Nie patrzył na mnie. Nie tylko nie patrzył mi w oczy, ale w ogóle, wzrok miał utkwiony w tych swoich papierzyskach na biurku. Dzięki temu ja mogłam się bezkarnie gapić. Na jego mocne brwi i niebieskie tęczówki. Na niedokładnie ogoloną brodę. Na jabłko Adama, które poruszało się, kiedy coś mówił. Ale teraz patrzyłam na tę niewielką bliznę i poczułam absurdalną potrzebę, aby jej dotknąć.

— Jeszcze raz dziękuję — powiedziałam i wstałam, bo Wojtek nie podtrzymywał rozmowy i nagle poczułam się strasznie niezręcznie. — Ławeczka jest cudowna, pergola także.

— Cieszę się, że jesteś zadowolona — odparł Kornecki i także podniósł się z krzesła. — Masz wszystko, czego chciałaś?

— Prawie.

Podeszłam do drzwi. Czekałam, że może on zrobi te parę kroków i... Sama nie wiedziałam — przytuli mnie? Pocałuje? Tylko obejmie albo weźmie mnie za rękę?

Zamiast tego stanął przy oknie.

— Niezła bryka — powiedział jakimś szorstkim tonem. — Ten koleś to twój...

— Pracownik — weszłam mu w słowo. — Złota rączka.

— Rozumiem. Nie odstępuję cię na krok.

— Nieprawda. Przyjeżdża rano, odjeżdża po południu. Takie ma godziny pracy.

— Wszystkie obowiązki wykonuje za dnia?

Spojrzałam na niego ostro. Co on sugerował, do cholery?!

— Nie wierzę, że to powiedziałaś — rzuciłam. — Będę sobie wmawiać, że się przesłyszałam.

I wyszłam bez pożegnania. Czułam na plecach jego ciężkie spojrzenie, kiedy wsiadałam do mojej ślicznej mazdy. Jak na złość, przytrzasnęłam sobie rąbek sukienki, musiałam więc otworzyć drzwi jeszcze raz. Nie spojrzałam jednak w

okno biura.

Po jakichś pięciu minutach przyszła wiadomość. Nie odczytam, postanowiłam sobie. Nie, nie i nie. Byłam u niego, mógł do mnie mówić, ile tylko chciał; mógł porozmawiać jak z człowiekiem, a nie omijać mnie wzrokiem. Ledwie wychodzę, a już mu przybywa odwagi, tak? Figę z makiem. Nie chcę, nie będę. Nie interesuje mnie przyjaźń przez esemesy.

Oczywiście długo nie wytrzymałam. Kiedy znalazłam się w domu, natychmiast wyciągnęłam telefon i odebrałam wiadomość.

Przepraszam. Naprawdę i bardzo. Rzeczywiście jestem osioł. Dlaczego powiedziałaś, że masz prawie wszystko, czego chciałaś?

A jak sądzisz? — odpisałam.

Namyślał się widocznie, bo odpowiedź przyszła dopiero po godzinie.

Bo bez ci jeszcze nie kwitnie. I w ogóle nie masz kwiatów.

Kpił czy próbował rozładować napięcie? Uznałam, że jednak to drugie.

Strzał w dziesiątkę. Lada dzień biorę się za sadzenie i sianie.

Mógłbym pomóc — odpisał, tym razem już po kilku sekundach. — Wpadnę w weekend. Chcesz?

Wpadnij — brzmiała moja odpowiedź.

Kupiłam kilkadziesiąt sadzonek bylin i kilkanaście krzewów i krzewinek (pomyśleć, że do niedawna nie wiedziałam nawet, że krzewinka to nie jest krzew płci żeńskiej!). Poustawiałam je w ogrodzie mniej więcej w tych miejscach, gdzie zgodnie z najnowszym szkicem powinny rosnać, poprzyglądałam się temu, kręcąc głową — oczywiście nic mi to nie dało, bo za diabła nie mogłam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała rabatka, kiedy w miejscu doniczek pojawią się rośliny, a tym bardziej — kiedy te ostatnie się rozrosną.

Wreszcie pozbierałam sadzonki i ustawiłam z powrotem na tarasie, a na piątek zleciłam Rafałowi przekopanie ziemi. Zrobił to pięknie; usunął chwasty, wyrównał glebę grabiami i w zasadzie mogłam już sadzić te moje wymarzone kwiatki, tylko czekałam na Wojtka.

— Weekend masz wolny — powiedziała Rafałowi. — Taras mają dzisiaj skończyć, przez dwa dni nie będzie można po nim chodzić, poza tym nie ma tam nic do roboty. Zajmij się ojcem albo właśnie nie zajmuj się niczym, tylko odpocznij.

— Ojcem, ojcem — powiedział. — Ostatnio trochę go zaniedbywałem.

— Poważnie? — wystraszyłam się. — Może ja ci za dużo zlecam...

— Nie, nie o to chodzi. Ja po prostu wolę być zajęty, bo wtedy nie myślę o Kornelii. A jak jestem z tatą, to sama się domyślasz, o czym w kółko gadamy.

— No tak.

— Ale masz rację, że muszę poświęcić mu trochę czasu. Zwłaszcza że ostatnio jest z nim lepiej i ciągle mnie męczy o porządną partię szachów.

W sobotę od rana szykowałam się, jakby czekał mnie ślub, a nie praca w ogrodzie. Dobra, pora spojrzeć prawdzie w oczy: miałam nadzieję, że po wspólnym sadzeniu roślin... Co najmniej wylądujemy na sofie. A może pójdziemy do sypialni. Nie byłam pewna, czy zakochałam się w Wojtku, w końcu przez tyle lat żyłam w przekonaniu, że miłość mnie w ogóle nie dotyczy — natomiast w jednej sprawie miałam całkowitą jasność: czułam do niego całą resztę. Pożądanie. Pociąg fizyczny. Żądę i chuć. No, te ostatnie dwa określenia były może zbyt dosadne, z kolei pociąg kojarzył się zanadto kolejowo. Ale pożądanie — tak, dokładnie, to właśnie przepełniało mnie tego sobotniego przedpołudnia, kiedy szykowałam się na spotkanie z Korneckim.

Ubierałam się i rozbierałam chyba dwadzieścia razy. Cokolwiek na siebie włożyłam, wydawało mi się zbyt strojne jak na taką okoliczność albo właśnie zbyt byle jakie, pozbawione klasy, równie seksowne jak fartuch roboczy. Kiedy w końcu dobrałam idealny zestaw: jasne spodnie bojówki i ciemnozieloną bluzkę

dzianinową, okazało się, że w spodniach zacina się suwak. Myśl o tym, że mielibyśmy iść na całość, a ja w miłosnym szale zaczęłabym się szarpać z zamkiem błyskawicznym, albo nie daj Boże Wojtek postanowiłby mnie rozebrać i utknąłby w tym miejscu — sprawiła, że zrezygnowałam z bojówek.

Gdybym miała pewność, że przyjedzie przed południem, mogłabym założyć jedwabną koszulkę w kolorze głębokiego granatu i otworzyć mu w negliżu, udając, że dopiero wstałam, bo wczoraj do późna czytałam... czytałam... Co by tu czytać? Po namyśle położyłam na ławie tomik poezji Poświatowskiej.

Kiedy południe minęło, uznałam, że negliż odpada definitywnie. Zdecydowałam się na wersję sportową, włożyłam tregginsy i miękką bluzę z czegoś podobnego do polaru; postanowiłam sprawiać wrażenie, że właśnie zamierzałam wyjść do ogrodu. Poświatowską na ławie zamieniłam na Miłoszewskiego.

Nie przyszedł. Oczywiście mogłam zadzwonić i upewnić się, czy wszystko w porządku. Może się rozchorował. Może nie mógł, trafił mu się jakiś wymagający klient, może coś się zepsuło, jakaś maszyna w stolarni, może... Właściwie wszystko mogło się zdarzyć. Tamara mogła wrócić, Maciek mógł złamać nogę albo na przykład butla z gazem mogła eksplodować, choć oczywiście Wojtek nie miał butli z gazem, ale może akurat Maciek miał. Tak czy inaczej, nie zadzwoniłam, ponieważ nie chciałam się narzucać. Poza tym przypomniałam sobie, że powinnam być obrażona o tamto zdanie: czy Rafał wszystkie obowiązki wykonuje w dzień. Znałam już historię rodziną Korneckich, widziałam, że matka zostawiła ich i poszła w długą za jakimś przystojniakiem z Trójmiasta i że potem zdrada Tamary nałożyła się Wojtkowi na wspomnienia z dzieciństwa, tworząc nieciekawy obraz kobiet jako istot wiarołomnych i niegodnych szacunku. To jednak nie oznaczało, że miał prawo wrzucać mnie do tego samego worka!

Jednym słowem, przeleżałam cały wieczór i pół nocy, gapiąc się to na wskazówki zegara, to na telefon, aż w końcu zasnęłam przy zapalonym świetle. Rano czułam się połamana, miałam obolały kark i byłam zła jak osa. Poszłam pod prysznic, potem zrobiłam sobie lekki makijaż, wskoczyłam w jedwabną koszulkę, w której podobnie jak poprzedniego dnia zamierzałam czekać na Wojtka do południa, zaparzyłam sobie kawę i wzięłam ją do łóżka. Przeleżałam dwie godziny w dziwnym rozmarzeniu podobnym do snu. Wyobrażałam sobie, jak Wojtek bierze mnie w ramiona, jak mówi, że od dawna się we mnie kocha, jak całuje i dotyka... I tak dalej.

Może spędziłabym tak cały dzień, gdyby nie energiczne pukanie do drzwi, które wyrwało mnie z owego czarownego półsnu. Zbiegłam na dół na bosaka, bo nie po to malowałam paznokcie u nóg, żeby teraz chować je w kapciach. Szybko poprawiłam włosy i otworzyłam drzwi z nieśmiałym uśmiechem.

W progu stał Rafał z szampanem w ręce.

— Co tu robisz? — zapytałam, zapominając o moim niecodziennym stroju.
— Przecież jest niedziela.

— Po prostu nie mogłem zdzierzyć! — zawołał. — Dzwoniłem do Agaty, ale chyba kłóci się właśnie z Krzyskiem, była bardzo wzburzona. Więc przyjechałem do ciebie, bo nie wytrzymam dłużej! Mama dzwoniła: kuracja zakończona, wszystko dobrze, mają już ustalony termin kontroli i jeżeli będzie okej, to wracają do domu.

Miał łzy w oczach i co chwila zdejmował okulary, żeby wytrzeć powieki. Okropnie się wzruszyłam; poszłam po papier toaletowy i trochę sobie razem posmarkaliśmy.

— Ale opowiedz dokładniej — zażądałam, kiedy już panowałam nad głosem. — Udało się wyleczyć to oczko całkowicie? Wszystko poszło tak, jak miało pójść?

— W każdym razie na tyle, na ile można to w tej chwili ocenić... Ale przecież trzeba wierzyć, wiara czyni cuda! Iga, jak ja pomyślę, że stchórzyłem, że nie podszedłbym do ciebie i nie poprosił, i gdyby nie przypadek...

— A jak ja pomyślę, że omal cię nie zabiłam patelnią! — zawołałam. — Dawaj tego szampana!

Napiliśmy się, pośmialiśmy, pożartowaliśmy z patelni i opatrunku z ręczników kuchennych. Rafał miał właśnie wychodzić, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że jestem raczej nieoficjalnie przyodziana.

— Cicho! — szepnęłam. — Musisz się schować. On mi nigdy nie uwierzy, że świętowaliśmy powrót Kornelki...

— Kto?

— Nieważne!

— Może wyjdę przez taras?

— Nie wolno! Płytki schną!

— To schowam się na górze.

Pukanie do drzwi powtórzyło się. W mojej głowie pojawił się obraz sceny miłosnej między mną a Wojtkiem. Ciągnę go za krawat (dlaczego miałby pod krawatem przychodzić pomagać mi w ogródku, tego nie wiedziałam, ale tak wyglądało to w mojej wizji) na górę, całujemy się i ściągamy z siebie ubrania w szale namiętności, wtaczamy się do sypialni, a biedny, wystraszony Rafał mówi: „Przepraszam, to może ja już pójść”. Koszmar.

— Nie! — szepnęłam. — Schowaj się tu w szafie. Ja spróbuję go zabrać na górę albo pójdziemy do ogrodu, albo jedno i drugie. A ty się wtedy cichutko wyslizgniesz.

Po jego minie widziałam, że nic nie rozumie, ale dał się wepchnąć do szafy wnekowej i stanął za wiszącymi w niej kurtkami.

Otworzyłam drzwi i zamarłam. To nie był Wojtek. To był Krzysiek z butelką wina w ręce.

— A ty co? — zapytałam. — O tej porze alkohol? Przecież to nawet nie jest pora obiadowa.

— Odeszła — rzekł krótko i wręczył mi wino. — Ratuuj, Iga, bo zwariuję. Ja się naprawdę zaangażowałam, a ona mnie rzuciła.

— Niemożliwe. Przecież jest zakochana.

— Też mi się tak wydawało. Wszystko było pięknie, dopóki nie przyszła do mnie na siłownię.

— A co ma do tego siłownia? — zapytałam.

Zaprowadziłam go do salonu i nalałam nam wina, a kieliszek Rafała odstawiłam do zlewu.

— Bo tam chodzi też Pamela — wyznał niechętnie. — Ale nic między nami nie ma, słowo daję, nic nie ma. Pamela może by i chciała, bo ona jest z tych, co wiesz, jak czegoś nie może dostać, to nagle bardzo jej zależy. Ale ja kocham Agatę.

— Musiałeś zrobić coś, co ją rozsierdziło — powiedziałam. — Agata nie jest aż tak nieufna, żeby bez powodu...

— To nie ja, to Pamela! — zawołał. — Napisała do mnie esemesa, Agata go odczytała, dodała sobie dwa do dwóch i wyszło jej pięć. Pogadaj z nią, błagam. Zależy mi na niej, chciałem się oświadczyć, pierścionek już nawet zamówiłem.

— Zamówiłeś? To nie można po prostu kupić?

— Chciałem, żeby miała z zielonym bursztynem w srebrze. Kiedyś mówiła, że taki jej się podoba.

Wzruszyłam się. Napiliśmy się wina, po czym Krzysiek nalał jeszcze.

— Porozmawiasz z nią? — zapytał. — Proszę. Ona tylko ciebie słucha.

— Daj spokój — machnęłam ręką. — Tylko mnie, akurat. Ona nie słucha nikogo.

Krzysiek chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie przerwał nam dzwonek telefonu. Miałam nadzieję, że to Wojtek, lecz dzwoniła Agata. Beczała.

— Słuchaj, idę się utopić, a ty mieszkasz po drodze, to wejdę się pożegnać.

— Dobra — powiedziałam. — Dawaj. Utopimy się razem, ty we łzach, a ja w szampanie. Albo na odwrót. Gdzie jesteś?

— Na twojej ulicy. Zaraz będę.

Rozłączyłam się czym prędzej i spojrzałam w panice na Krzyśka.

— Słyszałeś?

— Słyszałem! I co teraz? W życiu mi nie uwierzy, że przyszedłem cię prosić o pomoc. A w dodatku jesteś goła.

— Nie jestem goła! — oburzyłam się.

— Ale ona uzna, że jesteś! Może wyjdę przez taras?

— Nie wolno, płytki są świeżo położone.

— Schowam się w łazience?

— Nie! Tylko nie łazienka! — krzyknęłam, bo z jakiegoś powodu przypomniała mi się sytuacja z Tamarą Kornecką i jej kochasiem. — Słuchaj! Wleziesz tu, do garderoby. To znaczy to miała być garderoba, a jest schowek na mopa i szczotkę. Może być?

— Jasne.

— Jak usłyszysz, że ją zabieram na górę albo do ogrodu, to od razu dajesz dyla.

— Okej. Dzięki, Iga.

Zamknęłam za nim drzwi schowka. W samą porę, bo Agata już stała przed drzwiami. Zanim zapukała, usłyszałam charakterystyczne trąbienie w chusteczkę.

— Włącz i przestań beczeć — powiedziałam stanowczo. — Chodź do salonu. Co wybierasz: wino czy szampana?

— Ty tak od rana pijesz? A po co ci dwa kieliszki?

— Czekam na Wojtka. To znaczy czekałam — wyjaśniłam. — Od wczoraj. Ale już przestałam czekać. Nalałam nam obojgu szampana, rozumiesz, chciałam go tak romantycznie przywitać. Ale nie przyszedł, skunks jeden, więc wypiliśmy obie porcje. Potem nalałam też wina, bo szampan mnie trochę podniósł na duchu. Ale nadal go nie ma, więc wyłopałam też wino.

— Urzniesz się.

— To się urznę. A co mi tam. I ty razem ze mną.

— W takim razie nalej mi szampana.

Nalałam i zażądałam, żeby opowiedziała wszystko po kolei.

— Wiesz, że byłam wściekle zazdrosna o ciebie, ale okej, wyjaśniłaś mi, Krzysiek wytłumaczył, wierzę wam. Bardziej tobie niż jemu, ale w tym wypadku na jedno wyszło. Potem był okres sielanki, rozumiesz, kwiatki, całuski, randki, ale gdzieś tam w tych naszych rozmowach przewijała się jego dawna miłość, Pamela, ta sama, o której kiedyś mi wspominałaś.

— Nie możesz mieć pretensji, że Krzysiek kogoś miał — zauważyłam. — Ty miałaś kogoś przez całe swoje życie. Jeden facet za drugim.

Odniosłam wrażenie, że w schowku na mopa coś się przewróciło. Aby odwrócić uwagę Agaty od zjawisk nadprzyrodzonych, dolałam jej szampana, bo już zdążyła wypić.

— Czy Krzysiek ma do ciebie pretensje o Sebastiana? Czy gdyby je miał, uznałabyś, że są uzasadnione?

— Ale Sebastian się ze mną nie kontaktuje! — Agata znów się rozplakała.

— A ta Pamela łązi za Krzyśkiem na siłownię. Poszłam tam któregoś dnia, chciałam mu zrobić niespodziankę. On wiesz, macha tymi swoimi łapskami, przyciąga do siebie jakieś ciężarki, raz, dwa, trzy, a ona siedzi na rowerku tak

nachylona, że omal jej cycki nie wypadną, i pedałuje, oblizuje się i gapi się na mojego faceta!

— Agata...

— No co?

— Ty wpadłaś po uszy, co?

— Ja zawsze wpadam po uszy — zauważyła ponuro. — Jak się zakochuję, to na zabój.

Najwyraźniej zrobiło jej się ciepło po szampanie, bo zdjęła kardigan i rzuciła go na narożnik.

— Ale nie możesz mieć pretensji do Krzyśka, że Pamela chodzi na siłownię.

— A o esemesy też nie mogę? Wiesz, jak to brzmiało? Poufale i lubieżnie. Zaraz sobie przypomnę...

Nie zdążyła jednak, bo ktoś zapukał do drzwi. Odetchnęłam z ulgą, bo przynajmniej Agaty nie musiałam chować do szafy. Z moich planów erotycznych nic nie będzie, ale nadal byłam w tej ślicznej koszulce i miałam rumieńce od szampana. Dzień był słoneczny i ciepły, może spędzimy z Wojtkiem miło czas w ogrodzie, zaś kiedy Agata pójdzie, a chłopaki uciekną z szaf, to kto wie, kto wie...

— Przepraszam cię, to pewnie Kornecki — powiedziałam. — Mamy razem sadzić rośliny. Zaraz mu pokażę, gdzie mam sadzonki, a potem do ciebie wrócę i powiesz mi, co było w tym esemesie.

— Okej — chlipnęła Agata, ale widziałam, że uspokoiła się i dosłownie umiera z ciekawości, jak się przywitam z Wojtkiem.

Uśmiechnęłam się zalotnie, otwierając drzwi. Jeśli przedtem zastygłam jak uosobienie zaskoczenia, to teraz omal nie padłam trupem. Albowiem w progu stał nie kto inny jak Łukasz Maczek. Z butelką szampana w ręce.

— Czy was wszystkich kompletnie pogięło? — zapytałam. — W niedzielę przed południem szampan i wino?

— Wydawało mi się, że ty sama sobie naląłaś — dobiegł mnie z salonu głos Agaty.

— No sama, sama.

Zaczynałam się gubić w tym wszystkim. W szafie Rafał, w schowku Krzysiek, zapłakana Agata w salonie, Maczek z kolejną butelką w progu, a ja w negliżu czekam na Wojtka, który najwyraźniej się na mnie wypiął.

— Czego ty właściwie chcesz? — warknęłam do Łukasza, który miał pecha, że akurat stał na linii strzału, kiedy sformułowała się w mej głowie myśl, że Wojtek miał mnie klasycznie gdzieś. — O ile dobrze pamiętam, miałaś się ode mnie trzymać z daleka, ty oszuście matrymonialny.

— I trzymam się — potwierdził gorliwie. — Ale widzisz, Iguś, ja naprawdę nie mam tu innych przyjaciół. A dzień dobry, bardzo mi miło, Łukasz jestem.

— Dzień dobry — odparła wyniośle Agata. — Wiele o tobie słyszałam.

Niekoniecznie dobrego.

— No i co z tymi przyjaciółmi? — chciałam wiedzieć, ponieważ zaczynałam mieć tego serdecznie dość. Niech oni wszyscy już sobie idą. Nawet Agata. I niech przyjdzie ktoś zupełnie inny.

— Nie mam z kim świętować. Bo widzisz, udało się. Moje wielkie marzenie, pamiętasz? Udało mi się.

— Puby rzeczne?

— Tak. Naprawdę. Znalazłem sponsora, dostałem trochę pieniędzy na rozruch, mamy już lokal, teraz tylko remont. I z tym jest właśnie problem...

— To kiedy otwarcie? — przerwałam mu, bo mimo całej mojej złości na Maczka ucieszyły mnie te wieści. — I przez ile tygodni mam drinki gratis w ramach zadośćuczynienia?

— Myślę, że dożywotnio. O ile się nie rozpijesz, oczywiście. — Maczek zaśmiał się radośnie. — À propos, mogę paniom polecić? Bo już widzę, że kieliszeczki puste.

— Polewaj. I masz tu kieliszek dla siebie.

Łukasz nalał nam szampana (jakiś lepszy gatunek, pewnie mu kupiła ta jego stara pudernica) i wzniosł toast.

— Za spełnienie marzeń!

— Za marzenia! — dorzuciła Agata.

Co do mnie, nic nie powiedziałam. Wypiłam, usiadłam i pogрузyłam się w smętnych rozmyślaniach o tym, że moje senne marzenia z dzisiejszego poranka nie mają szansy na spełnienie. Łukasz wtajemniczył Agatę w ideę pubów rzecznych. Potem przeprosił na chwilę i zapytał, czy może skorzystać z toalety.

— Korzystaj — powiedziałam.

Kiedy poszedł do łazienki, Agata podniosła się z kanapy. Szampan wyraźnie poprawił jej humor.

— Pokażesz mi ogród? — zapytała. — Chcę zobaczyć tę twoją ławeczkę pod bzem.

— Figę tam pod bzem! — prychnęłam. — Ławeczka stoi, ale bez chyba nie zakwitnie w tym roku.

— Dlaczego ma nie zakwitnąć?

— Bo ma tylko takie pączki, jakby tam miały być wyłącznie liście.

— A ty się guzik na tym znasz. Chodź, obejrzymy razem.

— Tylko się ubiorę i zaraz do ciebie dołączę. Nie idź przez taras, bo są świeże płytki.

— Dobrze. Weź tego swojego rozkosznego Maczka...

— Tylko nie mojego! — zaprotestowałam.

— Dobra, dobra. W każdym razie weźcie szampana i chodźcie do ogrodu. Jest piękny dzień. Jak mam się upić z rozpachy, to na twojej ławeczce.

Wyszła. Odczekałam chwilę i zamierzałam wypuścić ze schowka Krzyśka, żeby uciekł, dopóki ona jest w miejscu, z którego na pewno go nie zauważy. Nie zdążyłam jednak, bo usłyszałam hałas na ganku. Byłam pewna, że to Agata wróciła po kardigan, który zostawiła na narożniku; otworzyłam więc zamasyście i po raz kolejny tego dnia zobaczyłam na progu nie tę osobę, której się spodziewałam. Bo tym razem był to Wojtek Kornecki.

— Cześć — powiedział i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. — Co ty, dopiero wstałaś? Ja myślałem, że wszystko dawno przygotowane.

— Wszystko jest przygotowane od wczoraj — powiedziałam tylko odrobinę niewyraźnie. — I ja też jestem przygotowana. To znaczy byłam. Ale potem się trochę rozgotowałam, że tak powiem. To znaczy, wszystko jest... Wszystko jest nie tak, jak powinno. Pójdziemy do ogrodu?

— Chyba powinnaś się najpierw ubrać — zasugerował Wojtek, patrząc na mnie dziwnie. — Nie mam oczywiście nic przeciwko takim sukienkom... O ile to jest sukienka.

— Nie jest — wyjaśniłam, nerwowo zerkając na drzwi od łazienki. — Chodźmy już.

Wojtek nie słuchał, zsunął buty i wszedł do salonu.

— Iga, chyba powinniśmy poroz...

Urwał. Prawdopodobnie na widok kieliszków. Cokolwiek chciał mi powiedzieć, miało pozostać dla mnie taką samą niewiadomą jak ów list, który ostatecznie dotarł do bezdomnego Stefana. Nagle zachciało mi się z tego wszystkiego śmiać, tyle że był to niedobry rodzaj śmiechu — taki, z którego płynnie przechodzi się w histerię, a potem w szloch.

— Masz gości? — zapytał Wojtek czujnie.

— I to ilu! — prychnęłam, powstrzymując łzy. — W łazience na przykład siedzi jeden, zaraz powinien wyjść. Wpadł, żeby opowiedzieć o pubach rzecznych. Będę tam miała dożywotnio darmowe drinki, wyobrażasz sobie?

Wojtek patrzył na mnie, jakbym zwariowała. Wciąż stał.

— Siadaj, rozgość się. — Pokazałam mu ręką fotel. — Ja już nie mam pomysłu, jak z tego wybrnąć, więc chyba się jeszcze napiję. To jest najgłupsza i najbardziej absurdalna sytuacja w moim życiu.

Nie usiadł. Patrzył i chyba się dziwił. Cóż, trudno go było za to winić.

Drzwi łazienki uchyliły się i wyrzwał Łukasz Maczek.

— To właśnie kolega od pubów rzecznych — wyjaśniłam. — Łukasz się nazywa. Maczek. I akurat wpadł, żeby mi opowiedzieć. O czym ty właściwie mówiłaś? — zwróciłam się do Łukasza.

— Że z remontem jest problem — odparł. — Witam. A pan może budowlaniec?

— Nie, bardziej ogrodnik — odpowiedział Wojtek z miną tak głupią, że

nigdy bym nie uwierzyła, że potrafi taką zrobić.

— A to szkoda. Bo ja szukam ekipy, która zrobi tanio, a szybko. Wszyscy są obłożeni terminami, nie uwierzycie...

— Zaraz! — zawołałam. — Przecież ja znam kogoś takiego! Krzysiu, wyłaż no z za tego mopa.

Zapadła cisza.

— Wyłaż — powtórzyłam. — Agaty nie ma, można wyjść!

Drzwi schowka odsunęły się i wyjrzał z za nich nieco wystraszony Krzysiek, okropnie czerwony na twarzy. Wojtek aż się wzdygnął.

— Krzysiek jest budowlańcem z ekipy pana Mietka — wyjaśniłam. — Może się dogadajcie, pan Mietek przeważnie jest dyspozycyjny i naprawdę szybko pracuje. Zasadniczo nie miałam zastrzeżeń, przesunięcie zlewu czy wystająca rurka to podobno jeszcze całkiem w normie.

— Ale serio? Budowlaniec? — zapytał Łukasz, ściskając Krzyśkowi rękę.

Zaczęli rozmawiać o zakresie robót. Wojtek odwrócił się i spojrzał na mnie, a minę miał taką, jakby właśnie przełknął coś okropnie kwaśnego. Nalałam sobie szampana i wypiliśmy duszkiem.

— Uważam, że gorzej już być nie może — oznajmiłam i zaśmiałam się histerycznie. — W związku z tym pozwól, że wypuszczę jeszcze z szafy mojego pana złotą rączkę. Nie widzę sensu, żeby dłużej się męczył, skoro i tak wydałeś już na mnie wyrok.

Nie odezwał się. Wciąż z tym samym wyrazem twarzy obserwował, jak podchodzę do szafy w korytarzu i otwieram drzwi, wypuszczając Rafała. Dopiero kiedy tamten zaczął witać się z Krzyśkiem, Wojtek ruszył przed siebie jak automat. Nie pożegnał się, po prostu otworzył drzwi i wyszedł. Pobiełam za nim.

— Wojtek! — zawołałam.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Może i próbowałabym coś wyjaśnić, może nawet powiedziałabym mu, że go kocham — bo w tamtej chwili bardzo wyraźnie to czułam — ale w jego spojrzeniu zamiast smutku czy choćby rozczarowania była pogarda.

— Jesteś w skarpetkach — powiedziałam. — Zostawiłeś buty.

Wrócił bez słowa, włożył buty i poszedł sobie. Agata przyszła po sweter, bo zmarzła, narobiła okropnego krzyku, a potem pogodzili się z Krzyśkiem i usiedliśmy wszyscy razem, wytrąbiliśmy oba szampany i wino, i było dokładnie tak, jak w tamtych moich dawnych marzeniach — że Dom Nad Rzeką będzie tętnił życiem, a ja będę otoczona przyjaciółmi... I cały problem w tym, że czułam się tak, jakby mi ktoś wyrwał z piersi serce i je rozdeptał jak kleszcza. I jakby ranę po tym kleszczu posypano solą. Albo polano octem. Piekło, paliło i rwało. Chciałam umrzeć.

Agata twierdziła, że nie można tyle beczeć. Że z naukowego punktu widzenia to po prostu niemożliwe. Po pierwsze, powinnam się w końcu odwołać, a po drugie, nie ma takiej możliwości, żeby serce było złamane permanentnie. To zawsze się w końcu goi. Tak twierdziła, a uważała się w tej dziedzinie za eksperta.

Jakoś mi się jednak nie chciało zagoić. Dzwoniłam do Wojtka setki razy, ale nie odbierał. Na żadną z moich wiadomości nie otrzymałam odpowiedzi. Pojechałam do niego do pracy; zignorował mnie, a kiedy mimo to próbowałam coś wyjaśnić, zwyczajnie wyszedł, wsiadł do samochodu i odjechał, zostawiając mnie w pustym biurze.

Depresja miała swoje dobre strony — zaczęłam normalnie spać. Nie tylko przesypiałam całe noce, jak zdrowi ludzie, ale też zdarzało mi się drzemać w dzień. Wprawdzie Agata twierdziła, że to właśnie bardzo niepokojące, ale ja nie miałam nic przeciwko, aby ta przypadłość już mi została, nawet kiedy wyleczę poranioną duszę.

Mama zajrzała do mnie raz i drugi; była przekonana, że wciąż rozpaczam po Krzyśku. Może to i dobrze, wypadło bardzo wiarygodnie. Miałam tylko nadzieję, że nigdzie się na niego nie natknie, bo pewnie wydrapałaby mu oczy.

Agata dbała o mnie, jak mogła, przychodziła niemal codziennie, zmuszała mnie do zjedzenia chociaż jednego posiłku, poiła hektolitrami herbaty i słuchała moich skarg. Któregoś dnia wymogła na mnie, żebym wszystko, co mi w duszy grało (albo raczej zawodziło), opisała w liście.

— Po co? — zapytałam. — Po co komu list? On go nigdy nie przeczyta.

— Tego nie wiesz. Może nie przeczyta, a może jednak nie wytrzyma i rzuci okiem. To jest trudna sztuka, nie przeczytać, wiesz? Człowiek jest z natury ciekawski.

— On nawet nie dotknie listu pisanego moją ręką.

— Jesteś głupsza, niż ustawa przewiduje. Pisz. Zresztą tobie samej zrobi się lepiej, zobaczysz.

Napisałam więc. O wszystkim po kolei. O tym, że nigdy nie chciałam się zakochać i że nawet nie szukałam przygód erotycznych, jako że miałam w tym względzie mało zachęcające doświadczenia. Byłam samotna z wyboru. I że w pewnym momencie z powodów, których nie mogę mu całkiem wyjawić, bo to moja wielka tajemnica, musiałam prosić Krzyśka o udawanie mojego chłopaka przed mamą i Beniem. I że pojawił się Rafał, ale to tylko przyjaciel. I że Maczek próbował mnie uwieść, ale go pogoniłam, i teraz akurat przyszedł mi powiedzieć o tych pubach rzecznych, bo nie miał się z kim podzielić radością...

A ja czekałam na Ciebie, Wojtek, tak bardzo czekałam, od soboty, od piątku

nawet — ale tak naprawdę od zawsze na Ciebie czekałam, bo nigdy wcześniej nie udało mi się nikogo pokochać i chociaż okłamywałam samą siebie, że wcale nie chcę, to przecież chyba każdy chce; człowiek jest stworzeniem romansowym z natury. Więc pokochałam Cię — po cichu, bez fanfar i tych wszystkich kwiatków oraz czerwonych serduszek, a kiedy już wstrzymałam oddech, bo tak strasznie marzyłam o tym, że mnie dotkniesz, Ty sobie poszedłeś.

Następnego dnia chciałam przeczytać ten list jeszcze raz, choć doskonale wiedziałam, że nigdy go nie wyślę, bo wszystko brzmiało tak głupio, tak niewiarygodnie, że nawet ja sama z moją chaotyczną naturą nic bym z tego nie zrozumiała. Nie znalazłam jednak tej kartki; pewnie wpadła mi gdzieś pod narożnik. Uznałam, że nie warto jej szukać.

Agata miała trochę racji, że pisanie działa jak terapia. Może zbyt długo nosiłam w sobie potrzebę wytłumaczenia całej tej bzdurnej sytuacji, a świadomość, że moje wyjaśnienie nie zostanie wysłuchane, bardzo mnie przytłaczała. Teraz zaś, gdy przelałam wszystkie kłębiące się w moim sercu uczucia na papier (nawet jeżeli ten papier spokojnie leżał sobie pod kanapą i porastał kurzem), poczułam ulgę.

Zaczęłam odzyskiwać siły. Któregoś dnia — a był to już początek maja — odważyłam się nawet wyjść do ogrodu. Rafał musiał widocznie podlewać wszystkie te roślinki, które nadal czekały w doniczkach, aż posadzę je w ogrodzie — bo zmarniały jedynie dwie sadzonki lawendy. Poczułam okropne wyrzuty sumienia, zupełnie jakby wszystkie kwiaty były żywymi istotami, które potrzebują mojej opieki.

Ziemia przekopana przed tamtym pamiętnym weekendem zdążyła zarosnąć nieco chwastami, ale we dwoje z Rafałem oczyściliśmy ją bardzo sprawnie. Poprosiłam, żeby nie pomagał mi przy sadzeniu kwiatów; chciałam to zrobić sama. Pamiętałam, co mówił Wojtek o odległościach między sadzonkami. „Będzie ci się wydawało, że jest za rzadko, ale i tak posadzisz za gęsto”. Beczałam i pracowałam, pozwalając łzom kapać wprost w ziemię.

Do wieczora zdołałam posadzić tylko wyższe rośliny oraz powojniki przy pergoli. Rafał już pojechał, zrobiło się ciemno i bardzo cicho. Usiadłam na ławeczce i próbowałam sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy lilak w końcu zakwitnie. Będę siedzieć tu w ciszy i wdychać ten czarowny, najpiękniejszy ze znanych mi aromatów. Może będzie przy mnie Agata, może odwiedzi mnie Rafał z Kornelką, która będzie już miała zdrowe oczy. Świat jest pełen drobnych powodów do radości. W końcu ja także otworzę się na nie i poczuję coś w rodzaju szczęścia — bo przecież zdarzało mi się je przeżywać, zanim dopadła mnie ta cholerna miłość.

Byłam zmęczona, ale czułam się lepiej, najwyraźniej praca fizyczna także była formą terapii. Zatelefonowałam do Agaty, bo chciałam jej podziękować za

pomysł z listem. Była jednak zdenerwowana i wyraźnie nie chciała rozmawiać.

— Nie teraz — rzuciła do słuchawki. — Zadryndam jutro.

W tle słyszałam muzykę i kilka wzburzonych męskich głosów. Może byli w dyskotecie. Cóż, miałam tylko nadzieję, że Krzysiek nie wdał się w jakąś bójkę.

Rano obudził mnie sygnał esemesa. Nie chciało mi się wstać. Była dopiero siódma. Pomyślałam, że to pewnie Agata. Przeprasza, że nie mogła rozmawiać, wpadnie po południu albo coś w tym rodzaju. Poprzeciągałam się trochę, przyłożyłam jeszcze głowę do poduszki, ale nie mogłam już zasnąć. Wstałam więc i poczłapałam do telefonu.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe, kiedy zobaczyłam nazwisko nadawcy. Wojtek Kornecki. *Nie wiem, czy to odmiana z Twoich marzeń, ale pachnie niesamowicie.* Ale o co chodzi? Gdzie on jest? Dlaczego do mnie pisze? Dlaczego wspomina o zapachu? O bzie?

Z idiotyczną nadzieją rzuciłam się w stronę okna, żeby wyrzucić do ogrodu. Wyobraziłam go sobie, jak siedzi na ławeczce i czeka na mnie, jak biegnę tam do niego i chcę usiąść obok, by wyjaśnić mu wszystko raz jeszcze, ale on wstaje i zwyczajnie bierze mnie w ramiona, kiczowato i melodramatycznie przyciska mnie do serca i pozwala beczeć, aż się zagoi, tak jak mówiła Agata.

Oczywiście nie było go tam. Ławeczka stała sobie jak gdyby nigdy nic przy krzaczku, który był lilakiem, ale wcale nie kwitł. Tyle że na ławeczce coś leżało. Z tego miejsca nie mogłam stwierdzić, co to jest, ponieważ widok częściowo zasłaniał mi daszek pergoli. Zbiegłam na dół i, tak samo jak wtedy Wojtek, zapomniałam butów. Na trawie było przyjemnie, ale kamyczki ze żwirowej ścieżki boleśnie wbijały mi się w stopy. Mimo to nie zawróciłam.

To był bukiet. Całe naręcze tulipanów i bzu, tego bżowego, jasnofioletowego, pachnącego najpiękniej w świecie. Leżał na mojej ławeczce z marzeń, a kiedy go podniosłam, żeby zanurzyć twarz w chłodnych kwiatach, zobaczyłam, że pod nim znajduje się koperta. Okropnie trzęsły mi się palce, kiedy ją rozrywałam.

Iga!

Tak jak przypuszczałaś, nie miałem zamiaru przeczytać twojego listu. Uznałem, że skoro okłamałaś mnie raz, to będziesz kłamać nadal. Nie bardzo tylko rozumiałem, po co Ci było to wszystko; po co zwodzisz takiego faceta jak ja; trochę kolczastego i trzymającego się na dystans. Przecież nie masz w tym żadnego interesu.

Wybacz, że piszę o tym tak szczerze — naprawdę tak myślałem. Nie miałem odwagi wyrzucić kartki od Ciebie, ale też nie pozwalałem sobie na jej przeczytanie.

Ale wczoraj odwiedzili mnie w biurze twoi przyjaciele i zmusili, żebym

przeczytał list, a potem jeszcze ich wysłuchał. Cóż, muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem Waszej przyjaźni i tego, jak ważna jesteś dla nich. Domyślam się, że będę skazany na ten rodzaj zazdrości — ale z tego, co mi o Tobie powiedzieli, na żaden inny już nie.

Dziwisz się, że piszę tak chaotycznie? Na pociechę powiem Ci, że Twojego listu nic pod tym względem nie przebije. Czytałem go ostatecznie sześć razy, zanim zrozumiałem tylko część historii. Resztę dopowiedzieli mi Agata, Krzysiek i Rafał.

Chciałbym umieć pięknie pisać. Napisałbym prawdziwy list miłosny o tym, jak podobałaś mi się już jako nastolatka, kiedy dźwigałaś pod pachą książki i nieco nieprzytomnie uśmiechałaś się do mnie w windzie. O tym, jak się z roku na rok zmieniałaś i jak nagle — nie tak dawno, zeszłego lata — zauważyłem, że już nie jesteś dziewczyną, że stałaś się piękną kobietą. Jak ślicznie wyglądałaś z rozmazaną szminką i rozwichrzoną czupryną, gdy trzymałaś pod brodą kartony, a ja ze smutkiem pomyślałem, że wyprowadzisz się i stracę cię z oczu.

Zawsze myślałem, że jest między nami duża różnica wieku i właściwie aż do dnia, kiedy spaliłaś murzynka, nie myślałem, że moglibyśmy... Że ja mógłbym... I że Ty byś mogła. Zresztą potem też o tym nie myślałem. Tylko ni stąd, ni zowąd przypominałem sobie te zabawne kropki na Twojej brodzie i myślałem o tym, jakie słodkie musiałaś mieć wtedy usta.

Zakochałem się w Tobie na dobre dopiero w górach, kiedy sprowadzałem cię za tę szczupłą, zmarzniętą dłoń z Iwaniackiej. Przepadłem wtedy z kretesem i nie mogłem się pozbierać. Napisałem Ci o tym w liście, który podarowałaś komuś wraz z walizką, a ja, mówiąc szczerze, byłem przekonany, że mnie okłamujesz, aby jakoś wybrnąć z sytuacji. Bo niby co miałaś zrobić ze mną i z tą moją miłością?

Nadzieję zacząłem mieć dopiero wtedy, gdy raz i drugi do mnie zadzwoniłaś. Początkowo sądziłem, że chodzi Ci tylko o ogród, dlatego zawsze zaczynałem od roślin, ale Ty zmieniałaś temat i pomyślałem, że może naprawdę zgubiłaś gdzieś tamtą walizkę, a listu wcale nie przeczytałaś. Zakochiwałem się w Tobie każdego dnia coraz bardziej, ale wraz z tym uczuciem narastało inne — zazdrość o tego chłopaka w czerwonym samochodzie, który wszędzie Ci towarzyszył. Dlaczego ona to robi, myślałem sobie — dlaczego mówi mi, że nikogo nie ma, że będzie samotnie spędzać święta, dlaczego do mnie pisze i dzwoni, skoro ma takiego absztyfikanta? Co ja, rozwodnik z problemami, mogę jej dać, skoro ona ma wszystko: dom, faceta z superautem i pieniędzmi (bo ilekroć mówiłem o kosztach, Ty odpowiadałaś, że cena nie gra roli, a przecież doskonale wiedziałem, że nie pracujesz).

Mógłbym tak jeszcze długo, Iga. Mógłbym Ci opowiedzieć każdy z moich snów z Tobą w roli głównej, mógłbym Ci powiedzieć, jak martwiłem się o Ciebie, kiedy byłaś chora, jak wzruszało mnie Twoje marzenie o ławeczce i bie, jak chciałem zedrzeć z Ciebie szlafrok i jak chciało mi się śpiewać z radości, kiedy Twoja mama w windzie zwierzyła mi się, że Igusia pogoniła narzeczonego.

A jednak już kończę. Okropnie się tego boję, ale przecież muszę się odważyć: jeśli pozwolisz, wpadnę do Ciebie dzisiaj po pracy. Gdybyś nie chciała się ze mną spotkać, bo masz do mnie żal albo już Ci przeszła ta pierwsza w życiu miłość, to po prostu napisz mi esemesa. Ale mam wielką nadzieję, że nie napiszesz.

*Całuję Cię (zapamiętam to na całe życie, bo to nasz pierwszy pocałunek),
Wojtek*

Przeczytałam. Pobiegłam do domu, żeby wydmuchać nos, i przeczytałam jeszcze raz. Włożyłam buty i wróciłam do ogrodu w panicznym lęku, że bukiet mi zwiędnie, bo o nim zapomniałam. Wzięłam go do domu i wstawiłam do wazonu, a potem na przemian wachałam bez, czytałam list i wydmuchiwałam nos. Kiedy przyjechał Rafał, rzuciłam mu się na szyję i podziękowałam, potem zadzwoniłam do Agaty, żeby jej powiedzieć, że ją kocham, i poprosiłam, żeby przekazała to samo Krzyśkowi.

Przez resztę dnia próbowałam uspokoić rozdygotane ręce i serce, które waliło mi w piersi, jakby chciało wyskoczyć i zwyczajnie zwiąć. Próbowałam coś zjeść, ale nic nie mieściło mi się w żołądku, bo miałam tam miliony motyli.

Wreszcie uznałam, że jeśli się czymś nie zajmę, to po prostu zwariuję. Poszłam do ogrodu i zaczęłam sadzić pozostałe rośliny. I właśnie nad sadzonkami orlika zastał mnie Wojtek, kiedy wreszcie przyjechał, z tak samo drżącymi dłońmi i tak samo walącym sercem jak moje. Podwinął rękawy i pomógł mi w sadzeniu, a kiedy skończyliśmy, zrobił tak, jak sobie wymarzyłam — po prostu przygarnął mnie do siebie i pozwolił naszym twarzom oraz palcom powoli oswajać się ze sobą.

Nie płakałam, bo już mi się wszystko zagoiło.

A bez, cholera jedna, naprawdę nie zakwitł.